

PRZYGODY COTREKY I FELIXA

WILLIAM KING
ZABÓJCA
DEMONÓW

WADHAMMER
WARHAMMERS

William King

Zabójca Demonów

Przygody Gotreka i Felixa tom III

Tłumaczył Grzegorz Bonikowski

Po okropnych wydarzeniach w Nuln ruszyliśmy na północ, przez większość czasu idąc bocznymi drogami, aby uniknąć strażników Imperatora. Przyniesiony przez krasnoluda list nakłonił mojego kompana do dziwnego stanu oczekiwania. Zdawał się być niemal szczęśliwy, gdy brnęliśmy w znoju ku naszemu celowi. Podczas wszystkich długich tygodni podróży nie zniechęciło go zagrożenie ze strony bandytów, mutantów i zwierzoludzi. Zatrzymywał się ledwie by coś zjeść, a rzadziej by wypić. Odpowiadał na moje pytania tylko przebąkując o przeznaczeniu, zagładzie i starych długach.

Jeśli chodzi o mnie, to byłem pełen niepokoju i poczucia winy. Zastanawiałem się co stało się z Elissą i zasmucało mnie rozstanie z bratem. Nie miałem pojęcia, jak wiele czasu minie zanim go spotkam ponownie i w jak dziwnych okolicznościach. Niewiele także wiedziałem o tym, dokąd zabierze nas podróż, którą rozpoczęliśmy w Nuln i jak straszny będzie cel naszej wędrówki.

– Fragment z *Moich Podróży z Gotrekiem*,
Tom III, spisanych przez Herr Felixa Jaegera
(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

Misja

– Wylałeś moje piwo – powiedział Gotrek Gurnisson.

Felix Jaeger pomyślał, że gdyby człowiek, który właśnie przewrócił kufel miał odrobinę rozsądku, groźny ton zimnego jak grób głosu krasnoluda odstraszyłby go natychmiast. Ale najemnik był pijany, a razem z nim przy stole siedziało pół tuzina hardo wyglądających kumpli. Chciał także zaimponować chichoczącej dziewczce z tawerny. Nie miał zamiaru odstąpić od bójki z kimś kto sięgał zaledwie do jego ramion, nawet jeśli ta osoba była niemal dwukrotnie od niego szersza.

– No to co? Co masz zamiar zrobić, kurduplu? – odpowiedział szyderczo najemnik.

Krasnolud spoglądał przez chwilę z mieszaniną żalu i rozdrażnienia na rozszerzającą się kałużę piwa rozlanego na blacie stołu. Potem odwrócił krzesło, by spojrzeć na najemnika i przesunął dłonią po wielkim grzebieniu pomalowanych na czerwono włosów, który górował nad jego ogoloną i wytatuowaną głową. Zadzwięczał złoty łańcuch biegnący od nosa do ucha. Z wypracowaną pieczołowitością kogoś bardzo pijanego Gotrek potarł opaskę zakrywającą lewy oczodół, splótł palce, trzasnął kłykciami i nagle rąbnął przeciwnika prawą dłonią.

Felix widział już lepsze ciosy wyprowadzone przez Gotreka. Po prawdzie, cios był niezręczny i mało przemyślany. A jednak, pięść Zabójcy Trolli była wielka jak szynka, a ramię równie grube co pień drzewa. W cokolwiek uderzyło, musiało zboleć. Nastąpił obrzydliwy trask, w chwili gdy pękał nos mężczyzny. Najemnik przeleciał w kierunku swojego stołu i padł nieprzytomny na pokrytej kurzem podłodze. Czerwona krew buchnęła z nozdrzy.

Po chwili zastanowienia Felix w pijackim otępieniu stwierdził, że cios z pewnością wykonał swoje zadanie. Prawdę mówiąc, był całkiem niezły biorąc pod uwagę ilość ale wypitego przez Zabójcę.

– Ktoś jeszcze chce posmakować pięści? – spytał Gotrek rzucając kumplom pobitego złe spojrzenie. – A może wszyscy jesteście takimi mięczakami na jakich wyglądacie?

Kompani żołnierza podnieśli się ze swoich ławek wylewając pieniądze się ale na stół i zrzucając dziewczki tawerniane z kolan. Nie czekając, aż podejdą, Zabójca zachwiał się i ruszył na nich. Złapał najbliższego najemnika za gardło, ściągnął jego głowę w dół i rąbnął w nią czołem. Mężczyzna padł jak podcięty.

Felix pociągnął kolejny łyk kwaśnego tileańskiego wina podawanego w gospodzie, aby wyostrzyć swoje zmysły. Od czasu, gdy był trzeźwy upłynęło już kilka kielichów, ale co z tego? To była długa, ciężka podróż przez całą drogę aż do tego miejsca, do Guntersbadu. Poruszali się bez ustanku od czasu, gdy Gotrek otrzymał tajemniczy list wzywający go do tej gospody. Felix przez chwilę rozważał sięgnięcie po tobolek Zabójcy i ponowne zbadanie jego zawartości, ale wiedział już, że będzie to próżny wysiłek. Wiadomość została zapisana dziwnymi runami używanymi przez krasnoludy. Jak na standardy Imperium Felix był dobrze wykształconym człowiekiem, ale w żaden sposób nie potrafił odczytać tego języka. Rozczarowany własną niewiedzą wyciągnął swoje długie nogi, ziewnął i ponownie skupił się na bijatyce.

Zbierało się na to przez cały wieczór. Od chwili, gdy weszli do Psa i Osła, lokalni twardziele gapili się na nich bez przerwy. Zaczęli od paskudnych uwag na temat wyglądu Zabójcy. Na początku Gotrek nie zwracał na to najmniejszej uwagi, co było bardzo niezwykle. Zazwyczaj był drażliwym tileańskim diukiem bez grosza przy duszy i miał temperament rosomaka z bolącym zębem. Jednak od otrzymania wiadomości stał się wyciszony i niepomny na wszystko poza swoimi myślami. Przez

cały wieczór obserwował tylko drzwi jakby spodziewał się przybycia kogoś znajomego.

Felix początkowo obawiał się zbliżającej się bójki, ale kilka kielichów czerwonego tileańskiego wina szybko pomogło uspokoić jego nerwy. Wątpił, by ktoś okazał się na tyle głupi, żeby wszczynać walkę z Zabójcą Trolli. Liczył na to, nie biorąc pod uwagę zwykłej ignorancji tubylców. W końcu było to małe miasteczko przy drodze do Talabheim. Skąd mogli wiedzieć, kim był Gotrek?

Nawet Felix, który studiował na Uniwersytecie w Altdorfie nigdy nie słyszał o krasnoludzkim Kulcie Zabójców, aż do dawno minionej nocy, gdy Gotrek wyciągnął go spod kopyt elitarnej kawalerii Imperatora. Było to podczas zamieszek, które wybuchły w Altdorfie po ogłoszeniu Podatku od Okien. W trakcie szalonej pijackiej libacji, która nastąpiła później, dowiedział się, że Gotrek przysiągł szukać śmierci w walce z najbardziej zajadłymi potworami, aby odpokutować za jakieś dawne przewinienie. Felix był pod tak wielkim wrażeniem opowieści Zabójcy i prawdę mówiąc tak pijany, że przysiągł towarzyszyć krasnoludowi i opisać jego śmierć w epickim poemacie. Fakt, że Gotrek nie znalazł jeszcze swojej śmierci, pomimo różnych heroicznych wysiłków, nie umniejszał w żaden sposób szacunku Felixa dla hardości krasnoluda.

Gotrek wbił pięść w żołądek kolejnego mężczyzny. Przeciwnik zgiał się w pół i powietrze uszło z jego płuc ze sieknięciem. Gotrek chwycił go za włosy i rąbnął mocno jego szczęką o krawędź stołu. Widząc, że najemnik nadal się rusza, Zabójca raz po raz tłukł głową jęczącej ofiary o brzeg ławy, aż nieszczęśnik znieruchomiał w kałuży krwi, śliny i wybitych zębów, wyglądając przy tym dziwnie spokojnie.

Dwóch dużych, krępych wojowników rzuciło się naprzód łapiąc Zabójcę za ramiona. Gotrek zgiał ramiona rycząc wezwanie do walki i przewrócił jednego z napastników na ziemię. Gdy ten leżał, Zabójca stanął swoim ciężkim buciorem na pachwinie mężczyzny. Tawernę wypełnił wysoki, jękliwy pisk. Felix skrzywił się.

Gotrek skierował swoją uwagę na drugiego wojownika. Szczepili się ze sobą. Powoli jednak, mimo, że człowiek był więcej niż o połowę wyższy od Gotreka, olbrzymia siła krasnoluda zaczęła przeważać. Pchnął przeciwnika na ziemię, stanął okrakiem na jego klatce piersiowej, po czym powoli i metodycznie bił go w głowę do nieprzytomności. Ostatni z najemników ruszył ku drzwiom – ale w tym momencie wpadł na innego krasnoluda. Nowo przybyły cofnął się o krok, po czym ściał go jednym dobrze wymierzonym ciosem.

Felix zamrugał oczami, w pierwszej chwili przekonany, że ma halucynacje. Zdawało się nieprawdopodobne, by w tej części świata mógł się znajdować inny Zabójca. Ale Gotrek także patrzył na nieznanego. Nowy gość był nieco większy i bardziej muskularny niż Gotrek. Jego głowa była ogolona, a broda krótko obcięta. Nie miał grzebienia włosów. Zamiast tego w czaszkę zostały wbite pomalowane na różne kolory gwoździe tworzące grzebień. Jego nos był złamany tyle razy, że stał się bezkształtny. Jedno ucho było rozplaszczone; drugie zostało po prostu oderwane odsłaniając otwór z boku głowy. W nosie osadzony był wielki pierścień. Tam, gdzie ciało nie było pokryte krzyżującymi się bliznami, widniały tatuaże. W dłoni trzymał ogromny młot, a za pasem wsunięty był topór o szerokim ostrzu i krótkim trzonku.

Za tym nowym Zabójcą stał inny krasnolud, niższy, grubszy i wyglądający zdecydowanie bardziej cywilizowanie. Miał mniej więcej połowę wzrostu Felixa, ale był bardzo szeroki. Jego dobrze utrzymana broda sięgała niemal do ziemi. Duże oczy mrugały po sownemu zza bardzo grubych okularów. W poplamionych atramentem palcach trzymał wielką księgę okutą w mosiądz.

– Snorri Gryzonos, jakem żyw i zdrów! – ryknął Gotrek. Jego paskudny uśmiech pokazał szczyby po zębach. – Kopę lat! Co tutaj robisz?

– Snorri jest tutaj z tego samego powodu, co ty, Gotreku Gurnissonie. Snorri dostał list od starego

Boreka Uczzonego nakazujący Snorriemu przyjść do Samotnej Wieży.

– Nie próbuj robić ze mnie głupca. Wiem, że nie potrafisz czytać, Snorri. Wszystkie słowa zostały wybite z twego łba, gdy wbito te gwoździe.

– Hogan Długobrody przeczytał to dla Snorriego – rzekł Snorri wyglądając na zawstydzonego, na ile to było widoczne u tak zwalistego Zabójcy Trolli. Rozejrzał się wokół najwyraźniej pragnąc zmienić temat.

– Snorri myśli, że stracił dobrą walkę – powiedział krasnolud omiatając spojrzeniem scenę przerażającej przemocy z tym samym niemal tęsknym żalem, z jakim Gotrek żegnał swoje rozlane ale.

– Snorri myśli, że lepiej zatem wypije piwo. Snorri jest trochę spragniony!

– Dziesięć piw dla Snorriego Gryzonosa! – ryknął Gotrek. – I dla mnie też dawajcie dziesięć. Snorri nie cierpi pić samotnie.

Izbę wypełniła cisza pełna trwogi. Pozostali goście popatrzyli na scenę walki, a potem na dwóch krasnoludów, tak jakby byli beczkami prochu strzelniczego z płonącymi lontami. Powoli, pojedynczo i dwójkami wstawali i wychodzili, aż pozostali tylko Gotrek, Felix, Snorri i ten drugi krasnolud.

– Pierwszy do dziesięciu? – rzucił pytanie Snorri, szturchając zaciśniętą dłonią swoje oko i patrząc na Gotreka przebiegle.

– Pierwszy do dziesięciu – zgodził się Gotrek.

Drugi krasnolud wkroczył między nich kołyszącym się krokiem i skłonił się grzecznie, na modłę krasnoludów podnosząc swoją brodę jedną ręką, aby nie ciągnęła się po podłodze podczas ukłonu.

– Varek Varigsson z Klanu Grimnar do usług – powiedział miłym głosem. – Widzę, że otrzymałeś wiadomość od mojego wuja.

Snorri i Gotrek spojrzeli na niego, najwyraźniej zdumieni jego grzecznością, po czym zaczęli się śmiać. Varek poczerwieniał ze wstydu.

– Lepiej temu młodzianowi też dajcie piwa! – krzyknął Gotrek. – Zdaje się, że mógłby się nieco rozluźnić. A teraz odsuń się, młodzieniaszku, Snorri i ja musimy rozegrać zakład.

Gospodarz tawerny uśmiechnął się z wdzięcznością. Przez jego twarz przemknął wyraz ulgi. Wyglądało na to, że krasnoludy z nawiązką wynagrodzą go za wszystkich gości, których przepłoszyli.

Gospodarz ustawił piwa wzdłuż niskiej lady. Dziesięć stało przed Gotrekiem, dziesięć przed Snorrim. Krasnoludy przyjrzały się piwu w sposób, w jaki obserwuje się przeciwnika przed walką zapaśniczą. Snorri spojrział na Gotreka, a potem ponownie na piwo. Szybkim ruchem znalazł się w pobliżu wybranego celu. Chwycił kufel, podniósł go do ust, odchylił głowę i przełknął. Gotrek dotarł do lady ułamek sekundy później. Jego kufel ale dosięgnął ust chwilę po Snorrim. Nastąpiła długa cisza przerywana tylko dźwiękiem gulgotania krasnoludów, po czym Snorri rąbnął swoim kuflem o stół zanim Gotrek trzasnął swoim. Felix przyjrzał się kufłom zdumiony. Oba naczynia zostały osuszone do ostatniej kropli.

– Pierwszy jest najłatwiejszy – rzekł Gotrek. Snorri wypił kolejny kufel, schwycił następny i powtórzył wyczyn. Gotrek uczynił to samo. Złapał naczynie, podniósł je do ust, osuszył, a potem opróżnił jeszcze jeden. Tym razem to Gotrek wypił swoje piwo tuż przed Snorrim. Felix był oszołomiony, szczególnie, gdy pomyślał, ile piwa Gotrek już wypił przed przybyciem Snorriego. Wyglądało to tak, jakby Zabójcy odprawiali dobrze przećwiczony rytuał. Felix był ciekaw, czy naprawdę mają zamiar wypić całe to piwo.

– To wstyd, że piję z tobą, Snorri. Dziewczęcy elf wypiłby trzy w czasie, jaki zabrały ci te dwa – rzekł Gotrek.

Snorri rzucił mu spojrzenie pełne niesmaku, sięgnął po następne ale i wychylił je tak szybko, że

piwo wylało się z jego ust i spieniło na brodzie. Otarł usta wytatuowanym przedramieniem. Tym razem skończył przed Gotrekiem.

– Przynajmniej moje piwo całe trafiło do ust – stwierdził Gotrek kiwając głową, aż zabrzączała łańcuch w jego nosie.

– Gadasz czy pijesz? – rzucił wyzwanie Snorri.

Piąte, szóste, siódme piwo zostało wypite jedno po drugim. Gotrek spojrzał na sufit, mlasnął ustami i wydał z siebie potężne, przepastne beknięcie. Snorri zaraz mu zawtórował. Felix wymienił spojrzenia z Varekiem. Uczony młody krasnolud spotkał jego wzrok i wzruszył ramionami. W czasie krótszym niż minuta, dwaj Zabójcy wychylili więcej piwa, niż Felix mógłby wypić w ciągu całej nocy. Gotrek zamrugał. Jego oko wyglądało nieco szklisto, ale była to jedyna oznaka ogromnej ilości alkoholu, jaką właśnie skonsumował. Snorri nie wyglądał gorzej, ale nie miał za sobą całej nocy picia.

Gotrek sięgnął po numer osiem, ale do tego czasu Snorri był już w połowie numeru dziewięć. Odstawiając kufel powiedział:

– Wygląda na to, że będziesz płacił za piwo.

Gotrek nie odpowiedział. Chwycił na raz dwa kufle, po jednym w obu dłoniach, odchylił głowę, otworzył przełyk i wlał doń piwo. Nie było dźwięku przełykania. Nie połykał, pozwalając piwu wlewać się prosto do przełyku. Snorri był pod takim wrażeniem tego wyczynu, że zapomniał podnieść swój ostatni kufel zanim Gotrek nie skończył.

Gotrek stał na miejscu chwiejąc się lekko. Beknął, czknął i siadł na stołku.

– Dzień, w którym mnie przepijesz Snorri Gryzonosie, to dzień, w którym zamarznie piekło.

– To będzie dzień po tym, jak zapłacisz za piwo, Gotreku Gurnissonie – rzekł Snorri siadając obok swojego kolegi Zabójcy.

– Cóż, to tyle na początek – mówił dalej. – Czas zatem na poważne picie. Wygląda na to, że Snorri musi nieco nadgonić.

– Czy masz tam prawdziwą tabakę z Krańca Świata, Snorri? – zapytał Gotrek, spoglądając łakomie na proszek, który Snorri ubijał w swojej fajce. Wszyscy zasiedli przy huczącym ogniu na najlepszych miejscach w gospodzie.

– Aye, to stary Liść Pleśniowy. Snorri zebrał nieco w górach przed przybyciem tutaj.

– Daj go tutaj trochę!

Snorri rzucił woreczek Gotrekowi, który wyciągnął swoją fajkę i zaczął ją napełniać. Zabójca zerknął na uczonego, młodego krasnoluda, swoim jednym okiem.

– A zatem, młodzieńcze – mruknął Gotrek – cóż to za wspaniała śmierć, jaką obiecał mi twój wuj Borek? I czemu jest tutaj stary Snorri?

Felix pochylił się naprzód z ciekawością. Sam chciał dowiedzieć się o tym więcej. Intrygowała go myśl o wyzwaniach, które potrafią ekscytować zazwyczaj przygnębionego i milczącego Zabójcę.

Varek spojrzał badawczo na Felixa. Gotrek potrząsnął głową i pociągnął łyk piwa. Pochylił się, podniósł drewnianą drzazgę z ognia, a potem zapalił fajkę. Gdy paliła się już dobrze, rozparł się na krześle i powiedział poważnym głosem.

– Wszystko, *co chcesz* mi powiedzieć, możesz powiedzieć w obecności człeczyny. On jest Przyjacielem Krasnoludów i Powiernikiem Przysięgi.

Snorri popatrzył na Felixa. W jego mętnych, dzikich oczach pojawiło się zaskoczenie i coś w rodzaju szacunku. Uśmiech Vareka zdradzał szczere zainteresowanie. Odwrócił się do Felixa i skłonił raz jeszcze prawie spadając z krzesła.

– Jestem pewien, że tu kryje się ciekawa opowieść – powiedział. – Wysłuchałbym jej z największym zainteresowaniem.

– Nie próbuj zmieniać tematu – rzucił Gotrek. – Cóż to za śmierć, jaką obiecał mi twój krewniak? Jego list ciągnął mnie tutaj przez pół Imperium i chcę coś o tym usłyszeć.

– Nie próbowałem zmienić tematu, Herr Gurnisson. Chciałem tylko zdobyć informacje do mojej książki.

– Będzie na to dosyć czasu później. Teraz mów!

Varek westchnął, oparł się na krześle i splótł palce na swoim wydatnym brzuchu. – Mogę powiedzieć dość niewiele. Mój wuj podzielił się z wami wszystkimi szczegółami w swoim czasie i na swój sposób. Mogę tylko powiedzieć, że to jest być może największa misja od czasów Sigmara Młotodzierzcy i dotyczy Karag Dum.

– Zagubiona Twierdza na Północy! – ryknął pijacko Gotrek, a potem nagle zamilkł. Rozejrzał się wokół, jakby z obawy, że szpiedzy mogą go podsłuchać.

– Teżę samej!

– A zatem twój wuj znalazł sposób, by tam dotrzeć! Myślałem, że jest szalony, gdy utrzymywał, że to mu się uda. – Felix nigdy nie słyszał takiego podniecenia w głosie krasnoluda. To było zaraźliwe. Gotrek spojrzał na Felixa.

Snorri wtrącił się.

– Nazwijcie Snorriego głupcem, jeśli chcecie, ale nawet Snorri wie, że Karag Dum zaginęło na Pustkowiach Chaosu. – Spojrzał na Gotreka i zadrzał. – Pamiętaj, co było ostatnim razem.

– Tak, czy inaczej, mój wuj znalazł sposób, by tam dotrzeć.

Felix nagle poczuł nerwowy dreszcz. Znalezienie miejsca to jedna rzecz. Wymyślenie, jak tam się znaleźć, to coś innego. Najwyraźniej to nie było fascynujące ćwiczenie myślowe lecz możliwa do odbycia podróż. Miał okropne przeczucie, że wie, gdzie to wszystko się skończy i że nie chce brać w tym udziału.

– Nie ma drogi przez Pustkowiec – rzekł Gotrek. W jego głosie słychać było coś więcej, niż zwykłą ostrożność. – Byłem tam, podobnie jak Snorri i twój wuj. Próba przedarcia się przez nie jest szaleństwem. Obłąd i mutacje czekają na tych, którzy się tam wybiorą. Piekło dotknęło świata w tym przeklętym miejscu.

Felix spojrzał na Gotreka z szacunkiem. Niewielu dotarło tak daleko i wróciło, by o tym opowiedzieć. Dla niego, podobnie jak dla całego ludu Imperium, Pustkowiec Chaosu były przerażającą plotką, piekielną krainą na dalekiej północy, z której nadeszły straszne armie czterech Niszczycielskich Mocy Chaosu, aby niszczyć, plądrować i zabijać. Nigdy nie słyszał, by krasnolud wspominał, że tam był. Gotrek nie mówił o swojej przeszłości. Tak, czy inaczej, widoczna obawa krasnoluda sprawiła, że tamto miejsce stało się jeszcze bardziej odpychające. Niewiele było spraw na świecie, o czym dobrze wiedział Felix, które wprawiały Zabójcę w konsternację, a istotnie należało się obawiać wszystkiego, co to powodowało.

– Tym niemniej, uważam, że właśnie tam chce się udać mój Wuj. Chce także, byś z nim poszedł. Potrzebuje twojego topora.

Gotrek zamilkł na długą chwilę.

– To z pewnością czyn godny Zabójcy.

Brzmi jak całkowite szaleństwo, pomyślał Felix. Jakoś udało mu się trzymać usta zamknięte.

– Snorri też tak myśli.

A więc Snorri jest jeszcze większym idiotą, niż na to wygląda, pomyślał Felix i te słowaomal nie wyrwały się z jego ust.

– Czy zatem pojedziecie ze mną do Samotnej Wieży? – spytał Varek.

– Mając na widoku taką zagładę podążę za tobą do paszczy piekła – rzekł Gotrek.

To dobrze, pomyślał Felix, ponieważ zdaje się, że właśnie tam zmierzasz. Potrząsnął głową. Obłąd krasnoludów zaczął przechodzić na niego. Czy naprawdę brał poważnie całą tę gadaninę o podróży na Pustkowie Chaosu? Z pewnością to były tylko tawerniane pogaduszki i dotyk szaleństwa przemienie do rana...

– Doskonale – powiedział Varek. – Wiedziałem, że pójdziecie.

Znamię skavena

Podrygiwanie wozu nie pomagało na kaca Felixa. Za każdym razem, gdy koło wpadało w jedną z głębokich kolein na drodze, żołądek podskakiwał boleśnie i groziło to, że wyśle jego zawartość prosto na przydrożne żywopłoty. Felix czuł odrętwienie we wnętrzu swych ust. W czaszce narastało ciśnienie niczym para w czajniku. Co najdziwniejsze, miał straszną ochotę na coś pieczonego. W jego umyśle skwierczały wizje smażonych jajek z bekonem. Teraz żałował, że wcześniej nie zjadł śniadania z Zabójcami Trolli, ale wówczas widok krasnoludów opychających się stosami szynki i jajek oraz mlaszczących ustami pełnymi wielkich pająk czarnego chleba sprawiał, że skręcało mu żołądek. Ale teraz był gotów zabić za takie jedzenie.

Pewnym wsparciem dla niego był fakt, że Zabójcy zachowywali się dość cicho, za wyjątkiem mamrotania po krasnoludzku, które, jak podejrzewał, dotyczyło ich potwornego kaca i narzekań na paskudne ludzkie piwo. Tylko młody Varek wydawał się być wesoły i miał jasne spojrzenie, jednak nie było w tym nic dziwnego. Ku wielkiej odrazie pozostałych, przestał pić po trzech piwach twierdząc, że ma dość. Teraz kierował mułami pewnymi pociągnięciami lejców i gwizdał wesołą melodię niepomny ostrych jak sztylety spojrzeń swoich kompanów, które wbite były w jego plecy. W tej chwili Felix nienawidził go z pasją równą natężeniu swojego kaca.

Aby porzucić rozważania o okropnej podróży, która z pewnością nastąpi, Felix zwrócił uwagę na otoczenie. To był naprawdę piękny dzień. Słońce świeciło jasno. Ta część Imperium wyglądała na szczególnie bujną i radosną. Duże, na wpół drewniane domy wznosiły się nad otaczającymi wzgórzami. Otaczały je chałupy kryte strzechą, domy chłopów pracujących na polach. Wielkie łaciate krowy pasły się w obejściach. Wesoło dźwięczały dzwonki na ich karkach. Każdy dzwonek miał inny ton, co, jak dedukował Felix, miało za zadanie umożliwienie pasterzowi znalezienie każdej krowy po dźwięku dzwonka.

Obok nich wzdłuż zakurzonej drogi wieśniak popędzał przez chwilę stadko gęsi. Później ładna wieśniaczka spojrzała na Felixa rzucając widłami siano na stóg i powitała go oszałamiającym uśmiechem. Starał się zebrać siły, by odwzajemnić uśmiech, ale nie potrafił. Czuł się, jakby miał sto lat. Patrzył się na nią, aż zniknęła za zakrętem drogi.

Wóz wpadł w następną koleinę i podskoczył jeszcze wyżej.

– Patrz, gdzie jedziesz! – warknął Gotrek. – Nie widzisz, że Snorri Gryzonos ma kaca?

– Snorri nie czuje się najlepiej – potwierdził drugi Zabójca i wydał z siebie okropny stłumiony bulgot. – To musi być to koźle i zupa ziemniaczana, którą jedliśmy zeszłego wieczora. Snorri myśli, że to było nieco nieświeże.

Najprawdopodobniej to wina trzydziestu lub więcej kufla ale, które wychyliłeś, pomyślał kwaśno Felix. O mało co powiedziałby to na głos, ale nawet pomimo swojego żalosego stanu był na tyle rozważny, by się powstrzymać. Nie miał zamiaru zostać wyleczonym z kaca przez odcięcie głowy. Cóż, może to i dobre wyjście, pomyślał, gdy wóz i jego żołądek znowu podskoczyły.

Felix próbując skupić swój umysł na czymś innym niż paskudne wirowanie w żołądku ponownie skierował uwagę na ubitą kamienistą powierzchnię drogi, która umykała pod nimi. Dostrzegał pojedyncze kamienie na ziemi, z których każdy wyglądał tak, jakby mógł rozbić drewniane koła wozu, gdyby uderzyły je pod złym kątem.

Mucha wylądowała miękko na wierzchu dłoni Felixa, łaskocząc go. Pacnął ją od niechcenia. Mucha uniknęła ciosu z pogardliwą łatwością i dalej bzyczała wokół jego głowy. Pierwsza próba

wyczerpała Felixa, który zaniechał zamiaru zabicia owada. Potrząsał tylko głową, gdy mucha zbyt zbliżała się do oczu. Zamknął je i skupił swoją wolę na stworzeniu, rozkazując mu umrzeć, lecz mucha odmówiła posłuszeństwa. Czasami Felix żałował, że nie jest czarownikiem i to była jedna z tych chwil. Był pewien, że oni nie muszą martwić się kacem oraz uprzykrzającymi się, spasionymi, bzyzącymi muchami.

Nagle poczuł na twarzy chłód. Zrobiło się ciemniej. Zobaczył, że mijają kilka drzew zarastających drogę. Rozejrzał się szybko wokół siebie – bardziej z nawyku niż z obawy, ponieważ był to rodzaj zarośli, gdzie lubili zaczynać się bandyci, a nie byli oni rzadkością w Imperium. Nie wiedział, jacy głupcy zaatakowaliby wóz z dwoma skacowanymi Zabójcami Trolli, ale nigdy nie można było być niczego pewnym. Podczas jego podróży zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Może tamci najemnicy z ubiegłego wieczora wrócili, by szukać zemsty. Poza tym, w tych mrocznych czasach zawsze można było znaleźć zwierzoludzi i mutantów. W swoim czasie Felix spotkał ich dość dużo, by uważać się za kogoś w rodzaju eksperta od tych spraw.

Po prawdzie Felix pomyślał prawie na poważnie, że chętnie powitałby cios topora zwierzołaka. Czuł się aż tak źle. To przynajmniej wybawiłoby go z niedoli. Było jednak dziwne, jakie sztuczki płatał jego wzrok. Był niemal pewien, że dostrzegł coś małego o różowych ślepiach szperającego wśród poszycia niedaleko od ścieżki. To trwało tylko sekundę, a potem zniknęło. Felix chciał zwrócić na to uwagę Gotreka, ale zrezygnował z tego, ponieważ przerwanie odpoczynku Zabójcy po kacu nie było dobrym pomysłem.

A poza tym to pewnie nie było nic takiego, po prostu jakieś małe zwierzątko futerkowe szukające kryjówki, gdy podróżni mijali je na drodze. A jednak w kształcie głowy stworzenia było coś znajomego, co tliło się w odrętwiałym mózgu Felixa. Nie potrafił jeszcze tego rozpoznać, ale był pewien, że jeśli będzie o tym myślał wystarczająco długo, przypomni sobie. Kolejny wysoki podskok wozu niemal go wyrzucił. Walczył, by utrzymać w żołądku zeszlonocone koźle i zupę ziemniaczaną. To była długa walka i zanim ją wygrał, gulasz przebył już połowę drogi do jego gardła.

– Dokąd zmierzamy? – spytał Vareka, aby oddalić myśli od swojej niedoli. Nie po raz pierwszy przysięgł sobie, że nigdy nie dotknie nawet kropli piwa. Czasami zdawało mu się, że większość problemów życiowych miała swój początek w tawernach. To było naprawdę zdumiewające, że nie miał dość rozumu, by wcześniej zdać sobie z tego sprawy.

– Do Samotnej Wieży – odpowiedział wesoło Varek. Felix zwalczył chęć rąbnięcia go, bardziej ze względu na brak sił niż z jakiegokolwiek innego powodu.

– To brzmi... interesująco – udało się wreszcie powiedzieć Felixowi. Naprawdę brzmiało to złowieszczo, podobnie jak wiele innych miejsc, które odwiedził podczas swojej żalosalnej kariery pomocnika Zabójcy. Nieznane miejsce zwane Samotną Wieżą, które można było znaleźć gdziekolwiek w Imperium, było najprawdopodobniej tym rodzajem miejsca, którego nie odwiedziłby nikt o zdrowych zmysłach. Fortyfikacje pośrodku ziemi niczyjej były zwykle opanowane przez orki, gobliny i inne, jeszcze gorsze istoty.

– Och, to z pewnością interesujące miejsce. Zostało zbudowane nad starą kopalnią węgla. Wuj Borek przejął ją i odnowił. Dobre, solidne, krasnoludzkie rzemiosło. Wygląda jak nowe. Albo jeszcze lepsze, ponieważ oryginalna robota, ludzka, była – bez obrazy – dość niedbała. Wieża pozostawała porzucona przez kilkaset lat, dopóki nie przybyliśmy, nie licząc skavenów. Oczywiście, musieliśmy je najpierw przepędzić i może nadal kilku z nich czai się w kopalni.

– Dobrze – mruknął Gotrek. – Nie ma lepszego sportu niż niewielka rzeź skavenów. Leczy z kaca lepiej niż litr Bugman'sa.

Osobiście, Felix był w stanie pomyśleć o tuzinie przyjemniejszych sposobów spędzania czasu,

niż polowanie na zajadłe szczuropolodobe potwory w porzuconej i bez wątpienia niebezpiecznej kopalni, ale nie przekazał tej informacji Gotrekowi.

Varek spojrział przez ramię na pasażerów zgromadzonych obok tobołków. Musiał to być żalony widok, bowiem Snorri nie był wyposażony lepiej niż Gotrek, czy Felix. Jego torba była równie pusta, co sakiewka marynarza po libacji w porcie. Wyglądało na to, że nie ma płaszcza, ani nawet koca. Felix cieszył się, że miał swój czerwony płaszcz z sudenlandzkiej wełny, w który mógł się zawinąć. Nie wątpił, że noce staną się dość chłodne. Nie oczekiwał z radością noclegu spędzanego na gołej ziemi.

– Ile czasu zabierze nam dotarcie na miejsce? – spytał.

– Mamy dobre tempo. Jeśli przejedziemy na skróty przez Kościane Wzgórza, będziemy tam w dwa, najwyżej trzy dni.

– Słyszałem niedobre rzeczy o Kościanych Wzgórzach – rzekł Felix. To była prawda. Z drugiej strony, niewiele było miejsc poza miastami i osadami Imperium, o których nie słyszałby złych rzeczy. Gotrek i Snorri natychmiast spojrzeli na niego. Na ich twarzach widniało zainteresowanie. Felixa nigdy nie przestawało zadziwiać, że im straszniejsze opowieści słyszeli Zabójcy, tym wyglądali na szczęśliwszych.

– Skaveni z kopalni nawiedzali te wzgórza i atakowali podróżnych. Przypuszczali najazdy także na farmy. Teraz jednak nie ma się czego obawiać. Przepędziliśmy je – powiedział Varek. – Snorri i ja przebyliśmy tę całą drogę wozem nigdy nie węsząc żadnych kłopotów.

Dwaj Zabójcy zapadli w apatyczną kontemplację swojego kaca. Felix nie był jednak uspokojony. Jego doświadczenie pokazywało, że podróże przez pustkowia nigdy nie miały spokojnie. A same wspomnienie o skavenach sprawiło, że szczurowaty kształt, który zauważył wśród drzew zaczął go dręczyć niepokojąco silnie.

– Przebyliście sami całą tę drogę? – zapytał Felix.

– Snorri był ze mną.

– Jesteś uzbrojony? – spytał Felix upewniając się, że jego długi miecz jest w zasięgu ręki.

– Mam swój nóż.

– Masz swój nóż! Och, to dobrze! Jestem pewien, że bardzo się przyda, gdy zaatakują cię skaveni.

– Nigdy nie widziałem żadnego skavena. Słyszałem tylko nieznaczne szelesty podczas kilku nocy. Cokolwiek to było, Snorri odstraszył je swoim chrapaniem. Zresztą, jeśli coś by zaatakowało, mam swoje bomby.

– Bomby?

Varek pogrzebał w ubraniu i wyciągnął gładką czarną kulę. Na jej szczycie widoczne było dziwne metalowe urządzenie. Wręczył je Felixowi, który przyjrzał się mu uważnie. Wyglądało na to, że po wyciągnięciu zawlecзки na szczycie odczepi się ona od kuli.

– Ostrożnie z tym – powiedział Varek. – To detonator. Jeśli go wyciągniesz, uderzy w krzemień, który zapali lont odpalający materiał wybuchowy. Masz jakieś cztery uderzenia serca, by to rzucić, a potem – bum!

Felix spojrział na przedmiot z lękiem, jakby spodziewał się, że wybuchnie mu w rękach.

– Bum?

– Wybuchnie. Wszędzie polecą szrapnele. To jest, o ile lont się zapali. Czasami tak się nie dzieje. Właściwie, to co drugi raz, ale to bardzo genialne urządzenie. Oczywiście, bardzo, bardzo rzadko wybucha bez żadnego powodu. To się prawie nigdy nie zdarza. W ten sposób Blorri stracił dłoń. Musiał zastąpić ją hakiem.

Felix szybko oddał bombę Varekowi, który wepchnął ją z powrotem do kieszeni. Felix zaczął myśleć, że ten miody krasnolud o dobrych manierach był bardziej szalony, niż na to wyglądał. Może dotyczyło to wszystkich krasnoludów?

– Wiecie, to wykonał Makaisson. Jest dobry w tych sprawach.

– Makaisson. Malakai Makaisson? – zapytał Gotrek. – Ten maniak!

Felix spojrział na Zabójcę z otwartymi ze zdumienia ustami. Nie był pewien, czy chce spotkać owego Makaissona. Każdy, kogo Gotrek nazywa maniakiem, musi być naprawdę obłąkany. I to na tyle, że mógłby wygrywać konkursy na największego szaleńca. Gotrek zauważył spojrzenie Felixa.

– Makaisson wierzy w możliwość lotu pojazdów cięższych od powietrza. Wydaje mu się, że potrafi zmusić różne rzeczy do lotu.

– Żyrokoptery latają – wtrąci! się Snorri. – Snorri latał w jednym. Wypadł. Upadł na głowę. Nic się nie stało.

– Nie żyrokoptery. Duże rzeczy! No i on buduje okręty! Okręty! To nienaturalne zainteresowanie jak na krasnoluda. Nienawidzę statków niemal tak bardzo jak elfów!

– Zbudował największy parostatek w historii – kontynuował Varek. – Niezatapialnego. Miał dwieście kroków długości. Ważył pięćset ton. Miał napędzane parą wieżyczki z działkami obrotowymi. Mieścił załogę złożoną z ponad trzystu krasnoludów i trzydziestu inżynierów. Mógł przepłynąć milę w ciągu godziny. Cóż to był za niesamowity widok, te łopaty tłukące wodę morską na pianę i proporce łopoczące na wietrze.

To z pewnością wyglądało imponująco, pomyślał Felix, nagle zdając sobie sprawę, jak daleko krasnoludy doprowadziły ową dziwną magię, którą nazywali „inżynierią”. Podobnie jak wszyscy w Imperium, Felix wiedział o czołgach parowych, opancerzonych pojazdach będących chlubą potężnych armii królestwa. Przy tym okręcie, czołgi parowe musiały wydawać się dziecięcymi zabawkami. A jednak zastanawiał się, skoro to tak niesamowita rzecz, to dlaczego nigdy o niej nie słyszał?

– Co się stało z Niezatapialnym? Gdzie jest teraz?

Nastąpiła krótka chwila ciszy pełnej zakłopotania ze strony krasnoludów.

– Cóż... zatonął – odezwał się wreszcie Varek.

– Zderzył się ze skałą podczas pierwszej podróży – dodał Snorri.

– Niektórzy utrzymują, że eksplodował kocioł – powiedział Varek.

– Przepadł z całą załogą – dodał Snorri z niemal radosnym wyrazem twarzy, z którym krasnoludy zwykły mówić o najgorszych rzeczach.

– Za wyjątkiem Makaissona. Później wyłowił go statek ludzi. Wybuch odrzucił Makaissona, który uchwycił się drewnianej belki.

– A potem zbudował latający okręt – rzeki Gotrek ze słyszalną zjadliwą ironią.

– Zgadza się. Makaisson zbudował latający okręt – powiedział Snorri.

– Niezniszczalnego – potwierdził Varek.

Felix usiłował wyobrazić sobie okręt, który lata. Myśląc abstrakcyjnie, to było możliwe. Oczami umysłu widział coś podobnego do starych barek rzecznych na Reiku ze wzdętymi żaglami i poruszającymi się wiosłami. Zaiste, tylko potężne czarodziejstwo mogło dokonać czegoś takiego.

– Cóż to była za zdumiewająca rzecz – powiedział Varek. – Wielki niczym żaglowiec. Na szczycie – żelazna kopuła. Kadłub długi niemal na sto kroków. Mógł przelecieć dziesięć mil w ciągu godziny – oczywiście, razem z wiatrem.

– Co się z nim stało? – zapytał Felix, czując, że zna już nieprzyjemną odpowiedź.

– Rozbił się – odpowiedział Snorri.

– Boczne powiewy i parę przecieków gazu lotnego – rzekł Varek. – Wielki wybuch.

– Zabiło wszystkich na pokładzie.

– Za wyjątkiem Makaissona – powiedział Varek, jakby to stanowiło znaczącą różnicę. Zdawał się rzeczywiście tak myśleć. – Został odrzucony podmuchem wybuchu i wylądował na wierzchołkach drzew. Gdy spadał, łamiące się gałęzie spowalniały jego upadek. Połamały także jego obie nogi. Musiał używać kul przez następne dwa lata. Tak czy inaczej, Niezniszczalny miał kilka początkowych trudności. Czego byście się spodziewali? Był jedyny w swoim rodzaju. Ale Makaisson rozwiązał już te problemy.

– Początkowe trudności? – rzekł Gotrek. – Dwudziestu dobrych krasnoludzkich inżynierów zabitych, włącznie z Podmistrzem Gildii Ullim, a ty nazywasz to „początkowymi trudnościami”? Makaisson powinien ogolić swoją głowę.

– Uczynił to – rzekł Varek. – Po tym, jak został wyrzucony z gildii. Wiecie, nie mógł znieść wstydu. Odprawili z nim rytuał nogawek. Szkoda. Mój wuj powiada, że to najlepszy inżynier, jaki żył kiedykolwiek. Mówi, że Makaisson to geniusz.

– Geniusz zabijania innych krasnoludów.

Felix myślał o tym, co Gotrek powiedział na temat golenia głowy przez Makaissona.

– Czy masz na myśli, że Makaisson stał się Zabójcą Trolli? – zapytał Vareka.

– Tak. Oczywiście. Nadal jednak para się inżynierią. Mówi, że dowiedzie swoich teorii albo umrze próbując.

– Założę się, że tak się stanie – mruknął ponuro Gotrek.

Felix nie słuchał. Zmagał się z inną, znacznie bardziej niepokojącą myślą. Licząc Gotreka i Snorriego to będzie trzeci Zabójca Trolli w jednym miejscu. Co zamierzał wuj Vareka? Misja wymagająca trzech Zabójców Trolli – to nie brzmiało dobrze. Prawdę mówiąc, to brzmiało jak samobójstwo. Nagle, w umyśle Felixa pojawiła się alarmująca myśl o tym, co mówił wcześniej Varek. Przedarła się nawet przez okropną mgłę kaca.

– Powiedziałeś wcześniej, że słyszeliście szelesty w drodze na spotkanie z Gotrekiem i ze mną – powiedział Felix myśląc o małym kształcie, który dostrzegł w poszyciu. Zaczął mieć w związku z tym straszne przeczucie.

Varek skinął głową.

– Tylko nocą, gdy rozbijaliśmy obóz.

– Masz jakiś pomysł, co mogło wydawać te szelesty?

– Nie. Może lis.

– Lisy nie szeleszczą.

– Duży szczur.

– Duży szczur... – Felix skinął. Właśnie tego nie chciał usłyszeć. Spojrzał na Gotreka, by zobaczyć, czy Zabójca myśli o tym samym, ale krasnolud odrzucił głowę w tył i gapił się pustym wzrokiem w niebo. Był zagubiony we własnych myślach i nie zwracał najmniejszej uwagi na rozmowę.

Szczury powodowały, że Felix myślał tylko o jednym, i to coś go przerażało. Sprawiały, że myślał o skavenach. Czy możliwe było, by wstrętne szczuroludzie wysledzili go nawet tutaj?

To nie była uspokajająca myśl.

Felix siedział przy ogniu i słuchał drżącego rżenia mułów. Ciemność i rozlegające się od czasu do czasu odległe wycie wilków wywoływały nerwowość u zwierząt. Felix wstał i przesunął dłonią po bokach najbliższego, próbując je uspokoić, po czym wrócił do ogniska, gdzie spali pozostali.

Przez cały dzień droga wznosiła się w kierunku Kościanych Wzgórz, które okazały się tak ponure

i niepociągające, jak wskazywała na to ich nazwa. Wokół nie było drzew, tylko liszaj okrywał kamienie i strome pagórki porośnięte skarłowaciałą trawą. Całe szczęście, że Varek pomyślał o przyniesieniu ze sobą drewna do ogniska, bo musieliby spędzić jeszcze bardziej niewygodną noc pod gołym niebem. Wśród wzgórz było zimno, pomimo upału lata za dnia.

Kolacja składała się z odrobiny chleba kupionego w gospodzie w Gunterbadzie oraz kawałów twardego krasnoludzkiego chleba. Po posiłku usiedli wokół ognia i krasnoludy zapaliły swoje fajki. Za całą rozrywkę mieli dalekie wilcze wycie. Felix uznał je za nieco mniej przygnębiające niż krasnoludzka rozmowa, która zawsze wydawała się obracać wokół starożytnych sporów, opowieści o starych zatargach, o dawno doznanej niedoli i epickich próbach pijackich. Chociaż wycie wilków było przerażające, przynajmniej tłumiło dźwięk chrapania krasnoludów. Felix wyciągnął krótką słomkę i wygrał wątpliwy przywilej zajęcia pierwszej warty.

Starał się nie patrzeć w ogień i trzymać oczy odwrócone w kierunku ciemności, aby nie odzwyczaić wzroku przywykłego do ciemności. Lękał się. Myślał stałe o skavenach, o tych zajadłych, pokręconych przez Chaos szczuroludziach. To napawało go obawą. Pamiętał o walce z nimi podczas bitwy o Nuln. To była scena niczym z koszmaru. Walczył w ciemnościach z humanoidalnymi szczurami wysokości człowieka, które chodziły wyprostowane i walczyły bronią, tak jak ludzie. Wspomnienie tego ohydneho piskliwego języka i sposobu, w jaki ich czerwone ślepia świeciły w ciemnościach, wróciło do niego i wywołało dreszcz.

Najgorsze w związku ze skavenami było to, że stwory zorganizowały się w coś w rodzaju karykatury ludzkiej cywilizacji. Miały własną kulturę, własne nikczemne technologie. Miały armie i wymyślną broń, która w wielu aspektach wydawała się bardziej zaawansowana niż wszystko, cokolwiek stworzyła ludzkość. Felix widział tę broń, gdy skaveni wyrwali się z kanałów, aby przeprowadzić inwazję na Nuln. Nadal pamiętał widok potwornej hordy pędzącej przez płonące budynki i niszczącej wszystko na swej drodze. Żywo wspominał zielone płomienie ich miotaczy spaczo-ognia oświetlające noc i skwierczenie ludzkiego ciała pochłanianego przez strumienie płomieni.

Skaveni byli nieubłaganymi wrogami ludzkości, której nienawidzili bardziej niż innych cywilizowanych ras. Jednak znaleźli się tacy, którzy stanęli po ich stronie za pieniądze. Sam Felix zabił ich agenta, Fritza von Halstadta, który doszedł do stopnia szefa tajnej policji Elektorki Hrabiny Emmanuelle. Ciekaw był, ilu innych agentów szczuroludzie utrzymują na wysokich stanowiskach. Wolał nie zastanawiać się nad takimi sprawami w tym opuszczonym miejscu. Przegnał myśli o skavenach i usiłował skierować umysł na inne sprawy.

Pozwolił swoim rozmyślaniom podryfować w przeszłość. Wycie przypomniało mu o strasznych ostatnich nocach Fortu von Diehl w Księstwach Granicznych, gdzie patrzył na śmierć swojej pierwszej wielkiej miłości, Kirsten, zamordowanej przez Manfreda von Diehl. Widział tam, jak większość mieszkańców wioski została wyrżnięta przez goblinów wilczych jeźdźców sprowadzonych w wyniku zdrady Manfreda. To było dziwne, ale nadal pamiętał wychudzoną twarz Kirsten i jej delikatny głos. Zastanawiał się, czy mógł zrobić cokolwiek, by sprawy potoczyły się innym biegiem. To była myśl, która dręczyła go czasami podczas cichych wart w nocy. To było zdarzenie, które nadal sprawiało mu ból, chociaż ostatnio czuł go rzadziej i wiedział, że przemija. Teraz mógł nawet interesować się innymi kobietami. W Nuln była dziewczyna z tawerny, Elissa, ale w końcu odeszła.

Wizja uśmiechającej się dziewczyny na polu wróciła do niego bardzo wyraziście. Zastanawiał się, co robiła w tej chwili. Poddał się myśli, że nigdy nie pozna nawet jej imienia, podobnie jak ona nigdy nie dowie się jego. Na świecie zdarzało się tak wiele podobnych spotkań. Okazje, które nigdy

nie wypaliły. Romanse, które umarły w zarodku, zanim zyskały szansę na rozwój. Ciekaw był, czy kiedykolwiek spotka inną kobietę, która dotknie jego serca tak bardzo, jak Kirsten.

Był tak pochłonięty rozmyślaniami, że z początku nie usłyszał szelestu miękkich odgłosów pazurów drapiących o chropowatą skałę. Przywarł do ziemi i rozejrzał się uważnie. Obawiał się, że w każdej chwili może poczuć rozdzierający ból zatrutego noża wbitego w plecy. Gdy się jednak poruszył, szelest ustał.

Zastygł w bezruchu i wstrzymał oddech na długą chwilę, a dźwięk rozległ się znowu. Tam. Dźwięk dochodził dokładnie z jego prawej strony. Gdy się uważnie przyjrzał, udało mu się dostrzec błysk czerwonych ślepiów i ciemną sylwetkę skradającą się coraz bliżej wzdłuż grzbietu wzniesienia. Wyciągnął miecz z pochwy. Magiczne ostrze, które przejął po zmarłym Templariuszu Aldredzie nie ciążyło mu w dłoni. Miał już wykrzyknąć ostrzeżenie dla pozostałych, gdy rozległo się przeraźliwe wycie okrzyku bojowego. Rozpoznał głos Gotreka.

Powietrze wypełnił dziwny zapach piżma, który Felix czuł już kiedyś. Szczurowate kształty odwróciły się i natychmiast uciekły. Zabójca pomknął w ciemność. Runy na jego wielkim toporze lśniły wśród nocy. Za nim szybko podążył Snorri Gryzonos. Felix pobiegłby za nimi, ale jego ludzkie oczy nie widziały w ciemnościach tak, jak krasnoludzkie. Cofnął się, gdy Varek przesunął się koło niego trzymając w rękach jedną ze swoich złowieszczych czarnych bomb. Światło ogniska odbiło się od okularów młodego krasnoluda i sprawiło, że jego oczy wyglądały niczym ogniste kręgi.

Stali obok siebie przez długie napięte chwile czekając na odgłosy bitwy, spodziewając się dojrzeć nagły szturm hordy szczuroludzi. Jedyнным słyszalnym dźwiękiem było tupanie butów powracających Gotreka i Snorriego.

– Skaveni – Gotrek splunął pogardliwie.

– Uciekli – powiedział Snorri rozczerowanym głosem. Traktując całe wydarzenie, jakby nie miało miejsca, obaj powrócili na swoje miejsca przy ogniu i położyli się do snu. Felix zazdrościł im. Widział, że nawet gdy skończy się jego warta, tej nocy nie zaśnie.

Skaveni, pomyślał i zadrżał.

Samotna twierdza

Felix spojrzął na otwierającą się w dole długą dolinę i zdjęła go trwoga. Z miejsca, gdzie stał, widział maszyny. Setki maszyn. Ogromne silniki parowe wyrastały wzdłuż ścian kotliny niczym potwory w zanitowanych zbrojach z żelaza. Tłoki wielkich pomp wznosiły się i opadały z regularnością bicia serca olbrzyma. Para z sykiem ulatniała się z potężnych rdzewiejących rur, które przebiegały pomiędzy masywnymi budynkami z czerwonej cegły. Wielkie kominy buchały w górę gęstymi kłębami kopącego dymu. Powietrze rozbrzmiewało echemi łomotania setek młotów. Piekielne lśnienie kuźni oświetlało cieniste wnętrza warsztatów. Tuziny krasnoludów poruszały się tam i z powrotem wśród ukropu, hałasu i mglistych kłębów.

Opary rozrzędziły się na chwilę, gdy zimny wiatr ze wzgórz popędził przez dolinę. Felix zauważył, że jedna wielka struktura zajmowała znaczną długość kotliny. Była zbudowana z rdzewiejącego nitowanego metalu i pokryta dachem z pofałdowanego żelaza. Miała może trzysta kroków długości i dwadzieścia wysokości. Na jednym końcu znajdowała się masywna wieża z kutego żelaza, niepodobna do niczego, co widział Felix. Była zbudowana z metalowych dźwigarów i miała punkt obserwacyjny, a na samym wierzchołku coś, co przypominało monstrualną latarnię.

Wysoko ponad dalszym końcem alei majaczyła potężna przysadzista forteca. Mech przywarł do jej wytartych przez erozję kamieni. Felix dostrzegał wysoko między blankami błyszczące lufy dział. Pośrodku budynku widoczna była jedna kamienna wieża. Na fasadzie, w pobliżu dachu, znajdował się olbrzymi zegar, którego wskazówki wskazywały, że była prawie siódma po południu. Na dachu, ku niebu kierował się niemal równie gigantyczny teleskop. Gdy Felix patrzył, wskazówka dosięgła siódmej na zegarze i ogłuszająco zadzwieczał dzwon. Jego echo wypełniło całą dolinę.

Powietrze przeciął dziwny świst, który mógł być tylko gwizdkiem parowym. Felix widział coś podobnego w Szkole Inżynierii w Nuln. Dało się słyszeć dyszenie tłoków i łomotanie żelaznych kół na szynach, gdy mały wagon parowy pojawił się u wejścia do kopalni. Poruszał się po żelaznym torze unosząc liczne kopce węgla w stronę wielkiej centralnej huty.

Hałas był ogłuszający. Zapach oszałamiał. Widok był zarówno potworny, jak i fascynujący, niczym wewnątrz jakiejś wielkiej, skomplikowanej zabawki mechanicznej. Felixowi wydawało się, że spogląda na scenę dziwnego czarodziejstwa, które może zmienić świat, jeśli zostanie w pełni uwolnione. Nie zdawał sobie sprawy, do czego były zdolne krasnoludy, jaką moc dawała im ich tajemna wiedza. Zdumienie ogarnęło go tak bardzo, że przez chwilę, pokonało strach, który przez cały dzień czaił się na dnie jego umysłu.

Potem ta niepokojąca myśl wróciła i przypomniał sobie ślady, które tego ranka widział pomieszane z podkutymi odbiciami butów Zabójców. Nie było wątpliwości, że ślady należały do skavenów i to całkiem sporego oddziału. Felix wiedział, że bez względu na to, jak przerażający byli Zabójcy, szcziroludzie nie uciekli ze strachu. Oddalili się, ponieważ mieli inne rzeczy do zrobienia, a wdanie się w walkę z jego towarzyszami mogło odwlec wykonanie tej misji. To było jedyne możliwe wyjaśnienie faktu, że tak silny oddział skavenów uciekł przed tak niewielką liczbą przeciwników.

Spoglądając teraz na to miejsce zrozumiał, jaki mógł być prawdopodobny cel oddziału skavenów. To było coś, co wyznawcy Rogatego Szczura chcieli zagarnąć – albo zniszczyć. Felix nie miał pojęcia, co działo się w tej dolinie, ale był pewien, że to było ważne, ponieważ zaprzęgnięto tak wiele maszyn, energii i inteligencji. Felix wiedział też, że krasnoludy nie robiły niczego bez celu.

Ponownie jednak poczuł, jak jego serce zaczyna łomotać. To było przedsięwzięcie na skalę, która wydawała mu się niemożliwa. Miało brudny przepych i wskazywało na istnienie przerażających rzeczy znajdujących się poza wiedzą ludzkiej cywilizacji. W tej chwili Felix uświadomił sobie, jak wiele jeszcze jego lud musi nauczyć się od krasnoludów. Za plecami usłyszał szybki wdech.

– Jeśli Gildia Inżynierów dowie się o tym – mruknął Gotrek – potoczą się łby!

– Lepiej zejdźmy na dół i powiedzmy im o skavenach – odpowiedział Felix.

Gotrek spojrział na niego z dumą w szalonym oku. – Czegóż ci na dole mogli by się obawiać? Gromady parchatych szczurów?

Felix chciał się zgodzić, ale nie odezwał się. Był pewien, że mógłby podać jakąś odpowiedź, jeśli zastanowi się dość długo. W końcu, skaveni dostarczyli mu w przeszłości wielu powodów do niepokoju.

Gdzieś po prawej stronie coś błysnęło, niczym lustro odbijające promień słońca. Felix przez chwilę zastanawiał się, co to było, a potem wyrzucił tę myśl z umysłu uznając ją za część cudownej technologii, która prezentowała się wokół niego.

– Ruszajmy jednak i powiedzmy im o tym – powiedział, zastanawiając się, czemu krasnoludy umieściły coś błyszczącego tak jaskrawo wśród kępy krzaków.

Szary Prorok Thanquol spoglądał na dolinę przez peryskop. Urządzenie było jeszcze jednym wspaniałym wynalazkiem skavenów, łączącym najlepsze cechy teleskopu i serii luster, co pozwalało mu na obserwację tych niczego nie spodziewających się głupców na dole z kryjówki wśród kępy krzaków. Widoczne były tylko soczewki na końcu urządzenia i wątpliwe było, by krasnoludy dostrzegły nawet to. Były tak wolno myślące i głupie.

A jednak, nawet szary prorok musiał przyznać, że było coś wspaniałego w budowlu, którą postawiły tu krasnoludy. Nie był pewien, co to było, ale nawet on, w tajemnicy swego szczurzego serca, był pod wrażeniem. Patrzenie na to było fascynujące. Ta konstrukcja przypominała jeden z labiryntów, które trzymał dla swoich człowieczyn w Skavenblight. Na dole działo się tak wiele, że oko nie wiedziało, gdzie patrzeć. Ruch był tak intensywny, że oczywiste było iż na dole dzieje się coś ważnego – coś, co mogłoby przyczynić się do wzrostu jego zasług wobec Rady Trzynastu, gdy tylko to zagarnie.

Ponownie powinszował sobie daru przewidywania i inteligencji. Jak wielu innych szarych proroków odpowiedziałoby na raporty paru skaveńskich niewolników, którzy zostali wypędzeni ze starych kopalń węgla pod Samotną Wieżą?

Żaden z jego rywali nie przypuszczał choćby przez chwilę, że musi dziać się coś ważnego, gdy krasnoludy wysyłają armię, by odzyskać starą kopalnię węgla w tych odludnych wzgórzach. Oczywiście, sam przyznawał, że żaden z nich nie miał szansy zareagować, ponieważ Thanquol przeprowadził egzekucję większości ocalałych z kopalni skavenów, zanim zdążyli powiedzieć o niej komuś innemu. W końcu, tajemnica była jedną z największych broni w arsenale skavenów i nikt nie wiedział o tym lepiej niż on sam. Czyż nie był największym spośród szarych proroków, budzących trwogę, potężnych magików skaveńskich, którzy ustępowali tylko samej Radzie Trzynastu? A z czasem, to także się zmieni. Thanquol wiedział, że jego przeznaczeniem było zajęcie któregoś dnia właściwego miejsca na jednym z pradawnych tronów Rady.

Gdy tylko upewnił się, że raport był prawdziwy, wyruszył tam ze swoimi ochroniarzami. Widząc rozmiary osady krasnoludów, posłał do najbliższego skaveńskiego garnizonu, wzywając imienia Rogatego Szczura i żądając od swoich dowódców zachowania najściślejszej tajemnicy, pod karą długiej, rozwlekłej i niesamowicie bolesnej śmierci. Teraz dolina była otoczona przez wielki oddział

skavenów i czegokolwiek strzegły krasnoludy, wkrótce to będzie jego. Tej nocy wyda rozkaz, który pośle niepokonane futrzaste legiony wprost ku nieuniknionemu zwycięstwu.

Nagle poruszenie przyciągnęło na chwilę uwagę Thanquola, mignięcie czerwieni na wietrze, które przypomniało mu niejasno o czymś złowieszczym, co widział w przeszłości. Zignorował to i obejrzał przez teleskop zbocze wzgórza, przyglądając się potężnym silnikom zbudowanych przez krasnoludy. Przepęłniły go chciwość i żądza zawładnięcia nimi; niewiedza o ich przeznaczeniu nie onieśmielała go w żadnym stopniu. Rozumiał, że po prostu muszą być warte posiadania. Cokolwiek, co wydaje z siebie tyle hałasu i wytwarza tyle dymu, było samo w sobie zdolne wywołać szybsze bicie serca każdego skavena.

Coś związanego z tym łopoczącym strzępkim czerwieni tkwiło w jego umyśle, ale odrzucił to. Zaczął planować atak, badając linie podejścia wzdłuż brzegów doliny. Żałował, że nie może wezwać wielkiego obłoku trucizny i wysłać go przez dolinę, aby zabił krasnoludy i pozostawił nietknięte maszyny. Zachwyciło go proste piękno tego pomysłu. Może powinien sprzedać go inżynierom spaczenia z Klanu Skryre, gdy będzie z nimi negocjował najbliższym razem. Z pewnością, urządzenie, które potrafi wpompować gaz w ten sposób, w jaki kominy wypuszczały z siebie dym mogłoby...

Zaraz! Dziwna znajomość tego łopoczącego szkarłatnego płaszcza powróciła do jego świadomości. Nagle przypomniał sobie, gdzie już go widział. Przypomniał sobie znieawidzonego człowieka, który nosił coś bardzo podobnego. Ale z pewnością... niemożliwe, by on był tutaj.

Thanquol prędko obrócił peryskop na składanej podpórce. Usłyszał jęk bólu skaweńskiego niewolnika, do którego pleców była przyczepiona, ale cóż to go obchodziło? Ból niewolnika oznaczał dla niego mniej niż futro, które zrzucał każdego ranka.

Gwałtownym ruchem łap ustawił ostrość soczewek i skupił je na źródle swojego niepokoju. Wstrząśnięty, przez chwilę zwalczał niemal niepowstrzymane pragnienie wypuszczenia piźma strachu. Opanował się tylko dzięki świadomości, że bezwłosa mała nie może go w żaden sposób dostrzec.

Thanquol schylił się i schował swój rogaty łeb, pomimo iż jego potężna inteligencja mówiła mu, że i tak jest niewidoczny. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy dwaj pomagierzy, Lurk i Grotz, zauważyli jego niepokój. Ich puste oblicza spoglądały na niego bezmyślnie i upewnił się, że nie stracił twarzy przed swoimi podwładnymi. Zażył szczyptę proszku ze spaczenia dla uspokojenia roztrzęsionych nerwów, po czym ofiarował coś, co mogło być modlitwą do Rogatego Szczura, a równie dobrze można było uznać za przekleństwo.

Nie mógł w to uwierzyć. Po prostu nie mógł w to uwierzyć! To było oczywiste, jak nos na końcu jego pyska, że widział przez peryskop tego człowieka, Felixa Jaegera. Nachylił się i rzucił okiem ponownie, dla pewności. Nie – nie było mowy o pomyłce. Stał tam, to jasne jak słońce. Felix Jaeger, znieawidzony człowiek, który uczynił tak wiele dla powstrzymania wielkich planów Thanquola, i któremu ledwie kilka miesięcy temu niemal udało się, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, poniżyć go przed Radą Trzynastu!

Usprawiedliwiona nienawiść walczyła z racjonalnym instynktem przetrwania, który dominował w duszy Thanquola. W pierwszej chwili pomyślał, że Jaegerowi udało się w jakiś sposób go przejrzeć i przybył aż tutaj, aby ponownie pokrzyżować jego chwalebne plany. Zimne światło logiki mówiło mu, że to nie może być prawdą. Nie może nią być nic równie prostego. Jaeger w żaden sposób nie mógł dowiedzieć się, jak go znaleźć. Nawet, gdyby władcy Thanquola w Radzie Trzynastu znali jego obecne położenie. Okrył swoje odejście ze Skavenblight nimbem największej tajemnicy.

A potem uderzyła Thanquola przerażająca myśl. Może jeden z jego licznych wrogów, tam daleko, w Mieście Rogatego Szczura, znalazł go jakimś tajemnym sposobem i przekazywał informacje człowiekowi. To nie byłby pierwszy raz, gdy nikczemni szczuroludzie zdradzili prawego skavena dla własnej korzyści lub z zemsty na tych, którym zazdrościli.

Im dłużej o tym myślał Thanquol, tym bardziej prawdopodobne wydawało mu się to wyjaśnienie. Wściekłość wrzała w jego żyłach razem ze sproszkowanym spaczeniem. Odnajdzie tego zdrajcę i zmiążdży go niczym zdradziecką glistę, którą jest! Już teraz mógł pomyśleć o pół tuzinie nieprzyjaciół zasługujących na jego nieuniknioną zemstę.

A potem następna myśl szarego proroka niemal sprawiła, że wypuścił piżmo strachu pomimo wszelkich prób zachowania nad sobą kontroli. Jeśli obecny był Jaeger, oznaczało to, że ten drugi jest najprawdopodobniej także tutaj. Tak, to mogło znaczyć, że jedyna istota na planecie, której Thanquol nienawidził i obawiał się bardziej niż Felixa Jaegera również tu przybyła. Nie wątpił w to, ani nie uważał tego za pomyłkę, gdy patrząc ponownie przez peryskop zobaczył Zabójcę Trolli, Gotreka Gurnissona.

Wszystko, co mógł zrobić to zdusić głośny jęk wściekłości i przerażenia, który chciał wyrwać się z jego pyska. Wiedział, że będzie musiał o tym pomyśleć.

Krzątanina stała się jeszcze bardziej wyraźna dla Felixa, gdy wóz zjechał w dół doliny. Wszędzie wokół nich przemieszczały się zorganizowane krasnoludy. Skórzane fartuchy chroniły ich krzepkie klatki piersiowe. Pot spływał po zakopconych twarzach. Tuziny dziwnie wyglądających narzędzi – które przypominały Felixowi instrumenty do zadawania tortur – wisiały na pętlach pasków. Niektórzy z krasnoludów ubrani byli w dziwne pancerze; inni jechali w małych wagonikach parowych z rozwidlonymi zębami z przodu. Te maszyny unosiły ciężkie skrzynie i ładunki przewożone wzdłuż żelaznych torów między warsztatami i centralną metalową konstrukcją.

Wszędzie wokół fabryki widoczne były grupy domów niewielkiego miasteczka, gdzie najwyraźniej mieszkali krasnoludy. Budynki były drewniane i kamienne, ze spadzistymi dachami z falistego metalu. Zdawały się być puste. Wszyscy mieszkańcy pracowali.

Felix spojrzał na Gotreka.

– Co tu się dzieje?

Nastąpiła długa cisza, jakby Gotrek rozmyślał, czy odpowiedzieć. Wreszcie odezwał się wolnym, podniosłym głosem.

– Człeczyno, spoglądasz na coś, czego nigdy nie spodziewałem się zobaczyć. Być może tylko ty jeden z twojego ludu to zobaczysz. Przypomina mi to wielkie stocznie w Barak Varr, ale... Użyto tu tak wielu zakazanych sekretów Gildii, że nie jestem w stanie ich zliczyć.

– Powiadasz, że to wszystko jest zakazane?

– Krasnoludy to bardzo konserwatywny lud. Nie zabiegamy zbyt o nowe pomysły – powiedział nagle Varek. – Nasi inżynierowie są bardziej konserwatywni niż reszta. Jeśli spróbujesz czegoś i to zawiedzie, jak to się stało w przypadku biednego Makaissona, wówczas zostaniesz ośmieszony, a krasnoluda nie może spotkać nic gorszego. Niewielu chce choćby ryzykować. Oczywiście, ponieważ pewne rzeczy zostały przetestowane, a próby zakończyły się porażką tak... spektakularną... ich użycie zostało zakazane przez gildię. Są rzeczy, które znamy teoretycznie od stuleci, ale tylko tutaj ośmielono się zastosować je w praktyce. Wiem, że to, co mój wuj pragnie osiągnąć jest tak ważne, że wielu utalentowanych młodych krasnoludów gotowych było podjąć ryzyko pracy w tajemnicy nad naszym wielkim projektem. Uważają, że warto spróbować.

– A koszty – powiedział Gotrek ze zdumieniem w głosie. – Ktoś wydał tu niezły grosz, to pewne.

– Cóż, to szczerą prawdą – odparł Varek czerwiąc się wokół brody z powodu, którego Felix nie rozumiał.

Gotrek rozejrzył się wokół krytycznym okiem.

– Niezbyt dobrze ufortyfikowane, co?

Varek wzruszył przepraszająco ramionami.

– Wszystko budowano tak szybko. Nie mieliśmy czasu. Jesteśmy tutaj dopiero od nieco ponad roku. Zresztą, któż mógłby pomyśleć o atakowaniu tak odludnego miejsca, jak to?

Szary Prorok Thanquol popędził z boczem ku miejscu, gdzie jego armia czekała w gęstniejącym mroku. Szponowładz i Grotz i Snichtongue stali już przygotowani na czele swoich oddziałów. Obaj spoglądali na niego z wyrazem pełnej uległości, której spodziewał się od swoich pomagierów. Amulety komunikacyjne, które wbił w ich czoła lśniły ogniem zamkniętego wewnątrz spaczenia.

Popatrzył na gotujące się morze ocienionych, szurzących twarzy. Każda pełna była determinacji, by zginąć lub zwyciężyć. Czuł, jak jego ogon sztywnieje z dumy, gdy spoglądał na tę potężną horde popiskujących wojowników. Dostrzegał odzianych w czarne pancerze sztormverminów górujących nad pomniejszymi wojownikami klan braci. Widział noszących maski, ciężko opancerzonych wojowników z oddziałów miotaczy spaczo-ognia oraz jego własnego wielkiego ochroniarza, Kościorwija, drugiego szczuro-ogra, który nosił to imię.

To nie był największy oddział, jakim dowodził. Po prawdzie, był to tylko ułamek sił, które prowadził podczas ataku na ludzkie miasto Nuln. Nie było tu mnichów zarazy, ani żadnych potężnych machin bojowych, z których jego rasa była dumna. Chciałby mieć koło zagłady, albo krzyżący dzwon lecz nie było czasu, by sprowadzić je przez tunele i postrzępione wzgórza, aż do tego odległego miejsca. A jednak był pewien, że stojące przed nim setki doborowych wojowników wystarczą dla jego celów. Szczególnie podczas ataku w nocy z wykorzystaniem zaskoczenia.

A jednak... Spazm wątpliwości wstrząsnął nim i zjeżył futro. Krasnolud i Jaeger byli obecni na dole, a to był zły znak. Ich obecność nigdy nie wróżyła dobrze planom Thanquola. Czyż nie udało im się powstrzymać inwazji na Nuln i w niezrozumiały dotąd sposób zniszczyć całą armię skavenów? Czyż nie zmusili samego szarego proroka do pośpiesznego, choć rozważnego odwrotu taktycznego przez kanały, podczas gdy ulice nad nimi spływały czernią krwi skavenów?

Thanquol wysypał na wierzch łapy nieco więcej proszku ze spaczenia z woreczka z człowieczej skóry, który zawsze nosił ze sobą. Nachylił pysk i wciągnął proszek do nosa czując gniew i pewność siebie powracające do mózgu. Wizje śmierci, okaleczenia i inne cudowne obrazy opanowały jego podniecony umysł. Teraz był pewien, że zwycięstwo będzie należeć do niego. Czyż cokolwiek mogło oprzeć się jego potędze? Nic nie stanie na drodze najwyższego skavenkiego czarodziejstwa, jakim władał!

Skryci wrogowie w Skavenblight odważyli się wysłać tu Jaegera i Gurnissona. Postanowili zadać Thanquolowi śmiertelny cios wykorzystując jego największych przeciwników! Cóż, pokaże im, że to co uważali za spryt było tylko zupełną głupotą! Wszystko, czego udało im się dokonać, to umieszczenie w zasięgu jego potężnej łapy dwóch głupców, których tak bardzo chciał poniżyć. Zapewnili mu możliwość dokonania najstraszniejszej zemsty na dwóch najbardziej znieawdzonych wrogach, gdy tymczasem on okryje się chwałą przejmując maszynę, którą zbudowały tu krasnoludy!

Gdy nikczemny proszek kipiał niczym stopiony Chaos w jego żyłach, pomyślał, że to będzie z pewnością największy triumf, jego najwspanialsza godzina! Albowiem przez tysiąclecie skaveni będą mówili stłumionym szeptem o sprycie Szarego Proroka Thanquola, o jego bezwzględności i

niesamowitej inteligencji. Niemal czuł smak zwycięstwa.

Wzniósł dłoń i dał sygnał domagający się ciszy. Cała horda natychmiast przestała szemrać. Setki czerwonych ślepi patrzyły na niego wyczekująco. Wąsy drżały w oczekiwaniu na jego słowa.

– Teraz zmiażdżymy-zgnieciemy krasnoludy jak żuki-robale! – krzyknął swoim najbardziej przejmującym, oratorskim głosem. – Runiemy na dolinę z obu stron i nic nas nie powstrzyma. Naprzód, śmiali skaveni, ku pewnemu zwycięstwu!

Pisk hordy stawał się coraz głośniejszy, aż wypełnił jego uszy. Wiedział, że dziś zwycięstwo z pewnością będzie jego.

Felix drżał. Przeczucie wypełniło mu umysł. Instynktownie przerzucił płaszcz przez prawe ramię, aby odsłonić miecz. Jego ręka dotykała rękojeści miecza i miał ochotę wyciągnąć go w gotowości do walki.

Zamek widniał wysoko nad nimi i z odległości dostrzegał, że nie był tak niepokonany, na jaki wyglądał z oddali. Ściany były popękane i osłabione. W niektórych miejscach kamień całkowicie odpadł. Pomimo tego, co utrzymywał Varek, robota krasnoludów w żaden sposób nie zwiększała walorów obronnych. Chociaż Felix nie był ekspertem, zauważył, że Gotrek miał rację, co do kiepskiego stanu fortyfikacji tego miejsca. Gdyby zostali zaatakowani, cała dolina zamieniłaby się w jedną wielką śmiertelną pułapkę.

Byli już prawie pod zamkiem. Droga prowadziła do stóp klifu, na szczycie którego stała warownia. Mimo gęstniejącego mroku, Felix dostrzegał starego krasnoluda z niezwykle długą brodą, który pojawił się na balkonie wieżyczki nad kratą bramy wejściowej. Starzec pomachał. Felix miał zamiar pomachać w odpowiedzi, ale zdał sobie sprawę, że krasnolud pozdrawia Gotreka. Zabójca spojrzał w górę, wydał ponure mruknięcie i uniósł w geście powitania pięść wielką jak polec szynki.

– Gotreku Gurnissonie – krzyknął stary krasnolud. – Nigdy nie sądziłem, że cię kiedyś zobaczę!

– Ani ja – mruknął Gotrek.

W jego głosie dało się słyszeć jakby wstyd.

Lurk Snichtongue czuł, jak jego serce bije szybciej z dumy, podniecenia i usprawiedliwionej ostrożności. Szary Prorok Thanquol wybrał go, by prowadził atak, podczas gdy skaveński mag obserwował pole bitwy ze zbocza na tyłach. To był najbardziej dumny moment w życiu Lurka i odczuwał emocje, które można byłoby nazwać wdzięcznością dla Thanquola, gdyby wdzięczność nie była uczuciem słabym, głupim i nieskaveńskim. Nie był tak szczęśliwy od czasu, gdy uniknął zarazy, która zagrażała jego życiu w Nuln. Zdawało się, że jego udział w klęsce w wielkim legowisku ludzkim został zapomniany. Jeszcze raz stał się ulubionym emisariuszem Szarego Proroka Thanquola. Oczywiście, jeśli Szary Prorok Thanquol dowie się kiedykolwiek o tym, jak Lurk konspirował z jego wrogami podczas fiaska w Nuln...

Lurk odsunął od siebie tę myśl. Wiedział, że jeśli ten atak się powiedzie, zostanie dobrze wynagrodzony samicami, tokenami spaczenia i promocjami w szeregach swego klanu.

Co więcej, zyska wiele prestiżu, co dla skavena takiego jak on było cenniejsze niż inne rzeczy. Bliźni, którzy sztychli z niego, kpili i ośmieszali za jego plecami zostaną uciszeni. Dowiedzą się, że Lurk powiodł tę potężną hordę ku zwycięstwu nad krasnoludami.

Po jego umyśle zaczęła krążyć myśl, że możliwe jest nawet wyeliminowanie Thanquola i zagarnięcie dla siebie chwały tej operacji. Natychmiast odrzucił tę absurdalną ideę, obawiając się, że mag nawet teraz może odczytywać jego myśli poprzez amulet na czole, a jednak natrętna wizja nie ustępowała, powracając do jego świadomości pomimo wszelkich prób jej stłumienia.

Rozejrzał się wokół poszukując czegoś dla odwrócenia uwagi i czuł, jak jego serce łomocze z niepokoju. Dotarli na szczyt wzgórza, ale nadal nie zostali wykryci. Wkrótce nadejdzie moment prawdy. Gdy przekroczą wzgórze, staną się widoczni dla krasnoludów, o ile ich pochod nie zostanie ukryty przez noc i dym. Podniósł dłoń nakazując ciszę. Wszędzie wokół sztormvermini podążali naprzód w ciszy, za wyjątkiem rozlegającego się czasami uderzenia pochwy miecza o pancerz. Z pewnością nie zostanie to pochwycone przez ich głupawych przeciwników.

To nie dźwięki wydawane przez sztormverminów niepokoiły Lurka. To było szemranie tych głupich klan braci i skaveńskich niewolników! Brakowało im wojskowej dyscypliny i długich godzin ćwiczeń, dlatego teraz wzniewali sporo hałasu. Niektórzy z nich nawet popiskiwali między sobą starając się utrzymać swoje morale w tradycyjny skaveński sposób – przechwalając się między sobą, jakież to męki zadadzą swoim jeńcom.

Chociaż Lurk rozumiał ich uczucia, poprzysiął, że po osiągnięciu pewnego zwycięstwa rozkaże zaszyć pyski tym gadułom. Ponieważ z tej odległości nie mógł dostrzec, kto rozmawia, postanowił, że po prostu losowo wybierze kilku klanbraci i da przykład pozostałym.

Wiedział, że w tej chwili Szponowład Grotz powinien znajdować się na pozycji po, drugiej stronie doliny. Z typową precyzją skavenów znajdują się na miejscu gotowi, by runąć z obu stron kotliny, atakując zaskoczone karły nieprzerwaną futrzastą falą skaveńskiej potęgi!

Rozejrzał się wokół i ofiarował cichą modlitwę w nadziei, że wojownicy zapamiętali jego ostatnie gorączkowe polecenia – nie palić budynków, nie zabierać łupów. Szary Prorok Thanquol chciał, by wszystko pozostało na miejscu nietknięte, aby mógł to sprzedać inżynierom spaczenia. Zamarł na chwilę, niepewny, czy wydać rozkaz do ataku. A potem pomyślał, że Grotz może już zalewać dolinę wojskiem i zagarniać całą chwałę. To sprawiło, że wziął się w garść i odrzucił resztki niepokoju. Wdrapał się na zbocze i spojrzał w dół doliny, porwany przez uspokajający zapach masy skavenów wokół niego.

Pod nim rozciągała się krasnoludzka osada. W nocy stanowiła jeszcze bardziej niesamowity widok niż za dnia. Płomienie z kuźni i ognie wypalarek oświetlały całą okolicę osobliwym lśnieniem, które przypominało nieco wielkie miasto Skavenblight. Wielkie, ciemne budynki majaczyły w mroku.

Lurk miał nadzieję, że na dole nie czekają żadne nieprzyjemne niespodzianki, a potem zdał sobie sprawę, że to było niemożliwe. Czyż wielki Szary Prorok Thanquol sam nie zaplanował tego ataku?

Volgar Volgarsson wyrzwał w zbierającą się ciemność i szarpnął nerwowo za brodę. Stawał się strasznie głodny i myślał o ale i gulaszu, które czekają na niego w Wielkiej Sali sprawiła, że ślina napłynęła do ust. Poklepał się po brzuchu upewniając się, że nadal jest na swoim miejscu. W końcu nie przełknął ani kęsa od ponad czterech godzin. Oczywiście, nie licząc tej pajdy chleba i kawałka sera, ale to się właściwie się nie liczyło. To było nic według standardów Volgara.

Na Grungniego, miał nadzieję, że Morkin pośpieszy się i zwolni go. Na tym posterunku wartowniczym robiło się zimno i niewygodnie, a Volgar był krasnoludem, który cenił sobie komfort. Oczywiście, dumny był, że stanowił część wielkiej pracy, która się tu odbywała, ale były pewne granice. Wiedział, że nie był dość bystry, by stać się inżynierem i zbyt niezdarny do pomocy w manufakturze, a zatem robił to, co mógł, pracując jako wartownik i strażnik, spędzając długie samotne godziny bez kęsa jedzenia w tym chłodnym, wilgotnym miejscu, wypatrując wszystkiego, co mogło wkraść się do doliny.

Wiedział, że jego stanowisko było dobre. Bunkier wartowniczy został osadzony w ziemi i miał szczelinę obserwacyjną wyglądającą na jedną stronę doliny. Po drugiej stronie znajdowały się

podobne posterunki i kilka wypatrujących na drogę. Musiał tylko mieć oczy otwarte na kłopoty, a jeśli zobaczy coś niepokojącego – zadać w róg. Naprawdę proste.

Była to w pewien sposób dobra posada. Jakież problemy mogły się objawić w tym zapomnianym przez bogów miejscu? Od czasu, gdy wykopali stąd skavenów nie napotkali najmniejszych kłopotów. To dopiero była walka, powiedział do siebie Volgar, pociągając solidnie z flaszki, którą trzymał przy biodrze. Oczywiście, tylko po to, aby odpędzić chłód. Wyrównali tu rachunki za kilka zatargów ze szczuroludźmi. Zabito ponad setkę małych futrzastych żebraków, a krasnoludy ledwo odniosły zadrapania. Beknął głośno, by wyrazić swoje uznanie.

Było tak cicho, że Volgarowi udało się nawet uciąć krótką drzemkę tego popołudnia. Był pewien, że niczego nie przegapił. To była dobra strona utrzymywania tak samotnego posterunku. Nie było innych kłopotliwych wartowników, którzy nie dawali usnąć swoim gaworzeniem o ale i zatargach, które wyrównają po powrocie do Karaz-a-Karak. Volgar lubił takie pogawędki tak bardzo, jak pozostałe krasnoludy, ale jeszcze bardziej cenił sobie drzemkę. Nic nie jest lepsze niż dobra drzemka zaraz po lunchu. To pozwalało mu dobrze przygotować się na resztę dnia.

A teraz, cóż, jego krasnoludzkie oczy dobrze widziały w nocy, a krasnoludzkie uszy przystosowane do wysłuchiwania ostrzegawczych dźwięków rozlegających się w głębiach pod ziemią, były doskonale przygotowane, by zaalarmować go w przypadku dowolnego kłopotu. Jeśli wydarzyłoby się coś niezwykłego – tak, jak to ciche szuranie – albo nawet coś, co brzmiało jak brzęknięcie broni o broń – tak, jak ten odgłos, który właśnie podchwycił – natychmiast je zauważy i będzie gotowy do działania.

Volgar potrząsnął głową. Czy się przesłyszał? Nie, to nastąpiło znowu i to także było cichym wysokim popiskiwaniami. Brzmiało jak skaveni. Potarł oczy, by zetrzeć z nich pozostałości snu i wyjrzał przez szczelinę obserwacyjną w ciemność. Jego oczy nie myliły go. Fala ciemnych szczurowatych postaci zalewała wzgórze wokół niego. Ich paciorkowate czerwone ślepie lśniły w ciemnościach.

Jego dłoń trzęsła się, gdy podnosił róg ostrzegawczy. Wiedział, że jeśli będzie cicho, skaveni zapewne go ominą. Najwyraźniej nie zauważyli jego ukrytego posterunku. Jeśli jednak da sygnał, wówczas zginie. Wyda swoją pozycję otaczającej go hordzie i zaroją się wokół niego niczym muchy na padlinie. Drzwi za nim były mocne i zablokowane, ale nie wytrzymają przez wieczność, poza tym istniał gaz trujący i miotacz ognia oraz inna dziwna skaveńska broń, o której słyszał. Jedna kula z gazem trującym wrzucona przez szczelinę obserwacyjną i koniec ze starym Volgarem.

Z drugiej strony, jeśli nie da sygnału, jego towarzysze zostaną osaczeni przez szczuroludzi i najprawdopodobniej zginą na miejscu. Wielka praca, w którą byli zaangażowani upadnie i to będzie jego wina. Jeśli przeżyje, będzie musiał żyć ze wstydem, który sprowadzi nie tylko na siebie, ale także na swoich przodków.

Volgar był krasnoludem i pomimo wszystkich swoich wad miał krasnoludzką dumę. Pociągnął solidnie po raz ostatni z flaszki, zmarnował jeszcze sekundę na ostatnią żalną myśl o obiedzie, którego nigdy nie zje, nabrał powietrza, przywarł ustami do rogu i zadał.

Samotny zew rogu wypełnił dolinę. Wydawał się dochodzić spod samej ziemi. Felix rozejrzał się wokół dzikim wzrokiem.

– Co to było? – spytał.

– Kłopoty – odpowiedział radośnie Gotrek wskazując na wielką hordę skavenów przewalających się ponad grzbietem wzgórze i pędzących w dół kotliny.

Atak skavenów

Felix przyglądał się z wielkim przerażeniem na ciemną falę skavenów spływającą w dół wzgórza w jego kierunku. Nie był pewien, ilu ich było, ale wyglądało na to, że są ich setki, może tysiące – trudno to było stwierdzić w ciemnościach. Obrócił się, aby zbadać, co wywołało wielki hałas za nim. Zobaczył jeszcze więcej skavenów wdzierających się do doliny z drugiej strony. Szczęki wielkiej pułapki zamykały się.

Felix zwalczył atak paniki. Bez względu na to, ile razy znajdował się w podobnej sytuacji – a było ich wiele – nigdy nie przychodziło mu to z łatwością. Czuł mdłości na dnie żołądka, napięcie mięśni i dziwną lekkość umysłu. Jego usta były zaschłe, a serce głośno łomotało w uszach. Pragnął chociaż raz stanąć spokojny i rozluźniony wobec niebezpieczeństwa lub pełen dzikiej wściekłości berserkerów, jak to zdarzało się bohaterom w książkach. Jak zawsze, nic takiego się nie wydarzyło.

Wszędzie wokół niego krasnoludy odkładały narzędzia i chwytaly za broń. Wyły rogi, każdy o innym tonie, a ich długie zawodzenia brzmiały jak dusze jęczące z udręki, dodając swój hałas do ogólnej kakofonii. Felix odwrócił się ponownie i chciał rzucić się w stronę wejścia do zamku, gdy zauważył, że nikt inny tego nie robi. Wokół niego krasnoludy pędziły w mrok w kierunku wroga.

Czy oni wszyscy są szaleni, pomyślał Felix? Czemu nie szukają osłony w zamku? Chociaż mury nie wydawały się zbyt solidne, bez wątpienia jednak gwarantowały większe szanse na przetrwanie za nimi. Niemal na pewno bezpieczniej będzie wewnątrz twierdzy, ale te szalone krasnoludy nie zwracały na to uwagi.

Zamarł na chwilę przejęty ciekawością i zrozumieniem. Uderzyła go myśl, że być może istniał sensowny powód, dla którego krasnoludy nie biegną ku twierdzy... i może odkrycie tego powodu nie będzie złym pomysłem.

Powoli do zdjętego paniką umysłu Felixa dotarło, że krasnoludy nie zamierzają oddać swych maszyn w ręce skavenów. Gotowi byli walczyć, a jeśli trzeba – zginąć – w obronie tych monstrualnych mechanizmów ziejących dymem. Okazywały determinację, która była zarówno imponująca, co niesamowicie głupia. Felix nie mógł się zdecydować, co z tego było prawdą.

Gdy nadal walczył z myślami, tuż za nim rozległo się złowieszcze szczęknięcie, po którym nastąpiło brzęknięcie metalu na kamieniu. Obrócił się w samą porę, by zauważyć zatraskujące się wrota twierdzy. Słyszał dochodzące z wewnątrz zgrzytanie kół zębatach i gwizd kotła silnika parowego, a potem potężne łańcuchy, które utrzymywały na miejscu most zwodzony naprężyły się i zaczęły podnosić drewnianą konstrukcję. Nagle, między nim, a zamkiem pojawił się głęboki rów. Wreszcie ktoś w środku okazał nieco rozwagi, pomyślał Felix, pomimo faktu, że został uwięziony na zewnątrz i skazany na szaloną walkę.

Z zamku powyżej rozległo się ryknięcie przypominające grzmot. Wielki kłęb dymu buchnął nad jego głową i powietrze wypełnił gryzący smród spalonego prochu strzelniczego. Felix zrozumiał, że ktoś powyżej miał dość rozsądku, by odpalić z działa. Nastąpił gwizd, a potem wybuch rozdarł ciemności. Tuzin nacierających skavenów wyleciał w powietrze. Kończyny pofrunęły w jedną stronę, korpusy w przeciwną. Krasnoludy wydały z siebie głośny okrzyk radości. Skaveni odpowiedzieli czymś, co brzmiało jak długi syk nienawiści.

Wokół niego krasnoludy pędziły na stanowiska bojowe. Głębokie głosy wyrzaskiwały szorstkie, gardłowe słowa w starożytnym języku krasnoludów. Felix czuł się zagubiony i samotny wśród wiru wścieklej, a jednak w jakiś sposób uporządkowanej aktywności. Widział, że wśród

szalonego tumultu krzyków i biegnących krasnoludów zaczyna się wyłaniać jakiś ład. Inżynierowie i wojownicy zajmowali miejsca w szeregu obok swoich braci. Felix czuł, że tylko on nie ma żadnego pojęcia, gdzie powinien się udać.

Felix zauważył nagle, że wszyscy pędzili w stronę rogów, a te wydawały z siebie dźwięki o różnych tonach. Były jak dzwonki u krów, które widział kilka dni wcześniej. Pozwalały rozpoznać grającego, stanowiły punkt, do którego zmierzali pobratymcy, jądro, wokół którego mogła uformować się twarda, opancerzona skorupa.

Felix dostrzegł teraz, że była to taktyka, którą krasnoludy trenowały tak długo, aż doprowadziły ją do perfekcji. Podczas gdy kilka chwil temu byli masą dezorganizowanych dusz wręcz proszących się, by je zmasakrować, teraz stanowili zdyscyplinowane szeregi krasnoludzkich wojowników, pędzących na spotkanie z wrogami, maszerujących z dyscypliną, która mogła zawstydzić imperialnych pikinierów. Może dowódca wie, co robi, pomyślał Felix. Może to nie będzie krwawa rzeź, której obawiał się kilka chwil temu.

Nie był pewien, czy to jednak wystarczy, biorąc pod uwagę rozmiary armii skavenów przedzierających się przez wzgórze, nabierających zastraszającej prędkości i niemal niepowstrzymanego impetu natarcia. Kotłująca się futrzasta horda była już tak blisko, że rozróżniał poszczególnych skavenów, dostrzegając ich spienione usta i szalony fanatyzm w ślepiach. Niektórzy z nich byli więksi, bardziej muskularni i lepiej uzbrojeni niż pozostali. Felix walczył już z takimi bestiami i wiedział, że z nimi pójdzie najtrudniej. Szukał wzrokiem tych topornych, niezgrabnych, a jednak jakże śmiertelnych broni, tak ulubionych przez skavenów, ale na szczęście nigdzie jej nie zauważał.

Nagle Felix poczuł się bardzo samotny. Nie stanowił części tych pośpiesznie uformowanych oddziałów krasnoludzkich. Obok niego nie było nikogo, kto pilnowałby jego pleców. Może w ciemności krasnoludy uznają go za wroga. Znajdował dla siebie tylko jedno miejsce. Rozejrzał się wokół szukając Gotreka, ale ten, opanowany żądzą walki popędził razem ze Snorrim, aby zbliżyć się do przeciwników.

Felix splunął i zaklął, po czym wdrapał się pośpiesznie na wóz, aby przyrzeć się lepiej otoczeniu. Zauważył siedzącego tam Vareka, gapiącego się z zainteresowaniem w ciemność. Od czasu do czasu odkładał na siedzenie bombę trzymaną w dłoni zapisując coś w księdze za pomocą dziwnego mechanicznego pióra. Jego oczy lśniły gorączkowo za okularami.

– Czyż to nie jest ekscytujące, Felixie? – spytał. – Prawdziwa bitwa! To pierwsza, w której biorę udział.

– Módl się, by nie była twoją ostatnią... – mruknął Felix, wykonując próbne wymachy mieczem, starając się rozluźnić napięte mięśnie, zanim horda uderzy na linie krasnoludów. Rzucił szybko okiem wokół siebie licząc na to, że dostrzeże Gotreka.

Zabójcy nie było nigdzie widać.

Szary Prorok Thanquol siedząc na swoim stanowisku na wzgórzu wysoko ponad polem bitwy spoglądał na kamień wróżebny. Leżał przed nim ciemny i uśpiony. W jego głębi pojawiło się chyba drobne mignięcie spaczo-ognia, dostrzegalne tylko dla oczu tak czułych i wszechwidzących, jak oczy Thanquola.

Istotnie, niewyrobite zmysły skavena dostrzegłyby tylko duży kawał kolorowego szkła o wielu płaszczyznach pokrytych Trzynastoma Najświętszymi Symbolami. Thanquol wiedział dość o rasie ludzkiej, by być pewnym, że dla człowieka ten przedmiot wyglądałby na krzykliwą błyskotkę używaną przez wędrownego zaklinacza. Był także na tyle mądry, by zdawać sobie sprawę, jak łatwo

można oszukać ludzkie oko. Był to bowiem niezwykle potężny artefakt.

Przynajmniej, taką miał nadzieję. Surowy kryształ księżycowy kosztował Thanquola wiele tokenów spaczenia. Wyrycie tych runów, podczas kolejnych bezksiężycowych nocy zabrało Thanquolowi wiele snu. Wplecenie silnych zaklęć do kryształu opłacił krwią i bólem, częściowo samego szarego proroka.

Nadszedł wreszcie czas, by dowiedzieć się, czy to wszystko było tego warte. Najwyższy czas, pomyślał Thanquol, aby zacząć używać jego nowej zabawki. Prędko wyrysował runy na ubitej ziemi wokół siebie, z łatwością pisząc Trzynaście Świętych Znaków Rogatego Szczura. Następnie włożył kciuk do pyska i ugryzł go mocno. Ostre zęby rozcięły skórę do krwi, chociaż ledwo to poczuł przez mgłę zażytego proszku ze spaczenia. Jego mózg wypełniały wrzące energie magiczne.

Czarna krew kapiała z rany. Uniósł kciuk nad pierwszym runem. Kropla spadła na środek symbolu, po czym Thanquol wypowiedział słowo mocy, tajemne imię Rogatego Szczura. Natychmiast płyn zniknął w kłębie gryzącego dymu przybierającego kształt małej czaszki w chmurze, która uniosła się nad runem. Symbol zaśnił życiem, rozbłyły linie zielonego ognia, które podświetliły znak, po czym zbladły do mniej intensywnego, choć dostrzegalnego blasku.

Thanquol szybko i z wprawą powtórzył tę procedurę z każdym runem, a po ukończeniu pracy ostrożnie strząsnął trzy ostatnie krople swej cennej krwi na sam kamień wróżebny. Natychmiast zamigotał zamglony obraz. Thanquol dostrzegł scenę chaosu i nadciągającej rzezi w dolinie poniżej, jakby spoglądał na nią z dużej wysokości, a potem obraz zamigotał i kamień wypełnił obłok zakłóceń. Thanquol stuknął z irytacją w bok kryształu, a obraz oczyścił się i uspokoił. Widok bitwy powrócił równie wyraźny, jak za dnia. No cóż, prawie – na obrazie pozostało nieznaczne zielonkawe zabarwienie, które nie chciało zniknąć, bez względu na to, ile delikatnych puknięć i szarpnięć wykonał Thanquol w celu wyregulowania przedmiotu.

Nieważne! Thanquol czuł się niczym mistrz jakiejś wielkiej i tajemnej gry. Wszyscy ci skaveni poniżej byli teraz tylko pionkami pod jego kontrolą. Pionkami, które będzie poruszał swoją potężną łapą. Żetonami, które umieści na planszy i będzie nimi kierował za pomocą swojej tytanicznej inteligencji. Zażył kolejną szczyptę pyłu ze spaczenia i niemal zawył z radości. Czuł, że jego moc jest nieskończona. Nic nie mogło się równać z tym wrażeniem posiadania pełnej kontroli i bycia mistrzem. Co najważniejsze, mógł wydawać rozkazy będąc daleko poza zasięgiem wzroku przeciwników z dala od bezpośredniego niebezpieczeństwa. Oczywiście nie lękał się niebezpieczeństw. Po prostu rozsądne było unikanie niepotrzebnego ryzyka. To było jak spełnione marzenie każdego szarego proroka!

Thanquol pozwolił sobie na pławienie się w triumfie przez chwilę, a potem zwrócił swoją uwagę na bitwę, starając się stwierdzić, w jaki konkretnie spektakularny sposób osiągnie zwycięstwo i nieśmiertelną chwałę wśród ludu skavenów.

Felix stanął z tyłu wozu i szerzej rozstawił nogi starając się utrzymać równowagę. Pojazd kołysał się lekko na swoim zawieszeniu i Felix zastanawiał się, czy mądrze było tu pozostawać. Z jednej strony, oparcie dla nóg było niepewne i będąc wyprostowanym na wozie stanowił widoczny cel. Z drugiej strony, tutaj przynajmniej znajdował się na pewnym podwyższeniu dającym mu przewagę wysokości i był częściowo osłonięty przez ściany pojazdu. Postanowił pozostać przez chwilę w tym miejscu i zeskoczyć na ziemię, gdy tylko zauważy, że do niego strzelają. To była logiczna decyzja. Poza tym, wyglądało na to, że ktoś musi zostać i mieć oko na Vareka.

Nieobyty młody krasnolud zapisywał wszystko w swojej księdze. Felix był zdumiony, że udaje mu się pisać w takich ciemnościach. Dzięki długiej znajomości z Gotrekiem wiedział, że krasnoludy

widzą w ciemnościach lepiej niż ludzie, a to był oszałamiający dowód tego faktu. W migoczącym świetle kuźni wzrok Felixa wyławiał tylko niewyraźne kontury obiektów, ale młody krasnolud pisał sobie w najlepsze jak przy blasku świecy. Był to także niezwykle pokazy koncentracji. Szczerze mówiąc, Felix byłby szczęśliwszy, gdyby Varek zwracał więcej uwagi na muły. Zwierzęta okazywały wyraźne oznaki niepokoju, gdy skaveni zbliżali się coraz bardziej.

Felix zerknął na nie nerwowo, zastanawiając się, czy któryś z tych nikczemnych skaveńskich skrytobójców z zatrutymi ostrzami nie czai się w pobliżu. Niepodobne było do szczuroludzi przypuszczenie frontального ataku bez rozpuszczenia tych wrednych, skradających się niespodzianek. Jego gorzkie doświadczenie mówiło mu, do czego są zdolni. Delikatnie trącił Vareka czubkiem buta.

– Lepiej zwróć uwagę na muły – rzekł. – Wyglądają na zaniepokojone.

Varek skinął uprzejmie głową, włożył pióro do pojemnych kieszeni, zatrzasnął księgę i podniósł bombę.

To wcale nie uspokoiło Felixa.

Thanquol spojrział w głąb kamienia wrózebnego z dziką koncentracją. Położył łapy na obu bokach przedmiotu i wypiszczwał szalone inkwizycje, starając się utrzymać kontrolę nad obrazem. To nie było tak łatwe, jak się tego spodziewał.

Podniósł prawy pazur i widok przesunął się w prawą stronę. Zaciśnął łapę w pięść i pchnął ją naprzód, a obraz uniósł się pokazując panoramiczny widok bitwy. Widział skavenów biegnących susami w dół wzgórza wprost na prędko zbierające się krasnoludy. Widział wielkie futrzaste oddziały sztormverminów kierujące się dokładnie w stronę centrum gromadzących się zastępów przeciwników. Widział boczne oddziały klanbraci i skaveńskich niewolników biegnących z nieco mniejszym entuzjazmem po obu stronach natarcia. Dostrzegł swojego ochroniarza, Kościorwija, biegnącego obok Lurka Snichtongue'a.

Twierdza nad doliną z tej wysokości wyglądała na zabawkę szczurzego dziecka, a cała wielka, zawiła struktura obozowiska krasnoludów wydawała się podejrzanie uporządkowana i pełna ładu, jakby każdy budynek, rura i komin stanowiły element jednej, ogromnej maszyny. To wszystko było bardzo fascynujące i musiał zmusić się do skupienia uwagi na zbliżającej się walce. Jednym z efektów ubocznych zażywania spaczenia, było to, że użytkownik bywał oczarowany przez najbardziej trywialne rzeczy, zatracając się w kontemplacji majestatu swoich paznokci u nóg, podczas gdy wokół płonęły miasta. Thanquol był na tyle doświadczonego czarnoksiężnikiem, by być tego świadom, ale czasami nawet on zapominał się na chwilę. A to była tak niesamowita scena, że... Zwrócił swe myśli z powrotem ku bitwie i wysiłkiem woli uniósł swoją wizję, zbliżając obraz z lotu ptaka na środek linii krasnoludów. Spoglądał na wóz, na którym stał Felix Jaeger z mieczem w dłoni, wyglądając na spiętego i przestraszonego, nie bez powodu.

Prosty lecz olśniewający plan zaświtał w umyśle szarego proroka. Miał pewne wątpliwości co do tego, czy ten Kościorwij poradziłby sobie z Zabójcą lepiej, niż jego poprzednik, ale nie wątpił, że potwór zmasakruje Jaegera. Miał kilka specjalnych poleceń dla szczuro-ogra dotyczących człowieka i wiedział, że dziki, lojalny i głupi brutal będzie posłuszny aż do śmierci. W przyływie chwalebnej pewności siebie wiedział, że bolesna śmierć Felixa Jaegera była pewna.

Znalazłszy przyszlą ofiarę Thanquol posłał swój czarodziejski wzrok w poszukiwaniu Kościorwija. Gdy znalazł monstrualną hybrydę szczura i ogra, wymruczał kolejne zaklęcie, dzięki któremu mógł w myślach komunikować się ze swoim pomocnikiem.

Poczuł nagły zawrót głowy i uderzenie palącego głodu, wściekłości i brutalnej głupoty, które stanowiły świadomość szczuro-ogra. Szybko umieścił obraz położenia Jaegera w umyśle potwora i

wydał mu polecenie: Ruszaj, Kościorwiju, zabij! Zabij! Zabij!

Felix zadrżał. Wiedział, że ktoś go obserwuje. Niemal czuł płonące oczy na swoich plecach. Zejrzał się pewny, że zobaczy jakiegoś wrogiego skavena gotowego zanurzyć nóż między jego łopatkami, ale kiedy to zrobił, nie zobaczył tam nikogo.

Powoli dziwne uczucie minęło, zastąpione przez bardziej bezpośrednie zagrożenie. Skaveni byli już prawie przy nich! Słyszał ich popiskiwanie, a toporna broń uderzała przerażająco o tarcze. W głośnym sykiem błysnęła nad nimi chmura pocisków z murów zamku. Krasnoludscy kusznicy ostrzeliwali najbliższych i największych skavenów. Kilku z nich upadło, ale nie dość dużo, by powstrzymać napór. Ich pobratymcy po prostu parli dalej naprzód, wdeptując upadłych kamratów w ziemię w swoim szalonym pośpiechu wzięcia udziału w walce.

Strasliwy ryk wypełnił uszy Felixa. Głęboki, huczący bas stworzenia znacznie większego od człowieka. Muły zarżały i wierzgnęły przerażone strzając pianę z pysków. Felix walczył o zachowanie równowagi na chwiejącym się wozie. Odwrócił głowę ściskając miecz, aby spojrzeć na potwora, o którym wiedział, że jest za nim.

Tym razem przeczucie go nie zawiodło.

Lurk zwalczył ogarniający go strach. To było uczucie, do którego przywykł. Dręczyło go na dnie umysłu i nakazywało mu ucieczkę przed walką z piskiem strachu. Wobec masy pobratymców wokół, wiedział, że zamiast tego zostanie stratowany, a zatem skierował strach w innym kierunku niczym wzburzoną rzekę.

Nagle desperacko zapragnął rzucić się do walki, stanąć twarzą w twarz ze źródłem swojego strachu – rozedrzeć go swoją bronią i wyrwać jeszcze gorące wnętrzności. Tylko w ten sposób uspokoi swoje łomoczące serce, zwalczy pragnienie opróżnienia gruczołów piżmowych i zakończy ten nieznośny niepokój.

– Żwawo-żwawo! Za mną! – pisnął i pędząc naprzód runął na krępego krasnoluda w skórzanym fartuchu trzymającego w dłoni topór.

Felix wątpił, czy kiedykolwiek zmierzył się z równie wielką humanoidalną kreaturą. Nawet potwory, z którymi walczył na ulicach Nuln były małe w porównaniu z tym czymś. Ten stwór był wielki i potężny. Monstrualny łeb będący karykaturą szczurzego znajdował się na poziomie jego własnej głowy pomimo faktu, że Felix stał na szczycie wozu. Jego ramiona były niemal tak szerokie jak sam wóz, a długie muskularne ramiona prawie sięgały do ziemi. Wielkie łapy zakończone były zakrzywionymi pazurami, które wyglądały jakby były w stanie rozorać pancerz kolczugi. Ogromne wypełnione ropą wrzody widoczne były na grubym i parchatym futrze. Długi, bezwłosy ogon siekł wściekle powietrze. Czerwone ślepia przepełnione szaleńczą zwierzęcą nienawiścią lśniły swoim własnym blaskiem.

Serce Felixa zamarło. Bestia przyszła po niego, wiedział o tym. W jej wrogich ślepiach dostrzegał, że został rozpoznany. Coś dziwnie znajomego było w sposobie, w jaki stwór przechylił łeb na jedną stronę. Różowy język mignął w paszczy wskazując na niezaspokojony, trawiący potwora głód ludzkiego mięsa. Ostre tnące zęby, każdy długi niczym sztylet, widoczne były w pysku. Stwór wydał z siebie kolejne triumfalne wycie i sięgnął po niego.

Tego było dla mułów zbyt wiele. Oszalałe ze strachu ryknęły i uciekły. Wóz pochylił się naprzód, niemal przewracając się, gdy przerażone zwierzęta skręciły o mały włos unikając wpadnięcia do rowu. Wóz uderzył w kamień i podskoczył posyłając Felixa na łopatki. Miał dość rozumu, by

utrzymać w garści miecz.

Szczuro-ogr gapił się za nimi w głupim zdumieniu, po czym rzucił się w pogoń.

Nie! Zapiszczał Thanquol widząc, jak Jaeger wymyka się z łap Kościorwija. Moc kamienia wróżebnego pozwoliła mu przyjrzeć się tej scenie w zbliżeniu. Pławił się w radości widząc przerażenie i trwogę na twarzy człowieka, czuł dreszcz oczekiwania, gdy Kościorwij sięgał, by wyrwać ramię człowieka i zjeść je na oszalałych ze strachu oczach Jaegera i opanowała go wściekłość, gdy muły porwały wóz za sobą.

To wszystko nie było w porządku.

A jednak dzięki typowemu szczęściu człowieka, właśnie gdy miał doczekać się swojej dobrze zasłużonej śmierci, te durne, tępe stwory musiały go ocalić. Niesamowite było, że człowiek nadal był żywy i nietknięty zamiast więc się w agonii. Przez chwilę Thanquol zastanawiał się gorzko, czy Jaeger nie urodził się tylko po to, aby go poniżyć, a potem odsunął od siebie tę myśl. Wysłał kolejne polecenie Kościorwijowi: Na co czekasz, idioto-głupia bestio? Ruszaj za nim! Goń żwawo-żwawo! Zabij! Zabij! Zabij!

Felix miotał się z tyłu wozu instynktownie próbując wstać na nogi. Słyszał Vareka krzyczącego na muły, próbującego je uspokoić i odzyskać nad nimi kontrolę. Felix przez chwilę zastanawiał się, czy to było mądre. Dzięki prędkości z jaką się teraz poruszali, przynajmniej oddalali się od szczuro-ogra... czyż nie?

Udało mu się w końcu podeprzeć rękami i podniósł się na kolana. Gdy wychylił głowę za tylną klapę wozu zobaczył, że potwór ściga ich i z zastraszającą prędkością zmniejsza odległość. Jego długie susy pochłaniały dystans niczym galopujący rumak. Żółte kły lśniły w świetle pieców. Wywiesił długi jęzor. Wyciągnął wściekle swoje pazury. Felix nie miał cienia wątpliwości, że jeśli znajdzie się w zasięgu tych szponów, umrze.

Usłyszał coś metalicznego toczącego się po podłodze wozu, a potem poczuł zimny i twardy przedmiot obijający się o jego nogę. Sięgnął w dół i znalazł jedną z bomb Vareka. Musiała stoczyć się z siedzenia wozu, gdy zwierzęta poniosły. Niemal wypuścił przedmiot ze strachu. Zdawało mu się, że to może wybuchnąć w każdej chwili; prawdę mówiąc był zaskoczony, że jeszcze tak się nie stało. Kusiło go, by po prostu wyrzucić to jak najszybciej i jak najdalej, ale wtedy pojawiła się myśl, że właśnie to powinien zrobić.

Podniósł kulę do twarzy starając się ją utrzymać, gdy wóz podskoczył ponownie ciskając go boleśnie o drewnianą ścianę. W półmroku, na górze skomplikowanego mechanizmu dostrzegł iglicę zapalającą. Rozpaczliwie starał się sobie przypomnieć, jak to działa. Zobaczmy: wyciągasz zawleczkę, potem masz pięć – nie! – cztery uderzenia serca, po których musisz wyrzucić bombę. Tak, to było to.

Ośmielił się wyrzucić ponownie. Szczuro-ogr zbliżał się. Zdawało się, że jest już prawie przy nich. Za kilka chwil skoczy na tył wozu i rozedrze jego ciało tymi paskudnymi pazurami i kłami. Felix postanowił nie czekać dłużej. Wyciągnął zawleczkę.

Poczuł opór przy uwalnianiu zawlecзки, a coś długiego i miękkiego uderzyło jego dłoń. Zauważył iskry wydobywające się ze szczytu bomby. Wyglądało na to, że do zawlecčki przyczepiony jest sznurek, który z kolei przymocowany był do jakiegoś mechanicznego krzesiwa. Po wyciągnięciu zawlecčki uderzał krzemień podpalając lont. Wszystkie te myśli przemknęły przez jego głowę, gdy pośpiesznie odliczał do trzech.

Jeden. Szczuro-ogr był tylko kilka kroków za nimi pędząc nieprawdopodobnie szybko. Na jego

pysku widniał wyraz potwornego głodu. Felix słyszał za plecami Vareka zaczynającego krzyczeć łaa...

Dwa. Potwór był już tak blisko, że Felix mógł niemal policzyć jego potworne kły. Dostrzegając z przerażeniem wielkie pazury sięgające po niego. Wiedział, że nie da rady. Może powinien wyrzucić bombę już teraz. Varek wołał – aaa...

Trzy. Felix rzucił bombę. Ta poszybowała lukiem w stronę potwora, jej syczący lont pozostawił za nią ślad sypiących się iskier. Szczuro-ogr otworzył paszczę w triumfalnym ryku – a bomba wpadła prosto do pyska. Kolejne szarpnięcie wozu rozpląsało Felixa, rzucając go boleśnie na drewnianą podłogę. Varek dokończył okrzyk: – aaaa!!!

Czas zdawał się rozciągać w godziny. Felix leżał na podłodze ciężko dysząc, przypominając sobie, że Varek powiedział iż te bomby często nie działają, spodziewając się w każdej chwili poczuć wielkie ostre jak brzytwa pazury wbijające się w jego kark i wyrywające go z wozu. Potem usłyszał stłumione łup i coś strasznie mokrego i galaretowatego ochlapało jego włosy i twarz. Kilka chwil zajęło Felixowi domyślenie się, że pokryły go krew i mózg potwora.

Thanquol patrzył jak eksploduje łeb Kościorwija i przeklinał głupiego brutala długo i głośno. To była prawda, pomyślał: jeśli chcesz dobrze przeżyć kość, musisz zrobić to sam. Głupi i zawodny potwór był już tak blisko. Jaeger znalazł się niemal w jego zasięgu. Gdyby tępy brutal nie połknął bomby, człowiek jęczałby teraz z bólu. Wyglądało to tak, jakby Kościorwij zrobił to specjalnie, tylko by wywołać w nim frustrację. Może stwór był w zмовie z jego ukrytymi wrogami. Może wmieszali się w proces tworzenia mózgu tego idioty. Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

Thanquol żuł przez chwilę swój ogon we frustracji i obsypał setkami wściekłych przekleństw Kościorwija, Felixa Jaegera i każdego rywala wśród skavenów, o którym udało mu się pomyśleć. Gdyby złowrogie pragnienia mogły to sprawić, w tej chwili ich kości wypełniłyby stopiony ołów, głowy wybuchłyby, a wnętrzości zamieniłyby się w gnijącą ropę. Niestety, w tej odległości tak wspaniałe efekty przekraczały nawet potężne możliwości czarodziejskie Thanquola. Wreszcie uspokoił się myślą, że może obedrzeć wrogów ze skóry w inny sposób. Ponownie posiał swoje magiczne widzenie ponad szerokie pole bitwy.

Na szczęście sprawy miały się ku lepszemu. Thanquol ogarnął wzrokiem większość oddziałów krasnoludzkich, które formowały się w kwadraty gotowe do odparcia wznowionego ataku skavenów. Pierwsze natarcie skavenów dosięgło linii krasnoludów. Rozbiło się o nią niczym morze uderzające w skały, ale przynajmniej sztormvermini nadal walczyli. Coraz więcej klanbraci i niewolników ruszało do walki. Ich liczebność powoli zaczęła przeważać. Gdy Thanquol patrzył, jeden ze stłoczonych oddziałów krasnoludów zaczął się rozpraszać i rozpętała się ogólna, chaotyczna bijatyka. W takich okolicznościach, większa liczba skavenów dawała znaczącą przewagę.

Thanquol widział, jak jeden z krasnoludzkich wojowników rąbnął sztormvermina swoim młotem, a z tyłu skoczył na niego skaveński niewolnik. Podczas gdy krasnolud rozpaczliwie próbował uwolnić się od uczipionego wroga, został ściągnięty na ziemię przez innych skavenów, niczym sarna, którą opadły psy. Znikając pod stertą ciał skavenów udało mu się uderzyć po raz ostatni młotem i roztrzaskać czaszkę klanbrata rozrzucając wokół fragmenty jego mózgu i kości. Thanquol nie żałował martwego skavena. Z chęcią dokona takiej wymiany za życie krasnoluda, z każdym uderzeniem serca. Zawsze było skąd wziąć więcej tych głupich wojowników. Thanquol wiedział, że wśród wszystkich skavenów, tylko on jest prawdziwie niezastąpiony.

Thanquol patrzył radośnie, gdy zielony płomień wyrwał się z miotacza spaczo-ognia podpalając grupę krasnoludów, topiąc ich pancerze, zapalając brody i redukując ich najpierw do szkieletów, a

potem do rozwiewanego na wietrze pyłu. Wszystko w ciągu kilku krótkich uderzeń serca. Rozważał już nagrodzenie drużyny miotacza, gdy sami zniknęli w ogromnej zielonej kuli ognia, zabici przez swoją własną wadliwie działającą broń. A jednak, pomyślał Thanquol, przynajmniej przyczynili się dla wyższej sprawy... Jego sprawy.

Powoli, ale pewnie, losy całej bitwy zaczęły przeważać na korzyść skavenów. Krasnoludy były zdyscyplinowane i śmiałe na swój głupi sposób, ale zostały zaatakowane bez ostrzeżenia. Wielu z nich nie nosiło pancerzy i byli wyposażeni tylko w młoty, których używali podczas pracy. Zadawali niesamowite straty skavenom, ale to nie miało znaczenia. Thanquol nie dbał o to, czy wyróżną jego całą armię, jeśli krasnoludy padną martwe pod koniec wieczora. Jak dotąd, serdecznie sobie gratulował, sprawy toczyły się dokładnie tak, jak to planował – za wyjątkiem sytuacji w rogu pola bitwy.

Szybko niczym myśl posłał swój wzrok w stronę zamieszania. Nie był zbyt zaskoczony znajdując dwie krępe, ogolone postacie, które urządziły krwawą rzeź jego oddziałom. Jedną z nich rozpoznał natychmiast jako znienawidzonego Gotreka Gurnissona. Inny był kimś nowym dla Thanquola, ale równie przerażającym na swój sposób. Podczas gdy Gurnisson walczył uzbrojony jedynie w straszliwy, potężny topór, drugi Zabójca używał mniejszego topora w jednej ręce i wielkiego młota w drugiej.

Rzeź zadawana przez obu była potworna. Z każdym ciosem padał przynajmniej jeden skaven. Czasami Gurnisson przebijał toporem kilku na raz, tnąc przez ciało i kości skavenów, jakby to były zapałki. W tej chwili Thanquol dalby wszystko za obecność kilku oddziałów z garłaczami. Rozkazałby tym sprytnym strzelcom wyborowym ustrzelenie obu z odległości. Nie było jednak sensu pragnąć czegoś, czego nie można uzyskać. Będzie musiał sam zająć się w jakiś sposób tą parą.

Jego pierwszym pomysłem było posłanie macek swych myśli do przywódców dwóch oddziałów, aby odciągnąć ich od głównej walki i doprowadzić do zmierzenia się z Zabójcami. Bardzo żałował, że w ten sposób zmniejszy nacisk na związane walką krasnoludy, ale było to niezbędne. Thanquol wiedział, że nie może zaryzykować i pozwolić tym dwóm na swobodną rzeź. Tak nakazywał zdrowy rozsądek i pragnienie zaspokojenia osobistej żądzy zabicia Gotreka Gurnissona oraz jego towarzysza.

Lurk rozejrzał się z niedowierzaniem, gdy w jego łbie przemówił głos.

Zabierz swój oddział na lewą stronę i zabij tych dwóch Zabójców. Natychmiast rozpoznał głos Szarego Proroka Thanquola. W umyśle pojawiła się wyraźnie trasa zmierzająca do miejsca potyczki z wytatuowanymi krasnoludami. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, czy nie ma halucynacji ale głos przemówił ponownie w znajomym, władczym stylu, który był tak dobrze znany Lurkowi. Na co czekasz, głupcze-śmieciu? Ruszaj teraz-zaraz albo zjem twoje serce!

Lurk stwierdził, że lepiej będzie okazać posłuszeństwo.

– Natychmiast, o najwyższy z czarowników – mruknął.

Krzyknął na swoich żołnierzy, by ruszyli za nim i popędził we wskazanym kierunku.

Wóz porwany przez opanowane paniką muły pędził wśród bitwy w niekontrolowany sposób. Krasnoludy i skaveni uskakiwali przed nim, aby uniknąć młóących kopyt zwierząt. Felix przetoczył się na plecy rozpaczliwie próbując odzyskać równowagę. Słyszał Vareka na zmianę pokrzykującego na muły, by się zatrzymały i śmiejącego się maniakalnie, gdy rzucał bomby w stronę nacierających grup skavenów. Zdawało się, że nie przychodzi mu do głowy, że gdy za każdym razem zmęczone muły zaczynały zwalniać, przerażał je jeszcze bardziej wyrzucając kolejne urządzenie wybuchające. Felix nie był w najmniejszym stopniu zaskoczony, że muły były tak przerażone. Bomby wywierały wpływ także na niego. W każdej chwili spodziewał się, że jedno z urządzeń wybuchnie w dłoni Vareka,

niszcząc wóz i posyłając krasnoluda i Felixa prosto do grobu.

Co pewien czas udawało mu się wspiąć na burty wozu i rzucić okiem na sceny, które z pewnością utrwalały się na zawsze w jego pamięci. Niektóre z budynków zajęły się ogniem i pożar rozprzestrzenił się. Kłęby iskier i sadzy wirowały w powietrzu. Może inne krasnoludy używały bomb podobnych do rzucanych przez Vareka, może był to efekt jakiejś okropnej broni lub magii skayenów, ale Felix nie wątpił, że pożar pożre cały kompleks. Płomienie już buchały z wielkich kominów, kapryśnie oświetlając bitwę i ukazując sceny niczym z piekielnej wizji lunatyka.

Widział skavena wybiegającego z budynku kuźni, całego w płomieniach. Płonąca sierść pozostawiała za nim ślad niczym kometa. Powietrze wypełnił okropny i powalający smród palącego się ciała. Krzyki agonii stworzenia były przenikliwe i słyszalne nawet ponad zgiełkiem bitwy. Gdy patrzył dalej, umierający szczuroczłek rzucił się na krasnoludzkiego wojownika i przywarł do niego niczym duch śmierci. Płomienie przeskoczyły z jego ciała na ofiarę i ubranie krasnoluda zaczęło się tlić. Szybkim cięciem swojego topora skrócił on udękę napastnika.

Wóz zatrząsł się i podskoczył. Coś pękło i dało się słyszeć nieprzyjemne tłuczenie i zgrzytanie. Patrząc za siebie Felix zauważył, że przejechali martwego krasnoluda. Koło zmiażdżyło jego pierś, a krew i zmielone ciało wyrwały się z ust i poprzez brodę.

Para oślepiła Felixa, a na skórze poczuł żar. Na mieczu i brwiach skondensowały się krople i w jednym przeraźliwym momencie poczuł, jak wygląda ugotowanie się żywcem. Po krótkiej bolesnej chwili wyrwali się z obłoku paru. Zobaczył, że jedna z wielkich rur pękła, a para rozlewała się swobodnie po polu walki. Gdy się temu przyglądał, krasnolud i dwóch skavenów wypadło z obłoku z dłońmi nadal zaciśniętymi na gardłach pozostałych. Twarz krasnoluda była czerwona jak u homara, a wielkie płyty skóry pokryły się bąblami i zaczęły odpadać z powodu ukropu. Futro skavenów wyglądało na strasznie mokre i lepkie.

Wóz wpadł w środek zajadłej walki. Ciała były stłoczone tak bardzo, że kopyta mułów nie mogły uniknąć uderzenia. Czaszki pękały, a kości trzaskały, gdy wóz przetaczał się przez tłum niczym rydwan wojenny. Ci, którzy upadli, zostali zmiażdżeni pod okutymi żelazem kołami. Gdy pojazd zwolnił, Felixowi udało się chwiejnie podnieść na nogi i rozejrzeć się. Varek przestał rzucać bomby. W tej chwili to oznaczałoby bezwzględną rzeź. Krasnoludy i skaveni byli teraz zbyt wymieszani, by udało się wybrać cel.

Muły ryknęły i uderzyły kopytami. Gdy to uczyniły, wóz zaczął tracić równowagę. Szarpały nim fale drżenia i kołysania niczym na morzu. Nacisk ciał z jednej strony groził przewróceniem wozu. Felix złapał Vareka za ramię i wskazał, że powinni skakać. Varek spojrział na niego i uśmiechnął się. Przerwał tylko, by chwycić swą księgę, a potem wyskoczył w tłum.

Felix kątem oka dostrzegł dwie krępe wytatuowane postacie wyrabujące drogę przez horde skavenów. Ze swojego podwyższenia widział, że nowe posiłki szczurołudzi pojawiają się w przerwie między budynkami i spadają na Zabójców. Zatrzymując się tylko po to, by zapamiętać drogę, Felix zeskoczył z wagonu wymachując mieczem. Jeszcze zanim dotknął ziemi, jego ostrze rozsiekło ciało skavena.

Lurk zatrzymał się na chwilę i pozwolił, by jego wojownicy go wyprzedzili. Wskazał na dwóch krasnoludów, których miał zabić i wyszczeakał rozkaz:

– Żwawo-żwawo! Zabić-zabić!

Podbudowani faktem, że przewyższali liczebnie swych przeciwników w stosunku dwudziestu do jednego, jego śmiali sztormvermini ruszyli naprzód kipiąc pragnieniem zabijania, zyskania uznania i chwały. Lurk chciał się do nich przyłączyć, ale jedno spojrzenie na tych dwóch krasnoludów

sprawilo, że futro w pobliżu nasady jego ogona stanęło dęba i posłało dreszcze słusznej ostrożności wzdłuż kręgosłupa.

Nie był całkiem pewien, co budziło jego obawę. Z pewnością przeciwnicy byli sporych rozmiarów jak na krasnoludów i na pewno wyglądali dziko ze swoimi zjezonymi brodami, dziwnymi tatużami i pokrytą posoką bronią, ale to nie było to. To musiało być coś w sposobie, w jaki stali, ich całkowity brak strachu, podejrzenie, że cieszy ich fakt iż mierzą się z przeważającymi siłami. To spowodowało wahanie Lurka. Zdawało się jasne, że byli całkiem szaleni, a to samo w sobie kazało odnosić się do nich z rozwągą. Wówczas rozpoznał jednego z nich jako biorącego udział w bitwie pod Nuln i nie chciał brać udziału w walce z nim. Czy to było możliwe, że Gotrek Gurnisson był naprawdę tutaj?

Jego obawy okazały się usprawiedliwione, gdy pierwszy sztormvermin dosięgnął dwójki. Znał tego skavena: był to Pod-wódz Vrishat, natrętny, zajadły, głupi skaven, który najwyraźniej pragnął wyzwąć Lurka do walki o pozycję szponowłada. Głupiec, ale zajadły wojownik, który z pewnością powinien szybko poradzić sobie z ich niewysokimi wrogami – a jednak krasnoludy nie przejęły się tym w żaden sposób. Znajomo wyglądający krasnolud, ten z wielkim grzebieniem pofarbowanych włosów wznoszącym się ponad pozbawionym futra łbem siekł swoim monstrualnie wielkim toporem i zerwał głowę Vrishata z ramion. Nie czekał, aż zbliży się do niego następny skaven lecz natarł naprzód wymachując toporem, rycząc i wyjąc głośno wyzwania w swoim brutalnym i niecywilizowanym języku.

Lurk spodziewał się, że zobaczy jak krasnolud upada, przygnieciony falą skavenów, ale nie – to go nawet nie spowolniło. Parł niczym stalowy okręt przebijający się przez wzburzone morze, a jego masywny topór wirował, pięści wielkie jak poście szynki tłukły łamiąc kości, wyrrywając kończyny i zabijając wszystko na jego drodze.

Drugi nie był gorszy. Jego szaleńczy śmiech wrywał się ponad zgiełk bitwy, gdy tłukł bronią trzymaną w każdej ręce, zabijając równie zręcznie, co towarzysza. Jego młot ze straszliwą siłą redukował ukryte pod hełmami czaszki do galarety, a topór zanurzał się radośnie w grube pancerze na piersiach sztormverminów.

Gdy Lurk patrzył, jednemu z mniejszych, sprytniejszych skavenów udało się ominąć Zabójcę i skoczyć na jego plecy z obnażonymi kłami i jasnym ostrzem lśniącym w świetle płonących budynków. Jednak krasnolud nie przerywając, w jakiś sposób zdając sobie sprawę z obecności skavena, nawet nie patrząc na niego, zakreślił się w miejscu i rozrąbał przeciwnika toporem, a potem dla pewności przygwoździł jego kark młotem – cały czas śmiejąc się głośno jak maniak i krzycząc:

– Snorri zabija mnóstwo!

Czyż słuch krasnoluda był tak dobry, że nie można go było podejść? Czy wyczuwał obecność skavena w swoim cieniu pośród półmroku? Lurk nie mógł tego wiedzieć, ale niesamowita prędkość z jaką krasnolud odwrócił się i uderzył, powiedziała Lurkowi, że on sam nie chce znaleźć się w pobliżu tej broni, przynajmniej dopóki jego wrogowie nie będą zmęczeni i ciężko ranni. To nie była myśl, którą chciałby się podzielić ze swymi podwładnymi. Kopnął najbliższego kierując go w stronę walki.

– Szybko-żwawo. Osłabieni są! Zabójstwo jest nasze.

Wojownik spojrział na niego z pewną wątpliwością. Lurk obnażył kły i uderzył złowrogo ogonem. Został nagrodzony widząc, jak skaven naciera, najwyraźniej bardziej obawiając się swojego szponowłada niż przeciwnika. Taki znak poddania zawsze cieszył serca śmiałych skavenkich wojowników. Lurk miał tylko nadzieję, że jego żołnierze nie wyczerpią się, zanim krasnoludy ogarnie zmęczenie.

Thanquol przeklął raz jeszcze. Cóż to za głupiec podpalił budynki? Thanquol przysiągł, że jeśli to jeden z jego niekompetentnych pomagierów, zje surowe serce na jego oczach. Jeśli te budynki zostaną zniszczone, wielkie zwycięstwo będzie znaczyło prawie tyle, co nic. Chciał zabrać je w całości i nietknięte, tak, by inżynierowie spaczenia mogli je zbadać, porwać te sekrety i udoskonalić, dzięki znakomitej technologii skavenów. Nie chciał, by wcześniej cały kompleks spłonął do gołej ziemi. W tej chwili nie sądził, by można było coś zrobić za wyjątkiem wydania rozkazu jego szponowładom, aby zachowali większą dbałość o zdobycz.

Opanował się mając nadzieję, że przynajmniej zobaczy śmierć przeklętego Zabójcy Trolli.

Straszliwe okrzyki agonii. Noc przeszywana przez błyski światła z płonących budynków, słabe światło zasłonięte jeszcze przez gęste obłoki wrzącej pary. Nacisk futrzastych ciał. Uderzenia miecza o kości. Obrzydliwe uczucie ciepłej, czarnej krwi spływającej po dłoniach. Wyraz chorej nienawiści w gasnących ślepiach umierających skavenów. To wszystko, cała piekielna scena, wdarła się do pamięci Felixa Jaegera. Przez krótki moment bezdechu czas zdawał się zatrzymać w miejscu i stał sam, spokojny w samym środku tej wyjącej, wirującej kotłowniny. Z jego umysłu zniknął strach i panika. Obserwował swoje otoczenie w ten sposób, w jaki patrzy człowiek tylko wtedy, gdy wie, że każdy jego oddech może być ostatnim.

Obok niego, dwóch krępych krasnoludów walczyło ramię w ramię przeciw gromadzie wyjących skavenów. Brody krasnoludów były zjeżone. Ich młoty pokrywała posoka. Skórzane fartuchy lśniły od czarnej krwi. Szczuroludzie chudzi, żyłaści, niedożywieni mieli wychudłe, dzikie oblicza wilków podczas zimy. Krwawa piana ściekała z pysków w miejscach, gdzie w szale bojowym zagryźli języki i wnętrza policzków. Miecze były wyszczerbione i pordzewiałe. Brudne szmaty okrywały pokryte świerzbem skóry. Ślepie lśniły od migoczących płomieni. Jeden z nich ruszył naprzód wspinając się po plecach kamratów, aby jak najszybciej dopaść ofiary. Przypominał Felixowi szalone natarcie gromady szczurów, którego był niegdyś świadkiem na ulicach Nuln. Pomimo swych humanoidalnych kształtów, w tej chwili skaveni nie mieli w sobie nic ludzkiego. Bez wątpienia byli bestiami przypominającymi z wyglądu ludzi, a ich podobieństwo do człowieka sprawiało, że wydawali się jeszcze bardziej przerażający.

Straszny pisk z prawej strony skupił uwagę Felixa. Spojrzał i zobaczył ранego krasnoludzkiego wojownika ściąganego na ziemię przez grupę szczuroludzi. W jego oczach widać było niezłomną wytrwałość.

– Pomścij mnie – wycharczał z ostatnim oddechem.

Sposób, w jaki skaveni rzucili się do walki nad kawałkami nadal ciepłego ciała, zemdlil Felixa. Skoczył w tę stronę i zatopił miecz w plecach skaveńskiego niewolnika. Lśniące ostrze przeszło chude ciało i przebiło kark skavena znajdującego się poniżej. Kopniak posłał w tył kolejnego skavena. Felix oswobodził szarpnięciem broń i opuścił ją ponownie, wbijając z całej siły w ciało poniżej. Wstrząs uderzenia wygiął ostrze, grożąc pęknięciem. Porwany nienawiścią Felix obrócił rękę otwierając ranę z obrzydliwym zassaniem, a potem cofnął się w samą porę, by sparować cios wielkiego skavena, który skoczył na niego.

Przekroczył już granicę strachu. Kierował nim tylko instynkt zabijania. Wiedząc, że w żaden sposób nie może uniknąć walki, pragnął prowadzić ją najlepiej, jak umiał. To uczyniło z niego straszego przeciwnika. Wyrzucił naprzód stopę powalając skavena na kolana. Gdy ten odskoczył piszcząc z bólu, Felix uniósł koniec miecza ku gardłu i wbił go odwracając głowę, by krew buchająca z rozerwanej arterii nie ochlapała mu oczu. W tej chwili nie chciał zostać oślepiiony.

W oddali usłyszał znajomy odgłos okrzyku bojowego przypominający ryczenie wołu. Natychmiast rozpoznał Gotreka i zaczął poruszać się w tę stronę, rąbiąc po drodze na lewo i prawo. Nie dbał o to, czy udało mu się zabić wrogów. Pragnął tylko usunąć ich z drogi. Skaveni ustępowali przez jego dzikim natarciem i w ciągu dziesięciu uderzeń serca zobaczył scenę niesamowicie przerażającej rzezi. Snorri i Gotrek stali na szczycie wielkiego stosu ciał skavenów, siekąc wokół siebie straszliwą bronią. Topór Gotreka wznosił się i opadał z monotonną regularnością rzeźnickiego tasaka, a za każdym ciosem kończył życie kolejnych skavenów. Snorri poruszał się niczym derwisz, wirując w każdą stronę. Piana szału berserkera ciekła z jego ust, gdy tłukł toporem i młotem, przerywając tylko od czasu do czasu, by rąbnąć głową szczuroczłeka, który dostał się w jego pobliże.

Wszędzie wokół tej pary napierała fala wielkich szurzących wojowników odzianych w czarne zbroje i uzbrojonych lepiej niż większość pozostałych. Na ich tarczach widniał obrzydliwy emblemat Rogatego Szczura. Musiały być tam dwa oddziały tych elitarnych wojowników skaveńskich i niemożliwe zdawało się, by cokolwiek było w stanie przetrwać ich dziką szarżę. Gdy Felix patrzył, napierające ciała zasłoniły mu widok Snorriego i Gotreka. Felix zamarł na moment niezdolny do podjęcia decyzji, czy jest już za późno, by pomóc, a potem zobaczył topór Gotreka przenikający przez ciało skavena, rąbiący opancerzoną postać na dwie części, pomimo osłaniającej ją kolczugi. Natychmiast obszar wokół Zabójców Trolli został oczyszczony. Zdawało się, że nic nie jest w stanie przetrwać w kręgu tego niepowstrzymanego topora. Skaveni cofnęli się i przegrupowali, starając się zebrać dość odwagi na drugi atak.

Felix ruszy! do walki, rąbiąc na prawo i na lewo, wykrzykując z całych sił, starając się, by brzmiało to, jakby nie był sam. Gotrek i Snorri ruszyli mu na spotkanie, zabijając po drodze. To było zbyt wiele dla skavenów, którzy podwinęli ogony i rzucili się do ucieczki w noc.

Felix stanął twarzą w twarz z Zabójcą, który zatrzymał się na chwilę, aby przyjrzeć się kopcowi martwych i umierających, który utworzył się wokół niego. Krew uwaliała całą postać Zabójcy, a on sam krwawił z tuzinów nacięć i zadrapań.

– Dobre zabijanie – powiedział. – Sądzę, że dorwałem jakiś pięćdziesięciu z nich.

– Snorri sądzi, że dorwał pięćdziesiąt dwa – rzekł Snorri.

– Nie wciskaj mi czegoś takiego – zahuczał Gotrek. – Wiem, że nie potrafisz liczyć wyżej pięciu.

– Właśnie, że tak – mruknął Snorri. – Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć. Yy, siedem. Dwanaście.

Felix patrzył na nich zdumiony. Dwaj maniacy wyglądali na szczęśliwych pośród tej sceny nieprawdopodobnego zniszczenia.

– Cóż, lepiej ruszajmy. Czeka nas mnóstwo zabijania, przed końcem tej nocy.

Thanquol zagryzł swój ogon we wściekłości. Nie mógł w to uwierzyć. Ci niekompetentni głupcy nie byli w stanie pokonać Zabójców pomimo swojej przygważdżającej przewagi liczebnej i dzikości skavenów. Nie po raz pierwszy podejrzewał, że jakiś ukryty wróg sabotuje jego wysiłki, posyłając mu nieudolnych wojowników. Bez wątpienia byli to ci sami nikczemni konspiratorzy, którzy wcześniej posłali Jaegera i Gurnissona do tego oddalonego miejsca. Cóż, policzy się z nimi, to pewne!

W tej chwili jednak nie miał czasu, by się tym martwić. Nadeszła chwila, by zbadać pole walki i zobaczyć, jak radzą sobie jego oddziały. Odsunął obie dłonie od kamienia wróżebnego, a jego pole widzenia rozszerzyło się unosząc ponad bitwą niczym ogromny nietoperz. Pod sobą widział płonące budynki oraz oznaki rozpaczliwej szamotaniny – niech będą przekłęci owi niekompetentni głupcy!

Tu i ówdzie nadał walczyły wielkie gromady wojowników. Broń uderzała o broń. Iskry sypały się, gdy miecze skavenów waliły w wykute przez krasnoludy ostrza toporów. Krew buchała ze

świeżych ran. Bezgłowe ciała wiły się w pyle nadal wylewając resztki krwi w spazmach dzięki energii. Iskry wznosiły się ku niebu porywane przez nocny wiatr. Na murach twierdzy, grupa spoconych krasnoludów mocowała się ustawiając na miejscu wielolufowe działo organowe.

Jasne było, że nadszedł moment krytyczny. Wszystko zawisło w niepewnej równowadze. Równie oczywiste było dla szarego proroka, że jego skaveni zwyciężą. Zalewali krasnoludy z obu stron i sama przewaga liczebna powinna przygwoździć źle wyposażonych przeciwników. Frustracja Thanquola wywołana ucieczką jego dwóch najbardziej śmiertelnych wrogów została zastąpiona błogim uczuciem zbliżającego się triumfu.

Felix wiedział, że zaraz zginie. Zmęczonym ruchem sparował uderzenie skaveńskiej szabli. Bolące mięśnie obróciły ramię i posłały kontruderzenie zmierzające łukiem ku przeciwnikowi. Wielki stwór o czarnym futrze skoczył naprzód, zręcznie unikając ciosu. Uderzył ogonem otaczając nogi Felixa i usiłując szarpnięciem przewrócić człowieka. Błysk triumfu mignął blado w wyczerpanym umyśle Felixa. Widział już wcześniej ten trik i wiedział od razu, jak zareagować. Ciął mieczem odrąbując ogon skavena u jego nasady i w ostatniej chwili udało mu się unieść miecz, by zablokować cięcie zardzewiałej szabli.

Wstrząs spowodował, że jego dłoń zdrętwiała. Natychmiast zacisnął ją jeszcze mocniej na rękojeści miecza, aby nie dopuścić, by broń wymknęła się ze spoconego uścisku. Skaven pisnął przerażony i chlasnął kikutem swojego ogona. Popełnił błąd spoglądając w dół, by przyjrzeć się wyciekającej krwi. Gdy opuścił ślepią, Felix wykorzystał to rozproszenie uwagi i wbił czarodziejskie ostrze w brzuch bestii. Ciepłe wnętrzości wypłynęły na jego dłoń. Zwalczył obrzydzenie i cofnął się. Skaven, trzymając się za brzuch obiema łapami, z niemal ludzkim wyrazem niedowierzania na pysku upadł naprzód. Felix zanurzył miecz u podstawy jego karku rozcinając kręgi, aby upewnić się, że stwór jest martwy. Widział wielu wojowników zabitych przez przeciwników, których uznali za martwych. Sam postanowił nigdy nie popełnić tego błędu.

Wszystko nagle się uspokoiło. Rozejrzał się i zobaczył Gotreka i Snorriego oraz całą grupę obitych, dziko wyglądających krasnoludów. Wszyscy wyglądali na zmęczonych do szpiku kości, nawet Zabójcy. Zdawało się, że zabijali przez całe godziny, a jednak na miejsce każdego pobitego wroga pojawiała się dwóch następnych. Skaveni napływali pozornie niewyczerpanymi falami. W oddali Felix słyszał łomot broni o broń, zatem wiedział, że gdzieś pozostali nadal walczą, ale gdy nasłuchiwał zapadła złowieszcza cisza, a potem nastąpił ryk, który brzmiał jakby wyrwał się z setek zwierzęcych gardzieli. Krasnoludy wymieniły spojrzenia. Felix wiedział już, że wszyscy myślą o tym samym co on. Być może byli ostatnimi żywymi krasnoludami na zewnątrz twierdzy.

To jeszcze nie był koniec. Rozglądając się wokół, Felix dostrzegł, że zostali otoczeni przez zajadłych skaveńskich wojowników. Setki czerwonych ślepi lśniły w ciemnościach. Światło płonących budynków odbijało się w równie licznych ostrzach mieczy. Skaveni wycofali się na chwilę, aby przegrupować się przed spodziewanym ostatnim natarciem. Poruszali się z dziwną precyzją, jakby kierowani jakąś przenikliwą, złą i niewidoczną inteligencją. W tej chwili Felix był przekonany, że z pewnością zginie, tu, w tym miejscu.

Wykorzystał tę chwilę spokoju, by otrzeć pot z brwi. Oddech ciężko dobywał się z jego piersi. Połykał powietrze chciwie, jak tonący. Wszystkie jego mięśnie płonęły. Miecz ważył tonę, albo więcej. Był pewien, że nie da rady go podnieść, nawet, by ratować życie, ale także z wdzięcznością doceniał swoje doświadczenie, które mówiło mu, że to wrażenie jest fałszywe. W odpowiedniej chwili zawsze znajdzie jeszcze trochę sił do walki. To zresztą nie miało większego znaczenia wobec tych niekończących się szeregów milczących szcurzych pysków.

– Uformować się w tym miejscu – wydawało mu się, że słyszy kogoś za plecami. – Przygotować się do odparcia szarży. Niechaj te parszywe szumowiny posmakują prawdziwej krasnoludzkiej stali!

Felixa zdumiewała uparta odwaga krasnoludów. Sierżant, który przemówił musiał wiedzieć, że to było całkowicie beznadziejne, a jednak dodawał otuchy swoim żołnierzom nakazując im drogę sprzedać swoje życie. Felix szykował się do tego samego, ale tylko dlatego, że nie miał innego wyjścia. Gdyby znalazł sposób na wyrwanie się stąd, by walczyć dalej, wykorzystałby to.

Wydało mu się, że gdzieś w oddali usłyszał brzęczenie monstrualnych insektów – albo silnika. Co się działo? Czy to była jakaś nowa piekielna machina, którą skaveni wypuszczali na swoich wrogów. Dość dziwne zdawało się, że dźwięk nadchodził od strony zamku. W piersi Felixa zatliła się blada nadzieja. Może krasnoludy miały ukrytą niespodziankę dla atakujących. Chociaż nieprawdopodobne zdawało się, by udało im się zrobić cokolwiek, zanim skaveni opanują ich obecną pozycję. Może chociaż zostaną pomszczeni.

Przywódcy skavenów najwyraźniej wykrzykiwali rozkazy do swoich tłoczących się podwładnych. Powoli, niechętnie, jakby obawiali się stać pierwszymi, którzy oddadzą swe życie na żywej ścianie ich ponurych przeciwników, skaveni zaczęli posuwać się naprzód. W miarę, gdy wykonywali pierwsze chwiejne kroki, zdawali się zyskiwać pewności siebie, a ich marsz nabierał w zastraszającym tempie prędkości i impetu. Dziwne buczenie przybierało na sile. Zdawało się, że nadchodzi znad głowy. Felix chciał spojrzeć w górę, ale nie mógł oderwać oczu od natarcia szczuroludzi.

– Chodźcie i umierajcie! – ryknął Gotrek, a skaveni wydawali się być przygotowani na te słowa i poruszali się jeszcze szybciej, wyciągając broń, piszcząc swoje nikczemne okrzyki bojowe, chłoszcząc ogonami w furii. Felix przygotował się na uderzenie i zwalczył chęć położenia się plackiem na ziemi, gdy jakiś ogromny kształt zaryczał tuż nad nim. Tym razem spojrzął w górę i zobaczył wielką eskadrę dziwacznych machin mknących nad nimi. Smugi ognia wyciekały z ich kotłów, gdy przecinały nocne niebo. Potężne wirniki wirowały niemal niewidoczne nad kadłubami.

– Żyrokoptery! – usłyszał czyjś krzyk i zrozumiał, że był świadkiem nocnego szturm kilku legendarnych krasnoludzkich pojazdów latających.

Iskry światła opadły z maszyn i wylądowały pośród nacierających skavenów. Dopiero, gdy zaczęły eksplodować pomiędzy szczuroludźmi, Felix zdał sobie sprawę, że to musiały być iskrzące się lonty krasnoludzkich bomb.

Atak skavenów zwalniał, gdy bomby rozrywały swoje cele kończyzna po kończynie. Ich apodyktyczni przywódcy starali się rozpaczliwie popędzać wojowników do walki, ale w tej chwili jeden z żyrokopterów zniżył się niemal na wysokość głowy i posłał między nich szeroki strumień parzącej, przegrzanej pary. Wielka grupa szczuroludzi skamląc z niewysłowionego przerażenia podwinęła ogony i uciekła. Panika była zaraźliwa. W ciągu kilku chwil natarcie zamieniło się w paniczną ucieczkę. Krasnoludy wokół Felixa obserwowały to z odrętwiałym niedowierzaniem, zbyt zmęczone, by ruszyć w pościg za uciekającym przeciwnikiem.

Wielki plan

Felix oparł się o rozbity wóz i obejrzał ostrze miecza. Walczył nim tak długo, a jednak nie wyszczerbiło się. Nadal pozostawało tak ostre, jak zwykle, nawet po tym całym rąbaniu i cięciu. Starodawne zaklęcie położone na broni najwyraźniej nadal trzymało się dobrze.

Gdzieś po jego prawej stronie z łoskotem runęła ściana wypalonego warsztatu. Nad głową przeleciał żyrokopter o złowieszczym wyglądzie, potężnego owada, zatrzymując się na chwilę, by unieść się nad płonącym budynkiem. Jego nos pochylił się w dół i wypuścił strumień pary z sykiem niczym wściekły wąż. Felix zastanawiał się, co pilot chce osiągnąć.

Para spotkała się z ogniem i migoczące płomienie zmieniły kolor stając się ciemno żółte i miejscami niebieskie. Gdy strumień płynął nadal, ogień zwolna przygasał pochłaniany przez opary i wodę przypominając mały deszcz tropikalny. Gdy Felix patrzył, żyrokopter obrócił się na miejscu i ruszył ku następnemu pożarowi.

Nagle Felix poczuł się niesamowicie zmęczony i wyczerpany. Był posiniaczony i pobity, krwawił z tuzinów małych nacięć i otarć, których nie zauważył w szale bitwy. Prawe ramię, które utrzymywało miecz, strasznie bolało. Był niemal przekonany, że ciągłe machanie mieczem wyrwało je ze stawu. To było złudzenie, które już znał z wielu innych bitew. Chciał się położyć i spać przez sto lat.

Rozglądając się wokół zastanawiał się, skąd krasnoludy czerpały swoją energię. Już zaczęły czyścić pole bitwy. Ciała poległych krasnoludów były zabierane na pochówek w świętej ziemi. W tym czasie zaciągano zwłoki skavenów na wielki stos do spalenia. Wartownicy w pancerzach wyszli z twierdzy, aby trzymać wartę na wypadek powrotu szczuroludzi.

Felix wątpił, czy napastnicy dziś powrócą. Jego doświadczenie mówiło mu, że skaveni potrzebują więcej czasu niż ludzie, by po porażce zebrać się na odwagę i przygotować do kolejnego ataku. Nie powracali tak szybko na miejsce swojej klęski i był z tego powodu bardzo zadowolony. W tej chwili wątpił, czy byłby w stanie poruszyć mięśniem, choćby szczuro-ogr wstał z martwych i rzucił się na niego. Odepchnął tę okropną myśl i zaczął szukać przyjemniejszego tematu do rozważań.

Znalazł go. Przynajmniej nadal żyje. Zaczynał znowu wierzyć, że będzie mógł żyć dalej. Czasami przed i podczas bitwy, gdy strach zwyciężał nad rozsądkiem, miał wrażenie, że z pewnością zginie. Spadało to na niego niczym klątwa. Nieznośna pewność własnej śmiertelności. Teraz zdumiewało go, że nadal tu jest, że jego serce ciągle bije, a oddech dobywa się z piersi. Rozglądając się dostrzegał mnóstwo dowodów, że mogło stać się inaczej.

Wszędzie walały się zakrwawione ciała, ciągnięte przez wyczerpane, ponure krasnoludy niczym półtusze mięsa. Puste oczy trupów gapiły się na niego. Pomimo wcześniejszych wizji, wiedział, że już nie wstaną. Nigdy nie będą śmiać się, ani śpiewać, jeść czy oddychać. Ta myśl napełniła go melancholią. A jednak, wiedział z pewnością, że sam nadal żyje, że może robić to wszystko, a zatem powinien się radować. Powiadał sobie, że życie jest zbyt krótkie i kruche, zatem należy się nim cieszyć póki czas.

Zaczął śmiać się cicho przepełniony spokojną radością, która dziwnie przypominała mu żal. Po chwili pokuśtykał z bólem w noc, by sprawdzić, czy uda mu się odnaleźć Gotreka lub Snorriego, albo kogoś znajomego kto przeżył tę jatkę.

Thanquol nie mógł w to uwierzyć. Jak to wszystko mogło pójść tak źle, w tak krótkim czasie?

Jego geniusz zapewniał triumf. W jednej chwili zwycięstwo było w jego zasięgu. W następnej, zniknęło tak szybko, jak skaveński niewolnik zmykający z pola bitwy. To było chore, oszałamiające uczucie. Szaremu prorokowi zabrakło długie, gorzkie chwile refleksji przekonanie się, że nawet najbardziej błyskotliwy plan może zostać zniweczony przez niekompetencję jego podwładnych. Chociaż nie było w tym jego winy, ci leniwi, tchórzliwi i głupi lokaje znowu go zawiedli.

Wzmocniony tą wnikliwą myślą rozważył, jakie ma możliwości. Na szczęście miał plan awaryjny ułożony na wypadek tak mało nieprawdopodobnej sytuacji, jak ta. Lurk nadal żył i pozostawał w zasięgu mówiącego kamienia. Z odrobiną szczęścia można go będzie pozostawić na miejscu, gotowego, by składał raporty o sekretach niegodziwych krasnoludów, którzy chcieli je tutaj ukryć.

Thanquol spojrział raz jeszcze na kryształ wróżebny i posłał swój umysł w poszukiwaniu kontaktu.

Felix poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw. Zobaczył Vareka. Błękitne szaty młodego krasnoluda były umazane błotem i krwią. Rękaw ubrania został naderwany i rozdarty w szwach. Widać było postrzępioną i upačkaną koszulę z białego lnu. Jego okulary były popękane; szalona sieć pęknięć pokrywała soczewki. W jednej ręce ścisnął mały młot bojowy. W drugiej znajdowała się oprawiona w skórę księga, którą przyciskał mocno do piersi. Felix był zaskoczony widząc, jak wielkie są dłonie Vareka i jak białe wydawały się jego kłykie. W oczach młodzieńca widniał szaleńczy, gorączkowy błysk.

– To było najbardziej niesamowite doświadczenie w moim życiu, Felixie – powiedział. – Nigdy nie widziałem czegoś równie ekscytującego, a ty?

– To taki rodzaj podniecia, bez którego mógłbym się obyć – odpowiedział zgorzkniały Felix.

– Wcale tak nie myślisz. Widziałem, jak tam walczyłeś. To było jak oglądanie herosa z czasów Sigmara. Nie wiedziałem, że ludzie potrafią tak dobrze walczyć!

Varek poczerwieniał najwyraźniej zdając sobie sprawę, co właśnie powiedział. Błędem młodości krasnoludów było mówienie o tym, co uważali za wrodzone ograniczenia młodszych ras.

Felix zaśmiał się miękko.

– Starłem się tylko utrzymać przy życiu.

– I nienawidzę skavenów – dodał po namyśle. Zastanowił się nad tym faktem i nieco go to przestraszyło. Nie uważał się za szczególnie gwałtownego i mściwego człowieka, ale skaveni wywoływali w nim dreszcze. Był nieco zaszokowany stwierdzeniem, że zabijanie ich sprawia mu przyjemność, ale analizując teraz swoje uczucia musiał szczerze przyznać, iż tak było w istocie.

– Wszyscy nienawidzą skavenów – zgodził się z nim Varek. – Najprawdopodobniej sami skaveni także.

Lurk Snichtongue poruszał się cicho między wypalonymi ruinami. Jego serce wypełniał strach i walczył z nienawiścią wobec Thanquola. Gruczoły pizmowe były ściśnięte i zmagął się z pragnieniem wypuszczenia odoru strachu. Niestety mogłoby to zdradzić jego pozycję otaczającym go krasnoludom. W tej chwili, z dala od uspokajającego zapachu i futrzastej masy jego braci czuł się straszliwie osamotniony. Chciał cicho popędzić w noc i znaleźć innych ocalałych po bitwie. Ta myśl nieznośnie go pociągała.

A jednak w jego umyśle dominował strach przed szarym prorokiem. Pozostanie w tym miejscu z pewnością oznaczało śmierć, lecz sprzeciwienie się jednemu z Wybrańców Rogatego Szczura równało się nieuniknionej zagładzie pełnej cierpienia. Istniały gorsze rzeczy niż szybki cios krasnoludzkiego topora, o czym Lurk wiedział doskonale. Co zresztą nie znaczyło, że chciał doczekać tego ciosu.

Skreć w prawo, odezwał się głos tkwiący w jego głowie.

– Tak, o najpotężniejszy z panów – wyszeptał Lurk. Wykonał polecenie idąc wzdłuż długiej, cichej alei w stronę monstrualnej struktury, która górowała pośrodku krasnoludzkiej osady. Przywarł do ziemi zastanawiając się, czy Thanquol może czytać w jego myślach. Miał nadzieję, że nie poznał przemyśleń, na które sobie pozwolił.

Jego łapa bawiła się bezmyślnie amuletem i przez chwilę wyobrażał sobie, co stanie się jeśli wyrwie go ze swojego ciała i wyrzuci. Coś paskudnego, tego był pewien. Był przekonany, że szary prorok wplótnął w to urządzenie jakąś klątwę. Nie wątpił, że wydłubanie go z czaszki może zabić lub co najmniej zadać straszliwy ból, a Lurk nie był skory do odczuwania bólu podobnie jak większość skavenów.

Ponownie schylił się mając nadzieję, że ta myśl nie dotarła do Thanquola. Chyba tak się nie stało; podobno mógł wysyłać myśli tylko wtedy, gdy dotykał kamienia i koncentrował się. Sądził, że przesłanie myśli kosztowałoby go wiele wysiłku. Nie wiedział na pewno, ponieważ nigdy tego nie próbował, ale w tej chwili po prostu liczył na to, że tak jest w istocie.

Zatrzymaj się! – nadeszło polecenie. Wykonał je natychmiast, automatycznie i instynktownie. W chwilę później usłyszał przed sobą obute krasnoludzkie stopy. W następnym momencie oddział krasnoludów przekroczył wejście do alei. Lurk zadrżał mimo woli widząc, że przygotowują ciała skavenów do spalenia. Jego wąsy zadrżały. Rozpoznawał już wstrętny smród płonącego skaveńskiego mięsa.

Teraz – przebiegnij szybko przez ulicę. Szybko-żwawo, póki droga jest czysta. Zebrał się w sobie i skoczył ku otwartej przestrzeni między budynkami, ryzykując po drodze szybkie spojrzenie w lewo i w prawo. Przekonał się, że droga rzeczywiście była wolna, nie licząc pleców oddalających się krasnoludów. Musiał przyznać, iż mimo wszystko Thanquol był potężnym czarownikiem. Nie miał pojęcia, w jaki sposób szary prorok mógł kierować nim tak dobrze, ale jak dotąd nie popełnił żadnego błędu.

Lurk schował się w bocznej uliczce i pospieszył dalej. Dokładnie przed nim znajdowała się wielka budowla krasnoludów. Jej metalowy dach lśnił w świetle księżyca. Dostrzegał ogromne i potężne silniki parowe stykające się z jej ścianami. Ciekawość skavena sięgnęła zenitu. Zastanawiał się, co mogło być składowane wewnątrz tak olbrzymiej konstrukcji..

Żwawo-żwawo – ruszaj na prawo i znajdź wejście, albo doczekasz się gwałtownej śmierci. Lurk posłusznie pospieszył. Prześlizgnął się pod łukiem wejściowym i zatrzymał się gapiąc w górę szeroko otwartymi ze zdumienia ślepiami. Z jego pyska wyrwało się westchnienie czystego podziwu.

Felix szedł przez płonącą noc z Varekiem u boku. Wszystko wygląda gorzej niż było w istocie mówił sobie, próbując przekonać się, że ma rację. Oczywiście było, że obie strony poniosły ogromne straty. Podczas walki poległo wielu krasnoludów, a każdy z nich zabrał ze sobą co najmniej dwóch skavenów. Odór płonącego mięsa szcziroludzi był nie do zniesienia. Felix naciągnął swój płaszcz na dolną połowę twarzy, aby oddzielić się od smrodu. Pozostałym to najwyraźniej w ogóle nie przeszkadzało.

Wyglądało na to, że wielki kompleks budynków odniósł znaczne uszkodzenia. Felix zastanawiał się, czy spowoduje to zatrzymanie prac nad projektem, przy którym uwijały się krasnoludy, po czym zdał sobie sprawę, że nie mógł nawet zgadywać. Po prostu nie miał pojęcia, co się tam działo.

– Czemu to wszystko ma służyć? – zapytał nagle Vareka. Młody krasnolud przerwał polerowanie swoich popękanych okularów o brzeg ubrania i spojrzał na niego. Chuchnął na soczewki jakby chcąc zyskać na czasie, by zebrać myśli, po czym zaczął je ponownie czyścić, nie zauważając odłamka szkła, który właśnie wypadł.

- Konkretnie, co ma czemu służyć?
- Cała ta maszyna – rzekł Felix.
- Hmm – może powinienem zostawić wyjaśnienia mojemu wujowi. On tutaj dowodzi.
- To wielka dyskrecja z twojej strony. Gdzie mogę znaleźć twego wuja?
- W warowni, wśród innych.

Zanim zdążył zadać następne pytanie, nisko nad głowami przemknął żyrokopter. Na stopniu podwozia stała krępa postać z ogoloną głową. Trzymała monstrualny muszkiet o wielu lufach. Sposób, w jaki stał nieznajomy sprawił, że Felix poczuł się nieswojo. Krasnolud pokręcił korbą z boku muszkietu i grad pocisków przeorał ziemię u stóp Felixa. Ten pchnął Vareka w jedną stronę i upadł płasko na ziemię obracając się w stronę żyrokoptera. Zastanawiał się, cóż za szaleństwo opętało zwariowanego krasnoluda. Chyba nie wziął Felixa za skavena? Wtedy Felix usłyszał za sobą chór agonalnych pisków.

Gdy odwrócił głowę zobaczył grupę skavenów, którzy podchodzili bezgłośnie z obnażonymi ostrzami. Felix rozpoznał rynsztokowców, nikczemnych skaweńskich skrytobójców, z którymi walczył w tawernie Pod Ślepą Świnia w Nuln. Krasnolud w żyrokopterze przerwał podchody za pomocą swojej dziwnej broni. Najprawdopodobniej ocalił im życie, chociaż jego kiepska celność omal nie zabiła ich obu.

Żyrokopter przechylił się na bok i obniżył do niezbyt udanego lądowania. Postać z muszkietem zeskoczyła z jednej strony pojazdu i odbiegła przygarbiona od maszyny latającej, aby szybko wirujące płaty nie zerwały jej głowy z ramion. Podmuch wiru rozpląszczył potężny grzebień farbowanych na czerwono włosów nad jego głową. Poryw wiatru załopotał płaszczem Felixa, a pył podniesiony przez maszynę wywołał łzawienie oczu. Varek musiał zezować przez soczewki swoich stłuczonych okularów. Zasłonił usta księgą, aby nie wdychać pyłu. Dziwny chemiczny zapach dobywający się z rury wydechowej pojazdu dotarł do nozdrzy Felixa przez wełnę płaszcza.

Przybysz był niski i nieprawdopodobnie szeroki. Miał obnażoną klatkę piersiową, prezentując zdumiewającą muskulaturę. Przez jego ramiona przewieszane były dwa bandolety amunicji. Czerwony szal owinięty był wokół czoła. Krasnolud nosił wysokie skórzane buty i wielki sztylet wsunięty za prawą cholewę. Monstrualna srebrna czaszka spinała pas, który podtrzymywał zielone bryczesy. Jego biała broda przycięta była krótko, prawie do wysokości szczęki. Na prawym ramieniu widniał wytatuowany dwugłowy orzeł Imperium. Oczy nieznajomego zasłaniały dziwne, grube szkła optyczne. Felix zauważył, że wyryte na nich zostały krzyżyki celowników. Sądząc po wyglądzie, musiał być to kolejny Zabójca Trolli. Nieznajomy podszedł do Felixa i obejrzał go od stóp do głów, po czym splunął na ścierwo jednego ze skavenów.

– Wstruntne, źli stwory, one skaveny! – powiedział bez powitania. – Nigdy ich nie lubięch. Nigdy nie lubięch ichnij maszyny.

Odwrócił się do Felixa i wykonał formalny krasnoludzki ukłon.

– Malakai Makaisson, do usług twych i twego klanu.

Felix odwzajemnił ukłon niczym imperialny dworzanin. Wykorzystał ten gest, by zamaskować swoje zdumienie. A zatem, to był ów słynny szalony inżynier, o którym mówili Gotrek i Varek. Nie wyglądał na aż tak szalonego.

– Felix Jaeger, do usług.

Krasnolud znowu pokręcił korbą swojego muszkietu. Lufy plunęły pociskami, które przedarły się przez ciała skavenów. Czarna krew bluznęła z rozdartego ciała i futra.

– Nihdy nie można być zbyt pewnim, z onymi bestiami. Une sum straszecznie sprutne, wiesz sam.

– On mówi, że one są bardzo sprytne – przetłumaczył Varek.

– Ach, prycz z tubom! Jezdem pewnim, że Herr Jaeger wi dukładnie, co mam na myśli, prawdaż, Herr Jaeger?

– Myślę, że wiem – powiedział Felix bez przekonania.

– Cóż, dobra zatem. Lepiej ruszama do zamku. Wujo Borek czeka tama, by pomówić się z warny i innymi. Sundzę, że pragniesz dowiedzieć sieni, o co tu chodzi?

– Byłoby wspaniale – rzekł Felix.

– Cóż, czekaj jeno, aż opuszczom most zwodzony – chyba, że chcesz, bym cie tama zawiózł. Ach, myślech, że kopter zabierze jeszcze jedno ciało.

Felix po chwili zrozumiał, że ten maniak proponuje mu przejażdżkę na podwoziu żyrokoptera. Usiłował wywołać miły uśmiech na twarzy, mówiąc:

– Myślę, że poczekam na otwarcie bramy, jeśli można.

– W porzundku. Na razie zatem.

Makaïsson wspiał się na podwozie żyrokoptera i krzyknął coś do pilota noszącego hełm i gogle. Silnik zaryczał i maszyna skoczyła ku niebu – zostawiając Felixa zastanawiającego się, czy to spotkanie rzeczywiście miało miejsce.

– Czy wszyscy wasi inżynierowie mówią w ten sposób? – Felix zapytał Vareka. Młody krasnolud pokręcił głową.

– Klan Vareka pochodzi z Doliny Dwimmerdim, daleko na północy. To odizolowane miejsce. Ich sposób mówienia jest dziwny nawet dla innych krasnoludów.

Felix wzruszył ramionami. Słyszał zgrzytanie wielkich łańcuchów opuszczanego mostu warowni. Ruszył prędko w tę stronę odczuwając nagle, jak bardzo jest zmęczony. Miał nadzieję, że znajdzie tam miejsce, by położyć się na noc.

Felix przebudził się z koszmaru pełnego szalonej przemocy, w którym wielki szczuro-ogr ścigał go wokół płonącego miasteczka, podczas gdy gigantyczna postać ogromnego skavena o bladej skórze gapiła się na niego z nieba. Czasami to miasto było krasnoludzką siedzibą wybudowaną wokół Samotnej Wieży; czasami biegł przez wybrukowane ulice Nuln; czasem był w swoim macierzystym mieście, w Altdorfie, stolicy Imperium. To był jeden z tych snów, gdy ostrza wrogów zdawały się jasne i niesamowicie ostre, a miecz odbijał się od odkrytej skóry przeciwników. Biegł bez końca, gdy parszywe, zapchlone istoty przypominające skavenów wyciągały po niego ręce i nogi, spowalniając go, podczas gdy jego potworny prześladowca zbliżał się coraz bardziej.

Otworzył oczy i zobaczył sufit nieznanego pokoju. Nawet po wielu latach wędrówki tego rodzaju doświadczenie i taka pobudka, zawsze go dezorientowały.

Stwierdził, że leży w łóżku przeznaczonym dla znacznie niższej i szerszej osoby. Mimo, że spał w poprzek, stopy nadal wystawały poza brzeg łoża. Pocił się pod ciężkimi kocami, w które zaplątały się jego kończyny i zaczął rozumieć, skąd wzięło się wrażenie chwytających go rąk podczas snu. Przypominał sobie niewyraźnie jak wszedł do zamku zeszłego wieczora, został przedstawiony różnym krasnoludom i odprowadzony do tej izby. Pamiętał, że rzucił się na łóżko i nic więcej – za wyjątkiem tego szybko odchodzącego w niepamięć złego snu.

Nie zdjął nawet butów. Plamy krwi i brudu uwaląły prześcieradła. Siadł na łóżku i zmęczony potrząsnął głową odczuwając ból w mięśniach, który pojawił się po wczorajszej bitwie. A jednak czuł się dość rześko. Przetrwał, by zobaczyć nowy świt i to było najważniejsze. Nic nie mogło się równać z tym uczuciem. Widział, że był jednym ze szczęśliwców, którzy przeżyli. Wstał z łóżka i wyprostował się ostrożnie bacząc, by nie rąbnąć głową o sufit. Zaskoczyło go, że zamek został wybudowany w ludzkiej skali.

Podszedł do jednego z wąskich wykuszy okiennych i wyrzwał na dolinę. Kłęby dymu wznosiły się poniżej, a z nimi nadpływał odór płonącego mięsa skavenów. Zastanawiał się, ile z tych ciemnych oparów pochodzi od maszyn poniżej, a ile ze stosów pogrzebowych, a potem zrozumiał, że to nie ma znaczenia.

Poczuł się nagle bardzo głodny. Usłyszał pukanie do drzwi i zrozumiał, że usłyszano jego ruchy.

– Proszę! – krzyknął.

Wszedł Varek.

– Cieszę się, że już wstałeś. Wuj Borek chce się z tobą widzieć. Zaprasza cię na śniadanie w jego gabinecie. Głodny?

– Mógłbym zjeść konia.

– Myślę, że do tego nie dojdzie – rzekł Varek.

Felix zaśmiał się, a potem, sądząc po wyrazie twarzy krasnoluda stwierdził, że Varek nie żartował.

To była wygodna komnata, która przypominała Felixowi gabinet jego ojca. Księgi ustawiono wzdłuż trzech ścian. Ich wytłoczone grzbiety pokazywały skrypty w Reikspielu i krasnoludzkich runach. Niektóre półki wypełniały stelaże ze zwojami. Całą czwartą ścianę zakrywała wielka mapa północnej części Starego Świata, pokryta szpilkami i małymi flagami. Położone najbardziej na północ fragmenty świata oznaczone były symbolami miast, gór i rzek, na obszarze, który według Felixa, nie znajdował się na żadnej ludzkiej mapie. Rozumiał, że musiały one zostać pochłonięte przez Pustkowiec Chaosu. Masywne biurko pośrodku gabinetu tonęło pod morzem listów, zwojów, map i przycisków do papieru.

Za biurkiem siedział najstarszy krasnolud, jakiego Felix kiedykolwiek widział. Jego wielka, rozdwojona, długa broda sięgała aż do podłogi, po czym powracała pętlą za pas krasnoluda. Czubek głowy starca był łysy. Jego twarz okalały siwe jak śnieg bokobrody, które podkreślały bruzdy starości na grubej, suchej skórze. Oczy patrzące zza grubych binokularów lśniły niczym u młodzieńca i Felix natychmiast rozpoznał rodzinne podobieństwo do Vareka.

– Borek Widłobrody, z rodu Grimmara, do usług twoich i twojego klanu – rzekł krasnolud podnosząc się zza biurka. Starzec był zgięty ku ziemi, niemal garbaty. Szedł podpierając się solidną laską okutą w żelazo. – Wybacz, że nie się nie skłonię. Nie jestem już tak gibki, jak kiedyś.

Felix uklonił się i przedstawił.

– Muszę ci podziękować za twoją pomoc podczas tej bitwy – powiedział Borek. – Oraz za uratowanie mojego siostrzeńca.

Felix miał już powiedzieć, że walczył tylko, by ocalić samego siebie, ale to jednak nie wydawało się odpowiednie.

– Zrobiłem, *to co* uczyniłby każdy człowiek w tych okolicznościach – zmusił się do odpowiedzi.

Borek zaśmiał się.

– Nie sądzę, mój młody przyjacielu. Niewielu z ludzi Sigmara pamięta dziś stare długi i więzy. I zaiste niewielu potrafi walczyć tak jak ty, jeśli wierzyć słowom mojego siostrzeńca.

– Możliwe, on trochę przesadza.

– Niewielu krasnoludów mija się z prawdą, Herr Jaeger. Mówiąc takie rzeczy wysuwasz poważne oskarżenie.

– Ja... ja nie miałem zamiaru powiedzieć, że... Chciałem po prostu wyjaśnić, że... – wyjąkał Felix, a potem zrozumiał patrząc w oczy starego krasnoluda, że ten tylko się z nim droczy.

– Nie przejmuj się. Nie wspomnę o tym mojemu siostrzeńcowi. A teraz, musisz być głodny?

Może przyłączysz się do wspólnego posiłku? Potem będziemy mieli do omówienia poważne sprawy. Zaiste bardzo poważne sprawy.

Śniadanie zajmowało cały stół w przyległej komnacie. Wielkie półce szynki leżały na stalowych talerzach. Monstrualne bryły sera formowały pomniki obżarstwa. Masywne pajdy krasnoludzkiego razowca, ciemnego i puszystego, tworzyły łańcuchy górskie. Powietrze wypełniał zapach piwa z beczki, która już została odszpunktowana. Felix nie był zaskoczony widząc Gotreka i Snorriego przykucniętych przy wielkim ognisku, wychylających ale i pchających do ust jedzenie jak po nagiej wieści o zbliżającej się klęsce głodu.

Varek przyglądał się im, jakby mieli zaraz dokonać nowych chwalebnych wyczynów. Jego oprawiona w skórę księga spoczywała w pobliżu ręki na wypadek, gdyby musiał je zapisać. Nosił nowe okulary w stylu podobnym do noszonych przez jego wuja.

Obecny był także inny krasnolud, którego Felix nie rozpoznawał i który nie ruszył na modłę krasnoludów naprzód, by się przedstawić. Spoglądał podejrzliwie na Felixa, jakby spodziewał się, że człowiek zaraz ukradnie sztucce. Ignorując jego spojrzenie, Felix podszedł do stołu i nałożył sobie jedzenie. Należało do najlepszych jakie kiedykolwiek jadł i nie tracił czasu, by o tym powiedzieć na głos.

– Lepiej spłukaj to odrobiną ale, młody Felixie – podpowiedział Snorri. – Smakuje jeszcze lepiej.

– Trochę na to za wczesna pora – rzekł Felix.

– Jest popołudnie – poprawił go Gotrek.

– Spałeś przez dwie wachty, młody Felixie – powiedział Snorri.

– Zmarnowana minuta jest niczym wydany miedziak – mruknął nierozpoznany przez Felixa krasnolud. Odwrócił się w jego stronę. Zobaczył, że jest niższy niż większość, a także szerszy od pozostałych. Jego broda była długa i czarna; włosy krótko przycięte i rozdzielone pośrodku głowy. Miał bystre i przenikliwe oczy. Surowe czarne odzienie i bryczesy były stare i wytarte, choć niewątpliwie dobrej jakości. Wysokie buty wyglądały na znoszone, ale były starannie wypolerowane. Metalowe okucia chroniły cholewki. Krasnolud wyglądał dostojnie, a jego pulchna twarz przypominała mu ojca i innych znanych mu majątnych kupców. Wskazywała na spożyte sute posiłki w dobrze wyposażonych salach gildii, gdzie omawiano poważne interesy. Dłonie krasnoluda bez ustanku zaciskały się na pasie, jakby stale sprawdzał, czy jest tam obecna jego dość pustawa sakiewka.

Felix skłonił się przed nim.

– Felix Jaeger do usług twoich i twojego klanu – rzekł.

– Olger Olgersson to twoich usług – odpowiedział krasnolud i ukłonił się. – Czyż nie jesteś przez przypadek powiązany z Jaegerami z Altdorfu, młody człowieku?

Felix poczuł się zmieszany. Był w końcu czarną owcą rodziny i opuścił dom rodzinny w niełasce po zabiciu człowieka w pojedynku. Zmusił się do odwzajemnienia spokojnego spojrzenia Olgerssona i odpowiedział: – Mój ojciec prowadzi tam interes.

– W przeszłości dokonałem z nimi dobrych transakcji. Twój ojciec ma dobrą głowę do interesów – jak na człowieka.

Niemal pogardliwy ton głosu krasnoluda zirytował Felixa, ale opanował się, pamiętając, że jest tu gościem. Nie było rozsądne odpowiadanie na zaczepkę w warowni pełnej drażliwych krasnoludów, którzy mogą być znajomkami tego nieznajomego.

– Musiał być dobry, jeśli wymieniał się pieniędzmi z tobą, Olgerze Złotołapie – odezwał się

niespodziewanie Gotrek.

– Olger to słynny skąpiec – powiedział radośnie Snorri. – Snorri wie, że kiedy on wyciąga monetę ze swej sakiewki, to głowa króla mruga.

Obaj Zabójcy rechotali głośno nad tym starym dowcipem. Felix był ciekaw, ile już wypili. Twarz Olgerssona poczerwieniała. Wyglądał, jakby chciał odpowiedzieć na tę obrazę, ale nie ośmielił się na to. Najwyraźniej ani Gotrek, ani Snorri nie dbali o jego bogactwo, wpływy lub znajomych.

– Nikt się jeszcze nie wzbogacił wydając pieniądze – odrzekł z rozdrażnieniem, odwrócił się i wyszedł do innego pokoju.

– Powinniście być bardziej uprzejmi dla Herr Olgerssona – rzekł Varek. – To on funduje tę wyprawę.

Gotrek parsknął piwem ze zdumienia. Obrócił głowę i spojrzał na młodego uczonego z takim wyrazem twarzy, jakby właśnie stwierdził, że złoto rośnie na drzewach.

– Największy dusigrosz w królestwie krasnoludów daje wam złoto. Powiedz o tym coś więcej!

– Mój wuj to zrobi, już za chwilę.

Felix czuł mieszaninę podniecenia i ciekawości, gdy weszli do gabinetu Boreka Widłobrodego. Chciał usłyszeć, co przyciągnęło te wszystkie zdesperowane krasnoludy do tak odległego miejsca. Niepokoił się myślą, dokąd to wszystko może zmierzać. Gdy spoglądał przez okno na te potężne konstrukcje przemysłowe, przypomniał sobie zajadłość próbujących je przejąć skavenów, a widząc wielkie nagromadzenie rzemiosła i talentów w jednym miejscu, trudno mu było uwierzyć, by krasnoludy nie myślały poważnie o swoim tajemniczym projekcie. Łatwo było sobie wyobrazić jak szybko Gotrek i on sam mogą zostać w to wciągnięci.

Borek spojrzał na nich lśnącymi oczami. Olger stał odwrócony ostentacyjnie plecami do pozostałych w kącie obracając w dłoniach globus. Stary mędrzec wyszczerzył do nich zęby i poprosił, by usiedli. Ponieważ krasnoludzkie fotele były zbyt niskie dla Felixa, zdecydował się stać.

Nastąpił moment ciszy. Borek sprawdził jakieś papiery na biurku i uczynił za pomocą pióra notatkę pismem runicznym. Następnie odkaszlnął, by oczyścić gardło, podobnie jak czynili to wykładowcy Felixa na Uniwersytecie w Altdorfie. Następnie zaczął mówić.

– Zamierzam odnaleźć zaginioną cytadelę Karag Dum – rzekł bez wstępu. Gdy spojrzał na Gotreka, w jego oczach widać było wyzwanie.

– Nie uda ci się – powiedział twardej Gotrek. W jego głosie słyszalne było rozdrażnienie. – Próbowaliśmy tego dokonać lata temu. Zawiedliśmy. Nie da się przebyć Pustkowi. Nikt nie może tam przetrwać o zdrowych zmysłach i uniknąć przemian. Wiesz o tym równie dobrze, co ja.

– Sądzę, że znalazłem sposób.

Gotrek parsknął i potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Nie ma takiego sposobu. Próbowaliśmy przedrzeć się z najlepiej uzbrojoną i wyposażoną ekspedycją, jaka kiedykolwiek została zebrana w tym celu. Wiesz, ilu z nas przeżyło. Ty, ja, Snorri, może garstka innych. Większość jest teraz martwa lub szalona. Powiadam ci, że tego nie da się dokonać. Dobrze wiesz, ilu zginęło w poprzednich wyprawach.

– Nie zawsze tak myślałeś, Gotreku, synu Gurniego.

– Nie widziałem Pustkowi Chaosu.

– A zatem, nawet nie posłuchasz tego, co mam do powiedzenia?

– Nie, nie. Posłucham, starcze. Proszę, powiedz mi, jakież szalony plan masz w głowie. Może będzie się z czego pośmiać.

W komnacie zaległa cisza. Felix podejrzewał, że wstrząśnięte krasnoludy nie przywykły, by w ten

sposób odzywano się do czcigodnych mędrców.

– Dlaczego chcecie dotrzeć do tego miejsca? Cóż jest w nim tak specjalnego? – ośmielił się zapytać, aby rozładować napięcie.

Wszystkie oczy w komnacie odwróciły się ku niemu. Wreszcie odezwał się Borek.

– Karag Dum był jednym z największych miast naszego ludu, najpotężniejszym w północnych krainach. Straciliśmy je ponad dwa stulecia temu podczas ostatniej wielkiej inwazji Chaosu, tuż przed rządami króla, którego zwiesz Magnusem Pobożnym. W wielkiej Księdze Uraz, na stronie trzy tysiące pięćset czterdziestej drugiej, czterysta sześćdziesiątego dziewiątego tomu znajdziesz zapis długu krwi, który winni jesteśmy nikczemnym wyznawcom Mrocznych Mocy. W kodycyłach uzupełniających znajdujemy zapisane wszystkie imiona tych, którzy polegli, ze wszystkich wymazanych klanów. Ostatnia wiadomość, która do nas dotarła, mówiła, że Thangrim Ognistobrody powiódł swoje śmiałe zastępy ku śmiertelnej obronie cytadeli przeciw potężnym armiom nadciągającym z północy wraz z rozwojem Pustkowi Chaosu. Od tego czasu nikt nie słyszał ani słowa z Karag Dum, a żaden krasnolud z naszych krain nie był w stanie dotrzeć do tego miejsca.

– Czemu? – spytał Felix.

– Bowiem Pustkowie Chaosu rozszerzyły się i połknęły wszystkie ziemie pomiędzy Karag Dum i Przełęczą Czarnej Krwi.

– Skąd zatem wiecie, gdzie znaleźć miasto? – zapytał Felix.

– To ja przyniosłem ostatnią wiadomość z Karag Dum – rzekł Borek schylając ze smutkiem głowę. – To miasto było niegdyś moim domem, Herr Jaeger. Jestem krewnym samego Króla Thangrima. Podczas tych strasznych dni nasi wrogowie wezwali potężnego demona i bardzo potrzebowaliśmy pomocy. Ciągnęliśmy losy, by wybrać, kto z nas zanieśie prośbę o wsparcie do naszych braci. Zostałem wybrany ja i mój brat. Opuściliśmy cytadelę tajemnymi przejściami znanymi tylko niewielu. Tylko mnie i mojemu bratu, Varegowi, ojcowi Vareka, udało się przedostać przez Pustkowie. To była ciężka podróż i nie chcę jej w tej chwili wspominać. Gdy dotarliśmy na południe, okazało się, że tam także toczy się wojna i nie uzyskamy pomocy. Wówczas stwierdziliśmy, że nie ma już drogi powrotnej.

Felix pomyślał, czy możliwe było, by ten krasnolud był aż tak wiekowy? Z pewnością wyglądał na starca, a Felix wiedział, że krasnoludy żyją dłużej niż ludzie. Mimo to, niesamowite było, że ten krasnolud jest co najmniej dziesięciokrotnie starszy niż on, może nawet jeszcze więcej. Potem przysłała mu do głowy inna myśl.

– Skoro Pustkowie są tak zabójcze, to jak udało wam się je przebyć i czemu nie wróciliście? – zapytał Felix.

– Widzę, że jesteś sceptyczny, Herr Jaeger. Muszę cię przekonać. Cóż, niechaj wolno mi powiedzieć tylko to, że za dni naszej ucieczki Pustkowie dopiero zaczynały się rozszerzać, a wpływ Chaosu nie był tak silny. Zanim mogliśmy powrócić, potęga Chaosu istotnie wzrosła i nie dało się już przebyć krainy. A teraz, jeśli pozwolisz mi kontynuować...

Felix zorientował się, że przerywa staremu krasnoludowi i każe mu opowiadać o rzeczach znanych wszystkim obecnym. Nagle poczuł się zawstydzony.

– Oczywiście. Proszę mi wybaczyć – rzekł.

– Powiedz nam o zaginionym skarbie – wtrącił się Olgersson.

Borek nie wyglądał na zachwyconego. Rzucił szybkie spojrzenie na kupca. Felix zauważył błysk, który pojawił się w oku skąpca. Było to coś zbliżonego do szaleństwa, a Felix wiedział o krasnoludach dość dużo, by rozpoznać, co to było – gorączka złota. Nagle przestało być tajemnicą, czemu Olger wykladał pieniądze, by sfinansować tę misję. Tkwił w uścisku szaleńczego pragnienia

złota, które czasami ogarniało nawet najbardziej rozsądne krasnoludy.

– Tak, wielki skarb Karag Dum zaginął wraz z upadkiem cytadeli. Ze wszystkich zaginionych skarbów najcenniejsze były Młot Losu, potężna broń noszona przez samego Króla Thangrima i Topór Mistrzów Runicznych.

W tym miejscu Borek odwrócił się i spojrzał na Felixa.

– Mówimy o sprawach, o których może wiedzieć tylko krasnolud i Przyjaciel Krasnoludów, Felixie Jaegerze. Gotrek, syn Gurniego, zaświadczył za ciebie, ale teraz muszę cię poprosić o złożenie przysięgi, że nie powiesz o niczym, o czym tu dyskutujemy nikomu poza krasnoludem prawdziwej krwi lub innym Przyjacielem Krasnoludów. Jeśli uważasz, że nie możesz dać nam takiego słowa, zrozumiemy lecz będziemy musieli cię poprosić, byś opuścił to zgromadzenie.

Felixowi wydało się jakby oświeciło go światło. Poczł nagle, że dotarł do granicy, której przekroczenie znacząco zmieni jego życie. Wiedział, że jeśli zgodzi się zostać, będzie w pewien sposób milcząco zmuszony do wzięcia udziału w szalonym planie snutym przez krasnoludy. Jednocześnie musiał przyznać, że temat tej dyskusji był fascynujący. Porywała go opowieść o zaginionych miastach, zamierzchłych bitwach, starych zatargach i wielkich skarbach. Z pewnością był ciekaw i z pewnością nie zaszkodziłoby posłuchać tego dłużej.

– Macie moje słowo – rzekł, ledwo zdając sobie sprawę z tego, co robi.

– Bardzo dobrze. A zatem będę kontynuował. – Felix spodziewał się czegoś więcej. Sądził, że zostanie poproszony o złożenie uroczystej przysięgi lub przypiecztowanie jej krwią, tak jak to uczynił z Gotrekiem podczas owej epickiej pijatyki. Proste przyjęcie jego przyrzeczenia wydawało się zbyt beztroskie, aby pozwolono mu zagłębić się w zaginione tajemnice Starszej Rasy. Na jego twarzy musiało być widoczne zdumienie, bowiem Borek uśmiechnął się do niego.

– Twoje słowo nam wystarcza, Felixie Jaegerze. Wśród naszego ludu słowo wojownika jest świętością, twardszą niż kamień, bardziej niezłomną niż góry. Nie prosimy o nic więcej. Jeśli nie będziesz w stanie go dotrzymać, na cóż spisane kontrakty, przysięgi złożone przed ołtarzami lub cokolwiek innego?

Felix zrozumiał, że jeśli się z tym nie zgodzi, postawi go to w złym świetle. Milczał zatem, gdy stary mędrzec mówił dalej.

– Tak, Młot Losu i Topór Mistrzów Runicznych. Być może najpotężniejsze artefakty oddane nam przez Bogów-Przodków zaginęły, a wraz z nimi wielka część naszej pradawnej potęgi i dziedzictwa. Gdy upadł Karag Dum, uznaliśmy, że jest stracony na zawsze. Wyjące Pustkowie Chaosu zalały starożytne ziemie niczym morze zepsucia i pogrzebały prastare szczyty, a my jęczeliśmy i zgrzytaliśmy zębami w rozpacz. Pogodziliśmy się ze stratą. Myśleliśmy, że to zaginęło na zawsze, a przynajmniej tak wydawało się przez owe dwa wieki.

– I nadal jest zaginione – rzucił ponuro Gotrek. – I zawsze takie będzie. Powtarzam, że nie ma drogi przez Pustkowie.

– Może tak. Może nie. Po naszej porażce ostatnim razem, Gotreku, wznowiłem poszukiwania w salach wiedzy i bibliotekach. W wielkiej sali wiedzy Karaz-a-Karak przeszukałem najstarsze galerie, zdjąłem pokryte kurzem tomy z półek, gdzie leżały pleśniejąc przez tysiąclecia. Zapisalem każdą opowieść i uwagę ocalałych, którzy twierdzili, że odwiedzili Pustkowie. Uzyskałem dostęp do zakazanych komór Świątyni Sigmara w Altdorfie. W ich zapisach, wydobytych w ciągu stuleci dzięki zeznaniom torturowanych heretyków znalazłem wzmianki o runach, zaklęciach i talizmanach, które powinny strzec przez wpływem Chaosu. Tym razem byłem zdeterminowany, by odnieść sukces. I sądzę, że znalazłem człowieka, który potrafi wykonać te przedmioty.

– A któż nim jest? – w głosie Zabójcy przygasła nieco nuta szyderstwa.

– Człowiek, którego wkrótce poznasz, Gotreku. Przekonał mnie, że jego zaklęcia działają. Dają ci słowo mojej przysięgi iż wierzę, że nas ochronią.

– Jak długo potrafisz ochraniać przed szaleństwem i mutacjami podróżujących przez Pustkowię Chaosu?

– Może przez tygodnie. Z pewnością kilka dni.

– To nie dość długo. Przebycie tych pustkowi w drodze do Karag Dum zabierze miesiące.

– Aye, Gotreku – piechotą, lub w opancerzonym wozie, tak jak tego spróbowaliśmy ostatnim razem. Ale jest inny sposób. Sposób Makaissona.

– Na statku powietrznym?

– Tak, na statku powietrznym.

– Jesteś szalony!

– Nie – z pewnością nie. Posłuchaj mnie. Dogłębnie zbadałem fenomen Pustkowię Chaosu. Wiem znacznie więcej, niż wiedziałem wówczas. Większość mutacji powodowana jest przez pył spaczenia wdychany do niechronionych płuc, zatrujący jedzenie i wodę. To właśnie sprowadza szaleństwo i wypacza formę i postać.

– Aye, a ten pył jest obecny w samym piasku Pustkowi i w chmurach, które się nad nimi unoszą. Jest obecny w kurzu, w burzach piaskowych i w studniach.

– A jeśli polecimy ponad chmurami?

Gotrek zamilkł na chwilę i zastanawiał się nad tym.

– Konieczne będzie obniżanie lotu, by sprawdzić położenie i obejrzeć okolicę.

– Statek powietrzny zostanie pokryty osłonami o drobnych oczkach. Będzie wyposażony w iluminatory i filtry tego rodzaju, co stosowane w łodziach podwodnych w naszych flotach.

– Statek powietrzny może zostać zmuszony do lądowania na skutek burz, silnych wiatrów lub awarii mechanicznych.

– Amulety będą chroniły załogę do czasu przeprowadzenia napraw lub oddalenia się burzy.

– Może naprawy będą niemożliwe do przeprowadzenia?

– Z pewnością, istnieje takie ryzyko, ale można je podjąć. Amulety pozwolą ocalałym przynajmniej na próbę powrotu do domu, na piechotę.

– Żaden statek powietrzny nie zabierze ze sobą dość węgla dla swoich silników, by dokonać takiej podróży bez zatrzymywania się.

– Makaisson opracował nowy silnik. Zużywa czarną wodę zamiast węgla. Ma moc, by napędzać statek powietrzny, a paliwo jest wystarczająco lekkie, aby umożliwić podróż.

Gdy tylko jego obiekcje zostały wyjaśnione, Zabójca najwyraźniej próbował znajdować nowe. Rozpaczliwie starał się znaleźć dziurę w argumentacji mędrca.

– A co z jedzeniem i wodą?

– Statek powietrzny zabierze tego dość na całą podróż.

– Niemożliwe jest zbudowanie statku powietrznego wystarczająco dużego, by tego dokonać.

– Wprost przeciwnie, już to zrobiliśmy. Właśnie to tutaj budowaliśmy.

– To nigdy nie poleci.

– Przeprowadziliśmy już próbne loty.

Gotrek zagrał swoją ostatnią kartę.

– To zbudował Makaisson. Musi się rozbić.

– Może tak, a może nie. Ale spróbujemy tak, czy inaczej. Czy polecisz z nami, Gotreku, synu Gurniego?

– Musielibyście mnie zabić, aby mnie przed tym powstrzymać!

- Miałem nadzieję, że to właśnie powiesz.
- Ten okręt powietrzny – czy tego właśnie szukały skaveny?
- Najprawdopodobniej.
- A zatem musimy wyruszać jak najszybciej zanim zgromadzą następną armię.

Felix przerwał na chwilę. Jego umysł wirował po usłyszeniu tego wszystkiego. Zdawało się, że Gotrek naprawdę poważnie podchodzi do tej lunatycznej przemowy o przelocie nad Pustkowiami Chaosu w niewypróbowanej i wysoce niebezpiecznej maszynie, zaprojektowanej przez znanego maniaka. I nie wątpił, że będą się spodziewali jego udziału w wyprawie. Był również pewien, że na końcu podróży czeka na nich jakiś wielki, nikczemny demon.

Co gorsza, zdawało się, że skaveni wiedzą, wszystko o tej nowej maszynie i nie dadzą za wygraną, zanim nie położą na niej swoich łap. Cóż za piekielnego czarodziejstwa musiały użyć, by dowiedzieć się o czymś tak nowym i równie dobrze ukrytym? A może umieścili zdradzieckich agentów nawet pośród tych krasnoludów? Szacunek Felixa dla dalekiego zasięgu i wrednej inteligencji szcziroludzi wzrósł ponownie wobec tego dowodu ich zmysłu przewidywania i umiejętności planowania.

Lurk słysząc zbliżające się krasnoludy szybko wcisnął się w kąt. Spędził większość nocy przegryzając się przez tylną ściankę skrzyni pakownej i wreszcie w samą porę wyrwał się na wolność. Kręcił się w jej wnętrzu, gdy skrzynia została uniesiona przez jedną z tych dziwnych, napędzanych parą maszyn podnoszących. Najwyraźniej jechali w górę po jakiejś rampie.

Jego umysł ciągle wirował po tym, co zobaczył zeszłej nocy. Wewnątrz wielkiego hangaru znajdowała się masywna, gładka rzecz wyglądająca jak ogromny rekin unoszący się nad głową, najwyraźniej nie wspierany przez żadne podpory. Rzecz kiwała się w górę i w dół niczym rozjuszone zwierzę. To podobieństwo zwiększały jeszcze stalowe cumy, którymi krasnoludy spętały olbrzyma. Widok potwora sprawił, że Lurk trysnął piźmem strachu, ale nie czuł w związku z tym żadnego wstydu. Nie wątpił, że w takich okolicznościach podobnie stałoby się z każdym innym skavenem, nawet wielkim Szarym Prorokiem Thanquolem.

Po upłynięciu długich chwil obserwacji, gdy myślał, że jego łomoczące serce wyrwie się z piersi, zrozumiał, że stwór nie był żywy i tak naprawdę był maszyną. W jego umyśle pojawiło się zdumienie, gdy kontemplował skalę tej rzeczy. Miała długość kilkuset ogonów skaveńskich, była większa i bardziej niesamowita niż maszyneria, jaką kiedykolwiek Lurk widział w Skavenblight lub w tym krasnoludzkim miasteczku. Zadziwiało go czarodziejstwo, które potrafiło utrzymać w powietrzu coś tak wielkiego. Jego dusza skaveńskiego wojownika rozmyślała o możliwościach jakie dawało to odkrycie. Dzięki takiej maszynie, armia skavenów mogłaby przelecieć nad miastami ludzi i rzucić na nie kule trującego gazu, worki z załączkami zarazy lub dowolną inną broń. Nikt z dołu nie byłby w stanie ich zaatakować. To było jak spełniony sen każdego przywódcy skavenów: sposób ataku, przed którym nie ma żadnej obrony! Z pewnością tak wielki opancerzony pojazd musi być odporny na wszystko, za wyjątkiem ataku smoków. A nawet w takim przypadku, sądząc po jego rozmiarach i czymś co wyglądało – tak jest! – na kopuły obronne osadzone wzdłuż kadłuba, pojazd miałby duże szanse na przetrwanie. Ta maszyna stanowiłaby niesamowitą broń w rękach każdego skavena dość inteligentnego, by zrozumieć możliwości, jakie oferuje.

W tej chwili domyślił się, że Szary Prorok Thanquol doszedł do mniej więcej podobnego wniosku, bowiem w jego głowie rozległ się potężny głos władcy. Tak-tak, ta maszyna latająca musi być moja-moja!

Lurk zorientował się, że być może wkrótce nadarzy się okazja do jej przejęcia, gdyż skrzynia, w

której się chował została niewątpliwie podniesiona wysoko i umieszczona w cielsku potężnego okrętu powietrznego.

Odlot

Felix wyglądał przez blanki warowni. Całą dolinę pod nim wypełniała osada krasnoludów, ale jego oczy przyciągał wielki, centralny budynek, w którym, jak mu powiedziano, znajdował się statek powietrzny. Gotrek stojący za Felixem oparł się o mur. Masywne ramiona wsparł na parapecie, kładąc w pobliżu ręki swój wielki topór.

Poniżej zamku Felix widział długie szeregi krasnoludów zbierających się przed wielkimi wrotami centralnego hangaru. Małe, ale silne wozy parowe poruszały się wzdłuż torów prowadzących do wejścia. Felix podniósł teleskop pożyczony mu przez Vareka i zbliżył go do oka. Obrócił dłonią i wyregulował ostrość obrazu. Daleko poniżej dostrzegł Snorriego, Olgera i Vareka. Na przedzie kolumny krasnoludów, wyglądali niczym żołnierze stojący na baczność.

Flagi łopotały na podporach ogromnej stalowej wieży, która wyłaniała się nad hangarem. To była imponująca konstrukcja, przypominająca raczej pajęczą sieć dźwigarów, niż element fortyfikacyjny. Na samym szczycie wieży znajdowało się coś, co przypominało małą chatkę lub posterunek obserwacyjny z otaczającym go balkonem.

Gdzieś w oddali parowy gwizdek wydał długi, samotny zew. Z boku hangaru jeden z inżynierów pociągnął wielką dźwignię. Tłoki gwałtownie uniosły się i opadły. Obróciły się wielkie koła zębate. Para ulotniła się z monstualnych rur, które zostały pośpiesznie załatane po wczorajszej bitwie. Zwieńczenie hangaru otworzyło się powoli, ale nieustępliwie. Dach rozszczepił, składając po obu stronach budynku. Wreszcie w polu widzenia pojawiła się ogromna konstrukcja, niczym gigantyczny motyl opuszczający gigantyczny kokon poczwarki.

Felix wiedział, że do końca życia nie zapomni pierwszego spojrzenia na statek powietrzny. To był najbardziej niesamowity widok, jaki kiedykolwiek zobaczył. Z bolesną powolnością wybrano cumy i pojawiło się coś, co przypominało ogromny balon. W pierwszej chwili Felix dostrzegł tylko niewielką kopułę znajdującą się na szczycie pojazdu, w pobliżu rufy olbrzymiego ogona wyglądającego jak płetwa. Potem okręt powietrzny uniósł się w całej swojej błyszczącej okazałości, niczym wieloryb przełamujący powierzchnię północnego morza.

To było jak oglądanie narodzin nowej wyspy wulkanicznej pośród gładkiego oceanu. Potężne cielsko pojazdu było niemal tak długie, jak hangar i opadało łagodnie w dół niczym plaża wpadająca do morza. Gdy wielki statek wznosił się dalej, Felix dostrzegł, że jego pierwsze wrażenie było mylne, ponieważ po osiągnięciu najszerszego punktu kadłub znowu zaczął zaginać się do środka, tworząc gładki, zaokrąglony cylinder. Przy rufie pojazdu znajdowały się cztery masywne płetwy przypominające lotki bełta do kuszy.

Poniżej tego brzuszyska wisiała mniejsza cylindryczna konstrukcja zbudowana z nitowanego metalu. W tej mniejszej części widać było iluminatory. Wystawały z niej działa i wirniki oraz inne urządzenia mechaniczne, których przeznaczenia Felix mógł się tylko domyślać. Skierował w ich stronę teleskop i zauważył, że ta mniejsza struktura przypominała kadłub okrętu. Na samym przedzie statku powietrznego znajdowało się wielkie szklane okno. Za nim dostrzegł Malakaia Makaissona, stojącego u steru. Wokół niego kręciło się wielu inżynierów.

Powoli do umysłu Felixa dotarła dziwna myśl. Zadawał sobie pytanie, czy możliwe było, by właściwy statek był mniejszym pojazdem wiszącym pod potężną konstrukcją, natomiast ta większa część służyła za rodzaj żagla na okręcie lub torby powietrznej na gorące powietrze w balonie. Musiała być niezbędną do poruszania się, ale nie mieściła przecież kwater mieszkalnych i roboczych

bo te znajdowały się pod nią? Nie był tego wszystkiego pewien lecz pomysł wydał mu się zarazem szalony, jak i fascynujący. Wiedział bez cienia wątpliwości, że nawet jeśli będzie to pierwszy i ostatni raz w życiu, musi dostać się na pokład tego pojazdu. Ta myśl przepełniła go strachem i ciekawością. Spojrzał na Gotreka, który przypatrywał się z równie napiętą uwagą.

– Czy naprawdę poważnie myślisz o przekroczeniu Pustkowi Chaosu w tym czymś? – spytał Felix.

– Tak, człeczyno.

– I spodziewasz się, że pójde za tobą?

– Nie. Tę decyzję musisz podjąć sam.

Felix spojrzał na krasnoluda. Gotrek nie wspomniał o przysiędze, którą złożył Felix, może dlatego, że nie uważa}, by to było potrzebne – a może dlatego, że naprawdę dawał Felixowi wybór. Nawet po tak długiej znajomości Felix miał kłopoty z odczytaniem nastrojów Zabójcy.

– Próbowaleś już wcześniej przekroczyć Pustkowie, z Borekiem i innymi.

– Tak.

Felix zabębnił palcami o zimny kamień blanków. Przez długą chwilę trwała cisza, po czym, właśnie wtedy, gdy Felix pomyślał, że krasnolud nie zamierza już nic powiedzieć, Gotrek odezwał się znowu.

– Byłem wtedy młodszy i głupi. Było nas wielu, młodych krasnoludów, pewnych siebie. Słuchaliśmy opowieści Boreka o Karag Dum i Zaginionych Broniach oraz o tym, jak wielki stanie się nasz lud, jeśli je znajdziemy. Inni ostrzegali nas, że ta misja to szaleństwo, że nie przyjdzie z tego nic dobrego, że to jest niemożliwe. Nie słuchaliśmy. Wiedzieliśmy lepiej niż oni.

– Powiadaliśmy sobie, że nawet jeśli zawiedziemy, będzie to chwalebna porażka w poszukiwaniu odnowy dumy naszego ludu. Jeśli zginiemy, oddamy nasze życie godnej sprawie i nie będziemy świadkami długich, powolnych lat upadku ogarniającego nasze królestwo i nasz ród. Jak rzekłem, byliśmy głupcami. Mieliśmy pewność siebie, jaką cieszą się głupcy. Nie mieliśmy pojęcia, w co się pakujemy. To była szalona misja, ale desperacko pragnęliśmy chwały, którą obiecywał Borek.

– Młot Losu – czym jest?

– To wielki młot bojowy, mniej więcej długości twojego przedramienia ale ważący znacznie więcej. Głowica wykonana jest z gładkiego, nieprzenikliwego kamienia pokrytego głęboko runami, które...

– Chodziło mi o to, dlaczego to takie ważne dla waszego ludu? – gdyby Felix nie znał lepiej Gotreka, mógłby podejrzewać, że krasnolud chce uniknąć tego tematu.

– To święty obiekt. Bogowie Przodkowie pokryli go mistrzowskimi runami, gdy świat był młody. Niektórzy uważają, że zawiera szczęście naszego ludu, a po utracie miota sprowadziliśmy na siebie klątwę, którą możemy zdjąć tylko odzyskując tę broń. Z pewnością, od czasu zaginięcia młota, sprawy nie mają się dobrze dla naszej rasy.

– Czy naprawdę wierzysz, że sprowadzenie młota coś zmieni?

Gotrek powoli potrząsnął głową.

– Może tak, może nie. Możliwe, że odzyskanie młota doda otuchy naszemu ludowi, który stracił jej tak wiele podczas ostatnich stuleci. Możliwe, że sama broń uwolni swoją magię, by wspomóc nas raz jeszcze. A może i nie. Nawet jeśli nie, Młot Losu jest podobno niesamowitą bronią, zdolną uwalniać pioruny i pokonać najpotężniejszych przeciwników. Nie wiem, człeczyno. Wiem za to, że to wielka misja i polec podczas jej wykonywania to godna śmierć. Jeśli uda nam się znaleźć Karag Dum. Jeśli uda nam się przekroczyć Pustkowie.

– A topór?

– O nim wiem jeszcze mniej. Jest równie starożytny, co młot, ale niewielu spoglądało na niego. Zawsze był przechowywany w tajnym świętym miejscu i wyciągany tylko w czasach największego zagrożenia. Nosił go Wysoki Mistrz Runów z Karag Dum. Podczas trzech tysiącleci uniesiono go do bitwy mniej niż tuzin razy. Niektórzy szepczą, że to był zaginiony Topór samego Grimmira. Tylko Wysoki Mistrz Runów z Karag Dum zna prawdę, ale on jest martwy. Zginął, gdy Pustkowie pochłonęły to miejsce.

– Czy Pustkowie są tak straszne ?

– Gorsze, niż możesz to sobie wyobrazić. Znacznie gorsze. Niektórzy uważają, że są wejściem do Piekła. Inni twierdzą, że to miejsce gdzie stykają się Piekło i Ziemia. Wierzę w to. Podczas całego mojego życia nie widziałem nikczemniejszego miejsca.

– A jednak chcesz tam powrócić!

– Jakież mam wybór, człeczyno? Przysięgłem szukać swojej zagłady. Czy mogę zostać z tyłu, gdy stary Borek i Snorri, a nawet ten młody szczeniak Varek polecą? Jeśli pozostanę, będę zapamiętany jako Zabójca, który odmówił towarzyszenia Borekowi w jego misji.

Dziwne było słyszeć Gotreka wyrażającego wątpliwość lub przyznającego, że zgodził się towarzyszyć mędrcom tylko ze względu na to, w jaki sposób go zapamiętają. Zwykle był tak strasznie pewny siebie, że przez większość czasu Felix postrzegał go jako coś nieludzkiego, przypominającego siłę żywiołu. Z drugiej strony, Zabójca był także krasnoludem, a jego dobre imię znaczyło dla niego znacznie więcej niż dla najdumniejszego z ludzi. Pod tym względem Starsza Rasa wydawała się Felixowi naprawdę obca.

– Jeśli nam się powiedzie, nasze imiona będą żyły w legendach dopóki krasnoludy pracują w kopalniach pod górami. Jeśli odniesiemy porażkę...

– Wtedy najwyżej zginiesz – rzekł ironicznie Felix.

– O nie, człeczyno. Nie na Pustkowiach Chaosu. Tam naprawdę możesz doczekać losu znacznie gorszego niż śmierć.

Powiedziawszy to Gotrek zamilkł i jasne było, że nie powie nic więcej.

– Chodź – powiedział Felix. – Jeśli mamy wyruszać, lepiej zejdźmy na dół i przyłączmy się do pozostałych.

Statek powietrzny pojawił się już w pełnej krasie nad hangarem. Był zacumowany do szczytu wielkiej stalowej wieży, niczym galeon na kotwicy. Dopiero stojąc poniżej pojazdu i patrząc na niesamowicie wysoką metalową wieżycę Felix naprawdę docenił rozmiary obiektu. Zdawał się być wielki jak obłok, wystarczająco duży, by zakryć słońce. Był większy od okrętów jakie widział Felix, a przecież pochodził z Altdorfu, gdzie czasami cumowały oceaniczne statki kupców, żeglujące Reikiem od samego Marienburga.

Przebrał się w czyste ubranie. Jego czerwony wełniany płaszcz łopotał na wietrze. Przewiesił tobolek przez ramię. Myślał, że jest spakowany i gotowy do drogi, ale teraz, stojąc po raz pierwszy w cieniu ogromnej metalowej wieży obok Gotreka i Snorriego odczuwał pewne wątpliwości co do przedsięwzięcia, w które się pakuje.

Z wysokości zjechała metalowa krata wspierana na wielkich stalowych linach odwijających się z bębna u podstawy konstrukcji. Bęben napędzany był przez jeden z krasnoludzkich silników parowych. Mógł zwijać i odwijać kabel według potrzeby, podnosząc lub opuszczając w ten sposób klatkę. Felixowi wydawało się to mechanicznym cudem, ale na Gotreku nie robiło wrażenia. Twierdził, że takie rzeczy istniały w krasnoludzkich kopalniach w całych Górach Krańca Świata.

Klatka zatrzymała się obok nich, a jeden z inżynierów otworzył jej drzwi. Skłonił się i gestem zaprosił ich do środka. Felix zdrzął zastanawiając się, czy kabel jest dość silny, by wytrzymać połączoną wagę wszystkich trzech osób i klatki. Myślał, co się stanie, jeśli pęknie, albo coś zepsuje się w mechanizmie.

– He! He! – zarechotał Snorri. – Snorri lubi klatki. Snorri jeździł w niej w górę i w dół przez cały dzień. To lepsze niż jazda na wozie parowym. Wjeżdża daleko wyżej!

Wskoczył do środka jak dziecko, któremu ktoś pokazał nową zabawkę. Gotrek wszedł za nim nie okazując żadnych emocji, kołysząc lekko toporem opartym na ramieniu. Felix wkroczył ostrożnie do wewnątrz i poczuł metalową podłogę uginającą się pod jego ciężarem. To nie było uspokajające wrażenie. Inżynier zatrasnął drzwi klatki i nagle Felix poczuł się, jak więzień w celi. Potem inny inżynier pociągnął dźwignię, a tłoki silnika zaczęły się wznosić i opadać.

Żołądek Felixa podskoczył, gdy klatka się poruszyła i ziemia uciekła spod stóp. Instynktownie chwycił za jeden z prętów i próbował się uspokoić. Przełykał powietrze nerwowo tak, jak to robił przed bitwą ze skavenami. Zauważył, że może dostrzec ziemię przez małe otwory w podłodze pod stopami.

– Jupii! – krzyknął radośnie Snorri. Twarze krasnoludów na ziemi pod nimi skurczyły się. Wkrótce maszyny były tak małe jak dziecięce zabawki, a wielkie nadęte brzuszysko statku powietrznego nad nimi zdawało się być jeszcze większe. Patrząc w dół Felix miał bardzo nieprzyjemne wrażenie. Chociaż naprawdę nie unieśli się o wiele wyżej niż na wysokość najwyższych wież zamku, wydawało się, że są znacznie dalej.

Może to miało coś wspólnego z ruchem, albo z wiatrem gwiżdżącym między prętami klatki, ale Felix czuł się bardzo przestraszony. Było coś nienaturalnego w przebywaniu w tym miejscu z zeszywniałymi mięśniami i kłykciami zbielełymi od trzymania zimnego metalu, gdy mijali dźwigary metalowej wieży. Jego serce prawie stanęło, gdy klatka zatrzymała się i ruch ustal nie licząc lekkiego kołysania się na linach.

– Możesz się już puścić, człeczyno – rzucił z sarkazmem Gotrek. – Dojechaliliśmy na górę.

Felix przestał się trzymać, by pozwolić inżynierowi na szczycie otworzyć klatkę. Wyszedł przez drzwiczki na rodzaj balkonu. Była to konstrukcja z metalowych podpórek biegnących wokół górnego końca metalowej wieży. Zimny wiatr szarpnął jego płaszczem i wycisnął Izy z oczu. Nagle Felix zamarł ze strachu widząc jak wysoko znajdował się nad ziemią. Metalowa kładka biegła między szczytem wieży, a drzwiami w dolnej części boku statku powietrznego. Po drugiej stronie widział czekających na niego Vareka, Boreka i innych.

Przez chwilę nie potrafił zmusić się do ruchu. Ziemia była co najmniej trzysta kroków pod nim, a ta metalowa kładka nie była chyba zbyt solidnie przymocowana, ani do statku powietrznego, ani do wieży. A jeśli ustąpi pod nim i Felix spadnie? Nie będzie miał szans na przeżycie upadku z takiej wysokości. W jego uszach rozbrzmiewało głośno łomotanie serca.

– Na co czeka Felix? – usłyszał pytanie Snorriego.

– Ruszaj się, człeczyno – usłyszał Gotreka, a potem silny kuksaniec popchnął go naprzód. – Tylko nie patrz w dół.

Felix czuł jak delikatny metalowy most ugina się pod jego ciężarem i przez chwilę zdawało mu się, że pęknie. Dosłownie wpadł na podłogę statku powietrznego.

– Witamy na pokładzie Ducha Grungniego – usłyszał głos Boreka.

Varek złapał go i wciągnął głębiej.

– Makaisson chciał nazwać ten okręt Niepowstrzymanym – szepnął krasnolud – ale z jakiś powodów mój wuj nie pozwolił mu na to.

Felix usiadł obok Makaissona przy kole sterowym statku powietrznego. Wchodząc musiał schylić głowę. Okręt został zaprojektowany z myślą o krasnoludach, zatem sufity były niższe, a drzwi szersze niż dla ludzi. Inżynier był tego dnia ubrany inaczej. Nosił krótką skórzaną kamizelę z ogromnym kołnierzem z owczego futra, podniesionym, by ochronić go przed zimnem. Na głowie miał skórzaną czapkę z długimi klapami na uszy. Na szczycie czapki została wycięta dziura, by uwolnić grzebień włosów Makaissona. Oczy krasnoluda zakrywały gogle, mające przypuszczalnie stanowić ochronę przed wiatrem, gdyby przednie okno się stłukło. Wielkie dłonie krasnoluda okrywały ciężkie skórzane rękawice. Makaisson odwrócił się i spojrzał na Felixa promieniując dumą, z jaką ojciec pokazuje osiągnięcie swojego ukochanego dziecka.

O ile Felix potrafił to stwierdzić, niektóre z urządzeń sterowniczych przypominały te, które znajdują się na statkach oceanicznych. Było tam wielkie koło sterowe, które wyglądało raczej jak koło od wozu, pomijając uchwyty wokół brzegu umieszczone w strategicznych przerwach, by umożliwić pilotowi wygodne manewrowanie. Felix domyślał się, że obracając kołem pilot mógł zmieniać kierunek ruchu pojazdu. Za kołem znajdowała się grupa dźwigni i kwadratowa, metalowa skrzynka, na której widniały przeróżne wskaźniki alarmowe. W odróżnieniu od statku morskiego, pilot stał na dziobie pojazdu, za szklaną szybą, tak by mógł widzieć, dokąd leci. Wyglądając przez okno Felix dostrzegał, że dziób zwieńczony został wyrzeźbioną figurą brodatego i ryczącego krasnoludzkiego boga, który, jak podejrzewał, był Grungnim – bogiem krasnoludów.

– Ach, wiem, żeś jest pod wrażeniem – rzekł Makaisson, spoglądając na Felixa – I powinieneś być – to największy i najlepszy ze zbudowanych okrętów. Właściwie, o ilech wiem, to jest dopiero drugi ze zbudowanych.

– Jesteś pewien, że to coś poleci? – spytał nerwowo Felix.

– Tak pewnym, jak to, że na śniadanie miałeś szynkiem. Balon, ta wielkie coś nad twoich głowom jest pełen gazu lotnego. Wystarczy tego, coby unieść w powietrze dwakroć ryle wagi.

– Gazu lotnego?

– Och, rozumisz, to coś jest lżejsze od powietrza. Naturalnie chce wznieść sieni wyżej i tak zabiera nas ze sobom.

– Jak udało wam się zebrać gaz lżejszy od powietrza? Czy to po prostu nie ulatuje w niebo?

– Rozsądne pytanie, chłopcze, którem pokazuje, co mógłbyś być inżynierem. Aye, naturalnie to coś jest rzadsze niż kurze zemby, ale produjemy to sami w osadzie. To znaczy, nasze alchemiki. Potem, wdmuchujem to w balon nad nami.

– Balon. – Ta myśl zaniepokoiła Felixa jeszcze bardziej. Sprawiała, że pomyślał o niewielkich balonikach z papieru na ogrzane powietrze, które konstruował jako dziecko. Wydawało się niemożliwe, by coś podobnego mogło unieść wagę twardego rictalu. Wyraził na głos swoje wątpliwości.

– Aye, cóż, to jest znacznie silniejsze niżli goromce powietrze, a balon nad fwowm głowom nie jest zrobion z metalu, chociaż na to wyglumda. Zrobiony jest z czegoś bardziej odpornego. Alchemicy też to robili.

– A jeśli gaz zacznie się ulatniać?

– Ach, to nic nie zmieni! Widzisz, w środku onego balona som setki małych balonów. Zowiem je tPrbamy powietrznymi albo komórkamy. Jeśli jedna pęknie, to nie ważne, mamy ich jeszcze mnóstwo. Nawet, jeśli połowa małych balonów pęknie, dopiero zaczniemy tracić wysokość, a nawet wtedy to będzie stupniowo. Niemożliwe jest, by pęknęły wszystkie na raz.

Felix widział sens tej argumentacji. Skoro balon nad nimi zawiera tysiące mniejszych balonów,

to istotnie mało prawdopodobne było, by pękły wszystkie na raz – nawet, gdyby zostali zaatakowani setkami strzał, przebite zostaną tylko torby powietrzne na zewnątrz, jeśli strzałom uda się w ogóle przebić przez zewnętrzną strukturę balonu. Najwyraźniej Makaïsson długo obmyślał kwestie bezpieczeństwa swojego dzieła.

Gdzieś w tyle okrętu rozległ się dzwonek. Felix rozejrzył się i zobaczył, że kładka została wsunięta na miejsce i zatrzaśnięto drzwi, by zamknąć otwór. Felix poczuł się odrobinę bardziej bezpieczny.

– To znak, co powinniśmy odlatywać – rzekł Makaïsson. Pociągnął jedną z mniejszych dźwigni w pobliżu dłoni i rozległ się gwizdek parowy. Nagle na pokładzie zaroilo się od inżynierów zajmujących swoje stanowiska. Felix usłyszał wiwaty dobiegające z ziemi poniżej.

– Trzymta się! – krzyknął Makaïsson i pociągnął kolejną dźwignię. Gdzieś z wnętrza okrętu dobiegł odgłos ruszających silników. Ich ryk był ogłuszający. Po bokach statku krasnoludy zaczęły nawijać liny cumownicze na wielkie bębny, zupełnie jak grupa marynarzy podnosząca kotwicę. Felix wyczuł powolne poruszenie. Jego twarz uderzyły poddmuchy powietrza. Statek zaczął się unosić i ruszać naprzód. Felix mimo woli podszedł do boku okrętu i wyjrzał przez iluminator. Ziemia zaczęła się usuwać spod nich, a budowle Samotnej Wieży oddalały się coraz bardziej. Drobne postacie krasnoludów na ziemi machały do nich i pod wpływem impulsu Felix również potriachał. Potem przytłoczyło go straszne uczucie zawrotu głowy i musiał cofnąć się od okna.

Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że naprawdę znajduje się na latającym statku zmierzającym ku nieznanemu. Przez chwilę zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze wylądują. O ile wiedział, na Pustkowiach Chaosu nie było żadnych hangarów, ani wielkich stalowych wież.

Varek poprowadził go w dół po metalowej drabince przyspawanej do konstrukcji statku powietrznego. Felix cieszył się, że mógł zejść z mostka kapitańskiego, oddalić się od tłumu podekscytowanych krasnoludów. Buczenie silnika było słyszalne nawet przez grubą stal kadłuba pojazdu, a czasami, bez żadnego zauważalnego powodu podłoga pod Felixem ugięła się nieznacznie.

Nagle cały pojazd szarpnął w jedną stronę. Felix instynktownie wyciągnął ręce, by zaprzeć się o ścianę. Serce podskoczyło mu do gardła i przez chwilę był przekonany, że zaraz runą ku własnej śmierci. Zauważył, że pocił się cały, pomimo chłodu.

– Co to było? – spytał nerwowo.

– Zapewne tylko boczny wiatr – powiedział radośnie Varek. Widząc zmieszanie Felixa zaczął wyjaśniać. – Znajdujemy się w części statku, która nazywana jest gondolą. Nie jest sztywno przyczepiona do balonu nad nami. Właściwie zwisamy pod nim na linach. Czasami wiatr uderza nas z jednej strony i cała gondola zaczyna się huścić w tę stronę. Nie ma się czego obawiać. Makaïsson zaprojektował statek powietrzny tak, abyśmy mogli w razie potrzeby przetrzymać silne poddmuchy – a przynajmniej tak twierdzi.

– Mam nadzieję, że ma rację – rzekł Felix, opanowując się na tyle, by jeszcze raz uczynić kolejny krok.

– Czyż to nie jest ekscytujące, Felixie? – spytał Varek. – Wuj powiada, że jesteśmy prawdopodobnie pierwszymi lotnikami docierającymi na taką wysokość w maszynie!

– To oznacza tylko tyle, że będziemy dłużej spadać – mruknął Felix.

Felix leżał na krótkim krasnoludzkim łóżku i gapił się na nitowany stalowy sufit swojej koi. Z trudem przychodziło mu odprężenie się, gdy myślał o wielkiej pustce pod nim i powtarzającymi się od czasu do czasu wstrząsami pojazdu. Z przyjemnością odkrył, że łóżko zostało przykręcone do podłogi kabiny, aby uniemożliwić przesuwanie się. To samo dotyczyło metalowego kufra, do którego

wrzucił swój bagaż. To był dobry projekt i wskazywał, że krasnoludy pomyślały o rzeczach, które jemu nie przyszłyby do głowy. Musiał przyznać, że to było dla nich typowe. Wszystko robili tak, jakby nie istniało nic innego poza ich projektami.

Obrócił się na brzuch i przycisnął twarz do iluminatora, małego koła z bardzo grubego szkła osadzonego w boku statku powietrznego. Niemal natychmiast poczuł na końcu nosa zimno, a jego oddech pozostawił parę na szybie. Wytarł ją i zobaczył, że wznieśli się jeszcze wyżej, a pod nimi leżały chmury w bezkresnym falującym morzu bieli.

Felix pomyślał, że to był widok, którego doświadczali tylko bogowie i czarownicy. Poczuł przebiegający przez całe ciało dreszcz podniecenia. Przez przerwę w chmurach, która nagle się pokazała, dostrzegł mozaikę pól i lasów rozciągających się daleko poniżej. Byli tak wysoko, że przez chwilę mógł oglądać powierzchnię świata niczym mapę, przesuwając wzrok z wioski na wioskę. Podążał oczami za biegiem rzek i strumieni, jakby były kreskami narysowanymi przez jakiegoś niebiańskiego kartografa. Potem znowu zobaczył chmury, leżące pod nim niczym zaśnieżone pole. Niebo nad nimi jaśniało nieprawdopodobnym błękitem.

Gondola Ducha Grunniego była imponująca, chociaż zatłoczona i dość klaustrofobiczna, jak dla Felixa. Miała rozmiary barki rzecznej, a z pewnością była znacznie wygodniejsza. W drodze do jego kajuty minęli wiele innych izb. Była tu mała i dobrze wyposażona kuchnia, łącznie z przenośnym paleniskiem. Na statku znajdowała się mesa mogąca pomieścić trzydziestu krasnoludów zebranych na posiłek. Pokój map wypełniony został wykresami i tabelami, mała biblioteka mieściła natomiast wiele tomów. Był nawet mały luk ładunkowy upakowany drewnianymi skrzyniami. Varek zapewniał, że skrzynki zawierają dość jedzenia i sprzętu potrzebnego do dalszej podróży na północ. Słyszając to Felix postanowił nie zapomnieć, by podczas następnego postoju – jeśli taki nastąpi – zabrać trochę ciepłych ubrań i wyposażenia. Zakładał, że im bardziej na północ będą podróżowali, tym będzie zimniej.

Felix zastanawiał się, czy to wszystko oznacza, że postanowił polecieć tam z krasnoludami. Nie był pewien. W jakiś sposób wizja była ekscytująca: daleka podróż potężnym statkiem powietrznym ku miejscom, których od trzech tysięcy lat nie oglądał żaden człowiek. Gdyby tylko zmierzali do innego miejsca, niż Pustkowie Chaosu, Felix był pewien, że wówczas zgodziłby się na to natychmiast.

Nie należał do szczególnie odważnych, a jednak, bez fałszywej skromności, nie uważał się też za tchórza. Ekscytowała go myśl o możliwościach tego pojazdu. Góry i morza nie stanowiły przeszkody dla maszyny, która mogła po prostu nad nimi przelecieć z prędkością większą niż jakiegokolwiek inny statek. Zgodnie z tym, co mówił Varek, okręt mógł przemierzyć dwieście mil dziennie. Była to zdumiewająca prędkość.

Felix szacował, że razem z Zabójcą pokonaliby podobny dystans w ponad miesiąc, poruszając się piechotą lub na wozie. Pojazd był w stanie dotrzeć do Arabii lub Dalekiego Kitaju w czasie krótszym niż tydzień, podczas gdy takie podróże trwały wiele miesięcy. Zakładając, że nie rozbije się, ani nie zostanie zrzucony z nieba przez burzę lub zaatakowany przez smoka, stanowił zdumiewające osiągnięcie w rozwoju lokomocji. Możliwości handlowe były ogromne. Można by go użyć do transportu między miastami niewielkich nietrwałych ładunków. Pojazd mógł wykonać pracę setek kurierów lub dyliżansów. Felix był pewien, że wielu zapłaciłoby choćby tylko za możliwość zobaczenia oszałamiających widoków, które oglądał przez przerwy w obłokach. Uśmiechnął się ironicznie, zdając sobie sprawę, że myślał tak jak zapewne uczyniłby to jego ojciec w podobnych okolicznościach.

Ale cóż ci krótkonodzy idioci zamierzali zrobić po skonstruowaniu tak zdumiewającego pojazdu?

Oczywiście, nie mniej, nie więcej, tylko polecieć prosto do najbardziej zabójczych pustkowi na planecie, do miejsca, gdzie, jak wpajano to Felixowi, mieszkały zastępy *demonów* i potworów oraz tych, którzy zapredali swoje dusze Mrocznym Potęgom. Gotrek potwierdził, że to przeświadczenie było prawdą.

Felix zastanawiał się nad tym. Czy jakiś przymus zawsze kierował umysły krasnoludów w poszukiwaniu zniszczenia i klęski? Wydawali się smakować opowieści o katastrofach i nieszczęściach z taką przyjemnością, z jaką ludzie snują epickie opisy triumfów i heroizmu. Najwyraźniej lubili rozdrapywać swoje porażki i przypominać zatargi z resztą świata. Felix wątpił, czy kult podobny Zabójcom znalazłby wyznawców w Imperium, a potem szybko sobie coś uświadomił. To z pewnością mogło być możliwe. Nawet niewiarygodnie źli Bogowie Chaosu znajdowali wyznawców pośród jego ludu, zatem pewnie nie brakowałyby ludzkich Zabójców, gdyby tylko mogli się pojawić.

Odrzucił te nie prowadzące do niczego rozważania i spostrzegł, że dotąd nie podjął żadnej decyzji co do dalszego towarzyszenia krasnoludom. Podejmie ją, gdy się zatrzymają.

Jeśli się zatrzymają, poprawił się.

Lurk wyciągnął mięśnie zastale z bezruchu. Był ciekaw, gdzie się znajduje. Zastanawiał się, co powinien zrobić. Już od wielu godzin nie miał kontaktu z Szarym Prorokiem Thanquolem. Od wielu godzin odczuwał wrażenie izolacji, które było dla niego nowym doświadczeniem i w pewien sposób przerażającym.

Urodził się w wielkich wylęgarniach Skavenblight, będąc najstarszym ze średnich rozmiarów miotu dwudziestu szczeniąt. Wyrósł w zatłoczonej norze otoczony przez rodzeństwo. Mieszkał w mieście szczelnie wypełnionym setkami i tysiącami skavenów. Gdy opuszczał miasto, zawsze wypełniał obowiązki wojskowe. Stanowił wówczas część wielkiego oddziału skavenów. Były ich setki nawet w najmniejszych posterunkach strażniczych. Zawsze żył, jadł, wydalał i spał w zasięgu pisku swoich pobratymców. W jego życiu nie było godziny, w której nie otaczał go zapach ich piżma i odchodów lub stałe odgłosy cichych poruszeń.

Po raz pierwszy w życiu odczuwał tę nieobecność jak ostry ból. Czuł się, jak nagle oślepiony, pozbawiony światła. Z pewnością, wszyscy jego bracia byli rywalami w walce o łaskę przełożonych. Z pewnością, wszyscy wbiliby mu nóż w plecy za token miedzi, podobnie jak zrobiłby to on sam. Ale zawsze tam byli. Ich zmasowana obecność była uspokajająca, gdyż świat był pełen niebezpieczeństw i pomniejszych ras nienawidzących potężnego rodu skavenów za jego potęgę. Wśród tłumu znajdował poczucie bezpieczeństwa przed każdym zagrożeniem. Teraz był odizolowany, głodny i miał wielką ochotę wypuścić piżmo strachu, chociaż w pobliżu nie było żadnego skavena, który wyczułby to ostrzeżenie. Teraz mógł tylko nasłuchiwać swojego łomoczącego serca i zdjęty paraliżującym przerażeniem starać się ukryć łeb w łapach. Podczas tej strasznej chwili zdał sobie sprawę, że brakuje mu nawet obecności Szarego Proroka Thanquola w jego umyśle. To było okropne odkrycie.

I właśnie w tym momencie cały okręt zaczął się trząść.

Zaalarmowany Felix otworzył oczy. Stwierdził, że musiał się zdrzemnąć. Co to był za łomot? Dlaczego ściany się trzęsły? Czemu jego łóżko się poruszało? Powoli do jego skołowanego umysłu dotarło, że znajdował się na krasnoludzkim statku latającym i wyglądało na to, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Podłoga podrygiwała, a on czuł wibracje przez materac, na którym leżał. Zlął z łóżka, wstał i rąbnął się boleśnie o sufit.

Zwalczył klaustrofobiczne przerażenie, gdy cały okręt skrzypiał, trzeszczał i drżał wokół niego. Oczami wyobraźni zobaczył, jak statek pęka i wszyscy spadają ku śmierci. Czemu pozwolił sobie na postawienie stopy na tej straszliwej maszynie, pytał się otwierając drzwi. Czemu zgodził się towarzyszyć tym krasnoludzkim maniakom, aż tak daleko?

Spodziewając się, że w każdej chwili może stać się coś strasznego, uchylił drzwi i wysunął na korytarz, modląc się rozpaczliwie do Sigmara, by wybawił go z tej opresji. Miał jednak nadzieję, że pożyje na tyle długo, by dowiedzieć się, co się dzieje.

W drodze

Chybotanie statku powietrznego posłało Felixa głową naprzód w kierunku korytarza. W oczach zaśniły mu gwiazdy, a ból rozdarł głowę, gdy uderzył czaszką w jedną z metalowych ścian. Gdy zaczął podnosić się na nogi, zorientował się, że zaraz rąbnie głową w sufit, przykucnął więc i zaczął czołgać się wzdłuż korytarza.

Wśród różnych przerażających sytuacji, z jakimi się zmierzył, ta była być może najstraszniejsza. W każdej chwili spodziewał się, że kadłub pęknie, porwie go wiatr, a potem nastąpi długi upadek ku śmierci. Pomyślał, że gondola mogła już oderwać się od balonu i spada ku ziemi. W każdej chwili mogło nastąpić uderzenie o twardą ziemię.

Sam strach przed upadkiem nie był tak przerażający. Najgorsze było wrażenie bezsilności. Po prostu nie mógł uczynić nic, by uciec z tego miejsca. Nawet gdyby udało mu się dotrzeć do sterówki, nie wiedział, jak kierować pojazdem. Nawet, gdyby dotarł do wyjścia, od ziemi dzieliło go tysiąc stóp. Nigdy wcześniej nie doświadczał czegoś podobnego. Nawet w środku bitwy, otoczony przez wrogów, zawsze czuł się panem swojego losu. Mógł wywalczyć swoje przetrwanie dzięki zręczności i zaciekłości. Na miotanym przez sztorm, tonącym okręcie. Mógł coś zrobić. Mógł wyskoczyć do morza i płynąć po życie. W obu przypadkach szanse były nikłe, ale przynajmniej był w stanie coś uczynić. Tu i teraz pozostawało wyłącznie pełzanie po klaustrofobicznym chodniku otoczony napierającymi, drżącymi ścianami ze stali i modlitwa do Sigmara, by go oszczędził.

Przez chwilę groziło, że opanuje go ślepa panika i zwinie się w nieruchomy kłębek. Zmusił się do normalnego oddychania i odrzucił te myśli. Nie robi niczego, co mogłoby go poniżyć w oczach tych krasnoludów. Jeśli nadejdzie śmierć, przywita ją dumnie wyprostowany, a przynajmniej przykucnięty. Zmusił się do wstania i powoli ruszył w stronę sterówki.

Właśnie gdy zaczął gratulować sobie determinacji, statek powietrzny uniósł się i opadł gwałtownie, niczym okręt uderzony przez wielką falę. Przez dłuższą chwilę był pewien, że nadszedł koniec i stał w tym miejscu czekając na powitanie bogów. Po kilku uderzeniach serca zrozumiał, że nie był martwy, a po kilku następnych zebrał się na tyle w sobie, by uczynić kolejny krok naprzód.

Na mostku kapitańskim nikt nie okazywał żadnych oznak paniki. Inżynierowie o napiętych obliczach przechodzili w tę i z powrotem, sprawdzając wskaźniki i pociągając za dźwignie. Makaïsson stał mocując się z kołem sterowym. Pod jego skórzanym ubraniem widoczne były naprężone ogromne mięśnie. Grzebień włosów jeżył się pod hełmem. Wszystkie krasnoludy stały na szeroko rozstawionych nogach utrzymując doskonałą równowagę. W odróżnieniu od Felixa nie mieli problemów ze staniem prosto. Ogarnęła go zazdrość. Pomyślał, że może działo się tak dlatego, ponieważ byli mniejsi, rozrośnięci w ramionach i ciężsi. Niższy środek ciężkości. Cokolwiek to było, żałował, że tego nie ma.

Jedynie Varek nie wyglądał najlepiej. Jego twarz przybrała paskudny odcień zieleni. Krasnolud okrywał dłonią swoje usta.

- Co się dzieje? – spytał Felix. Był dumny, że udało mu się wydobyć z siebie normalny głos.
- Nima siem czym obawiać! – ryknął Makaïsson. – To tylko trochem turbulencji!
- Turbulencji?
- Aye! Powietrze pod namy jest trochem poruszone. Trochem jak fale na wodzie. Nie martwij się! Za drwiłem siem uspokoi. Widziałech to już wcześniej.

– Nie martwię się – skłamał Felix.

– Dobrze! To jest duch! Ten stary okręt został zbudowany na znacznie gorsze niżli to! Zaufaj mnie! Wiem dobrze – sam zbudowałem to cholerstwo!

– Właśnie tego się obawiam – mruknął do siebie Felix.

– Ach, nadal żałuję, że nie nazwali go Niepowstrzymanym! Nie mogę zrozumieć, czemu siem nie zgodzili.

Lurk znowu wypuścił piżmo strachu. Wnętrze skrzyni cuchnęło już od tego. Jego futro było pokryte małymi kroplami. Chciał się opanować, ale nie potrafił. Łomotanie i chybotanie krasnoludzkiego statku powietrznego przekonało go, że zaraz zginie. Wiedział, że musi przestać, że odór piżma może tylko zwrócić na niego uwagę, ale ta myśl przeraziła go jeszcze bardziej i nadal pryskał ohydny, gryzący smrodem. Gorzko przeklinał Thanquola i jego machinacje, które sprawiły, że znalazł się w tym niebezpiecznym miejscu. Zastanawiał się, co robił w tej chwili szary prorok?

Thanquol siadł przygarbiony w odosobnionej pieczarze wysoko w górach rozmyślając, w jaki sposób odzyskać kontakt z Lurkiem i dowiedzieć się o położeniu statku powietrznego. Obserwował jego odlot, a serce przepęniała mu żądza posiadania tej rzeczy, która nie równała się z niczym, czego do tej pory doświadczył. Wreszcie zrozumiał, nad czym pracowały krasnoludy i co ta rzecz sobą reprezentowała.

Zastosowania militarne były nieograniczone. Sądząc po prędkością, z jaką pojazd nabral wysokości i odleciał, musiał być zdolny do przelotu z jednego końca Starego Świata do drugiego w czasie krótszym niż tydzień. Jego umysł zapełniła wizja wielkiej floty takich okrętów unoszących niepokonane legiony skavenów ku pewnemu zwycięstwu. Niebo pociemnieje od potężnych pojazdów ozdobionych sztandarem Rogatego Szczura i Thanquola, ulubionego sługi. Będzie można przemieszczać armie poza linie oszalałych wrogów zanim zdążą się zorientować, co się dzieje. Miasta padną na kolana powalone za pomocą bomb, kul z gazem i załączków zarazy zrzucanych z góry.

Patrząc na ten okręt Thanquol wiedział, że patrzy na szczytowe osiągnięcie technologiczne w Starym Świecie. Wiedział, że przeznaczeniem rasy skavenów jest przejęcie go i udoskonalenie w ich własny niesamowity sposób. Wyposażony w doskonałe skaweńskie silniki i broń okręt powietrzny stanie się lepszy, szybszy i potężniejszy, niż wyobrażali to sobie jego twórcy. Thanquol rozumiał, że jego obowiązkiem wobec swojego ludu i przeznaczeniem przywódcy, którym był, jest zdobyć ten statek powietrzny, bez względu na koszt i czas, jaki to zabierze. Tylko równie błyskotliwy skaven mógł zrozumieć prawdziwy potencjał tego pojazdu. Musi go mieć!

Ale teraz pierwszym problemem było dowiedzieć się, gdzie znajduje się okręt. Stracił kontakt z Lurkiem, gdy jego porucznik znalazł się poza zasięgiem kamieni mówiących. Thanquol wiedział, że musi go rozszerzyć i spróbować odnowić kontakt za pomocą czarodziejstwa. Łącze między kamieniami Thanquola i jego pomagiera nadal istniało, ale zakłęcie nie miało po prostu wystarczającej mocy. Thanquol wierzył, że jest w stanie to naprawić, jeśli tylko wszystko się uda.

Szybko rozejrzał się po jaskini. To było dobre miejsce, jedno z wejść do wielkiej sieci tuneli, które łączyły Pod-Imperium. Było to miejsce, gdzie ocaleni po ataku na Samotną Wieżę zebrali się z dala od zemsty krasnoludów. To była długa, męcząca wędrówka przez noc i Thanquol po dotarciu do jaskini był bardzo zmęczony. Nie czuł się równie wyczerpany od wielu lat. A jednak nie zamierzał pozwolić, by zmęczenie przeszkodziło mu w zdobyciu statku powietrznego.

Dotknął amuletu smukłym pazurem, który kończył jeden z jego delikatnych palców. Odczuł

napływ energii spaczenia uwiecznionego wewnątrz talizmanu. Cierpliwie wysłał swoje myśli wzdłuż cienkiego ektoplazmatycznego łącza, które wychodziło z amuletu. Dobrze było wiedzieć, że nadal istnieje w jakiejś formie, chociaż zostało rozciągnięte poza odległość, na jaką dotychczas sięgały jego wizje. Powoli, szary prorok zbierał swoją moc i wysyłał umysł coraz dalej. Zamknął oczy, by dopomóc sobie w koncentracji, miał wrażenie jakby wyciągał się coraz bardziej ponad jakąś otchłanią.

To było na nic. Nie mógł nawiązać kontaktu na taką odległość bez pomocy. Sięgnął do swojego woreczka i sychnął obficie proszkiem ze spaczenia zażywając go łakomie. Moc wspomogła go, dając mu potrzebną siłę. Daleko stąd, w ogromnej oddali wyczuł słabą, przestraszoną obecność nikczemnego Lurka. Uśmiech triumfu obnażył kły Thanquola. Natychmiast dowiedział się w jakiej odległości znajdował się okręt powietrzny i w jakim kierunku leciał. Może go odnaleźć ponownie, gdy tylko zechce. Teraz potrzebował więcej szczegółowych informacji.

Lurk, słuchaj mnie! Oto twoje rozkazy!

Tak, o najpotężniejszy z panów! – nadeszła odpowiedź.

Felix wyjrzał zdumiony przez okno sterówki. Turbulencje minęły. Nadeszła noc. Pod nimi dostrzegał niezliczone światła, znaczące obecność tawern i wiosek rozciągających się na wzgórzach i równinach Imperium. Niektóre z nich poruszały się zdradzając położenie powozów mknących do zajazdów i innych ustroni. Po lewej stronie dostrzegł księżycowe lśnienie na rzece i plamy bardziej gęstego cienia, które pokrywały las. To był widok o dziwnym, osobliwym pięknie i coś mówiło Felixowi, że niewielu ludzi widziało to kiedykolwiek.

Minęli turbulencje burzy i wszystko zdawało się działać normalnie. Buczenie silników było regularne. Żaden z krasnoludów nie zdradzał objawów podenerwowania. Nawet Varek nie był już tak zielonkawy i odszedł na odpoczynek do swojej kabiny. Na mostu kapitańskim panował spokój.

Byli w powietrzu od wielu godzin i Felix zaczął nareszcie wierzyć, że statek naprawdę potrafi latać. Przetrwiał wcześniejsze wstrząsy i chybotania. Poza guzem na czole nie spotkało go nic złego. Zaczął czerpać radość z przebywania w powietrzu, podróżowania ze zdumiewającą wysokością i niezwykłą prędkością. Była to niezwykła zmiana w stosunku do tego, jak czuł się kilka godzin temu.

Rozejrzał się. W słabym świetle lampy widział, że na mostku znajdowała się tylko nieliczna załoga. Większość krasnoludów udała się na spoczynek. Makaisson rozwalił się na wyściełanym fotelu dowódcy, podczas gdy inny inżynier przejął koło. Miał zamknięte oczy, ale na jego twarzy widniał maniackalny uśmiech zasłużonego triumfu. Za nim, plecami do Felixa, Borek opierał się na swojej lasce i wyglądał przez okno. Felix podszedł do niego przykucnięty szurając nogami obolałymi od utrzymywania nienaturalnej pozycji.

– Dokąd zmierzamy? – zapytał cicho Felix.

– Do Middenheim, Herr Jaeger. Weźmiemy trochę paliwa i zapasów oraz kilku nowych pasażerów, a potem skierujemy się na północny wschód w stronę Kisleva i Krainy Trolli. Makaisson powiada, że straciliśmy nieco czasu walcząc z wiatrem, ale powinniśmy dotrzeć do miasta na górze jutrzejszym świtem.

– Świtem! Ależ między Samotną Wieżą i Miastem Białego Wilka musi być mnóstwo mil.

– Aye. To jest szybki okręt, czyż nie?

Felix przyjął to już do wiadomości, ale emocjonalnie nadal nie mógł w to uwierzyć. Nie uwierzy, zanim nie ujrzy wąskich, krętych ulic Middenheim pod sobą. Łatwo było obliczyć w głowie, jak szybko porusza się statek. Co innego było tego doświadczyć.

– To jeden z cudów wieku – powiedział z uczuciem Felix.

Borek szarpnął za brodę swoimi sękatymi palcami i pokuśtykał na siedzenie. Był to wielki, wyściełany skórą fotel przystosowany dla krasnoludów. Został przymocowany do krótkiej kolumny, na której się obracał i miał uprząż, która utrzymywała siedzącego. W tej chwili leżała luźno na podłodze. Stary krasnolud z ulgą zapadł się w fotel, wyciągnął fajkę i zapalił. Zmierzy! Felixa jasnym wzrokiem.

– Otóż to! Miejmy nadzieję, że wystarczy do naszych celów. Bowiem, jeśli zawiedzie, najpewniej nigdy nie będzie następnego.

Lurk otworzył skrzynię i zebrał się na odwagę. Powoli, cicho wygramolił się z masy skrzyń. Od razu zrozumiał, że Rogaty Szczur uśmiechnął się do niego. Gdyby skrzynia, w której się ukrył znajdowała się na spodzie tej masy, nigdy nie byłby w stanie wyrwać się na wolność. Waga pozostałych skrzyń nad nim uwięziłaby go i skazała na powolną śmierć z głodu.

Zatrzymał się, pociągnął nosem i powąchał powietrze. Nie wyczuwał w pobliżu niczyjego zapachu. Jego oczy badały ciemność. Były dobrze przystosowane do tego zadania. Skayeni byli rasą zamieszkującą tunele. Chociaż w świetle dnia mieli gorszy wzrok niż ludzie, znacznie lepiej widzieli w półmroku. W ładowni nie było znaku obecności kogokolwiek. Dla większości ludzi ładownia wydawałaby się być pogrążona w całkowitych ciemnościach. Lurk domyślał się, że to zapewne znaczy, iż na zewnątrz panuje noc.

Pierwszą rzeczą, jaką musiał zrobić, to przenieść swoją kryjówkę. Gdyby jakiś krasnolud zajrzał do skrzyni, zdziwiłby się widząc ją podejrzanie pustą i śmierdzącą jego piżmem i odchodami. Szybko by się domyślili, że na pokładzie mają pasażera na gapę, a potem zaczęliby szukać. Już sama myśl o tym wywołała skurcz gruczołów piżmowych Lurka.

Jak się okazało, pusta skrzynka była dość lekka i z niewielkim trudem podniósł ją i umieścił z tyłu rzędów podobnych skrzyń. Może powinien pomyśleć o włożeniu czegoś do środka, by każdy, kto ją podniesie nie zauważył podejrzanego lekkości. Nie mógł jednak za nic wykombinować, jak to zrobić, zatem porzucił rozważanie tego problemu i skierował myśli na coś innego. Był głodny!

Na szczęście wyczuwał jedzenie. W pobliżu znajdowały się worki z ziarnem. Odgryzł róg jednego z nich i zanurzył głęboko pysk żując i połykając dziko, by zaspokoić głód. W odległym kącie spostrzegł setki wędzonych szynek wiszących na stalowym wieszaku. Z pewnością nikt nie zauważył braku jednej z nich, a wiedział, że to zaspokoi żołądek lepiej niż ziarno. Chwycił poćiec mięsa i pochłonął go chciwie. Żałował, że nie było świeże i surowe, ale przypuszczał, że nie powinien żądać wszystkiego od Rogatego Szczura. Wepchnął resztę poćcia w ubranie zostawiając go na później. Teraz nadszedł czas, by wykonać misję zleconą przez Szarego Proroka i według jego poleceń przeszukać okręt.

Powoli ruszył naprzód korzystając z umiejętności skradania się, jakie nabył podczas długich lat przygotowywania zasadzek i podchodów. Jego naturalna postawa była pochylona do przodu i nie miał problemu z poruszaniem się na wszystkich czterech łapach. Właściwie, gdyby podłoga nie była metalowa i gdyby nie był otoczony przez wrogów, czułby się tutaj zupełnie jak w domu. Te niskie, szerokie korytarze dziwnie przypominały mu skaveńską norę.

Opanował uczucie nostalgii. Przed nim znajdowała się metalowa drabina przymocowana do ściany. Wdrapał się po niej z łatwością i ruszył w dół długiego korytarza. Wokół siebie słyszał chrapanie, znaczące, że niczego nie spodziewające się krasnoludy śpią. Pomyślał, że gdyby tylko miał teraz ze sobą oddział swoich sztormverminów, mógłby przejąć cały statek. Niestety, tak nie było, więc poszedł dalej.

Przed sobą usłyszał dźwięk wznoszących się i opadających tłoków oraz głosy krasnoludów

przekrzykujących się przez hałas. Powoli, z łomoczącym sercem, wsunął łeb do środka i spojrzął. Na szczęście, krasnoludy w środku były odwrócone plecami do niego. Rozejrzał się. Pokój wypełniały wielkie maszyny. Koła zębate obracały się, tłoki pompowały, a ze ściany wystawały dwie ogromne obracające się korby. Jakiś głęboko ukryty instynkt powiedział Lurkowi, że udało mu się znaleźć maszynownię. Nie miał pojęcia, na co przyda mu się ta wiedza, ale czuł, że dobrze by było donieść o tym fakcie Szaremu Prorokowi Thanquolowi.

Nie chcąc nadużywać swojego szczęścia, cofnął się i wrócił po śladzie swojego zapachu do ładowni. Nadal nie wiedział czego szuka, a przez iluminatory w bokach statku widział, że słońce zaczyna wznosić się nad horyzontem. Chciał ukryć się ponownie zanim załoga obudzi się na dobre.

Wyglądając przez iluminator zrozumiał nagle, że znalazł odpowiedź na pytanie Szarego Proroka. W oddali widział wielką górę wznoszącą się nad lasem. Szczyt zwieńczony był wieżami ludzkiego miasta. Znał to miasto.

Przez długie lata stanowił część skaveńskiego garnizonu, który zamieszkiwał tunele pod szczytem, gotowy w każdej chwili infiltrować metropolię znienawidzonych wrogów. Statek powietrzny kierował się do miejsca nazywanego przez ludzi Middenheim, Miastem Białego Wilka.

Felix otworzył oczy. Usnął w jednym z foteli sterówki. Od razu zauważył, że dźwięk wydawany przez silniki zmienił się i pojazd trząsnął lekko, tracąc wysokość. Wstał i dopiero w ostatniej chwili przypomniał sobie, by się schylić zanim rąbnie głową w sufit. Podszedł powoli do okna i zobaczył sylwetki odległych wież na tle wschodzącego słońca. To był niezwykle piękny widok, bowiem budynki wyrastały wokół wielkiej fortecy zajmującej sam szczyt ogromnej góry. Dotarli do Middenheim mniej więcej o czasie.

Wyglądając przez okno dostrzegł duże stworzenie zaczynające się wznosić z cytadeli i lecieć ku statkowi powietrznemu. Miał szczerą nadzieję, że stwór nie miał wrogich zamiarów.

Middenheim

Felix przyglądając się z fascynacją dostrzegł, że stworzenie było skrzydlatym koniem, jednym ze słynnych pegazów. Jego jeździec nosił długie szaty i ozdobną czapkę czarodzieja. W dłoni trzymał kulę ognia, a Felix wiedział, że tajemniczy jeździec *może* uwolnić ją jednym gestem. Widział czarowników Imperium na polach bitew i znał straszliwą moc, którą władali.

Czarodziej skierował wielkiego latającego rumaka wzdłuż statku powietrznego. Potężne skrzydła poruszały się rytmicznie z łatwością utrzymując stworzenie na równi z okrętem. Mag spojrział na pojazd, a Borek podniósł się z fotela i utykając podszedł do okna. Pomachał do człowieka, który odpowiedział mu radosnym wyrazem twarzy. Uderzył wierzchowca ostrogami i ruszył naprzód nakazując gestem, by podążali za nim.

Makaïsson przejął ster i zaczął delikatnie korygować kurs. Statek powietrzny zareagował szybko tracąc prędkość i wysokość. Kierowali się ku iglicom miasta.

Spoglądając na dół Felix dostrzegł, że wybrukowane ulice były pełne ludzi. Patrzyli w górę zdumieni, zadzierając głowy, by lepiej przyjrzeć się pojazdowi przesuwającemu się nad nimi. Na niektórych twarzach widniało zdziwienie, na innych – zwykły strach. Felix zrozumiał, że bez względu na to, czy ci ludzie na dole zdawali sobie z tego sprawę, czy nie, byli świadkami przemijania dawnego sposobu życia.

Przez tysiące lat ich miasto spoczywało bezpiecznie i nieprzeniknione na swoim skalistym orlim gnieździe. Jedyna droga do miasta prowadziła długą, wąską, krętą ścieżką z boku urwiska lub poprzez wyciąg linowy biegnący do wiosek poniżej. Podczas całego istnienia miasta nie udało się go podbić żadnemu najeźdźcy. To było miejsce, gdzie dziesięciu mężczyzn mogło z łatwością powstrzymać tysiące przeciwników, co zresztą często się zdarzało. Istniało wszakże niewiele pegazów, wywern i innych latających wierzchowców, a z pewnością nie było wielkich armii składających się z takich stworzeń.

Duch Grungniego zmienił to wszystko. Mógł unieść całą kompanię wojska. Flota takich okrętów dostarczyłaby armię na wierzchołek góry. Dziwnie wyglądające działa, które zauważył po bokach statku mogły zbombardować wybrukowane ulice i gliniane dachy z wysokości, z jakiej nie uczynił tego jeszcze żaden z przeciwników prowadzących oblężenie. Dziś zaczynała się nowa era i Felix zastanawiał sobie, czy ktokolwiek poza nim zdał sobie z tego sprawę.

Przelecieli nad stromymi i krętymi ulicami. Wąskie, wysokie budynki miasta wznosiły się ku centralnemu szczytowi, na którym dominowały bliźniacze, masywne gmachy Pałacu Hrabiego Elektora i wielka Świątynia Ulrica, Pana Wilków. Obie ogromne budowle spoglądały na siebie przez największy plac miasta i statek powietrzny spoczął ponad tą otwartą przestrzenią z doskonałym widokiem na labirynt dachów i kominów rozciągający się pod nimi.

Przez kilka ostatnich minut Felix zastanawiał się, jak ta operacja zostanie przeprowadzona i teraz przyglądał się jej zafascynowany. Najwyraźniej spodziewano się ich przylotu. Grupa krasnoludów zebrała się na placu, gdzie wielkie metalowe pierścienie były już wbite w kamienie na rynku. Makaïsson pociągnął za jedną z dźwigni sterowniczych i odgłos silników zmienił się.

– Silniki wsteczne – krzyknął – Trzymta siem!

Felix miał tylko kilka chwil na zrozumienie, o co chodziło krasnoludowi, gdy statek powietrzny zwolnił i zatrzymał się. Wówczas Makaïsson przesunął dźwignię w położenie neutralne, a hałas silników ustał zupełnie.

– Wyrzućta kotwice!

Grupa inżynierów stanęła przy linach cumowniczych. Uderzyli w blokady i kable rozwinęły się opadając na zewnątrz niczym kotwice. Krasnoludy na dole były już gotowe. Schwyciły liny i szybko przymocowały je do haków. W ciągu kilku chwil statek powietrzny został pewnie osadzony na miejscu. Felix nadal nie był jednak pewien, jak zejść na dół. Wkrótce jego ciekawość została zaspokojona.

To była długa droga na dół. Znajdowali się na samym spodzie gondoli i wyglądali przez wielki właz, który otworzył właśnie jeden z inżynierów. Gdy Felix patrzył na to, przez otwór spuszczone drabinkę linową. Jeden z krasnoludów na placu złapał ją i próbował przytrzymać, ale pomimo jego wysiłków drabinka bujała się w jedną i drugą stronę.

Gotrek wyrzwał przez właz, schwycił linę i wysunął się na otwartą przestrzeń. Zaczął schodzić na dół, zwinnie jak małpa. Używał tylko jednej ręki, bez cienia strachu ściskając w drugiej swój potężny topór.

– Za tobą, Felixie – rzekł Snorri.

Felix spojrzał w dół. Było wysoko, ale jeśli miał zamiar postawić znowu stopy na twardej ziemi, musiał użyć drabinki. Wysunął się na zewnątrz i poczuł przez chwilę mdłości, gdy jego stopy uderzyły w puste powietrze zanim trafiły na linę. Następnie schwycił najwyższy szczebel rękami i zaczął schodzić, przywierając kurczowo do drabinki, gdy wiatr szarpał jego płaszczem i wyciskał łyżę z oczu.

Drabinka linowa nie była stabilna pod żadnym względem. Huśtała się bez przerwy na wietrze. Felix żałował, że nie nosił rękawic, bowiem lina wbijała się boleśnie w jego dłonie. Zmusił się do postawienia stopy na szczeblu poniżej, a potem zrobił to z następną. Korzystając z doświadczenia nabytego na pokładzie statku latającego wiedział, że lepiej nie patrzeć w dół. Gdy był na poziomie dachów z zaskoczeniem zauważył ludzi wychylających się przez okna i machających do niego. W oddali słyszał wiwatowanie.

Gdy spojrzał w poszukiwaniu źródła hałasu zakreśliło mu się w głowie. Zobaczył, że plac został otoczony przez tłum ludzi, których powstrzymywali elitarni hrabiowscy gwardziści Rycerzy Białego Wilka. Powoli zaświtało mu, że ci ludzie wiwatowali na jego cześć. Był pierwszym i jedynym człowiekiem, który wyszedł ze statku powietrznego i ludzie zakładali, że musi być jakimś bohaterem. Aby zatem ich nie rozczarować, pomachał im. Uwolnienie jednej dłoni prawie nie pozbawiło go równowagi, a drabinka skrzyła się w prawo, omal nie posyłając go na bruk poniżej. Szybko chwycił się ponownie drabinki i schodził dalej.

Gdy buty dotknęły ziemi, był przekonany, że nigdy nie istniał ktoś szczęśliwszy od niego.

Grupa ciężko opancerzonych i bogato odzianych ludzi wyszła z pałacu, aby ich powitać. Nosili szaty z najlepszych tkanin. Mieli ciężkie kozuchy z futer norek i soboli. Na paradnych płaszczach widniał emblemat wilczego łba – symbol Hrabiego Elektora z Middenheim. Był to widok sugerujący zarówno bogactwo, jak i barbarzyńskie pochodzenie przybyłych. Felix wiedział, że potwierdza to opinię miasta, do którego przylecieli, bowiem przez wiele lat mieszkańcy Middenheim byli uważani za ludzi z zaścianka. Dominującą w nim wiarą był kult boga berserkerów Ulrica, a kapłaństwo Sigmara, bóstwa patronującego Imperium, było raczej tolerowane, niż wyznawane. Stanowiło to źródło stałego napięcia utrzymującego się w Imperium, ale bogactwo i potęga militarna tego miasta-państwa były tak wielkie, że mogło sobie pozwolić na kroczenie własną ścieżką. Felix wiedział, że nie zdarzało się to często w krainie, gdzie religijne różnice często wywoływały krwawe rozruchy

domowe.

Ci ludzie zostali najwyraźniej wysłani, by powitać krasnoludy i odprowadzić je do Elektora Hrabiego Stephana. Felix zauważył, jak przyglądali mu się z zaskoczeniem w oczach. Zapewne nie spodziewali się, że ze statku wyjdzie człowiek. Tak, czy inaczej, skłonili się przed nim dworsko i poinformowali, że hrabia go oczekuje. Felix odpowiedział, ukłonem i pozwolił się poprowadzić do pałacu nie całkiem pewien, czy jest więźniem, czy też gościem.

Pałac był stary i wspaniały. Ściany pokrywały wielkie gobeliny przedstawiające sceny z długiej, dumnej historii miasta-państwa. Felix przechodząc korytarzami rozpoznawał sceny z Bitwy na Bagniskach Śmierci i Wojny z Wampirzami Hrabiami z Sylvanii. Widział wojowników w wilczych skórach związanych walką z zielonoskórymi orkami. A także wizerunki ohydnych hord Chaosu, które oblegały miasto dwieście lat temu, za czasów Magnusa Pobożnego.

Pałac był wielki, wybudowany z tego samego kamienia, z którego składała się góra. Dokonali tego nadzwyczaj zręczni rzemieślnicy. Znad każdych drzwi spoglądały łby gargulców, a łuki wejściowe zostały wyrzeźbione niezwykle ozdobnie. Dywany z Tilei, Arabii i odległego Kitaju pokrywały ciężkie płyty kamiennej podłogi. W każdej sali płonął wielki ogień powstrzymujący zimno odczuwalne na tej wysokości. W salach najbardziej oddalonych od światła słonecznego latarnie płonęły nawet za dnia, lśniąc w półmroku.

Tu i tam masywni, krępi gwardziści pałacowi przechodzili wypełniając swoje rozkazy, a od czasu do czasu bogato odziani kanclerze zatrzymywali się, by spojrzeć na krasnoludy. Tak właśnie, wśród zapadającej wokół nich ciszy, Felix i jego towarzysze wkroczyli do sali tronowej Elektora Hrabiego z Middenheim. Ujrzeni szczupłą, silną postać siedzącą prosto na Wilczym Tronie.

Felix widział grupę innych ludzi stojącą wokół tronu. Większość z nich była starymi, brodatymi mężczyznami, których Felix uznał za kanclerzy, ale wyróżniały się dwie osoby. Jedna pochyliła się i wyszeptwała coś do ucha hrabiego. Był to wysoki, smukły mężczyzna odziany w niezwykle purpurowe szaty. Odzienie miał obszyte złotymi wstęgami pokrytymi symbolami, w których Felix rozpoznawał znaki mistyczne. Na jego czole spoczywała zdobna czapka bardzo przypominająca stożkowy hełm elfów, tyle że została wykończona filcem i złotą nicią. Na palcach nieznanego migotały pierścienie z cennymi kamieniami. Wokół niego dało się wyczuć subtelną aurę mocy, która niepokoiła Felixa. Był to czarownik dosiadający pegaza, a w przeszłości spotkania z czarownikami rzadko bywały przyjemne.

Druga osoba była równie intrygująca. Stała tuż za podwyższeniem hrabiego. Była to wysoka kobieta, być może kochanka Elektora, ale nie był tego pewien. Felix zgadywał, że musiała być prawie jego wzrostu. Nie była odziana w dworskie szaty jak inne damy. Nosila skórzaną kamizelę bez rękawów narzuconą na białą koszulę z lnu. Jej skórzane bryczesy były spięte w talii skórzanym mocnym pasem. Wysokie buty jeździeckie podkreślały zgrabne długie nogi. Popielate włosy były krótko obcięte prawie do skóry. Nosila dwa miecze przypasane do wąskiej talii. Stała wyprostowana z podniesioną głową. Widać było, że pochodzi z dalekich krain i odległych miejsc. Czując na sobie spojrzenie Felixa odwróciła się i spojrzała w jego stronę.

Krasnoludy skłoniły się przed tronem hrabiego i zaczęły rozwlekle i uroczyście przedstawiać się. Hrabia Stephan przerwał im dość grzecznie, ale z manierą wojskowego, który nie ma czasu na kwieciste przemowy. Felix stanął obok Gotreka i Snorriego, po czym wykonał najlepszy dworski ukłon, jaki potrafił. Dostrzegł zainteresowanie w oczach hrabiego, który zauważył człowieka w grupie krasnoludów, a potem skierował uwagę na Boreka.

– Nasi kanclerze przygotowali substancję, o którą prosiłeś, do przetransportowania na twój pojazd – rzekł Hrabia Stephan.

Sądząc po wyrazie twarzy Olgera, Felix zgadywał, że czymkolwiek była ta substancja, musiała kosztować немало grosza. Skąpiec wyglądał tak blado i mizernie, jak człowiek, który przeżył amputację.

– Dziękuję wam, szlachetny panie i cieszę się z tego potwierdzenia starożytnej przyjaźni między naszymi ludami.

Hrabia uśmiechnął się, jakby on i Borek byli starymi przyjaciółmi i uczynił ten dar z wielką przyjemnością. Felix popatrzył w górę i zmieszany napotkał spojrzenie błękitnych oczu kobiety na podwyższeniu. Zauważył, że była w jego wieku. W odróżnieniu od szlachcianek, miała opaloną twarz. Wysokie kości policzkowe i szerokie usta, przydawały jej egzotycznej urody. Felix zgadywał, że nie mogła pochodzić z żadnego miejsca w Imperium. Przechyliła głowę na jedną stronę i przyjrzała mu się. Felix nie był przyzwyczajony do tak bezpośredniego i natarczywego spojrzenia kobiety, ale zmusił się do *wytrzymania* jej wzroku. Uśmiechnęła się do niego zalotnie.

– A teraz musisz opowiedzieć mi o swoim niezwykłym pojeździe i twojej misji – mówił Hrabia Elektor.

Borek rozejrzał się po komnacie znacząco.

– Chętnie, wasza Ekscelencjo, ale o niektórych sprawach lepiej mówić na osobności.

Hrabia przesunął wzrokiem po wielkiej sali audiencyjnej, tłumie lokajów, gwardzistów i dworaków. Skinął głową ze zrozumieniem i klasnął w dłoń.

– Szambelanie, chciałbym porozmawiać z zacnym Borekiem na osobności. Niech przyniosą jedzenie i wino do moich komnat.

Szambelan skłonił się, a Hrabia Stephan bez dalszych ceremonii zeszedł z podwyższenia i podał Borekowi ramię, by się na nim wsparł. Zanim Felix się zorientował, sala audiencyjna zaczęła pustoszeć. Po kilku chwilach w ogromnej komnacie pozostał tylko on i reszta krasnoludów.

Felix odwrócił się do Vareka. Młody krasnolud wzruszył ramionami.

– Kim był ten czarownik i dziewczyna? – spytał Felix.

– Myślę, że mogą to być nasi pasażerowie – odpowiedział Varek.

– Pasażerowie?

– Jestem pewien, że oni sami lub mój wuj wyjaśnią ci więcej w swoim czasie. – Varek najwyraźniej zorientował się, że powiedział więcej niż powinien i wycofał się szybko zostawiając Felisa z Gotrekiem, Snorrim, Olgerem i Makaissonem.

– Tutaj opuśćcie waszą wyprawę – powiedział nagle Olger. – Chociaż bardzo chciałbym zostać z wami, mam do przeprowadzenia transakcję w Middenheim. Powodzenia i sprowadźcie z powrotem złoto.

Skłonił się i odmaszerował.

– Udanych łowów – zakpił Gotrek.

– Snorri myśli, że stary sknera się przestraszył – rzekł Snorri.

A dlaczegoż miałby się nie bać, pomyślał Felix? Zaczął podejrzewać, że ten skąpiec był najbardziej rozsądnym krasnoludem, jakiego spotkał.

– Poszukajmy jakiegoś piwa – rzucił Gotrek.

Felix zatrzymał się, by kupić ciastko od ulicznego sprzedawcy. Rozejrzał się po ulicy, szczęśliwy, że znowu może być w ludzkim mieście i cieszyć się gwarnym tłumem dookoła. Nad głową wyrastały budynki Middenheim. Przechodnie wypełniali wąskie, kręte uliczki. Żonglerzy podrzucali wielokolorowe kule. Akrobaci podskakiwali. Barwnie odziani ludzie na szczytach górowali nad tłumem. Dudniły bębny. Grali kobziarze. Obdarci żebracy wyciągali brudne dłonie.

Powietrze wypełniały zapachy pieczonych kurcząt, smażonych placków i nocnych odchodów.

Felix trzymał jedną dłoń na sakiewce, a drugą na rękojeści miecza, znał bowiem niebezpieczeństwa i drapieźców miejskiego życia. Złodzieje, kieszonkowcy i uzbrojeni rabusie byli aż nazbyt powszechni. Dzieci o brudnych twarzach spoglądały na niego chciwymi oczami. Tu i tam wojownicy w płaszczach strażników przesuwali się wśród tłumu.

– Witaj przystojniaku. Chcesz się zabawić? – umalowana kobieta pomachała do niego zza drzwi nędznego domu. Wykrzywiła usta z wyrazem pożądliwości. Inne posyłały mu buziaki z wąskich okien powyżej. Felix odwrócił wzrok i przepchał się naprzód. Przez chwilę myślał o kobiecie, którą widział w pałacu, ale dał sobie z tym spokój. Będzie miał dość czasu na poznanie jej podczas dalszej podróży.

Pijak wytoczył się z drzwi tawerny i wpadł na Felixa. Felix poczuł śmierzący piwem oddech mężczyzny, a potem palce gmerające w poszukiwaniu jego sakiewki. Uniósł kolano i wbił je, w pachwinę niedoszłego złodzieja. Mężczyzna upadł jęcząc.

– Szybko, ten biedak zachorował – krzyknął Felix i przeszedł nad leżącym. Ulicznicy opadli fałszywego – pijaka niczym wilki chorą sarnę. Felix zniknął szybko w tłumie zanim strażnicy zauważyli poruszenie.

Uśmiechnął się. Dobrze było powrócić do cywilizacji, być otoczonym przez ludzi. Dobrze było mieć trochę czasu dla siebie. Cieszył się, że miał cały wolny dzień, podczas gdy Borek rozmawiał z diukiem, a krasnoludscy inżynierowie ładowali beczki czarnejcieczy na statek powietrzny. Gotrek i Snorri udali się do tawerny poniżej głównego miasta, ale Felix nie był w nastroju do całodziennej sesji pijackiej. Wspomnienie ostatniego straszliwego kaca było zbyt świeże w jego pamięci. Zamiast tego postanowił powalęsać się po mieście i później spotkać z Zabójcami. Nie musiał wracać na latający okręt, aż do jutrzejszego świtu. Będzie jeszcze czas na hulanki, jeśli nabierze na nie ochoty.

Felix potrzęsnał smutno głową. Podczas lotu do Middenheim przyzwyczał się do myśli o towarzyszeniu krasnoludom. Nie był całkiem pewien czemu, było to bowiem ze wszech miar niebezpieczne. Z drugiej strony, miał jednak powód. Gdyby chciał prowadzić spokojne, bezpieczne życie, bez wątplenia pracowałby teraz w kantorze u ojca w Altdorfie. W którymś momencie swoich wędrówek z Gotrekiem zaczął cieszyć się życiem wolnego najemnika i awanturnika i wątpił, czy mógłby powrócić teraz do starego życia, nawet gdyby tego chciał.

Misja zaczęła nabierać rozpędu. Ekscytujące było samo dostanie się na pokład statku powietrznego. To wywoływało dreszcz prawdziwego podniecenia. W świetle dnia, w tym tłocznym mieście, nawet wizja Pustkowi Chaosu nie była tak odpychająca. Co prawda zyskiwał okazję obejrzenia miejsc, z których niewielu udało się powrócić o zdrowych zmysłach, by o tym opowiedzieć. Pozostawała także przysięga towarzyszenia Gotrekowi i opisanie jego zagłady.

Oczywiście, wiedział, że oszukiwał samego siebie. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, w którym momencie zapadła decyzja, by pozostać na okręcie latającym. I to nie miało nic wspólnego z przysięgami, przygodami i radością podróżowania. Zdecydował się, gdy odkrył, że kobieta w sali tronowej także będzie pasażerką.

Powiedział sobie, że nie było w tym nic złego. Zakładając, że to nie skończy się jego śmiercią.

Stojąc na brzegu miasta Felix spojrział na las poniżej. Szedł krętymi alejkami, aż na sam dół, do wielkich murów zewnętrznych, gdzie po krótkiej wspinaczce znalazł się na blankach. Z tego miejsca widział wyciąg linowy, który sprowadzał kupców i ich towary z małego miasteczka pod górą. Gdy patrzył, ostatni transport tego dnia ruszył na linach w stronę terminalu w murach.

Patrząc dalej dostrzegał lasy i rzekę rozciągające się po horyzont i doceniał fakt, że mieszkańcy

Middenheim mieli niemal tak dobry widok, jak on przez iluminatory na statku powietrznym. Zastanawiał się nad geniuszem i determinacją, które podtrzymywały to miasto. Według ksiązek z legendami, które czytał, Miasto Białego Wilka rozpoczęło swe istnienie jako forteca, dająca schronienie uciekinierom od stale toczonych poniżej wojen.

Poprzez długie wieki wyrosła tu całkiem spora społeczność skupiona wokół fortecy i klasztoru Ulrica. Miasto stało się domem szlachty i jej garnizonów, ale rosło nadal, by dać miejsce kupcom, którzy dostarczali luksusowe towary. Oczywiście, jedzenie i dobra były tu droższe, ponieważ trzeba je było wciągać na linach z dołu, ale możni kontrolowali wielkie majątki w głębi kraju i nie brakowało im złota. Koszty były z nawiązką wyrównywane przez większe bezpieczeństwo, którym cieszyli się w tym niedostępnym miejscu. Oczywiście, pod górą znajdowały się kopalnie, źródło znacznych bogactw i... wielu mrocznych rzeczy.

Felix słyszał opowieści Gotreka o tych kopalniach i o wielkim labiryncie tuneli, które rozciągały się pod szczytem. Kopalnie były patrolowane przez krasnoludzkich żołnierzy i ludzkich strażników, bowiem plotka głosiła, że skaveni założyli tam swoje leże. Felix przeklął nagle zastanawiając się, czy kiedykolwiek znajdzie się poza zasięgiem tych przeklętych szczuroludzi. Prawdopodobnie nie. Spodziewał się, że gdyby statek powietrzny zwrócił swój nos ku parującym dżunglom legendarnej Lustrii, przybyliby na miejsce, jedynie po to, by przekonać się, że skaveni już buszują w poszyciu.

Słońce zaczynało zachodzić. Krwawy blask przebijał się przez chmury, gdy chowało się za horyzontem. Z migotaniem ożyły latarnie w wartowniach na murach, a Felix odwracając się widział światła pojawiające się w oknach budynków i tawernach. Wiedział, że wkrótce pojawią się latarnicy i strażnicy zaczną ogłaszać na ulicach godziny nocne.

Wiedział, że czas wracać. Być może po raz ostatni rzucił okiem na chwałę imperialnego społeczeństwa i poczuł się dziwnie rozluźniony i zadowolony, jakby przez podjęcie decyzji towarzyszenia krasnoludom w ich misji w pewien sposób pozbył się wszelkiego strachu i wątpliwości. Lepiej było podjąć tę decyzję, niż pozostawać w niepewności. Teraz droga przed nim była jasna i z ulgą stwierdził, że to go nie martwi. Odwrócił się i zaczął długą drogę powrotną wybrukowanymi ulicami ku pałacowi, zastanawiając się, czy coś mu się przywidziało, czy też usłyszał szuranie na dachach przed sobą.

Nad Morzem Szponów

Thuny spoglądały w zachwycie na odlatujący statek powietrzny. Makaïsson obrócił kołem i pociągnął za dźwignie, aby zmienić odrobinę ich kurs. Ruszyli na północ ledwo omijając wieżycę Świątyni Ulrica.

Felix odprężył się na jednym z foteli w sterówce. Było tu mnóstwo miejsca. Większość krasnoludów odsypiała kaca. Na mostku pozostała tylko nieliczna załoga. Prawdę mówiąc, Makaïsson nie wyglądał za dobrze. Ciche jęki, które wydawał od czasu do czasu, w połączeniu ze sposobem, w jaki spoglądał mętnymi oczami na horyzont nie były uspokajające. Felix nie był pewien, czy krasnolud powinien kierować okrętem.

– Czy mogę ci pomóc? – spytał głównego inżyniera.

– Co masz na myśli, młody Felixie?

– Może przejmę stery, gdy ty sobie odpoczniesz.

– Nie możesz. To wysuce tychniczna robota.

– Mógłbym spróbować. Przydałoby się mieć na pokładzie kogoś innego, kto potrafi pilotować statkiem na wypadek, gdyby coś ci się stało. To znaczy, jesteś przecież Zabójcą, sam wiesz.

– Pozostały inżynierzy też potrafią to robić... Jednak, somdzem, że masz rację. Nie zaszkodzi mieć jeszcze jednego pilota – na wszelki wypadek.

– Czy to znaczy, że się zgadzasz?

– Ach, naprawdę nie powinienem. Reguły gildii zabraniają uczyć kogo innego, niż krasnoluda robić takie rzeczy, ale przeca ta cała rzecz łamnie reguły gildii, wienc nic się ni stanie.

Skinął na Felixa, by ten się zbliżył i zajął jego miejsce.

– Przejmij koło, Herr Jaeger.

Felix musiał przygiąć kolana, by stanąć na wysokości krasnoluda i ta pozycja okazała się dość niewygodna. Koło w jego rękach było ciężkie. Starał się z całych sił je utrzymać, ale wydawało się, że ono żyje własnym życiem, wywierając nacisk na jedną stronę, a potem na drugą. Felix musiał stale mocować się, by zachować jego położenie.

– To promdy powietrzne – rzekł Makaïsson. – Ciągnom za ster i stateczniki. Trochem trwa przyzwyczajenie siem do tego. Rozumiesz?

Felix skinął nerwowo głową.

– Spojrznij nieco na dół i na lewo. Zobacysz tam mały gadżet. To kompas.

Felix wykonał polecenie. Zobaczył, że kompas huśtał się na złożonym układzie zawieszzeń, tak że igła pośrodku zawsze wskazywała północ.

– Zauważniesz, że w ta chwila zmierzamy na północny-północny-wschód. To nasz kurs. Obróć trochem koło, zmienimy kurs. Potem okręć je z powrotem i sprowadź kurs na północny-północny-wschód.

Felix zrobił, jak mu kazano i obrócił kołem najdelikatniej, jak potrafił. Za oknem horyzont zdawał się obracać powoli. Felix przekręcił kołem w przeciwną stronę i ustalił ponownie właściwy kierunek lotu.

– Dobrze zrobione! Nic trudnego, co?

Felix zorientował się, że szczerzy zęby do Makaïssona. Było coś radosnego w sprawowaniu kontroli nad czymś tak masywnym i szybkim, jak statek powietrzny.

– Co dalej? – zapytał.

– Widzisz ten rzemiołko dźwigni obok swej prawej dłoni?

– Tak.

– Dobra, pierwsza ryguje prędkościom. Ni rób nic, zanim ni powiem, ale gdy ją pchniesz, silniki nabiorom prędkości. Gdy pociągniesz z powrotem, silniki wytracom prędkość. Jeśli pociągniesz je do końca, włomczysz całom wstecz. Nadomżasz?

Felix skinął ponownie głową.

– Przed tobom jest wskaźnik z podziałkom. Widzisz, iż jest oznaczon w różmne kolory.

Felix popatrzył na wskazany zegar za kompasem. W tej chwili igła znajdowała się w zielonej strefie ze wzrostem wartości o dziesiątki. Do czerwonej strefy brakowało około pięciu podziałek.

– Gdy igła je na zielonym, wszystko w porzomdku. To stryfa toleramncji dla silnika. Pchnijże to – ale trzymaj igłem na zielonym.

Felix zaparł się na dźwigni. Nie chciała ustąpić, więc pchnął mocniej, niż początkowo chciał. Igła skoczyła naprzód, a buczenie silnika stało się wyższe. Ziemia zdawała się przesuwać szybciej pod nimi, a obłoki żwawiej omijały ich po obu stronach. Nagle Felix poczuł twardą dłoń Makaissona. Zacisnęły się palce przypominające stalowe sztaby i dźwignia została pociągnięta z powrotem.

– Powiedziałem, cobyś trzymał to na zielonym, rozumisz? Czerwone jest tylko dla sytuacji awaryjnych. Wprowadzisz silnik na czerwone i lyczisz znacznie szybciej, aleć po pewnym czasie siem spali, może i nawet wybuchnie. To nic dobrego na takij wysokości.

Felix zauważył, że przypadkowo przesunął igłę na czerwoną strefę. Starał się wyrwać dłoń, ale Makaisson przytrzymał ją przez chwilę na miejscu. – Nie zabieraj romk ze sterów nim ci powiem. Trzymaj tera remkę na dźwigni prędkości, dobra?

Felix skinął i inżynier uwolnił jego dłoń. – Nie przejmuj siem. Idzi ci całkiem nieźle. A winc, nastempna dźwignia po prawej kontruluje lotkami. Nie pomył tych dwóch dźwigni, bo narobisz bałaganu!

Felix zaczął żałować, że w ogóle poprosił o tę lekcję. Zdawało się, że istnieje tu więcej możliwości wywołania katastrofy, niż to sobie wyobrażał. – A to czemu?

– Cóż, lotki sterujom naszym wysokościami nad ziemiom. Gdy pociągniesz tem dźwigniem, lotki na ogonie zmieniom naszym wysokość i wzniesiem siem. Gdy pchniesz jom naprzód, polecim w dół. To właściwie wszystko, co trza ci wiedzieć. To, czemu tak siem dzieje, jest dość techniczne i wontpiem, byś zrozumiał.

– Wierzę ci na słowo.

– Dobra, pociągnij tom dźwigniem z powrotem. Delikatnie! Nie chcemy nikogo obudzić. Teraz uważ, tyn mały gadżet obok wskaźnika prędkości. To nasza wysokość. Im wyższa podziałka, tym wyżej jesteśma. I znowu, ni wchodź pod żadnem pozorem na czerwonom strefem. To może być fatalne, bowiem będziem lecić za wysoko. I ni puść tego do zera, bo to oznaczy, że uderzylim o ziemię. Teraz przesun dźwigniem do neutralnej pozycji. Poczujesz lekkuchne stuknięcie. To znaczy, że wyrównaliśma poziom lotu.

Felix zrobił to. Usłyszał dziwne brzęczenie w uszach, które zniknęło, gdy przełknął. Zdjął dłoń z dźwigni wysokości i wskazał na mniejszy rząd krótkich dźwigni przymocowanych do panelu na wysokości jego lewej dłoni. – A to do czego?

– Nie tykaj żadna z nich. Kontrolujom różnymi funkcjami, jak balast, paliwo i inne. Powim ci o nich innym razem. Tyra wiesz wszystko, by pilotować statkiem. Kieruj siem zatym na północny-północny-wschód. A widzisz ten zegar? Za dwie godziny obudź mnie. Utnem sobie małą drzemkę. Trochę buczy mi głowa po wczorajszem popiciu.

– A jeśli coś pójdzie nie tak?

– Po prostu krzyknij. Bendem w tym fotelu.

Powiedziawszy to Makaïsson usiadł w fotelu i wkrótce mostek statku powietrznego wypełniło jego chrapanie.

Przez kilka pierwszych minut Felix czuł pewną nerwowość podczas kierowania pojazdem, ale z czasem nabrał pewności, że nie stanie się nic złego. Po pewnym czasie na mostek weszło kilku inżynierów. Niektórzy patrzyli na niego zdumieni, ale zostawili go w spokoju widząc drzemiącego obok Makaïssona. Po chwili całkiem przyjemnie było oglądać ziemię i chmury uciekające pod nimi.

– A zatem jesteś pilotem? – miękki głos wyrwał Felixa z rozmyślań. To był głos kobiety, głęboki i z silnym obcym akcentem. Felix zgadywał, że mógł być kislevicki.

Potrząsnął głową, ale nie odwrócił się. Koncentrował uwagę na kierunku lotu, na wypadek, gdyby pojawiło się przed nimi coś niespodziewanego.

– Nie. Ale można powiedzieć, że się uczę.

Miękki śmiech.

– Przydatna umiejętność.

– Nie wiem. Wątpię, czy oprę na tym swoją karierę. Na świecie nie ma zbyt wiele takich pojazdów.

– Sądzę, że tylko ten jeden. I wątpię, czy będzie inny po zakończeniu tej misji.

– A zatem wiesz, dokąd zmierzamy?

– Wiem, dokąd wy zmierzacie i nie zazdroszczę wam.

Felix zmagał się, by utrzymać wzrok wbity przed siebie i nie spojrzeć na nią. Przypomniawszy sobie, co przysiągł Borekowi w Samotnej Wieży. Nie znał tej kobiety i możliwe było, że próbuje wycisnąć z niego informacje.

– Wiesz, gdzie lecimy?

– Wiem, że kierujecie się na Pustkowia i to mi wystarczy, podobnie jak każdemu rozsądnemu człowiekowi. Nie sądzą, żebyście wrócili.

Felix poczuł niepokój słysząc wątpliwość, która tak bardzo zgadzała się z jego własnymi. Rozczarował się słysząc, że kobieta nie ma zamiaru kontynuować z nimi tej misji.

– Zakładam zatem, że jesteś zaznajomiona z tym miejscem?

– Znam je na tyle, na ile może poznać to miejsce ktoś, kto nie zaprzysiągł się Niszczycielskim Potęgom. Moja rodzina ma majątek na granicy Kraïny Trolli, która jest najbliżej przeklętych ziemi. Dalej nie ośmieli się podążyć żaden śmiertelnik. Mój ojciec jest tamtejszym Strażnikiem Rozdroży. Spędziliśmy wiele czasu wojując z wyznawcami Chaosu, kiedy próbowali wdrzeć się na ziemię człowieka.

– To musi być interesujące życie – powiedział ironicznie Felix.

– Można tak powiedzieć. Wątpię jednak, czy jest bardziej interesujące, niż twoje. Co cię sprowadza na pokład tego pojazdu? Muszę przyznać, że jestem zaskoczona widząc człowieka i to przystojnego, w miejscu, gdzie spodziewałam się znaleźć tylko Boreka i jego pobratymców.

Felix uśmiechnął się. Minęło wiele czasu odkąd ktokolwiek, a szczególnie atrakcyjna kobieta, powiedział o nim, że jest przystojny. Nadal starał się być uważny.

– Jestem ich przyjacielem.

– Jesteś Przyjacielem Krasnoludów? Musiałeś zatem dokonać jakichś epickich czynów. Ulric wie, że w historii nie było zbyt wielu takich, jak ty.

Felix zastanawiał się, czy to była prawda. Zawsze uważał, że ten krasnoludzki sposób zwracania

się do niego był tylko uprzejmą formą. Teraz wydawało się, że to może być rzeczywiście jakimś rodzajem tytułu. Miał już odpowiedzieć, gdy Makaïsson za nimi wtrącił się.

– Ach, tyn chłopak ni jedyn raz stał przy Gotreku Gurnissonie, dziewczyno. Miał swój udział we oczyszczeniu Świątego Grobowca w Karaku Osiem Szczytów. Jeśli to ni wystarcza, by nazwać go Przyjacielem Krasnoludów, to sam ni wim, co to może być! Tak czy inaczej, skoro obudziliście mnie swój om gadkom, możesz oddać mnie koło. Tyra ja przejmem stery.

Makaïsson podszedł i zajął stanowisko Felixa przy sterach. Mrugnął do niego porozumiewawczo.

– A tyra możesz gadać z dziewczynom, ile dusza rada.

Felix wzruszył ramionami i uśmiechnął się do kobiety.

– Felix Jaeger – rzekł kłaniając się.

– Ulrika Magdova – powiedziała odwzajemniając uśmiech. – Miło mi cię poznać.

W sposobie, w jaki powiedziała te słowa słyszało się pewną oficjalność, która najwyraźniej była jej obca. To brzmiało, jak uprzejma formuła, którą wyuczyła się na czas przebywania wśród ludzi z Imperium. Pomyślał, że w jej własnym kraju powitanie wyglądałoby nieco inaczej.

– Proszę, usiądź – rzekł, czując się głupio z powodu formalności, których nie mógł uniknąć. Oboje usiedli z wyciągniętymi nogami w przepastnych krasnoludzkich fotelach. Felix zauważył, że jego wcześniejsze przypuszczenia były słuszne. Kobieta była prawie jego wzrostu. Patrząc na jej twarz zmienił swoją opinię co do jej wyglądu. Była nie tylko piękna, ale oszałamiająco piękna. Poczul nagłą suchość w ustach.

– A zatem, co robisz w tym pojeździe? – spytał, żeby powiedzieć cokolwiek. Rzuciła mu pełne rozbawienia spojrzenie, jakby potrafiła czytać w jego myślach.

– Podróżuję do domu mojego ojca.

– Nie wyobrażam sobie, by Borek bez powodu pozwolił komuś na przejazdzkę jego okrętem.

Podniosła prawą dłoń do ust i położyła na nich palec. Felix zauważył, że jej palce były stwardniałe, niczym u szermierza. Miała krótko przycięte paznokcie.

– Mój ojciec i Borek są starymi przyjaciółmi. W młodości wielokrotnie razem walczyli. Ojciec pomógł doprowadzić ostatnią wyprawę Boreka na brzeg Pustkowi. Opiekował się nim i jego przyjacielem Gotrekiem, gdy wrócili z ocalałymi. Nie był zaskoczony. Ostrzegał, by nie szli. Nie chcieli go słuchać.

Felix spojrzał na nią. Nie wyobrażał sobie, że w tej ostatniej wyprawie wzięli udział ludzie.

– To mnie nie zaskakuje – powiedział ze smutkiem. Wiedział z doświadczenia, jak uparte bywają krasnoludy.

– Niektóre sprawy zaskoczyły nawet mojego ojca. Nie spodziewał się, by ktokolwiek powrócił z tej nieszczęsnej misji. Zaiste, niewielu to się udaje, nie licząc wyznawców Chaosu.

– Jak dawno temu odbyła się ta misja?

– Zanim się urodziłam. Ponad dwadzieścia zim temu.

– A zatem długo czekali, by tam powrócić.

– Na to wygląda. Zdaje się także, że dobrze się przygotowali. To właśnie wiadomość od mojego ojca mówiąca, że zrobił wszystko, o co prosili, sprowadziła mnie do Middenheim.

– Jak to?

– Borek poprosił mojego ojca o poczynienie pewnych przygotowań w naszym majątku. Miał zebrać czarną wodę. Zbudować wieżę. Zgromadzić pewne zapasy. W tym czasie to nie miało sensu, ale teraz, gdy widzę ten okręt, zdaje mi się, że rozumiem.

– Krasnoludy wybudowały bazę, stację pośrednią, na ziemi twojego ojca.

– Aye. I zapłacili za to dobrą krasnoludzką stalą.

Widząc pytające spojrzenie Felixa uśmiechnęła się do niego i wyciągnęła częściowo z pochwy jeden ze swoich mieczy. Felix zauważył krasnoludzkie runy wzdłuż ostrza.

– Wzdłuż Rozdroży Chaosu niewiele jest pożytku ze złota. Lepiej przydaje nam się broń, a krasnoludy są najlepszymi zbrojmistrzami na świecie.

– Przemierzyłaś daleką drogę z Kislewa do Middenheim. To daleko dla podróżującej samotnie pięknej, młodej kobiety.

– Tak lepiej, Herr Jaeger! Zastanawiałam się, czy usłyszę od ciebie komplement. Mężczyznom w Kislevie łatwiej przychodzą takie rzeczy.

– Zdaje się, że kobietom także – powiedział lekko zaskoczony Felix.

– Jak mówią, życie jest krótkie, a zima długa.

– Co to znaczy?

– Czy jesteś tak tępy?

Felix nie mógł nie dostrzec, że konwersacja zaczyna wymykać się spod jego kontroli. Właściwie nigdy nie spotkał takiej kobiety, jak ta Kislevitka i nie był całkiem pewien, czy to mu się podoba. Kobiety z Imperium nie zachowywały się w ten sposób, pomijając może markietanki i dziewczki karczemne, ale Ulrika Magdova z pewnością nie miała manier żadnej z nich. A może po prostu nie rozumiał jej sposobu bycia. Może w ten sposób zachowywały się kobiety w Kislevie.

Odezwała się, by przerwać milczenie.

– Nie podróżowałam do Middenheim sama – chociaż mogłam. Przybyłam z ochroną – lansjerami mojego ojca. Wyruszyli na północ, a ja czekałam na powrót z Borekiem.

Tym razem nie odwzajemniła jego spojrzenia. Wyczuł, że coś ukrywa, ale nie był pewien, co. Po raz pierwszy zaczął też podejrzewać, że nie jest tak pewna siebie, jak na to wskazywały jej uroda i śmiałość. Uśmiechnął się do niej ponownie, a ona odpowiedziała smutnym uśmiechem. Potem popatrzyła nad jego ramionami, wygładziła bryczesy obiema rękami i wstała, cały czas posyłając mu ten olśniewający uśmiech.

Felix podążył za jej spojrzeniem i zobaczył, że na mostku pojawił się ich kolejny pasażer – czarodziej. Patrzył na nich ze zmieszonym spojrzeniem i jakby odrobinę urażony. Jeśli tak było w istocie, to zaraz odzyskał nad sobą kontrolę. Na jego przystojnym, smukłym obliczu pojawił się wyraz radości i wszedł dalej do pomieszczenia. Ulrika Magdova przeszła powolnym krokiem koło niego, zatrzymując się tylko, by posłać mu lekko pogardliwe spojrzenie.

– Dzień dobry, Herr Schreiber. Miło było z tobą rozmawiać, Felix.

– Dzień dobry – rzekł cicho Felix wstając, gdy tylko zniknęła. Magik opadł na fotel, który opuściła.

– A zatem – powiedział – poznałeś piękną Ulrikę. Co o niej myślisz, he?

Felix pomyślał, że to było impertynenckie pytanie zupełnie nieznanemu osobie, ale słyszał też, że magicy bywają dość dziwni. Potem dostrzegł, że mężczyzna uśmiechał się i potrząsał głową, jakby śmiał się z dowcipu. Białe zęby zalśniły na tle jego opalonej skóry. Ten grymas pełen życia odjął czarodziejowi lat. Felix zgadywał, że mag nie mógł być starszy od niego więcej niż dziesięć lat. Nagle mężczyzna wyciągnął dłoń.

– Maximilian Schreiber, do usług. Moi przyjaciele mówią na mnie Max.

– Felix Jaeger, do usług.

– Felix Jaeger. To nazwisko, które już słyszałem. Był niegdyś obiecujący poeta o tym mieniu. Czy jesteś z nim w jakiś sposób powiązany? Czytałem niektóre jego wiersze w antologii Gottlieba kilka lat temu. Całkiem mi się podobały.

Felix Jaeger był przyjemnie zaskoczony, że nieznajomy o nim słyszał. Cofnął się myślami do

swoich dni studenckich, gdy pisał wiersze i wysyłał je do różnych antologii. Zdawało się, że to wszystko przytrafiło się innemu człowiekowi, dawno temu.

– Ja je napisałem – powiedział.

– Wspaniale. To miła niespodzianka. Dlaczego przestałeś pisać? Książka Gottlieba została wydana co najmniej trzy lata temu.

– Miałem pewne problemy z prawem.

– A jakież *to*?

Felixa zaczynały drażnić maniery maga.

– Zostałem wydalony z uniwersytetu za zabicie człowieka w pojedynku. Potem były rozruchy po ogłoszeniu Podatku od Okien.

– Ach tak, rozruchy. A zatem, oprócz bycia Felixem Jaegerem – poetą, jesteś także Felixem Jaegerem – poszukiwanym banitą i pomocnikiem niesławnego Gotreka Gurnissona.

Wstrząśnięty Felix pobladł. Minęło wiele czasu, odkąd ktoś połączył ze sobą te dwa fakty lub choćby wiedział, że Felix jest banitą. Imperium było wielkie, a wieści podróżowały powoli. Tak wiele czasu minęło już od straszliwej rzezi podczas rozruchów w Altdorfie. Czarodziej najwyraźniej zauważył wyraz jego twarzy i uśmiechnął się.

– Bez obaw. Nie mam zamiaru wydać cię prawu. Sam zawsze uważałem, że to niesprawiedliwy i głupi podatek. I prawdę mówiąc, współczuję ci wydalenia z uniwersytetu. Sam zostałem usunięty z Imperialnej Szkoły Magów, chociaż stało się to kilka lat wcześniej, zanim zaczęłaś swoją karierę rewolucjonisty.

– Naprawdę?

– O, tak. Moi nauczyciele uważali, że okazuję niezdrowe zainteresowanie Chaosem.

– Sądzę, że zgodziłbym się z nimi. Wszelkie zainteresowanie tym tematem jest niezdrowe.

W oczach czarodzieja pojawił się błysk, a on sam pochylił się na fotelu.

– Nie mogę uwierzyć, że myślisz w ten sposób, Herr Jaeger. Toż to krótkowzroczność, której można spodziewać się po przemądrzałych siwobrodych w szkole, lecz nie po takim awanturniku, jak ty.

Felix czuł się zmuszony do obrony swojego punktu widzenia.

– Uważam, że znam się trochę na tych sprawach. Mam więcej doświadczenia w walce z Chaosem niż większość ludzi.

– Właśnie! Ja także walczyłem przeciwko Mrocznym Potęgom, mój przyjacielu i znajdowałem ich współników w najdziwniejszych miejscach. Myślę, że nie mylę się mówiąc, że to największe zagrożenie dla naszego kraju, nie – dla naszego świata, jakie obecnie istnieje.

– Z tym się zgadzam.

– A jeśli tak, to cóż z tego w badaniu tego tematu? Aby walczyć z równie potężnym przeciwnikiem, trzeba go zrozumieć. Musimy poznać jego silne i słabe strony, jego cele i obawy.

– Tak, ale studiowanie Chaosu niszczy tych, którzy się tym zajmują! Wielu wkroczyło na tę ścieżkę z najlepszymi intencjami, tylko po to, by zostać pochłoniętymi przez rzeczy, z którymi pragnęli walczyć.

– Teraz naprawdę mówisz jak moi starzy nauczyciele! Czy przyszło ci do głowy, że będąc sługą Chaosu używałbyś dokładnie takich samych argumentów, aby zniechęcić mnie do prowadzenia moich badań?

– Chyba nie sugerujesz poważnie, że nauczyciele w Szkole Imperialnej są...

– Oczywiście, że nie! Powiadam tylko, że słudzy Chaosu działają subtelnie. Nie masz pojęcia, jak bardzo potrafią być subtelni. Muszą tylko włożyć ideę do książek, rozgłosić plotkę, zachęcić do

wiary w nią. Naturalnie, że Chaos rzeczywiście wypacza. Jeśli pracujesz ze spaczeniem, to cię zmieni. Jeśli odprawiasz mroczne rytuały, twoja dusza przepadnie. Przyznaję, że jest nieco prawdy w tej argumentacji. Jednakże, nie sądzę, że to powinno powstrzymać nas przed badaniem Chaosu czy próbowaniem znalezienia sposobów na powstrzymanie jego postępu, wykrycie wyznawców i ograniczenie przerażającej mocy. Istnieje zmowa milczenia, która przenika całe nasze społeczeństwo. Umacnia ignorancję. Daje naszym wrogom cienie, w których mogą się ukryć, miejsca, w których się czają i knują.

Felix musiał przyznać, że było coś w tym, o czym mówił Schreiber. Prawdę mówiąc, sam miewał czasem podobne myśli. – Może masz rację.

– Może? Daj spokój, Felix. Wiesz, że mam rację. Podobnie, jak wielu innych ludzi. Niestety, mój błąd polegał na opublikowaniu moich opinii w małej broszurce. Władze uznały mnie za heretyka i...

– Ty także stałeś się banitą.

– To wyjaśnia mniej więcej wszystko.

– Dlaczego jesteś na pokładzie tego statku?

– Ponieważ kontynuowałem swoje badania. Przenosiłem się z miejsca na miejsce walcząc z Chaosem gdzie się dało, zbierając informacje i polując na nikczemnych czarnoksiężników. Stałem się kimś w rodzaju eksperta od tych spraw, a w końcu znalazłem schronienie na dworze Hrabiego Stephana. On widzi dalej, niż większość naszych arystokratów.

– On wraz z Rycerzami Białego Wilka pomogli sfinansować moje badania. Pięć lat temu spotkałem twojego przyjaciela Boreka, gdy odwiedził bibliotekę w świątyni. Był niezwykle zainteresowany, gdy dowiedział się, że uważam iż znalazłem sposób na ochronę przed najgorszymi wpływami Chaosu. Zatrudnił mnie, bym pomógł w ochronie jego statku powietrznego podczas podróży.

Nagle Felix zaczął pojmywać skałę przygotowań, które zostały wykonane przed tą misją. Jeszcze nie widział projektu o podobnym rozmachu. Borek nie tylko nadzorował budowę wielkiego kompleksu przemysłowego pod Samotną Wieżą. Najął ojca Ulriki, by ten zbudował bazę pośrednią. Znalazł i poprosił tego czarodzieja o przygotowanie ochrony przed Chaosem. Stary krasnolud nie przesadzał twierdząc, że jest to dzieło jego życia. Felix zaczął się zastanawiać, jakie inne cuda objawią się podczas dalszej podróży. A jednak, nie był w pełni przekonany do twierdzeń Schreibera.

– Znalazłeś sposób, by ochronić okręt latający przed efektami Chaosu?

– Jest kilka sposobów od prostych runów, przez zaklęcia ochronne do zwykłych zabezpieczeń takich jak zadbanie o odpowiednie zapasy nieskażonej żywności i wody. Uwierz mi, Felixie, nie zgodziłbym się wam pomóc, gdybym nie wierzył, że jest spora szansa, iż będziecie bezpieczni.

– A więc nie lecisz z nami?

– Tylko do Kisleva. Nie przez całą drogę do Karag Dum.

Zaskoczony Felix spojrzął na czarodzieja.

– Powiedziałem ci, Felixie, że jestem uczonym. To moja działka. Zbadałem wszystko, co udało mi się znaleźć na ten temat. Z łatwością doszedłem do wniosku, dlaczego wyprawa o takiej skali przygotowywana jest przez takiego krasnoluda, jak Borek. Nie zdziwiłem się, gdy powiedział mi o jej celu.

Schreiber podniósł się z krzesła.

– A skoro mówimy o tym długobrodym mędrцу, muszę teraz pójść do niego i omówić z nim kilka spraw. Mam jednak nadzieję, że będziemy mieli jeszcze okazję porozmawiać przed zakończeniem tego przelotu.

Skłonił się i odszedł, ale odwrócił się w drzwiach.

– Cieszę się, że na pokładzie znajduje się wykształcony człowiek. Myślałem, że będę musiał spędzić tę podróż tylko uganiając się za rozkoszną Ulriką. Miło będzie także uciąć sobie nieco bardziej oświeconą rozmowę.

Felix nie był pewien, czemu ta uwaga wydała mu się obraźliwa. Mówił sobie, że może był po prostu zazdrosny. A potem zastanowił się, dlaczego czuł coś takiego wobec kobiety, którą dopiero poznał?

Kislev

Lektyka Thanquola pędziła na północ wzdłuż wielkiego tunelu Pod-drogi. Ten szeroki fragment biegnący pod masywem Gór Krańca Świata był niemal całkowicie pusty. Normalnie Thanquol byłby nerwowy podróżując przez te niebezpieczne korytarze ze znacznie zredukowaną ochroną. W każdej chwili mógł zostać zaatakowany przez orki, gobliny lub krasnoludzkie grupy łowieckie próbujące odzyskać część swojej pradawnej spuścizny. Jednakże teraz Szary Prorok był zbyt wzburzony, by się tym przejmować.

Żuł w desperacji własny ogon. Wiedział od swego pomagiera, Lurka, że statek powietrzny opuścił Middenheim i zmierza na północy-wschód. Temu zasmarkanemu nedorajdzie udało się donieść, że przelecieli nad wodą zanim dokonają kolejnego lądowania, a kraina pod nimi zaczęła wyglądać na coraz bardziej jałową i opustoszałą. Na szczęście Thanquol był obytym skavenem posiadającym znaczną wiedzę i domyślił się, że przeznaczeniem statku może być tylko kraj zwany przez ludzi Kislevem.

Nie miał pojęcia, czego mogą chcieć te krasnoludy w tak barbarzyńskim miejscu. Może słyszeli plotki o złocie lub starożytnym skarbie? Chociaż krasnoludy nie były rasą, którą poznał dobrze podczas swych badań, Thanquol wiedział o nich wystarczająco wiele, by zgadywać, że to mogło być ich celem. Niestety nie miał pojęcia, dokąd ostatecznie to go doprowadzi. Wiedział, że statek powietrzny poruszał się znacznie szybciej i nie był w stanie ścigać go normalnymi metodami.

Kusiło go, by rozkazać Lurkowi znaleźć sposób na sabotowanie statku powietrznego, dzięki czemu zdobyłby czas i zdążył dogonić pojazd. Powstrzymywała go przed tym tylko jedna rzecz. Jak wskazywało jego bogate doświadczenie, głupkowaty pomagier Lurk zrobiłby coś głupiego, na przykład zginąłby lub zniszczył ów okręt latający, którego tak bardzo pragnął Thanquol. Nie – wydanie takiego rozkazu to była ostateczność, a Thanquol postanowił odwołać się do niej tylko w najbardziej rozpaczliwym momencie. Przedtem jednak wykorzysta wszelkie dostępne mu możliwości.

Zastanowił się nad nimi. Może powinien skontaktować się z Władcami Klanu Moulder. Ich potężna forteca, Piekielna Otchłań, znajdowała się w północnym Kislevie i była skaveńską twierdzą leżącą najbliżej spodziewanego celu lotu okrętu. Dla skavena nie tak inteligentnego jak Thanquol wydawałoby się to mądrym planem. Nie poddając w wątpliwość swojej potęgi szary prorok musiał przyznać, że samodzielne przejęcie statku powietrznego mogło go przerastać. Potrzebował pomocy, nawet jeśli oznaczałoby to niższe miejsce w hierarchii Klanu Moulder. Przyszła mu do głowy także inna myśl. Nierozsądnie byłoby przekazać im wszystkie szczegóły intrygi, mogliby bowiem spróbować przechwycić statek dla siebie. Chociaż tak tępym głupcom bez wątplenia nie udałoby się tego dokonać bez jego przewodnictwa.

Zrezygnował z tego pomysłu. Najlepsze, co mógł zrobić, to pędzić na północ tak szybko, jak to było możliwe i mieć nadzieję, że wydarzy się coś, co opóźni krasnoludy zanim przybędzie na miejsce. Wychylił się przez okno lektyki i pisnął na tragarzy, by podwoili swoje wysiłki. Lękając się słusznego gniewu swego pana pobiegli szybciej naprzód jęcząc pod ciężarem mistrza i jego czarnoksięskiego wyposażenia.

Felix zawsze sądził, że Kislev jest krainą lodu i śniegu, gdzie zima nigdy nie przemija, a ludzie stale chodzą okryci futrami. Ziemia poniżej znacznie różniła się od jego przewidywań. Zdobyły ją

faliste równiny wysokich traw pośród gęstych lasów iglastych. Po chwili zastanowienia zauważył, że tak musiało być w istocie, bowiem Kislev był krainą sławną ze swoich jeźdźców. Gdyby żyli wśród niekończących się śnieżnych zamieci, byłoby to niemożliwe.

Felix musiał przyznać, że w tej chwili słońce świeciło jaśniej niż w Imperium. Kislevickie lato było krótkie, ale intensywne. Felix zastanawia! się, czy Borek planował także wyruszenie na północ, zanim zimowe wiatry burz zagrożą przelotowi statku powietrznego. Nie zdziwiłby się, gdyby to była prawda. Geniusz z jakim zaplanowano tę ekspedycję nie był podobny do jego przypadkowych wędrowek z Gotrekiem. Podczas swoich podróży po prostu postanawiali iść tam, gdzie im się podobało i brali ze sobą tylko to, co mieli w danym momencie. Najwyraźniej nie było to typowe zachowanie krasnoludów, pomijając zwyczaje Zabójców.

Pod okrętem dostrzegał stadko dzikich świń zaniepokojonych przez przepływający wielki cień okrętu latającego. Łowcy poderwali się z przykucnięcia i osłaniali oczy wpatrując się zdumieni w przelatujący pojazd. Jeden z nich, odważniejszy lub bardziej przerażony niż reszta, rzucił w nich swą włócznią, ale spadła daleko od pojazdu i wbiła się drgając wśród wysokiej trawy.

Lecieli pod chmurami nie bez powodu. Obserwatorzy wyglądali przez każdy iluminator i wielkie okna sterówki. Zbliżali się do swojego przeznaczenia i wszystkim przykazano wypatrywać majątku ojca Ulriki. Makaïsson sprowadził ich w tę okolicę. Teraz przeszukiwali horyzont szukając właściwego miejsca, gdzie dokonają ostatniego lądowania przed wyruszeniem ku Pustkowiom Chaosu.

Jak dotąd dostrzegali tylko samotnych myśliwych i dziwne wioski, gdzie dym snuł się leniwie ku niebu przez otwory w dachach drewnianych chłopskich chat pokrytych torfem. Ich pojawienie się przepłaskało wieśniaków z pól, którzy chowali się za murami wiosek, niewątpliwie przekonani, że statek powietrzny jest nową manifestacją Chaosu nękającego ich ziemię.

Felixa nadal zdumiewała prędkość, z jaką dokonali przelotu. Podróż, która mogła trwać na lądzie miesiącami, zabrała im co najwyżej kilka dni, a i tak większość tego czasu spędzili wypatrując majątku bojara wśród tego morza traw. Zaiste, owa inżynieria krasnoludów była potężną formą magii.

– Tam – usłyszał okrzyk Ulriki i odwrócił się, by zobaczyć, że wskazuje na coś w oddali. To coś było okryte cieniem odległego łańcucha mrocznych i groźnych gór. Felix stwierdził, że miała bystry wzrok. Widział tylko niewyraźną smugę dymu.

Makaïsson przesunął ręce na kole sterowym i nos statku powietrznego obrócił się w kierunku wskazywanym przez kobietę. Pociągnął za dźwignię wysokości i zaczęli lecieć niżej i szybciej, podrywając z wysokich traw stada spłoszonego ptactwa. Gdy góry zbliżały się Felix wbił wzrok w kierunku wskazanym przez Ulrikę. Wreszcie zauważył pojawiające się wielkie, długie domostwo. Ku jego zaskoczeniu obok dworu, otoczona ciężkim murem stała wysoka wieża. Była to mniejsza, drewniana wersja stalowego kolosa, który górował nad Samotną Wieżą.

A zatem to było miejsce, gdzie zamierzali wylądować. Równie dobrze może okazać się ostatnią ludzką siedzibą, jaką kiedykolwiek zobaczy.

Ojciec Ulriki był barczysty, wyższy o głowę od Felixa i krzepki jak niedźwiedź. Miał długą i białą brodę i ogoloną głowę poza kosmykiem włosów na czubku. Jego oczy były równie olśniewająco błękitne, co córki, a zęby żółte. Ubrany był w odzienie z grubej skóry oraz spodnie z szorstkiego materiału i wysokie buty jeździeckie. U pasa wisiały miecze: długi i krótki. Tuziny amuletów dzwoniły na żelaznych łańcuchach wokół szyi.

Ruszył ku krasnoludom oczekującym u stóp wieży. Za nim, rząd wojowników prezentował broń w

rytualnym pozdrowieniu. Pochylił się nad Ulriką i przycisnął ją do swej potężnej piersi, po czym poderwał dziewczynę w powietrze i okręcił wokół siebie jakby była dzieckiem.

– Witaj w domu, umiłowana córko! – huknął.

– Dobrze być tutaj, ojcze. Teraz postaw mnie na ziemię i powitaj naszych gości.

Rozległ się tubalny śmiech starego mężczyzny, który podszedł do nadal czekającej załogi statku powietrznego. Powstrzymał swój zamiar wyściskania krasnoludów. Zamiast tego skłonił się nisko na ich modłę, okazując zaskakującą gibkość, jak na człowieka w jego wieku i o takiej tuszy.

– Borek Widłobrody! Dobrze cię widzieć. Ufam, że znajdziesz wszystko, o co prosiłeś.

– Wierzę, że tak się stanie – rzekł stary krasnolud kłaniając się równie nisko.

– Gotrek Gurnisson, ciebie również witam. Minęło wiele czasu, odkąd zaszczyciłeś moje izby swoją obecnością. Cieszę się widząc, że nadal nosisz ten topór.

– Ja cieszę się z powrotu, Ivane Mikeloviczu Straghovie – powiedział Gotrek najuprzejmiej, jak potrafił. Felix domyślał się, że Zabójca cieszy się widząc Kislevitę.

– A któż to jest? Snorri Gryzonos? Muszę dopilnować, by postawiono wiadro wódki na twoim stole. Witaj!

– Snorri uważa, że to świetny pomysł – krasnoludy zostały przedstawione i powitane jeden po drugim, a potem Ulrika poprowadziła ojca ku stojącym w oczekiwaniu Felixowi i czarodziejowi.

– A to, ojcze, jest Felix Jaeger z Altdorfu.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział Felix wyciągając dłoń.

Straghov zignorował ją pochylając się nad Felixem, uściskał go w powitaniu, a potem ucałował w każdy policzek.

– Witam! Witam! – ryknął w ucho Felixa, prawie go ogłuszając. Zanim Felix zdążył odpowiedzieć, stary człowiek powtórzył to ze Schreiberem.

– Dziękuję za entuzjazm, z jakim nas witasz, panie – rzekł czarownik, gdy odzyskał oddech.

Felix wymienił spojrzenia z Ulriką, a potem przyjrzał się ciekawie szeregowi wojowników, którzy stali wzdłuż ich drogi do dworku. Ivan Straghov mógł wyglądać i zachowywać się jak barbarzyńca, ale nie było wątpliwości, że to wielki wódz na swoich ziemiach. Setka jeźdźców stała niczym gwardia honorowa. Wszyscy mieli harde oblicza i zimne oczy. Wszyscy też wyglądali na takich, co sprawnie władają wspaniałym orężem, które prezentowali krasnoludom. Ulrika twierdziła, że kolejnych dziewięciuset lub więcej tych zaciekłych jeźdźców przysięgło posłuszeństwo jej ojcu. Stanowisko Strażnika Rozdroży było najwyraźniej ważne. Felix domyślał się, że takie być musiało, bowiem mężczyzna dowodził pierwszą linią obrony przed hordami Chaosu.

– A teraz czas na jedzenie! – zakrzyknął Straghov. – I picie!

Wielkie stoły ustawiono wewnątrz murów dworu. Na ucztę i zabawę z okazji przybycia krasnoludzkiego statku powietrznego zaproszono pomniejszych osobistości z całej okolicy. Dzikie świnie upieczono na rusztach ponad wielkimi paleniskami. Talerze uginały się od razowego, czarnego chleba i sera. Wielkie flaszki ognistego napoju, który Snorri zidentyfikował jako wódkę, postawiono obok każdego talerza. Zgodnie z obietnicą, na Snorriego czekało wiadro spirytusu.

Felix naśladując tubylców wychylił swój kielich jednym szybkim haustem. Poczł się, jakby połknął płynny metal. Człł, jak przelyk parzy kłęb oparów kwasu, który brnął ku nozdrzom wyciskając Izy z oczu. Człł się, jakby miał zaraz zionąć ogniem i zrobił wszystko, co mógł zrobić, by się nie zakrzusić. Sądził jednak, że zionięcie nie będzie tu uważane za dobrą formę zachowania. Cieszył się, że tego nie zrobił, gdy zauważył, że wszystkie oczy spoglądały na niego, by sprawdzić, jak zareaguje na pierwszą porcję spirytusu.

– Pijesz jak prawdziwy lansjer! – ryknął Straghoj, a biesiadnicy zaczęli uderzać o stół swoimi szklanicami dla potwierdzenia tych słów. Ich gospodarz nalegał, by wszyscy napełnili swoje szklanki, po czym krzyknął: – Za Felixa Jaegera, który przybywa z krainy naszego sprzymierzeńca, Imperium!

Oczywiście, Felix nie mógł uczynić nic innego poza wzniesieniem kolejnego toastu, za odwieczną przyjaźń między jego ludem i mieszkańcami Kislewa. Wkrótce, przyłączyły się krasnoludy. Felix zauważył miłe ciepło w żołądku i lekkie odrętwienie palców. Wódkę piło się coraz łatwiej po kolejnych wychylonych kielichach i wkrótce przestał odczuwać palenie w gardle.

Spożywano wielkie stosy jedzenia. Toasty następowały jeden po drugim. Długie przemowy powitalne i zapewnienia o przyjaźni trwały, aż do zapadnięcia mroku. Po popołudniu, Felix przestał nadążać za upływem wydarzeń. Jego głowa wirowała od wódki. Ledwo zdawał sobie sprawę, że zjadł o wiele za dużo, wypił znacznie więcej i przyłączył się do śpiewów w języku, którego nie znał. Wiedział, że w pewnej chwili zaczął tańczyć z Ulriką, która potem zakręciła się w tańcu ze Schreiberem, a jakiś czas później odszedł na bok, by wymiotować obok stajni.

W końcu jego pamięć ogarnęła kompletna pustka i ten fragment wspomnień został pochłonięty przez wódkę podawaną przez gościnnych Kislewitów. Do końca życia nie był pewien z kim rozmawiał, co powiedział, ani jak dostał się do przeznaczonej dla niego izby. Zawsze jednak cieszył się, że to mu się udało.

Felix obudził się następnego dnia czując się tak, jakby koń kopnął go w głowę. Pomyślał, że to mogło się stać. Sprawdził twarz szukając guza, ale nie znalazł żadnego. Rozejrzał się po komnacie i zobaczył zamiast podłogi ubitą ziemię. Materac wypełniony był sianem, a ktoś narzucił na niego grubą kołdrę. Podczas nocy zaślinił poduszkę i widoczne były na niej mokre ślady. Miał nadzieję, że to była tylko ślina.

Wstał zastanawiając się, czy podczas zeszłego wieczora naprawdę wyzwiał Snorriego Gryzonosa na pojedynek zapaśniczy. Przypominał sobie niewyraźnie coś takiego, a może to był tylko sen. Jego kończyny rzeczywiście wydawały się obolałe, jakby próbował czegoś równie głupiego. Może tak było. To właśnie jest najgorsze po naprawdę tęgich popijawach. Nigdy nie pamięta się dokładnie, co się powiedziało, kogo obraziło i z kim podjęto głupie zakłady. Człowiek po prostu pogrążał się w szaleństwie. W tej chwili zastanawiał się, czy prawdą było twierdzenie, że alkohol jest darem od Bogów Chaosu, który miał wywoływać w ludziach obłąd. Tak twierdziły niektóre z bardziej wstrzemięźliwych kultów w Imperium. W tej chwili nie dbał o to. Wiedział po prostu, że już nigdy, przenigdy, nie napije się ponownie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Felix otworzył je i zmrużył oczy przed jaskrawym światłem dnia.

– Zdumiewające – rzekła Ulrika zamiast powitania. – Jesteś na nogach. Nie sądziłam, by to było możliwe sądząc po ilości wódki, jaką spożyłeś tej nocy.

– Czy to tak niesamowite, he?

– Wszyscy byli pod wrażeniem. Szczególnie widząc, jak wspiąłeś się na wieżę przy statku powietrznym recytując jeden ze swoich poematów.

– Co takiego?

– Żartowałam. Tylko wspiąłeś się na wieżę. Większość ludzi myślała, że spadniesz i skręcisz sobie kark, ale nie...

– Naprawdę wspiąłem się na wieżę?

– Oczywiście, nie pamiętasz? Założyłeś się o sztukę złota ze Snorrim Gryzonosem, że to ci się uda. W pewnym momencie chciałeś wspinać się z zawiązanymi oczami, ale Snorri pomyślał, że to by

było nieuczciwe ułatwienie, ponieważ nie widziałbyś ziemi i nie byłbyś tak przestraszony. To było zaraz po tym, jak przegrałeś srebrnika mocując się z nim na rękę.

Felix jęknął.

– Co jeszcze zrobiłem?

– Kiedy tańczyliśmy powiedziałeś mi, że jestem najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałeś.

– Co? Przepraszam.

– Niepotrzebnie! To było bardzo miłe.

Felix czuł, że zaczyna się rumienić. Jedną sprawą było obsypywanie pochlebstwami pięknej kobiety. Czymś innym było nie pamiętanie o tym.

– Coś jeszcze?

– Czy to nie wystarczy na jedną noc? – uśmiechnęła się.

– Sądzę, że tak.

– A zatem, czy jesteś gotowy na przejażdżkę?

– Hę?

– Powiedziałeś mi, że jesteś wyśmienitym jeźdźcem i zgodziłeś się na przejażdżkę ze mną tego ranka. Zamierzałam pokazać ci cały majątek. Wczoraj podchodziłeś do tego bardzo entuzjastycznie.

Felix wyobraził sobie pijanego i rozmawiającego, z tą niesamowicie piękną kobietą. Domyślał się, że gdyby zaproponowała mu pokazać świniaarnię jej ojca, w pijanym widzie okazałby równie wiele chęci. Właściwie, pewien był, że zachowywałby się entuzjastycznie w każdej sytuacji, za wyjątkiem obecnej. Kac powodował, że nawet Ulrika Magdova wyglądała mniej porywająco, niż wizja powrotu do snu.

– Nie mogę się doczekać, by zobaczyć cię na koniu. To powinien być wspaniały widok.

– Może trochę przesadziłem, mówiąc o moich umiejętnościach jeździeckich.

– Potrafisz jeździć konno?

– Eh-tak.

– Zeszłej nocy powiedziałeś mi, że potrafisz w tym dorównać każdemu Kislevicie.

Felix jęknął ponownie. Czy jakiś demon zapanował nad jego językiem, gdy był pod wpływem wódki? Co jeszcze powiedział? I dlaczego wypił tak dużo?

– Gotowy do drogi?

Felix skinął głową.

– Pozwól mi tylko najpierw się umyć.

Wyszedł na podwórko. Snorri Gryzonos leżał rozwalony na stole z głową w wiadrze. Gotrek chrapał na tłących się resztkach jednego z palenisk, trzymając topór zaciśnięty w dłoniach. Felix podszedł do pompy wodnej, wsadził pod nią głowę i zaczął poruszać dźwignią. Zimny strumień wywołał dreszcz, który przebiegł wzdłuż całego kręgosłupa. Felix prychnął, dmuchnął nosem i pompował dalej mając nadzieję na odpędzenie kaca, zadając sobie jeszcze większe katusze.

Czy naprawdę powiedział te wszystkie rzeczy, czy też Ulrika Magdova kpiła sobie z niego? Łatwo mógł uwierzyć, że powiedział jej, jak jest piękna. Często myślał o tym, w ciągu ostatnich kilku dni. Wiedział, że miał tendencję do rozpuszczania języka, gdy był naprawdę pijany. Z drugiej strony, mało prawdopodobne wydawało się, by wspiał się na wieżę cumowniczą statku powietrznego i nie pamiętał tego, nawet będąc tak pijanym. To był akt szalonej bezmyślności. Nie – uznał, że to było po prostu niemożliwe. Dziewczyna musiała żartować. Snorri wyjął głowę z wiadra.

Spoglądał krzywo na Felixa.

– A jeśli chodzi o tę sztukę złota, którą Snorri jest ci winien?

- Tak? – powiedział Felix z ciężkim westchnieniem.
- Snorri zapłaci, gdy wrócimy z Pustkowi Chaosu.
- To dość rozsądne – rzekł Felix i pospieszył w kierunku stajni.

Felix oparł się w siodle i pokręcił głową oraz ramionami, by rozruszać zeszywniały kark. Spojrzał z wysokości wzgórza na miejsce, gdzie małe strumienie przecinały pofałdowaną równinę. Okolica była nieco bagnista, a jasne ptaki fruwały między szuwarami. Wydawało mu się, że dostrzegł kilka żab chlapiących się w wodzie. Przed jego twarzą przelatywały ważki i inne większe insekty, których nie rozpoznawał. Niektóre z nich miały jasne pancerzyki w metalicznych kolorach, wyglądające znacznie bardziej niezwykle, niż u owadów, które Felix kiedykolwiek widział. Zastanawiał się, czy to świadczyło o bliskości Pustkowi?

Spojrzał na swoją towarzyszkę i uśmiechnął się, uradowany, że wreszcie jest tutaj. Na początku przejażdżka wydawała się być szczególnie wyrafinowaną formą tortur, gdy poruszenia konia posyłały spazmy protestu przez mdlący żołądek Felixa. Przeklął kobietę, swojego wierzchowca, świeże powietrze i jasne słońce, mniej więcej w tej kolejności. Ale ćwiczenie i światło słoneczne najwyraźniej rzuciło wreszcie na niego swój czar i odesłało kac w mroczną, odległą otchłań jego czaszki. Zaczął patrzeć z rosnącym zainteresowaniem na otoczenie, a nawet cieszyć się wrażeniem szybkości, wiatru na jego twarzy i słońca na skórze.

Ulrika jechała swobodnie, jakby urodziła się w siodle. Była kislevicką szlachcianką, jeździła dosłownie od czasu, gdy nauczyła się chodzić. Nie wypowiedziała ani jednego słowa od chwili, gdy wyruszyli, najwyraźniej zadowolona z pędu pod rozległym pustym niebem, aż dotarli do małego pagórka. Zatrzymali się oboje, jakby porozumieli się bezgłośnie.

W oddali, za strumykiem ciemne góry maszerowały groźnie ku horyzontowi. Ich wielkie masywy wydawały się być ukształtowane z wyblakłych kości ziemi. Wyglądały na bardziej opuszczone, niż dowolne miejsce, które widział Felix. Na tych postrzępionych szczytach nie było śniegu, ale można było dostrzec coś innego, coś w rodzaju oleistej błony, której kolory zmieniały się i migotały w świetle słońca. Góry otaczała złowieszcza, złowroga aura, wskazująca na fakt, że za nimi leżały bezdroża Pustkowi Chaosu.

– Co to za przełęcz? – zapytał Felix wskazując na północ, na ogromną przerwę wśród gór, która wyglądała jakby została wyrębana w górskiej barierze przez gigantyczny topór.

– To Przełęcz Czarnej Krwi – odpowiedziała cicho Ulrika. – To jedna z głównych dróg prowadzących z Pustkowi i powód, dla którego Caryca umieściła tu ten posterunek.

– Czy Mroczni często tędy przechodzą?

– Nigdy nie wiadomo, kiedy nadejdą, ani nawet, czym będą. Czasami to wielcy jeźdźcy w czarnych zbrojach płytowych. Czasami to zwierzoludzie z łbami zwierząt i bronią ludzi, ale czasem pojawiają się inne, zdeformowane stwory, a nawet gorsze rzeczy. Zdaje się, że nie rządzi tym żaden rytm ani logika. Nie ma znaczenia, czy jest upalne lato, czy środek zimy. Przybywają w dowolnym czasie.

– Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć poczynań Chaosu. Może powinnaś porozmawiać o tym z Herr Schreiberem.

– Może, ale wątpię, czy nawet teorie Maxa to wyjaśnią. Najlepiej trzymać naostrzoną broń i obsadzone czujki oraz pozostawać w gotowości do walki, w każdym momencie.

– Czujki?

– Aye, jest tu system czujek biegnących od przełęcz. Gdy sygnały są zapalone, wieśniacy wiedzą, że muszą uciekać do swych wiosek i zamknąć wrota, a lansjerzy zbierają się na dworze

mojego ojca.

– Dym za dnia, ogień w nocy – mruknął Felix.

– Tak.

– Mieszkaś na przerażającej ziemi, Ulriko.

– Aye, ale także pięknej, czyż nie?

Spojrzał na nią i na otoczenie, po czym skinął głową. Zauważył rozszerzone źrenice jej oczu i lekko rozchylone usta. Pochylała się ku niemu. Felix wiedział, co ma robić.

– To prawda. Jest tak piękna, jak ty. – Nachylił się ku niej. Ich dłonie spotkały się, a palce splotły. Dotknęli się ustami. Felix poczuł jakby elektryczny wstrząs przebiegający przez jego ciało i niemal tak szybko, jak to się zaczęło, było po wszystkim. Ulrika wyrwała się i ściągnęła lejce konia.

– Robi się późno. Ścigajmy się do dworku – rzekła nagle zwracając wierzchowca i spinając go do biegu. Bardzo sfrustrowany, Felix ruszył w pogoń.

Lurk myszkował na szczycie gondoli. Dawno nie był tak szczęśliwy. Było ciemno i resztką załogi pozostawiona na statku powietrznym w większości spała, za wyjątkiem krasnoluda na mostu kapitańskim. Pozostali byli na dole, pijąc, śmiejąc się i śpiewając swoje głupie ludzkie przyśpiewki. W ładowni było mnóstwo jedzenia i, jak dotąd, nie odkryto jego obecności. Teraz zaczynał czuć się bardziej odprężony i mógł zaspokoić swoją ciekawość, która stanowiła kolejną cechę skavenów. Skradał się po całym statku, badając wszelkie kąty i zakamarki. Odkrył kilka interesujących rzeczy.

Był tam giętki metalowy tunel, który biegł prosto przez wielki balon nad głową. Przenikał przez torbę powietrzną i wychodził na mały pokład obserwacyjny na szczycie. Na wierzchołek balonu prowadził właz. Całość okryta była siecią, na której można było zawisnąć.

Na samym końcu statku powietrznego znajdowało się pomieszczenie zawierające jedną z małych maszyn latających, które pomogły pokonać oddziały skavenów podczas bitwy pod Samotną Wieżą. Były tam duże drzwi i rampa, które najwyraźniej miały za zadanie umożliwić odlot maszyny. Gdyby tylko wiedział, jak nią pilotować, ukradłby ją i powrócił do Skavenblight jak bohater. Pokusa, by zasiąść za sterami i zacząć wciskać przełączniki i pociągać dźwignie była niemal nie do odparcia. Rozważał tę myśl poważnie – ale Szary Prorok podczas ostatniej rozmowy bardzo dobitnie określił jego zadania.

Lurk miał nic nie robić i niczego nie dotykać, bez wyraźnego polecenia Thanquola. Słowa Szarego Proroka były dość obraźliwe, ponieważ sugerowały, że Lurk był idiotą, który bez przewodnictwa Thanquola najpewniej zrobi coś katastrofalnie głupiego. Lurk stwierdził, że Thanquol ma szczęście, iż jest tym, kim jest. Tylko czarownik o potędze Thanquola, mógł bezkarnie przemawiać w taki sposób do Lurka.

Nie, będzie siedział na miejscu i niczego nie robi, zanim nie otrzyma rozkazów. Nie miał nic innego do roboty, poza oczekiwaniem.

Kierunek – Karag Dum

Felix przyłączył się do tłumu wieśniaków na podwórku i gapił w górę na statek powietrzny. Na pokład pojazdu przenoszono zapasy. Potwierdzało to ponury fakt, że wkrótce będą musieli opuścić to miejsce.

Na dziedzińcu widział skrzynie, beczki i duże skórzane torby wciągane na szczyt wieży, a potem przenoszone po trapie do maszyny. Wyglądało na to, że krasnoludy zamierzają zabrać na pokład

mnóstwo wódki, jako uzupełnienie swoich beczek ale, bowiem, jak wskazał Snorri, nigdy za dużo przezorności. Jednak w większości zapasy składały się z bardziej podstawowych dóbr: wędzonego i suszonego na słońcu mięsa dzikich świń, setek pająk ciemnego chleba i równie wielu wielkich, okrągłych serów. Cokolwiek miałyby się stać, Felix wątpił, by umarli z głodu, chyba, że spędzą zbyt wiele czasu na Pustkowiach Chaosu. Oczywiście, śmierć głodowa była najmniejszym z jego zmartwień.

Zauważył, że krasnoludy dokonywały modyfikacji swojego pojazdu. Na otwory wentylacyjne wpuszczające powietrze do gondoli nałożono ekrany z drobnego muślinu. Miały odfiltrowywać mutagenny pył, który wznosił się z pustyni Pustkowi Chaosu. Krasnoludy w wymyślnych uprzążach, zwiślały po jednej stronie statku latającego i dokonywały ostatnich regulacji silnika i wirników.

Prowadzono także inne przygotowania. Na ostatnie trzy dni Max Schreiber oddalił się do małej wieży obok dworu i zagłębił w tajemnym rytuale. W nocy Felix dostrzegał czasem osobliwe lśnienie oświetlające okna wieży i czuł dziwne łaskotanie włosów na karku, co znaczyło, że działała magia. Nikt z pozostałych nie wydawał się być tym zaniepokojony. Przypuszczalnie Borek powiedział im, że rolę czarodzieja jest pomoc w ochronieniu się przed złym wpływem Chaosu. Sam Schreiber powiedział mu, że czekał, aż do ostatniej chwili, ponieważ magia traciła swoją siłę z upływem czasu. Im bliżej do ostatecznego celu wyprawy rzuci zaklęcia, tym dłużej przetrwają one nad Pustkowiami. Felix nie widział powodu, by wątpić w doświadczenie magika w tych sprawach.

Gdy spojrzał w górę, zobaczył inżynierów wspinających się wzdłuż siatki z boku wielkiego balonu i przyczepiających coś, co mogło być kosztownymi amuletami, sądząc po tym, jak błyszcząły odbitym światłem. Ponieważ pojawił się kilkakrotnie na mostku Ducha Grungniego, by pobrać więcej lekcji pilotowania okrętem Makaissona, wiedział, że oczy figury na dziobie zostały zastąpione dziwnie lśniącościami klejnotami.

Felix zaczął lubić te lekcje i wierzył, że w razie potrzeby będzie w stanie pilotować wielki statek powietrzny, chociaż nadal nie był pewien, czy udałoby się mu nim wylądować, gdyby został do tego zmuszony. Zespoły mniejszych dźwigni odpowiadały za mnóstwo rzeczy. Jedna z nich uwalniała balast, co sprawiało, że okręt mógł w razie potrzeby szybko się wznieść. Inna uruchamiała róg, który ostrzegał załogę przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Trzecia wyrzucała cały zapas czarnej wody w zbiornikach paliwowych, w przypadku pożaru. Makaisson zapewnił go, że jest to najgorsza rzecz, jaka może się przydarzyć na statku powietrznym.

Zaczął nabierać wielkiego szacunku dla głównego inżyniera. Makaisson mógł być tak szalony, jak twierdził Gotrek, ale najwyraźniej znał i kochał swoje dzieło. Udzielił Felixowi prostych odpowiedzi na jego najbardziej nawet techniczne pytania. Teraz wiedział, że statek lata ponieważ torby powietrzne wypełnione były substancją, która jest lżejsza od powietrza i ma naturalną tendencję do wznoszenia się. Wiedział, że czarna ciecz była wysoce niebezpieczna i podpalona mogła nawet eksplodować. Właśnie dlatego musiała istnieć możliwość odrzucenia jej na wszelki wypadek.

Przez większość czasu życie w majątku bojara podczas tych ciepłych słonecznych dni było idylliczne, czasami prawie udawało mu się zapomnieć o niebezpieczeństwie, które oczekiwało na nich po odlocie. Prawie.

Poczuł dłoń na swoim ramieniu i w uszach zadźwięczał mu cichy śmiech.

– Tu jesteś. Powiedz mi, czy umiesz używać tego miecza, Herr Jaeger? – to była Ulrika.

– Tak – odpowiedział. – Mam pewną praktykę.

– Może zechciałbyś udzielić mi lekcji.

– Kiedy i gdzie?

- Za murem, teraz.
- Prowadź.

Felix nie był pewien, czego się spodziewać, gdy wychodzili. Ulrika dobyła już miecza i wykonywała kilka próbnych cięć w powietrzu. Felix przechylił głowę na bok i przyglądał się jej. Poruszała się dobrze, z szeroko rozstawionymi nogami, trzymając prawą stopę wysuniętą. Utrzymywała równowagę i ruszyła naprzód. Broń błysnęła w słońcu rozcinając wyimaginowanego przeciwnika.

Zdjął płaszcz i kamizelę, po czym odpassał własny oręż. To był długi miecz. Dłuższy i cięższy niż jej broń. Zasyczał w powietrzu, gdy Felix wykonał kilka próbnych wymachów. Ruszył naprzód z pewnością siebie. Był dobry w szermierce i wiedział o tym. W młodości brylował na lekcjach walki, a jako dorosły, przeżył wiele walk. A miecz Templariusza, którego używał, był najlepszym i najlżejszym, jaki kiedykolwiek trzymał w dłoni.

– Nie z tym, głupcze! Weź to – powiedziała, kiwając w stronę innego miecza, który leżał w drewnianej skrzyni pod murem.

Felix podszedł do miecza opartego o ścianę. Wyciągnął go z pochwy i przyjrzał mu się. To była szabla, długa i lekko zakrzywiona. Ostrze zostało stępione, co miało sens, skoro była to broń ćwiczebna. Spróbował jej ciężaru i wyważenia. Była lżejsza niż jego miecz, ale rękojeść leżała w dłoni niepewnie. Wykonał kilka eksperymentalnych cięć.

– Nie jestem do tego przyzwyczajony – stwierdził.

– Wymówki, wymówki, Herr Jaeger. Mój ojciec zawsze powiadał, że podczas walki trzeba umieć korzystać z każdej broni, jaka się nawinie pod rękę.

– Ma rację. Ale zwykle dbam o to, by pod rękę nawijał mi się mój własny miecz.

Uśmiechnęła się tylko do niego kpiąco, odchylając w tył głowę z lekko uchylonymi ustami. Wzruszył ramionami i zaczął iść w jej stronę z mieczem trzymanym od niechcenia w prawej ręce.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – spytał, spoglądając prosto w jej oczy i zastanawiając się, czemu właściwie to robią. Kilku z gwardzistów musiało zastanawiać się nad tym samym, bowiem zebrał się mały tłum, by obserwować ich z murów.

– Czemu pytasz?

– Może się komuś stać krzywda.

– To są szable ćwiczebne, celowo stępione.

– Wypadek zawsze może się zdarzyć. :

– Boisz się walczyć ze mną?

– Nie.

Miał zamiar powiedzieć, że boi się ją zranić, ale coś mu powiedziało, że nie powinien tego mówić.

– Powinieneś wiedzieć, że w Kislevie walczymy do pierwszej krwi. Zwykle przegrany odchodzi z blizną.

– Mam już ich wiele.

– Musisz mi je kiedyś pokazać – uśmiechnęła się.

Podczas gdy Felix nadal zastanawiał się, co chciała przez to powiedzieć, dziewczyna wypadła naprzód. Ledwo udało mu się uskoczyć, gdy odcięła kawałek jego koszuli. Szybki ruch pozwolił mu sparować następne cięcie i zanim zdążył o tym pomyśleć, wyprowadził kontruderzenie. Zablockowała cios z łatwością, a ich ostrza migotały szybciej, niż nadążało oko.

Po kilku chwilach odskoczyli od siebie. Żadne z nich nie dyszało. Felix zrozumiał, że kobieta

była bardzo, bardzo dobra. Gdyby miał w ręce swój miecz, prawdopodobnie pokonałby ją. Ale walka z taką prędkością była kwestią refleksu, wyćwiczonych reakcji, które trenował tak często w walce, że stały się automatyczne. W tego rodzaju walce, szybkiej jak błyskawica, wszystko następowało zbyt szybko, by umożliwić świadomą odpowiedź. Lżejsze zakrzywione ostrze cięło szybciej i dawało jej przewagę. To była ostatnia chwila na przemyślenia, zanim Ulrika natarła atakując. Gwardziści na murach wiwatowali jej.

– Czy mówiłam ci, że pokonałam w szabli wszystkich gwardzistów mego ojca? – rzekła, gdy ledwo udało mu się unieść gardę, by zablokować jej cięcie. Nie żartowała mówiąc o walce do pierwszej krwi. To nie przypominało sportowych pojedynków z jego młodości, gdy walczyło się dla zaprezentowania umiejętności. W miejscu tak zabójczym, jak Kislev, nikt nie chciał nabrać odruchów, które polegały na powstrzymywaniu ciosów. Wiedział o tym, ponieważ musiał stoczyć wiele prawdziwych walk, zanim sam oduczył się całkiem tego uwarunkowania.

– Gdyby tak było, nie robilibyśmy tego – mruknął, uderzając na nią dziko.

– I pobiłam wszystkich tutejszych szlachciców.

Jej cięcie rozerwało mu koszulę na piersi i rozdarło guzik. Felix zastanawiał się, czy ona się z nim bawi. Gwardziści nad nimi szydzili z niego.

– Nikt nie pokonał mnie w szabli od czasu, gdy skończyłam piętnaście lat.

Felix wątpił, czy pozwolili jej wygrywać tylko, by sprawić przyjemność ojcu. Walczył z wieloma mężczyznami, a ona była znacznie lepsza od większości z nich. Jego twarz była czerwona i dyszał z wysiłku. Zaczął czuć się rozgniewany sposobem, w jaki gwardziści szydzili z jego poniżenia. Zmusił się do koncentracji, do spokojnego oddechu i zachowania pozycji, tak jak go nauczono.

Zrozumiał teraz, że miał przeciw sobie szczególną umiejętność dziewczyny. Większość walk, które stoczył miało niewiele wspólnego, z tym sformalizowanym stylem walki. To były twarde walki w zwarcu, gdzie trzeba było zabić wroga, w dowolny sposób i styl nie był nic warty.

Zdając sobie sprawę, że niewątpliwie przegra, jeśli nadal będzie tak walczył, postanowił zmienić swoją taktykę. Zablokował następne cięcie i napał. Gdy zbliżyli się twarzą w twarz sięgnął ręką i złapał ją za lewe ramię. Z całej siły szarpnął i obrócił ją w miejscu. Gdy straciła równowagę, udało mu się wytrącić jej szablę z dłoni. Puścił ją i dziewczyna upadła na plecy, a on uniósł swoją szablę opierając koniec na jej gardle.

– Zawsze jest ten pierwszy raz – rzekł. Małeńka kropelka krwi pociekła po jej szyi.

– Na to wygląda, Herr Jaeger. Może rewanz?

Zaśmiała się, więc on roześmiał się także.

Felix położył się nad strumieniem koło dworu patrząc na faliste zarośnięte trawą równiny, zagubiony w rozmyśleniach. Myślał, co się działo między nim i Ulriką. Ona sama stała obok trzymając krótki kislevicki łuk kompozytowy. Stała przez chwilę z napiętym łukiem w pozycji, która nie ukrywała jej doskonałej figury, po czym posłała kolejną migoczącą strzałę na odległość stu kroków, prosto w środek tarczy strzelniczej. To było jej trzecie idealne trafienie.

– Dobrze zrobione – powiedział Felix.

Spojrzała na niego.

– To łatwe. Znacznie trudniej byłoby trafić z grzbietu galopującego konia.

Felix zastanawiał się, czy starała się wyrzucić na nim wrażenie. Trudno było to stwierdzić. Bardzo różniła się od kobiet, które znał. Była bardziej bezpośrednia, lepiej znała się na sztukach walki, była otwarta. Oczywiście, to był Kislev, gdzie szlachcianki często brały udział w walce obok

mężczyzn. Spodziewał się, że musiały to umieć, ponieważ to był kraj na dzikim pograniczu, między Ciemnością na północy i dzikimi ładami pełnymi orków na wschodzie. Była to surowa kraina, która potrzebowała każdego miecza. Dziewczyna wydawała się być nim zainteresowana, w sposób w jaki mężczyźni i kobiety zawsze są sobą zainteresowani, ale zawsze gdy prowokował ją do czegoś więcej, ona wycofywała się. To było nader frustrujące. Miał wrażenie, że im więcej poznawał tę kobietę, tym mniej tak naprawdę ją rozumiał.

Padł na niego cień, poczuł na ramieniu czyjaś rękę. Felix uniósł wzrok przerywając potok myśli. Obok stał Varek spoglądając krótkowzrocznymi oczami na Ulrikę.

– Co takiego? – spytał Felix.

– Mój wuj kazał mi powiedzieć, że nasze przygotowania są zakończone. Wyruszamy jutro o świcie.

Felix skinął potwierdzając, że zrozumiał. Varek uklonił się nisko przed Ulriką i odszedł.

– Co to było? – spytała.

Felix powiedział jej. Po twarzy dziewczyny przemknęła chmura.

– Tak szybko – powiedziała cicho i wyciągnęła dłoń, by dotknąć jego twarz, jakby upewniając się, że nadal tam był.

Słońce tonęło za horyzontem. Felix stał w ciemnościach na murze i spoglądał ku odległym góróm. Było jeszcze wcześniej i ciepły wietrzyk mknął przez trawiaste równiny. Dwa księżycy jeszcze nie wzeszły. Poza szczytami na północy widoczne było dziwne migotliwe lśnienie. Niebo wypełniały tańczące światła w kolorze złota, srebra i krwi. To był osobliwy widok jednocześnie porywający, jak i przerażający.

Z dołu dobiegały odgłosy muzyków strojących swe instrumenty i kucharzy wołających do siebie podczas przygotowań do wieczornej uczy. Sądząc po ilości zarżniętego bydła i przygotowanych flaszek wódki, Straghov szykował dla nich iście królewskie pożegnanie.

Cichy dźwięk dobiegający z lewej strony przyciągnął uwagę Felixa, który zauważył, że nie był sam na blankach. Stał tam także Gotrek gapiąc się w dal. Wydawał się być wniebowzięty, a na jego obliczu malował się wyraz skupienia.

– To lśnienie – czy to światło Chaosu? – spytał wreszcie Felix.

– Aye, człeczyno, właśnie tym jest.

– Z tego miejsca wygląda pięknie.

– Teraz możesz tak myśleć, ale gdybyś przeszedł przez Przełęcz Czarnej Krwi i maszerował pod tym niebem, myślałbyś inaczej.

– Czy to jest naprawdę tak złe?

– Gorzej niż to można wyrazić słowami. Piaski pustyń mienią się wszelkimi dziwnymi kolorami, a kości wielkich zwierząt lśnią w świetle. Studnie są zatrute, rzeki nie płyną wodą, lecz czymś przypominającym krew lub śluz. Wiatry dmuchają wszędzie pyłem. Są tam ruiny, które niegdyś były miastami ludzi, elfów i krasnoludów. Są tam niepoliczalne potwory i wrogowie, których nie tyka lęk lub rozsądek.

– Ostatnim razem, gdy tam byliście, straciliście wielu towarzyszy.

– Aye.

– Jakie zatem mamy szanse? – Felix chciał dodać „na przeżycie”, ale wiedział, że to byłoby pytanie bez znaczenia dla Zabójcy. – Szanse na dotarcie do Karag Dum?

Gotrek zamilkł na dłuższą chwilę. Za nim wzniósł się hałas śpiewów. Z trawy za dworem dobiegły odgłosy nocnych owadów. Było tak pięknie, że Felix z trudem mógł uwierzyć, że to kraina

na rubieżach nieustannej wojny i w to, że jutro będą lecieli nad Pustkowiami Chaosu, przez tereny, skąd mogą już nie powrócić. Stojąc tu wśród ciepłej nocy Felix czuł się, jakby był nieśmiertelny.

– Po prawdzie, człeczyno, nie potrafię powiedzieć. Gdybyśmy szli na piechotę, nie mielibyśmy żadnych szans. Tego jestem pewien. Dzięki owemu powietrznemu statkowi Makaissona może nam się udać.

Potrząsnął smutno głową.

– Nie wiem. To zależy od tego, jak dokładne są mapy Boreka i jak silne okażą się zaklęcia Schreibera oraz, czy nie popsują się silniki, skończy paliwo lub jedzenie, albo czy burze spaczenia...

– Burze spaczenia?

– To potworne sztormy przepelnione mocą Ciemności. Zmieniają ludzi w bestie lub mutantów i sprawiają, że kamień płynie jak woda.

– Dlaczego chcesz powrócić? – Felix odwrócił się i oparł o blanki, tak by mieć przed sobą widok na podwórzec.

– Ponieważ możemy dostać się do Karag Dum, człeczyno. A jeśli tego dokonamy, nasze imiona będą żyły na zawsze. A jeśli polegniemy, cóż, to będzie wielka śmierć.

Po tej odpowiedzi Felix nie zadawał więcej pytań. Spoglądając na dziedziniec i widząc Ulrikę w długiej jasnej sukni, nie mógł uwierzyć, że może zginąć.

Felix doszedł do końca podwórca. Za sobą słyszał odgłosy picia i tańców. Kobziarze dęli w instrumenty, które przypominały miniaturowe dudy. Inni muzycy uderzali rytmicznie w pokryte skórą drewniane bębny. Jego nozdrza wypełnił zapach pieczonego mięsiva wojujący z ostrym, kwasowym smrodem wódki.

Gdzieś z oddali dochodziły nawoływania, stęknienia i krzyki zachęty wojów, zagrzewających dwóch zapaśników.

Felix nie był głodny i nic nie pił, ponieważ postanowił, że nie weźmie udziału w kolejnej popijawie, nawet gdyby to miała być ostatnia noc w życiu. Szukał Ulriki, ale ona zniknęła już wcześniej, w towarzystwie dwóch wieśniaczek, które wyglądały na jej dworki lub przyjaciółki. Nie był pewien, co było prawdą. Czuł się odrobinę rozczarowany. Oto stał tutaj, ubrany w swe świeżo uprane i naprawione ubranie z uczesanymi włosami i wykąpany – a nawet nie mógł jej odnaleźć, by ukraść buziaka. Czuł się żałośnie i było mu przykro. Był zupełnie dezorientowany. Czyż dziewczyna w ogóle nie dbała o to, że jutro odlatuje? Czy nawet z nim nie porozmawia? Nie był w nastroju do zabawy, która toczyła się za nim. Zamierzał powrócić do swojego pokoju i dąsać się tam w samotności. Uśmiechnął się gorzko w drodze powrotnej wiedząc, że to było dziecinne zachowanie, ale nie chciał go zmieniać.

Zatrzymał się w półotwartych drzwiach. Izba była ciemna i słyszał w jej wnętrzu cichy dźwięk. Ręka Felixa sięgnęła po miecz. Zastanawiał się, czy to był rabuś, czy jakiś sługa potęg Chaosu, który czaił się w nocy pod osłoną biesiady.

– Felix, czy to ty? – spytał głos, który rozpoznał natychmiast.

– Tak – rzekł z nagłą trudnością wypowiadając słowa. Zamigotało światło i zapłonęła latarnia. Felix zobaczył nagie ramię wystające spod narzuty.

– Myślałam, że już się nie zjawisz – powiedziała Ulrika i odrzuciła narzutę pokazując swoje smukłe, nagie ciało. Felix pospiesznie położył się koło niej na łóżku. Jego nozdrza wypełnił zapach kobiety. Ich usta spotkały się w długim pocałunku i tym razem dziewczyna nie wyrywała się.

Felixa obudziło blask świtu i pianie kogutów. Otworzył oczy i zobaczył, że Ulrika leży przy nim. Podparta na ramieniu przyglądała się jego twarzy. Gdy zobaczyła, że się obudził uśmiechnęła się

odrobinę smutno. Przesunął dłoń po jej policzku czując miękką skórę pod palcami. Złapała go za rękę i odwróciła ją, by pocałować środek jego dłoni. Zaśmiał się i wyciągnął ramię. Przycisnął ją do siebie czując ciepło jej ciała. Był szczęśliwy będąc tutaj, szczęśliwy trzymając ją i czując bicie jej serca przez nagą skórę. Zaśmiał się z rozkoszy, ale ona zadrżała i odwróciła się od niego, jakby zamierzała się rozpłakać.

– Co się stało? – spytał.

– Musisz odlecieć – powiedziała.

– Wrócę – rzucił głupkowato.

– Nie, nie wrócisz. Nikt nie wraca z Pustkowi. Nikt zdrowy na umyśle. Nietknięty przez Chaos.

Zrozumiał dlaczego zeszłego wieczora kochali się z tak desperacką gwałtownością. To była ich jedyna noc, podarunek od kobiety dla wojownika, którego nikt nie spodziewa się już zobaczyć. Ciekaw był, czy to zdarzało się tu często. Jego szczęście uleciało, ale przytrzymał ją pieszcząc jej włosy.

Za drzwiami rozległo się głośnie pukanie.

– Czas w drogę, człeczyno – usłyszał głos Gotreka.

Zabrzmiało to jak głos samej śmierci.

Pustkowie Chaosu

Smutek ogarniał Felixa spoglądającego na majątek Straghova, znikający za statkiem powietrznym. Drobne machające postacie, powoli oddalały się i wreszcie znikły całkiem, gdy Duch Grungniego nabrał prędkości. Dwór zmniejszył się i zgiął wśród nieskończenie rozległej, falistej równiny porośniętej trawą. Felix niespokojnie przechadzał się po metalowym pokładzie.

Ciekaw był, czy zobaczy jeszcze kiedyś Ulrikę. Ona wątpiła w to, a lepiej znała się na tych rzeczach, mieszkając przez całe życie tak blisko granic Pustkowi Chaosu. Tęsknił za nią, co było dziwne biorąc pod uwagę, że po raz pierwszy spotkał tę kobietę tylko kilka dni temu.

Przez krótką, straszną chwilę zamierzał pójść do Makaissona i poprosić go o zawrótce okrętu. Chciał powiedzieć, że to była okropna pomyłka i nie chce odlatywać. Żałował, że nie został z dziewczyną, ale wszystko działo się tak szybko, po raz kolejny porwał go nurt misji krasnoludów. Wszyscy, łącznie z nią, ufali, że polecą i tak też się stało, mimo, że nie miał na to specjalnej ochoty.

To był typowy rozwój wypadków na tym świecie. Nieznaczące wydarzenia nabierały własnego życia i zanim mógł się zorientować, zostawał zagarnięty przez niezwykle okoliczności, które były poza jego kontrolą. Zastanawiał się, czy życie innych ludzi też tak wyglądało, czy może tylko jego własne. Czy każdy podejmował niewielkie decyzje układając je jedna na drugiej niczym dziecko budujące wieżę z kamyczków, aby dopiero w ostatniej chwili zorientować się, że zbudowali pod sobą chwiejną, niestabilną górę, z której nie można zejść nie wywołując lawiny?

Wiedział, że nie może iść do głównego inżyniera i poprosić go o powrót z wielu powodów. Pierwszym i najprostszym było to, że Makaisson może tego nie zrobić, a wówczas Felix straci szacunek i dobrą wolę załogi, niczego nie zyskując. Drugim powodem był fakt, że nie miał pojęcia jakie powitanie czekałoby go, gdyby zawrócił. Może Ulrikę przyciągnęło do niego przeświadczenie, że jego udział w tej misji jest czymś bohaterskim, a porzucenie towarzyszy uznałaby za tchórzostwo. Wiedział, że lud tej surowej ziemi nie chce mieć do czynienia z tchórzami.

Musiał jednak przyznać, że być może jego część chciała wyruszyć tak, czy inaczej, aby zobaczyć to nowe miejsce, by dowiedzieć się, jak to wszystko się skończy, by zmierzyć się z pustkowiem, które przerażało nawet Gotreka. Może oceniał się w sposób, w jaki ocenialiby go inni ludzie. Gdyby opuścił Ducha Grungniego, przestałby postrzegać siebie jako herosa i stałby się zwykłym człowiekiem, jak wszyscy wokół. Nie wiedział tego. Czasami zaskakiwały go jego własne motywacje. Zdawały się zmieniać wraz z nastrojami lub pod wpływem przepicia.

Wiedział tylko, że czuje się źle – oraz, że chce zobaczyć ponownie Ulrikę. Nastrój przygnębienia opanował cały okręt latający. Wszystkie krasnoludy milczały, a ich twarze były zbolale. Może oni także odczuwali ten niewytłumaczalny smutek. A może po prostu cierpieli od kaca, bowiem zeszłej nocy każdy z nich wypił tyle, ile wypija żeglarz z Marienburga podczas libacji, albo, mówiąc dosadnie, tyle, ile potrafią wypić krasnoludy postawione przed jeziorem piwa. Felix musiał przyznać, że statek powietrzny nie był obecnie miejscem przyjaznym dla skacowanych. Pokład wyraźnie drżał, a od czasu do czasu całą gondolą szarpało, gdy przebijali się przez chmury i turbulencje.

Felix przepchał się do sterówki i zobaczył, że jest prawie pusta, nie licząc podstawowej załogi potrzebnej do pilotowania statku. Podszedł powoli do Makaissona i wyjrzał przez okno. Wielki, skalisty masyw gór majaczył coraz bliżej. Widział, że zmierzali ku Przełęczu Czarnej Krwi. Szczelina ziała przed nimi niczym paszcza jakiegoś wielkiego demona.

Wkrótce znaleźli się w samej przełęczy, a wokół nich wyrastały góry. Najniższe z dziwnie lśniących szczytów zrównały się ze statkiem powietrznym. Felix przyjrzał się, ale ciężko było patrzeć na lśniącą, migoczącą substancję, która pokrywała wierzchołki. Oko ześlizgiwało się z niej niczym człowiek na lodzie i Felix stwierdził, że nie potrafi skupić uwagi na najbliższych szczytach. To była pierwsza oznaka, jak dziwny może być Chaos. Pewien był, że nie będzie ostatnią.

Sama przełęcz była kamienista i ponura. Tu i tam wzdłuż ścieżek umieszczono dziwacznie ukształtowane głazy, a Felix był pewien, że są na nich wyryte dziwne, obce runy. Zauważając, że niektóre z nich lśnią na biało, pożyczył teleskop od Makaissaona i skupił na nich wzrok. Ku swojemu przerażeniu zobaczył, że to, co wziął za narysowane kredą symbole, było w rzeczywistości zdeformowanym szkieletem przykutym łańcuchem do głazu. Zastanawiał się, czy to były ofiary z ludzi pozostawione przez wojowników, czy znaki ostrzegawcze pozostawione przez Kislevitów? Obie możliwości były jak najbardziej prawdopodobne.

Varek pojawił się obok Felixa i przez kilka minut stał milczący i załębiony. Felix wiedział, że młody krasnolud podziela jego nastrój.

– Schreiber uważa, że te góry osłaniają cały Kislev – powiedział wreszcie Varek.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Rozmawiałem z nim w dworku. Wysunął teorię, która głosi, że gdyby nie ten łańcuch górski, wiatr naniósłby pył spaczenia z Pustkowi Chaosu i wywołał mutacje u ludności. Powiada, że zmieniliby się, zdeformowali i poddali szalonym zachciankom Mrocznych Bogów.

– Myślałem, że w Kislevie już są mutanci. Sigmar wie, z iloma walczyłem w Imperium. Tutaj nie może być ich mniej!

Varek spojrział na Felixa i uśmiechnął się smutno.

– W Kislevie zabijają każdego, kto okaże najmniejsze stygmaty mutacji – nawet niemowlęta.

– To samo robią w Imperium – powiedział Felix, ale wiedział, że to nie była do końca prawda. Wielu rodziców ukrywało swoje zmutowane dzieci, a ludzie kryli krewnych dotkniętych mutacjami. Spotkał się z takimi przypadkami podczas swoich wędrówek. Pomyślał, że mutanci nie byli złymi ludźmi, po prostu byli chorzy. Potrząsnął gorzko głową wiedząc, że ani krasnolud, ani zapewne żaden Kislevita nie zgodzi się z jego poglądem. To był naprawdę straszny świat.

– Schreiber twierdzi, że bez tych gór byłoby znacznie gorzej. Są naturalną barierą, która zapobiega przedostawaniu się większości pyłu na ziemie ludzi. Powiada, że ta dziwna substancja na szczytach jest przesiąknięta Mroczną Magią. To czysta emanacja Chaosu.

– Herr Schreiber ma wiele interesujących teorii – rzekł z przekąsem Felix.

– Mówi, że to nie tylko teorie. Przeprowadził eksperymenty na zwierzętach z użyciem pyłu ze spaczenia.

– Wobec tego jest szalony. Spaczeń to paskudna rzecz. Sprowadza na ludzi szaleństwo. Widziałem to.

– Mag powiada, że jest bardzo ostrożny i ochrania się magią oraz ochronnymi substancjami wszelkiego rodzaju. Mój wuj wierzy w jego teorie. To jedyny powód, dla którego wewnątrz kadłuba tego okrętu znajduje się warstwa folii ołowianej.

– Myślę, że w końcu nic dobrego nie przyjdzie z tego Herr Schreiberowi.

– Jestem skłonny zgodzić się z tym, Felixie, ale równie dobrze może mieć rację. Mój wuj rzecze, że to zgadza się z pradawną wiedzą krasnoludów. Niektórzy twierdzą, że nasz lud zaczął budować swoje miasta pod ziemią, podczas pierwszych wielkich najazdów Chaosu długie lata temu, a skała ochraniała nas przed wpływem Chaosu, który dotknął wszystkie inne rasy.

Najwyraźniej zawstydział się tego, co powiedział, jakby niepewny, jak Felix zareaguje na

oskarżenia, że jego lud został dotknięty przez Chaos. Doświadczenie nabyte podczas podróży po Imperium i dalej sprawiało jednak, że Felix z łatwością mógł uwierzyć, iż tak było w istocie. Ludzkość poddawała się zbyt łatwo pokusom Ciemności. To była przygnębiająca myśl.

– Gdy przelecimy nad tymi górami, znajdziemy się na samej granicy Krainy Chaosu – mruknął ponuro Varek.

– Czy wierzysz, że ochronią nas zaklęcia utkane przez Schreibera wokół okrętu? – spytał Felix.

– Nie wiem nic o magii, Felixie. To nie jest temat, na którym zna się zbyt wielu krasnoludów. Mój wuj wierzy, że tak będzie, a jest uważany za obeznanego w tych sprawach.

– Dziwny człowiek z tego Herr Schreibera. Wiesz, poprosił mnie, bym zapisywał swoje wrażenia dotyczące Pustkowi, na wypadek, gdybyśmy mieli powrócić.

– Mnie także. Powiada, że to pomoże w jego badaniach.

– Miejmy nadzieję, że wrócimy, by przekazać mu użyteczne materiały.

Varek uśmiechnął się.

– Zaiste, miejmy nadzieję.

Lurk był zaniepokojony. Od czasu, gdy ludzki czarodziej wszedł na pokład statku powietrznego i zaczął rzucać swoje zaklęcia, nie udało się nawiązać kontaktu z Szarym Prorokiem Thanquolem. To było straszne, bowiem Lurk wiedział, że skaveński czarnoksiężnik obwini za to jego, bez względu na prawdziwy powód. Chciał coś zrobić, ale nie znał się na czarodziejstwie. Opanowało go uczucie bezsilności. Wraz z nim napłynęła żądza rozdzierania i rwania, wyładowania swych lęków przez zabicie kogoś, najlepiej słabego i bezbronnego.

Niestety nie znajdował kandydatów na ofiary swojej furii. Statek latający pełen był dobrze uzbrojonych i wyposażonych krasnoludów, a Lurk nie miał przy sobie tuzina braci. Nie mógł rozpalić swojego słusznego, skaveńskiego gniewu.

Wiedział, że musi znaleźć ujście tej zdławionej energii. Znalazł je badając statek powietrzny, podczas gdy większość krasnoludów spała. Ponownie dostał się do obiecującego tunelu otwierającego się na najwyższym poziomie gondoli.

Powoli, ostrożnie, odkręcił masywny zawór i poczuł trząśnienie otwieranego zamka. Pchnął włąz z całej siły i zobaczył drabinę biegnącą w górę. Przez chwilę wiatr szarpał jego futrem i Lurk zrozumiał, że stoi na szczycie gondoli. Spoglądając w górę widział, że drabina znika w okrągłym otworze w materiale torby powietrznej. Podciągnął się przez wyjście i natychmiast został otoczony przez masę ogromnych balonów. Były przymocowane w długich rzędach wewnątrz torby powietrznej za pomocą cienkich lin.

Szybko wdrapał się po drabinie, skacząc w górę z naturalną zręcznością skavena, uspokojony naciskiem balonów wokół. Jego czułe nozdrza łaskotały, a wąsy zadrżały. Rozpoznał słaby, duszący zapach w powietrzu, którego nie wyczułby żaden człowiek, ani krasnolud. Rozpoznał ten zapach! Czuł go już na dole, w gondoli, ale nie wiedział skąd się rozchodzi. Spotkał się z nim na wielkich bagniskach wokół Skavenblight, gdzie fabryki szczuroludzi wylewały chemiczne odpady prosto w błoto i ruchome piaski. Czasami tworzyły się wielkie bąble w ujściach rur odprowadzających ścieki, a kiedy te bąble wrywały się na powierzchnię i pękały, wydobywał się ten właśnie zapach.

Czy możliwe było, że krasnoludy złapały ten gaz w tych przypominających balony torbach? Czy rzeczywiście tysiące tych toreb unosiły pojazd ku niebu? Czy znaczy to, że środki potrzebne do budowy statków powietrznych znajdują się już w zasięgu łap skavenów? Czy powinien powiedzieć Szaremu Prorokowi Thanquolowi o swoich podejrzeniach?

Rozwazał tę myśl przez chwilę, a potem odrzucił ją. To była śmieszna teoria! Z pewnością tylko

jakiś rodzaj najpotężniejszej magii mógł utrzymać ten pojazd w powietrzu. To właśnie musiał robić ludzki czarownik, w leżu ludzi na powierzchni! Musiał odnawiać moc swoich zaklęć, które umożliwiały lot. Te torby z gazem służą do innego celu. Może są bronią podobną do kul z gazem trującym. To także jednak zdawało się nieprawdopodobne, bowiem nigdy nie słyszał, by gazy błotne spowodowały coś gorszego, niż okropny ból głowy.

Wspiął się na szczyt drabiny zauważając sznurowe pomosty biegnące przez potężny balon do jego wnętrza. To miejsce nadaje się znakomicie na kryjówkę, jeśli będzie musiał porzucić luk towarowy poniżej. Gdy dostał się na szczyt drabiny wyszedł na otwarte bocianie gniazdo na szczycie statku. To był rodzaj pokładu obserwacyjnego, wielkości mniej więcej łodzi wiosłowej. W dużej metalowej skrzyni znajdowały się dziwne mierniki i wskaźniki. Pamiętając słowa Thanquola nie ważył się tego dotykać. Obok skrzyni, na dużym trójnogu stał teleskop zamontowany nad wielką bronią o wielu działach, która przypominała Lurkowi działa organowe, z którymi spotkał się podczas walk z ludźmi i krasnoludami. Bez wątplenia broń miała ochraniać okręt w przypadku ataku z góry.

Nad nim rozciągał się doskonały widok na niebo. Zimny wiatr chłostał jego futro. Powąchał powietrze. Na Rogatego Szczura! Wyczuł bardzo słaby ślad spaczenia! Futro Lurka zjeżyło się. Gdyby znalazł źródło tej osławionej substancji, stałby się bogaty przekraczając najdziksze sny skąpców – o ile Thanquol pozwoliłby mu zatrzymać trochę dla siebie. Może lepiej nie wspominać szaremu prorokowi o cennej skale Chaosu, zanim okaże się to absolutnie konieczne. Ostatecznie, mógł się mylić.

Wzdłuż szczytu tej wielkiej konstrukcji przebiegał chodnik prowadzący do innych bocianich gniazd na dziobie i rufie okrętu. Lurk stwierdził, że ogląda baterię uzbrojenia ochronnego podobnego do tego, obok którego stał. Wyglądało na to, że krasnoludy nie chcą ryzykować. Czy możliwe było, że te sznurowe pomosty wewnątrz balonu prowadzą do innych broni rozmieszczonych po bokach okrętu? Musi to zbadać.

Spojrzał przez okular teleskopu i rozejrzał się po okolicy zauważając ogromne góry z lśniącoymi szczytami i dziwne kolorowe smugi na północnym niebie. Nagle poczuł się straszliwie odkryty. To nie było miejsce dla takiego mieszkańca tuneli, jak on. Wokół było zbyt wiele nieba, za dużo świeżego powietrza, a horyzont był za daleko. Postanowił wrócić na dół.

Tu jesteś! Myśl była tak silna, że naprawdę go przestraszyła. Lurk wyprostował się z wyciągniętym ogonem. Gdzie się podziewałeś?

Nigdzie, o najbardziej wyrozumiały z Nadzorców. Pomyślał ostrożnie Lurk. Byłem na statku powietrznym, tak jak rozkazałeś.

A zatem nasi wrogowie ochronili swój okręt czarodziejstwem. Niekompetentny głupczeniowolniku, musieli odkryć twoją obecność!

To była przerażająca myśl i Lurk modlił się z największą żarliwością, by to nie była prawda. Szybko wyjawiał potężnemu głosowi grzmiącemu w jego głowie o obecności ludzkiego czarodzieja na okręcie i sposobie, w jaki zamknął kopułę w pancerzu tajemnych zaklęć. Milczenie, jakie nastąpiło trwało tak długo, że Lurk zaczął wierzyć iż Thanquol stracił kontakt. Zamierzał już złożyć dzięki Rogatemu Szczurowi, gdy władczy głos przemówił ponownie.

Człowieczyna-czarownik musiał otoczyć statek zaklęciotarczami, aby ochronić go przed czymś. Zaklęcia spowijają tylko pojazd poniżej miejsca, gdzie jesteś. Przychodź codziennie do tego miejsca o tej samej porze, a ja skontaktuję się z tobą.

Tak, o najpotężniejszy z panów. Lurk posłał myślą odpowiedź.

Szybko popędził w dół drabiny. Po drodze zastanawiał się, czy szary prorok rozumiał niebezpieczeństwo, jakie to oznacza. Gniazda bocianie mogą być zajęte. Może nie będzie w stanie

wykonać tego polecenia. To była zatrważająca myśl. Lurk żałował, że nie dysponuje kilkoma podwładnymi, by brutalnie wyładować na nich swoją frustrację. W drodze powrotnej zatrzymał się by rozedrzeć kilka balonów pazurami. Pękły wysyłając powiewy cuchnącego, ale znajomego zapachu ku jego nozdrzom.

Dopiero w bezpiecznym schronieniu swojej skrzyni Lurk zaczął obawiać się, co się z nim stanie, jeśli któryś z krasnoludów odkryje balony, które rozerwał. Może zacząną podejrzewać jego obecność. Z drugiej strony, jego naturalna skaweńska ciekawość kazała mu się zastanawiać, co by się stało, gdyby rozdarł je wszystkie.

Felix nadal przyglądał się ziemi pod nimi, tak jak to robił od godzin. Dotarli już do początków Pustkowi Chaosu. Poniżej dostrzegał pierwsze wydmy dziwnego, wielokolorowego piasku, które zaczęły pojawiać się na ponurej, kamienistej równinie. Niebo przed nimi było wzburzone. Wypełniały je wznoszące się obłoki o niezwykłych metalicznych odcieniach. Słońce było ledwo widoczne i gdy pokazało swoje oblicze, wyglądało na większe i bardziej czerwone. Zdawało się, jakby nie tylko przemierzali nową krainę, ale także całkowicie nowy świat. Klejnoty w oczach figury na dziobie okrętu lśniły jasno, jakby zaklęcia, które w nich umieszczono były teraz w pełni aktywne.

Jeszcze raz niezwykła prędkość statku powietrznego wywołała zdumienie Felixa. W ciągu ostatnich kilku godzin minęli wysokie góry, a potem faliste równiny. Te ostatnie nie różniły się zbyt od trawiastych nizin Kislewa – z tym tylko, że przyglądając im się bliżej dostrzegał wypalone ruiny, w których kamienie najwyraźniej płynęły jak woda i zastygły w nowe, dziwaczne kształty, a stawy i jeziora migotały osobliwym różem i błękitem, jakby skażone przez dziwne chemikalia.

Po równinach nastąpiły bagna, a potem tundra. Temperatura opadła wyraźnie i czasami o okna tłukły powiewy karmazynowego śniegu, po czym rozpuszczały się i spływały po szkle czerwonymi kroplami, które przypominały zaniepokojonemu Felixowi krew.

Wreszcie te ponure okolice także przeminęły ustępując miejsca krainie, gdzie nic nie wyrastało. Kamienista równina zaśmiecona była ogromnymi głazami, które przypominały starodawne menhiry. Wydawało mu się nieprawdopodobne, by zostały ustawione przez ludzi, ale nigdy nic nie wiadomo. Czasami przelatywali nad małymi bandami zwieroludzi, którzy uderzali w swe piersi i porykiwali ku nim wyzwania. Innym razem przelecieli nad grupami polujących ludzi, którzy rozbiegali się na widok statku. Felix widział przez teleskop, że wszyscy nosili stygmaty mutacji. Ciekaw był, jak udawało im się przetrwać na tej niegościnniej ziemi. Próbował nie myśleć o mrocznych opowieściach o kanibalizmie i pożeraniu umarłych, które wiązały się z kultem Chaosu.

Teraz zostawili daleko za sobą nawet te ponure ziemie i spoglądali na migoczącą pustynię. Felix usłyszał stukanie laski Boreka o metalowy pokład. Stary krasnolud zbliżył się i Felix poczuł chropawą dłoń na swoim ramieniu.

– Weź ten amulet i nałóż go – rzekł Borek. – Wkraczamy na właściwe Pustkowie Chaosu, a to będzie cię strzegło przed ich wpływem. Staraj się trzymać amulet stale na swoim ciele, aby mógł przekazywać ci swoją moc i chronić przed wypaczającymi emanacjami Mrocznej Magii.

Felix wziął amulet i uniósł go do światła. Srebrny łańcuszek i puzderko utrzymywały klejnot przypominający kształtem i kolorem kawałek lodu. Wyglądał jak sople, które widział często zwisające w zimie z okapów domu jego ojca. Nigdy nie spotkał się z takim rodzajem kryształu i patrząc na niego wydawało mu się, że dostrzega ledwo zauważalne lśnienie. Dotknął kamienia spodziewając się, że będzie lodowaty, ale poczuł tylko lekkie ciepło.

Przechylił podejrzliwie głowę i spojrzał na starego krasnoluda.

– To zrobił dla was Herr Schreiber, nieprawdaż?

Borek uśmiechnął się do niego ironicznie.

– Nie ufasz mu, czyż nie tak, Herr Jaeger?

Felix potrząsnął głową.

– Nie ufam żadnemu czarownikowi, który zadaje się z Chaosem.

– Sądzę, że to się chwali, ale jest to także nieco głupie.

– Mam pewne doświadczenia z magią i Chaosem.

Borek wyjrzał przez okna i uśmiechnął się smutno.

– Podobnie, jak ja. I powiem ci, że powierzyłbym Maximilianowi Schreiberowi moje życie.

– To dobrze! Ponieważ wydaje się, że to właśnie czynimy.

– Jesteś uparty. Wśród krasnoludów uważamy to za zaletę. A jednak mylisz się, co do czarownika. Znam go od wielu lat. Rozmawiałem z nim i podróżowałem. Ocaliłem jego życie, a on ocalił moje. Nie ma w nim żadnej skazy.

Cichy, pewny ton głosu mędrca był bardziej przekonujący niż słowa. Felix czuł, że krasnolud ma zapewne rację, niemniej... Felix wychował się w kraju, gdzie magia i Chaos często budziły przerażenie i miał pewne straszne doświadczenia związane z czarnoksiężnikami. Trudno było pozbyć się uprzedzeń całego życia. Powiedział o tym krasnoludowi.

Mędrzec wzruszył ramionami, a potem wskazał na otaczającą ich gondolę.

– Nawet krasnoludy się zmieniają, Herr Jaeger, a bądź, co bądź jesteśmy bardziej przywiązani do tradycji i uprzedzeń niż ty. Ten cały statek powietrzny łamie tradycje jednej z naszych najpotężniejszych gildii. A jednak odłożyliśmy na bok uprzedzenia, ponieważ tak nakazała potrzeba.

– I uważasz, że potrzeba nakazuje mi nosić ten amulet.

– Myślę, że to będzie twoje najlepsze zabezpieczenie przed Chaosem, Herr Jaeger, dopóki działa jego magia. A wierzaj mi, będziesz potrzebował ochrony przed Chaosem.

Odwrócił się i krzyknął coś szybko po krasnoludzku do Makaissa. Felix był wstrząśnięty słysząc mówiącego tym chropowatym, gardłowym językiem. Podczas wspólnych podróży krasnoludy wokół niego rozmawiały w Reikspielu. Na początku Felix uważał, że robią tak z grzeczności, ponieważ był obcym i nie mógł tego zrozumieć, ale później zdał sobie sprawę, że działo się tak z powodu szczególnej podejrzliwości krasnoludów. Owszem, były uprzejme, ale uważały także swój język za święty i tajemny. Nie chciały, by ktoś obcy nauczył się go, o ile nie był całkowicie godny zaufania. Ze wszystkich znanych mu ludzi, tylko najwyżsi kapłani Sigmara potrafili posługiwać się tym językiem i uczyli go jedynie własnych kapłanów po wyświęceniu. Felix domyślał się, że Borek postanowił mówić po krasnoludzku ponieważ uważał, że człowiek przekroczył pewną granicę i krasnolud mu ufał. Felix odczuwał z tego powodu zadowolenie.

– Powiedziałem pilotowi, by skierował pojazd ku tym ruinom. Wydaje mi się, że je rozpoznaję – rzekł Borek.

Felix popatrzył w kierunku wskazanym przez wyciągnięty palec mędrca. Zobaczył przewrócone budynki i walające się wokół nich przedmioty. Uniósł teleskop do oka i dostrzegł coś, co przypominało wozy z metalu, szczelnie zamknięte i posiadające kryształowe wzierniki, przez które mógł wyglądać powożący oraz cztery kolejne szczeliny na broń po bokach. Z tyłu znajdował się osobliwy układ kominów i nie widać było jarzm, do których uwiązywano zwierzęta pociągowe. Pojazdy przypominały mu całkowicie zadaszone imperialne wozy bojowe, a także imperialne czołgi parowe, które widział kiedyś w Nuln.

– To był pierwszy obóz naszej ostatniej wyprawy na Pustkowia – rzekł Borek. – Widzisz, czym są te rdzewiejące skorupy? To były nasze pojazdy. Zostaliśmy tu zaatakowani przez wrogie bandy i odparliśmy je z ciężkimi stratami. Te kopce z kamieni wzniesiliśmy nad naszymi zmarłymi.

Felix zauważył, że statek powietrzny zatrzymał się nad ruinami, a pozostałe krasnoludy tłoczą się u okien i iluminatorów, by się im przyjrzeć. Spoglądali na dół z pewnym lękiem, który Felix widział na twarzach ludzkich pielgrzymów wchodzących do kaplicy. Był to budzący trwogę dowód na istnienie niebezpieczeństw Pustkowi. Był to także widok krzepiący, ponieważ wskazywał, że ktoś już tutaj dotarł i nie wszystko jest zupełnie nieznanne.

Spojrzał na porzucone pojazdy i puste grobowce, a jego wcześniejszy smutek powrócił ze zdwojoną siłą. To wszystko oczekiwało przez niemal dwadzieścia lat i jedyne oczy, jakie spoglądały na te szczątki należały do wyznawców Chaosu i potworów. Felix naprawdę żałował, że tu przybył.

– W pobliżu znajdują się jaskinie, gdzie Gotrek znalazł swój topór – powiedział cicho Borek.

– Ach, tak? Czy to porażka waszej ekspedycji była powodem, dla którego Gotrek stał się Zabójcą?

– Nie. To zdarzyło się później...

Borek uśmiechnął się ze smutkiem i spojrzał na niego otwierając usta, jakby chciał coś powiedzieć, a potem zdając sobie sprawę, że powiedział już za dużo, zamknął je ponownie. Felix chciał zadać więcej pytań, ale przyszło mu do głowy, że jeśli stary krasnolud nie chce mówić, nie było sposobu, by go do tego nakłonić.

Felix zauważył, że nadal trzyma niedbale amulet w dłoni. Niewątpliwie stary krasnolud naprawdę wiedział więcej o tych sprawach, niż on, więc może powinien posłuchać rad mędrca. Przewiesił srebrny łańcuch przez szyję i wpuścił zwisający kamień pod koszulę. Czuł dziwne łaskotanie w miejscu, gdzie amulet dotknął skóry. Przeszedł go dreszcz, a potem ustąpił pozostawiając tylko ciepło, które zupełnie go nie uspokajało.

Borek poklepał go po plecach.

– Dobrze – powiedział. – Teraz jesteś lepiej chroniony, niż ja byłem za tych dawnych dni.

Felix spojrzał ku horyzontowi i złożył modlitwę Sigmarowi za dusze poległych tu krasnoludów oraz za własne bezpieczeństwo. Ogarnęło go nagłe przeczucie zbliżającej się śmierci i nie opuściło go, nawet gdy silniki statku powietrznego z rykiem ponownie ożyły i zaczęły poruszać się naprzód, zagłębiając coraz bardziej w Pustkowie Chaosu.

Burza spaczenia

Felix przycisnął nos do zimnej szyby w oknie i po raz pierwszy poczuł się naprawdę przerażony. Właśnie zabrzmiały rogi wzywające załogę na stanowiska bojowe i wszystkie krasnoludy pognały, by zająć swoje pozycje przy działach i silnikach. Felix czekał beczynnym stając się bezsilnym obserwatorem, podczas tego czasu pełnego trwogi. Spoglądał na dziwaczny krajobraz poniżej.

Pustynia była piękna na swój dziwny i okrutny sposób. Potężne formacje skalne górowały nad lśniącem piaskiem niczym wyrzeźbione przez erozję pomniki potworów. Szmaragdowe jezioro migotało zielonkawo pod karmazynowym niebem. Wzdłuż jego brzegów maszerowały ku sobie wielkie armie poruszając się falami ciała i metalu.

Felix zastanowił się nad źródłem swojego przerażenia. Wojownicy Chaosu idący pod nimi najwyraźniej nie przejmowali się statkiem powietrznym nad głowami. Byli zbyt zajęci sobą. Tylko od czasu do czasu zwieroczątek lub wojownik Chaosu spoglądał ku niebu i wyciągał broń. Żadna z broni miotających, jakie nieśli nie miała wystarczającego zasięgu, by trafić statek latający. Makaïsson podniósł jednakże alarm na wszelki wypadek i Felix nie mógł go za to winić. Liczebność i szalona zajadłość tłumu poniżej były przerażające.

Obie armie były potężne, być może największe, jakie kiedykolwiek widział. Pod nimi przelewały się tysiące zwierzolut, niczym morze zwierząt kopytnych i rogatych, wyprostowanych jak karykatury człowieka. Felix walczył już z tymi wyznawcami Ciemności, ale teraz ich liczebność wydawała się znacznie bardziej zatrważająca niż poprzednio. Wielkie sztandary wznosiły się pośród oddziałów, każdy będący pokrętnym naśladownictwem symboli heraldycznych jego odległej ojczyzny. Potworni ludzie odziani w niesamowicie ozdobne czarne pancerze maszerowali na przedzie oddziałów lub jechali po bokach na zmutowanych wierzchowcach, przy których nawet największe rumaki bojowe ludzi, wydawały się małe.

Były tu tysiące tysięcy wojowników. Felix rozmyślał nad tym. W jaki sposób ta jałowa okolica mogła utrzymać tak wielkie regimenty? Najpewniej działała tu magia. Spoglądając na te ogromne armie przypominał sobie przeczytane opisy poprzednich inwazji Chaosu, za czasów Magnusa Pobożnego, gdy obleżono Praag i zdawało się, że siły Mrocznych Bogów pochłoną cały cywilizowany świat. Te dziwaczne opisy demonów i ogromnych hord dzikich stworzeń wydawały się mu dość nierealne, ale te armie na dole sprawiały, że owe wizje stawały się jak najbardziej rzeczywiste. Mógł sobie wyobrazić, jak te potężne siły przedzierają się przez Przełęcz Czarnej Krwi i wypadają na ziemię ludzi. Po raz pierwszy zaczął naprawdę rozumieć potęgę Chaosu i zastanawiał się, dlaczego jeszcze nie podbił on świata.

Armie zmniejszyły odległość między sobą z rykiem, który Felix usłyszał nawet pomimo hałasu silników statku powietrznego. Obrócił teleskop skupiając widok na odległych postaciach, zamieniając je z drobnych marionetek w żywych wojowników.

Wielka figura odziana w pancerz z czarnego żelaza, na którym wryte były lśniąca na czerwono runy nacierała swoim opancerzonym koniem bojowym na tłum zwierzolut. Nikczemny rycerz unosił w każdej z rąk potężne topory bojowe. Uprząż konia była fantastycznie ozdobna. Jego łeb okrywała wytopiona maska, która nadawała mu wygląd demonicznego smoka. Pancerz na ciele był podzielony na segmenty, jak u stonogi, a na każdej części widniały liczne dyski ukształtowane na wzór rechoczących masek demonów. Jeździec wpadł w pełnym pędzie w bandę zwierzolut. Jego topór ściał łeb przeciwnika jednym machnięciem. Kopyta konia wytlukły mózg innego, a zwierzę nadal

deptało ciała poległych na krwawą miazgę. Za rycerzem jego towarzysze nacierali z maniakałnym ferworem ku gromadom zwierzoludzi przewyższających ich liczebnie, ponad dwudziestu na jednego. Zdawali się być nieustraszeni i nie dbali o to, czy przeżyją, czy też umrą.

W innej części pola bitwy monstrualne minotaury, uzbrojone w topory o rozmiarach małych drzew wycinały ścieżkę przez wszystko, co stało im na drodze. Górowali nad zwierzoludźmi, niczym dorośli nad małymi dziećmi i Felixowi zdawało się, że zwierzoczek ma takie szanse pokonania wielkiego potwora, jak dziecko walczące z dorosłym. Gdy Felix patrzył, jeden z byczogłowych olbrzymów złapał kozłogłowego stwora na rogi i podniósł go z ziemi kopiącego i wrzeszczącego. Wstrząśnięciem łba potwór posłał bryzgającą posoką ofiarę na odległość dwudziestu kroków, by wylądowała na swoich kamratkach. Uderzenie przewróciło tuzin z nich na skrwawiony piach. Ale zaraz potem reszta zwierzoludzi zaroila się wokół minotaura dźgając go włóczniami, wpinając się po nogach, nękając go jak stado dzikich psów opadające niedźwiedzia. Masywna kreatura upadła i zniknęła w kłębie pyłu, by zostać zdeptana pod kopytami zwierzoludzi i nadziana na ich włócznie.

Skrzydlate humanoidy o demonicznym wyglądzie uniosły się niczym stado ohydnych nietoperzy i krążyły nad polem bitwy. Felix w pierwszej chwili obawiał się, że mogą zaatakować statek latający i sięgnął do rękojeści miecza, ale potem piekielne stado wydało z siebie okropny, przesywający wrzask i opadło na hordy zwierzoludzi. Latające stwory uderzały szponami swych łap i rozrywały ofiary kończyła po kończyńie z nadnaturalną siłą, po czym zostały rozsiekane na strzępy przez oszalałych przeciwników.

Pośrodku tego wyjącego szaleństwa majaczyła olbrzymia postać nosząca najbardziej fantastycznie zdobioną zbroję, jaką widział Felix. Każda jej część wydawała się być odlana w kształcie szczyrzących się czaszek i rechoczących pysków gargulców. Wojownik dosiadał szkieletowego wierzchowca, który zdawał się ledwo wytrzymywać wielki ciężar jeźdźca, a jednak poruszał się z prędkością wiatru. W prawej ręce czempion Chaosu dzierżył ogromną kosę, w lewej – sztandar przedstawiający tron z czaszek, których puste oczodoły spływały krwią. Wódz wydał rozkazy swoim podwładnym wykonując obszerne wymachy kosą i hordy pomniejszych, ubranych w czarne pancerze wojowników ruszyło, by je wykonać, biegnąc ku śmierci lub, by rozedrzeć wrogów w niespotykanej, dzikiej radości.

Felix musiał przyznać, że byli przerażający. Patrzył zdumiony na szal, z jakim prowadzono walkę. Nigdy nie widział tak rozjuszonych nienawiści, jaką te dwie armie pały wobec siebie i nagle zrozumiał powód, dlaczego wyznawcy Chaosu nie podbili jeszcze świata. Byli tak podzieleni między sobą, jak narody ludzkie. Prawdę mówiąc, jeszcze bardziej. Może zatem pogłoski o rywalizacji między Niszczycielskimi Potęgami były prawdą. Felix bardzo się z tego cieszył, gdyż były to siły wzbudzające respekt i strach.

W tym wszystkim było też coś niepokojącego. Co się stanie, jeśli potęgi odłożą na bok swoją rywalizację, a potem obrócą się przeciwko światu? A jeśli pośród oddziałów Chaosu wyłoni się jakiś potężny wódz i zjednoczy ich w jedną, niepokonaną horde? Wówczas nieprzeliczalne zastępy pomaszeraują na Kislev i dalsze ziemie. Nagle forteca Straghova i jego tysiąc lansjerów wydały się żałośnie małe.

W ciągu kilku minut okręt przeleciał nad bitwą, która oddalała się za nimi. Pograżyli się w ogromnej, niekończącej się pustyni. Bez względu na to, jak wielkie były wojujące armie, ten krajobraz redukował je pozornie do rozmiarów mrówek. Północny horyzont zasnuwał rozległy mrok. Sam ten widok wywołał w nim złe przeczucia. Felix westchnął ciężko i wrócił do kabiny, – by usnąć.

Trzęsienie statku powietrznego wyrwało nieszczęśliwego Felixa ze snu o Ulrice. Wstał na nogi, gdy potężny huk odbił się echem po stalowych korytarzach, a cały pojazd zadrżał jakby uderzony ogromnym młotem. Jego żołądek podskoczył, a latarnia na ścianie zachybotła poruszając cienie w jego kajucie. Przez krótką chwilę był pewien, że zaraz zginie.

Zbliżył się do ściany i wyrzwał przez iluminator. Na zewnątrz była tylko mętna ciemność. Potem nastąpił błysk niewiarygodnie zielonej błyskawicy. Oderwały się od niej liczne rozwidlenia i cały okręt zatrzęsł się ponownie. Wibracje wyrzuciły Felixa z łóżka. Potoczył się po podłodze. Podrywając się na nogi rąbnął głową o niski sufit. Ból wywołał tańczące światła przed jego oczami i Felix wyciągnął rękę, by oprzeć się o ścianę i zachować równowagę. Ku swojemu zdumieniu poczuł, że ściana była ciepła.

Walcząc o utrzymanie równowagi na huśtającej się podłodze, wysunął się na korytarz i ruszył w stronę sterówki. W jego uszach dźwięczał łomot grzmotu i ledwo powstrzymywał panikę gryzącą mu wnętrzności. To było znacznie gorsze, niż wszelkie wcześniejsze turbulencje. To było jakby olbrzym chwycił statek latający ogromną dłonią i usiłował ściągnąć go na ziemię. Felix słyszał ryk tytanicznych wiatrów pędzących wzdłuż kadłuba. Zdawało mu się, że w każdej chwili pojazd pęknie jak dojrzały melon uderzony młotem, a on i wszyscy pozostali targani przez sztorm spadną na ziemię z wysokości tysiąca stóp.

Przerażające było uczucie bezsilności, świadomość, że nic nie mógł zrobić, by do tego nie dopuścić. Z Ducha Grunniego nie było ucieczki, poza wyjściem przez włazy na dachu i zeskoczeniem ku pewnej śmierci. Podczas bitwy mógł coś uczynić, trzymać miecz, pokonać wroga. Tu i teraz mógł jedynie modlić się do Sigmara, a biorąc pod uwagę, gdzie się znajdują, bardzo wątpił, by Bóg Miota mógł coś zrobić, by ich ocalić. Dwadzieścia kroków do sterówki wydawało się rozciągać w wieczność i Felix był przekonany, że każdy jego kolejny krok będzie ostatnim.

Gdy dotarł wreszcie na miejsce, zobaczył krasnoludy stojące na swoich stanowiskach kontrolnych w skupieniu, jakby to była ich ostatnia nadzieja na przeżycie. Gotrek stał pośrodku z toporem niedbale spoczywającym w ręce. Wyglądał na odprężonego, kołysząc się na rozbujanym pokładzie nieznacznie korygując swoją postawę. Na twarzy nie malował się strach, tylko zwykły grymas, który pojawiał się podczas walki. Felix zauważył, że runy na ostrzu topora lśniły czerwono. Makaïsson z napiętymi mięśniami zmagał się z kołem sterowym. Grube ścięgna prężyły się niczym liny pod jego wytatuowaną skórą. Stary Borek siedział opasany w jednym z foteli, podczas gdy Varek przykucnął za nim. Na jego obliczu malowało się coś pomiędzy strachem, a zaciekawieniem. Nigdzie nie było widać Snorriego.

– Co się dzieje? – krzyknął Felix starając się przebić przez echo grzmotu, ryk wiatru i wycie silników. Cały statek szarpnął jeszcze raz i nastąpiło mdlące wrażenie opadania, jakby statek powietrzny stracił nagle zdolność lotną i spadał jak kamień ku ziemi.

– Burza spaczenia, człeczyno! – zawołał Gotrek. – Najgorsza, jaką widziałem!

Osobliwa zielona błyskawica zaślnęła raz jeszcze. Błysk oświetlił intensywnie całą kabinę, wydłużając cień Makaïsson, aż do końca podłogi, po czym zniknął. Piorun minął ich o ledwie kilkaset metrów. Felix zauważył pozostawiony przez rozbłysk ślad migoczącego pyłu, przypominający chmurę świetlików o dziwnych kolorach, która całkowicie wypełniła jego pole widzenia. Potem huk grzmotu prawie go ogłuszył, a statek zaczął opadać jeszcze raz. Po chwili wrażenie opadania ustało i statek wyprostował się, jak okręt wspinający się na fali.

Felix podszedł do okna i wyrzwał w dół. Przez otwór w chmurach, w błysku pioruna, wydawało mu się, że dostrzegł ziemię poniżej. Była tylko kilkaset stóp pod nimi. Wydmy migoczącego piasku unosiły się i przewalały popychane . tytanicznymi wiatrami, niczym falochrony na morzu wzburzonym

przez sztorm. Wiatr szarpał wielkim okrętem powietrznym, niczym terier szarpiący szczura. Felix wiedział, że za kilka następnych uderzeń serca runą na ziemię, a pojazd odbije się i pęknie jak łódka-zabawka rzucona o ścianę przez psotne dziecko.

– Malakai! Rozbijemy się! – krzyknął. – Jesteśmy prawie nad ziemią!

– Zatem chodź tu i pomóż nam chłopcze. Ciomgnij za tom dźwigniem wysokości z całych sił. I trzymiej oczy otwarte. Instrumenty przestaneły działać w tej burzy.

Felix pospieszył do inżyniera i pociągnął za dźwignię. Normalnie przesunęłaby się z łatwością, ale teraz wydawało się, że została zablokowana. Felix zaparł się nogami i napał z całej siły, jednak dźwignia ani drgnęła. Zimny metal nie chciał się poruszyć. Umysł Felixa wypełniła wizja statku powietrznego rozbijającego się o skalistą pustynię poniżej i pociągnął jeszcze raz wkładając w ten wysiłek całą siłę strachu. Po brwiach ściekał pot. Czuł, jakby mięśnie miały zaraz wybuchnąć pod skórą i wiedział, że jeśli będzie nadal tak się wysilał, zaleje go krew. To było na nic. Ta przeklęta dźwignia tkwiła w miejscu.

– Nie mogę jej poruszyć! – zawołał.

– To wiatr szarpioncy statecznikamy, chłopcze. Walczy z tobom. Próbuj dalej. Nie poddawaj siem!

Felix ciągnął niestrudzenie, ale nic się nie działo. Wiedział, że od katastrofy dzielą ich sekundy, a jednak nic nie mógł zrobić. Ofiarował modlitwę za swoją duszę do Sigmara, wiedząc, że zakończy życie tu, na Pustkowiach Chaosu. Potem nagle znalazł się za nim Gotrek wspomagając go swoją ogromną siłą w walce z dźwignią. Mimo to, nadal nie ruszała się.

Broda Gotreka zjeżyła się. Na jego czole pojawiły się żyły, a potem dźwignia drgnęła. W pierwszej chwili Felix obawiał się, że po prostu zaczęli wyginać pręt, ale tak nie było. Dźwignia poruszała się powoli, pewnie i nieubłaganie wstecz. Jednocześnie nos okrętu latającego podniósł się ku niebu. Potem zdawało się, że statek został rzucony w tył niczym galeon uderzony przez wielką falę. Pokład zatrzęsł się, a Felix i Gotrek upadli tocząc się, aż to tylnej ściany kabiny. Felix poczuł nieprzyjemne wrażenie, gdy statek powietrzny skoczył w niekontrolowany sposób ku niebu, a potem ponownie zanurkował w dół.

– Trzymta siem mocno! – zawołał Makaïsson. – Byndzie ciemżko!

Lurk wypuścił pizmo strachu. Czuł, jak jego gruczoły opróżniają się, lecz nadal usiłują tryskać. Wiatr szarpał futrem przeczesując je tysiącem palców demonów. Błyszczący pył spaczenia wypełnił usta i groził udławieniem. Lurk połknął już sporo tej substancji i jego żołądek wypełniało dziwne ciepło. Sierść stanęła mu dęba. Ryk grzmotów był ogłuszający. W ślepiach pojawiły się łzy strachu i nieustannego gniewu pędzącej wichury. Zacisnął wszystkie cztery łapy na prętach bocianiego gniazda. Ogon owinięty wokół poręczy działał jak kotwica, utrzymująca go na miejscu. Walczył, by utrzymać się nisko, tuż przy podłodze pokładu obserwacyjnego, a jednak wiatr groził, że porwie go z tego miejsca i rzuci ku zagładzie. To było nie do wytrzymania.

Przeklinał dzień, w którym opuścił swoją miłą, ciepłą norę w Skavenblight. Przeklinał Szarego Proroka Thanquola za jego głupie rozkazy. Przeklinał głupie krasnoludy, ich głupi statek powietrzny i głupią podróż. Przeklinał wszystkich i wszystko, o czym pomyślał – za wyjątkiem Rogatego Szczura. Pamiętał, by posłać mu krótką modlitwę o ocalenie.

Jeszcze kilka minut temu było tak spokojnie. Wspiął się ze swojej kryjówki na gniazdo bocianie, by złożyć codzienny raport Szaremu Prorokowi Thanquolowi. Okręt drżał lekko, ale Lurk przywykł do jego nieznacznych poruszeń i nie zwracał na to uwagi. Ale, gdy dotarł na pokład obserwacyjny, wstrząsy nasiliły się, a cały okręt podskakiwał w powietrzu niczym szalony koń. Jednak dopiero, gdy

Lurk wystawił pysk przez górny właz pokładu, zauważył, że pojazd otaczały dziwnie lśniące chmury ze swoimi osobliwymi, wielokolorowymi błyskami wyładowań.

Dobra skaveńska rozważa mówiła mu, że powinien wycofać się na dół, ale na miejscu trzymała go jedna rzecz: drażniący smak pyłu spaczenia na jego języku. Zafascynowany nie mógł się ruszyć. To było źródło przerażającej potęgi Szarego Proroka, a bardzo możliwe, że również całej magii. Lurk pomyślał, że jeśli tego spróbuje to może on także nabierze magicznych mocy, chociaż jak dotąd nie widział żadnych tego oznak. Zanim zdecydował się wrócić na dół, przeklęte krasnoludy zamknęły włazy i w żaden sposób nie mógł ich otworzyć z zewnątrz. Były zablokowane.

W szalonym strachu biegał wewnątrz torby powietrznej, ale dziwne balony szturchały go i na koniec zmęczył się zwisając na drabince. Wdrapał się zatem z powrotem na gniazdo bocianie, a tam porwał go wicher. Ledwo się uratował łapiąc za poręcze, a teraz nie mógł nic zrobić poza oczekiwaniem i modleniem się, podczas gdy okręt powietrzny pod nim podskakiwał, jak tratwa miotana przez tajfun.

Kolejna seria trasków piorunów sprawiła, że Lurk spojrzał w górę. Zobaczył rząd rozbłysków przemierzających niebo i zbliżających się coraz bardziej. Oślepiła go ich złowroga jaskrawość. Zacisnął mocno ślepia, ale wiedział bez najmniejszych wątpliwości, że pioruny zaraz uderzą w statek latający.

Pamiętał, by posłać ostatnią klątwę w przybliżonym kierunku Szarego Proroka Thanquola.

Felix także dostrzegł linię piorunów eksplodujących tuż przed statkiem powietrznym. Makaïsson instynktownie skręcił koło sterowe usiłując uniknąć trafienia, ale było za późno. Zielonkawa błyskawica uderzyła w okręt. W ułamku chwili zanim oślepił go niesamowity rozbłysk, Felix zdążył zauważyć, że klejnoty osadzone w figurze na dziobie statku płoną jasno jak słońce. Potem statek zatrzęsł się, jakby miał się rozlecieć i przez dłuższą chwilę Felix nie mógł zobaczyć nic więcej. Przez uderzenie serca ogarnęło go straszliwe przerażenie, że oślepi, ale minęło, gdy zwolna powracał mu wzrok. Zauważył, że wszystko na pokładzie sterowym otoczone było przez szybko zanikające halo zieleni.

Amulet na jego piersi zdawał się płonąć i Felix miał zamiar go zerwać. Przyszła mu do głowy myśl, że to mogło nie być najmądrzejsze i może amulet chronił go przed magią Chaosu, która zapewne zawarta była w piorunie. Widział, że amulet na obnażonej piersi Gotreka lśni dziką zielenią pochłaniając halo wokół niego. Nagle statek przestał się trząść i niebo wokół nich oczyściło się.

Felix podniósł się i pokuśtykał do okna sterówki. Nadal dostrzegał zielono-czarne chmury burzy spaczenia gotujące się pod nimi. Od czasu do czasu obłoki rozbłyskiwały jasno upiornym lśnieniem, gdy błyskawice uderzały jedna po drugiej. To było jak przyglądanie się osobliwemu chaotycznemu morzu i Felix spodziewał się, że z jego głębi powstanie ogromny potwór, który spróbuje złapać w swoje szczęki i połknąć statek powietrzny.

Po kilku chwilach zauważył, że buczenie silników zmieniło się. Dźwięk zamierał powoli, aż ucichł całkiem. Chmury powoli przepływały pod okrętem. Pojazd zaczął delikatnie obracać się w jedną i drugą stronę na wietrze.

– Straciliśmy moc – mruknął Makaïsson. – To nic dobrego.

Snorri właśnie w tym momencie pojawił się w kabinie. Ziewał szeroko.

– Co to był za hałas? – spytał. – To obudziło Snorriego.

Zrujnowane miasto

Felix słuchał z niepokojem inżynierów pojawiających się po kolei na pokładzie i donoszących niewesołe wieści. Wyglądało na to, że burza spaczenia spowodowała znaczne uszkodzenia. Torba powietrzna była rozpruta w kilku miejscach, silniki przestały prawidłowo działać, łopaty wirników odkształciły się i nastąpiło kilka uszkodzeń wewnętrznych.

– Będziemy musieli zaczynać się na naprawem – ogłosił spokojnie Makaïsson. Spoglądając przez okno Felix żałował, że nie podzielał pewności siebie krasnoluda. Burza nareszcie minęła i niebo było jak zwykle zaciągnięte mieszaniną dziwnych kolorowych chmur. Pod nimi leżały ruiny ogromnego miasta. Na ulicach nie było widać żywej duszy. Taka pustka była dziwna. Wiatr gwizdał żalobnie unosząc kurz i piasek, który przewalał się wokół opuszczonych budynków.

A potem Felix usłyszał znacznie weselszy odgłos. Komuś udało się uruchomić jeden z silników. Makaïsson z ulgą przejął ponownie stery swojego pojazdu. Skierował statek powietrzny na dół na wysokość stu kroków nad budynkami.

– Tutaj zakotwiczmy. Wyrzućta liny.

Wyrzucono cumy. Felix zauważył hak na końcu jednej z nich, który zaczepił się o przewróconą kamienną ścianę. To wystarczyło, by zatrzymać na miejscu dryfujący sterowiec.

– Dobra, złaźta na dół i zabezpieczta haki! Spróbujem uczymać statek na mniejscu.

– Czekał – powiedział Felix. – To może być niebezpieczne.

– Och, masz racjem, chłopcze. Gotrek, Snorri, Felix, ruszajta i upewnijta siem, że tam na dole nie czyhajom zwierzpludy.

Felix żałował, że otworzył usta.

Patrząc z ziemi ruiny wyglądały na jeszcze rozleglejsze i bardziej odpychające, niż wydawały się z powietrza. Budynki zdawały się być niewyobrażalnie stare. Na szczycie każdego z nich umieszczono wielkie kamienne bloki bez użycia zaprawy murarskiej. Pierwotnie utrzymywała je na miejscu ich waga i precyzja, z jaką zostały położone. To był styl, który Felix spotkał tylko raz – w ruinach, jakie widział ponad starodawną podziemną twierdzą krasnoludów w Karaku Osiem Szczytów. Powiedział to na głos.

– To nie jest krasnoludzka robota, człeczyno – powiedział z szyderstwem Gotrek. Jego głos tłumiał szal owinięty wokół dolnej części twarzy, by chronić go przed pyłem spaczenia, który mógł utrzymywać się w powietrzu. Snorri i Felix zrobili to samo. Najwyraźniej pograżenie się w szaleństwie i mutacji nie pasowało do wizji heroicznej śmierci Zabójców. – Wygląda podobnie. Może zostało skopiowane, albo może budowniczy mieli krasnoludzkich doradców, ale to nie jest krasnoludzka robota. Kamieniarstwo jest liche. Dopasowanie niedoskonałe.

Felix wzruszył ramionami. Czuł ciężar kolczugi na ramionach, ale cieszył się, że tam była. W tym dziwnym miejscu lepiej było nosić jak najwięcej pancerzy. W tej chwili nie pogardziłby pełną zbroją płytową. Rozejrzał się wokół. Ulica, na której stali pokryta była wielkimi kamiennymi płytami. Na każdym kamieniu widniał nieznaną run. Wiatr szeptał dziwacznie wśród pustkowiecia. Było zimno i Felix miał nieprzyjemne wrażenie, że są obserwowani.

– Nigdy nie słyszałem o ludzkich miastach tak daleko na północy, a to nie wygląda na robotę elfów.

– Robota elfów! – rzekł pogardliwie Gotrek. – Toż to sprzeczność sama w sobie. Elfy nie pracują.

– Wątpię, by to wybudowali zwierzoludzie lub wojownicy Chaosu. To wydaje się zbyt wymyślne dla nich i wygląda na bardzo stare.

– Wygląd może być mylący, tu na Pustkowiach Chaosu.

– Co masz na myśli?

– Wokół jest wiele wszelkiego rodzaju iluzji i miraży. Powiadają, że głęboko na Pustkowiach Wielkie Moce Chaosu mogą tworzyć i niszczyć rzeczy według swoich zachcianek.

– A zatem miejmy nadzieję, że nie jesteśmy tak głęboko na Pustkowiach.

– Aye.

Dziwne wycie odbiło się echem przez ruiny. Przypominało wrzask udręczonej duszy lub krzyk szalonej istoty zagubionej i osamotnionej w nieskończonej pustce. Felix obrócił się na pięcie i wyrwał miecz z pochwy.

– Co to było? – spytał.

– Nie wiem, człeczyno, ale bez wątpienia dowiemy się, jeśli podejdziesz bliżej.

– Snorri ma nadzieję, że to zrobi! – powiedział prawie radośnie Zabójca.

Felix spojrział na sznurową drabinkę zwisającą z boku statku powietrznego. Nie sprawiło mu przyjemności złażenie po niej i nie cieszył się z konieczności ponownego wdrapywania się na górę, ale dobrze było wiedzieć, że jest tam, na wypadek, gdyby musieli rzucić się do ucieczki. Dziwaczny odgłos zabrzmiał znowu, bliżej, ale trudno było stwierdzić, skąd dokładnie pochodzi.

Z powodu echa wśród tych ruin krzyk mógł dobiegać z odległości mil. Felix zebrał się w garść myśląc, że przynajmniej nic nie odpowiedziało na ten zew. Dotknął amuletu na piersi, ale nie wyczuł ciepła. Może nie działała tu Mroczna Magia. Może amulet wyładował się podczas burzy spaczenia. Zauważył, że żaden z klejnotów po bokach statku latającego nie świecił. To mogło znaczyć coś dobrego lub coś złego. Felix nie znał się na tyle na magii, by to określić.

Varek machał na nich z otwartego wjazdu powyżej. Najwyraźniej chciał się upewnić, czy zabezpieczyli okręt. Felix potrząsnął głową, próbując pokazać, że ci na górze nie powinni nic robić, zanim sami przekonają się, co wydaje ten koszmarny krzyk.

– Czy nie powinniśmy sprawdzić, co tak krzyczy? – spytał Felix.

– Dobry pomysł, człeczyno – odpowiedział złośliwie Gotrek. – Ruszajmy między te ruiny i zobaczymy, jak daleko uda nam się oddalić od statku powietrznego. Może powinniśmy się także rozdzielić. W ten sposób zbadamy większy obszar.

– To była tylko sugestia – rzekł Felix. – Nie musisz kpić.

– Dla Snorriego to brzmiało, jak dobry plan – odezwał się drugi Zabójca.

Właśnie w tej chwili, z pomiędzy ruin wyszła kulejąc postać. Wyglądała na człowieka, ale była tak brudna, obdarta i zapuszczona, że Felix nie wiedział, czy tak jest w istocie. Wyczuł zmianę postawy Snorriego i Gotreka obok siebie. Nie widział, by zmienili pozycje, ale stali się czujniejsi, gotowi do uderzenia w każdym momencie i w każdym kierunku.

Felix usłyszał brzęknięcie za nimi i na chwilę odwrócił głowę – zobaczył, że hak na końcu liny cumowniczej uwolnił się. Statek latający dryfował swobodnie na wietrze. Silniki pojazdu właśnie w tym momencie prychnęły i zamarły. Felix przeklął cicho do siebie, gdy drabinka linowa uciekła w górę, a potem odwrócił się i zmusił jeszcze raz do skoncentrowania na zbliżającej się postaci.

Widział, że był to istotnie człowiek. Szedł pociągając nogami. Jego włosy byty tak długie, że sięgały do bioder. Broda była brudna i prawie ciągnęła się po ziemi. Odkryte dłonie i ramiona pokrywały ropiejące wrzody. Kuśtykał niemrawo do miejsca, gdzie stali i wydał z siebie następne długie wycie. Opierał się na lasce, która wyglądała jakby była wykonana przez połączenie kilku ludzkich kości za pomocą żyłki. Z jej końca spoglądała pustymi oczodołami czaszka.

Felix spojrział na mężczyznę i napotkał spojrzenie pełne melancholijnego smutku.

– Precz z mojego miasta, albo nakarmię wami moje bestie – powiedział wreszcie obcy. Poruszył palcami jeden z wielu miedzianych amuletów, które wisiały na łańcuchu wokół jego szyi. Felix dostrzegł, że były na nich wyryte podobizny krzyczących czaszek.

– Jakie bestie? – rzekł Gotrek.

– Snorri myśli, że jesteś wariatem – powiedział Snorri.

Uważaj do kogo mówisz, pomyślał Felix.

– Bestie, które lękają się i czczą mnie – odpowiedział mężczyzna. – Stworzenia, dla których jestem bogiem.

Felix popatrzył na człowieka i poczuł napływ strachu, widząc jego szaleństwo. Z drugiej strony nie chciał po prostu zabić go tylko dlatego, że jest szalony. Najwyraźniej przebywał tu od jakiegoś czasu i Felix pomyślał, że ten człowiek może posiadać użyteczną wiedzę. Nie miał nic do stracenia pochlebiając temu lunatykowi.

– Jakież jest twoje imię, o potężny? – spytał Felix mając nadzieję, że pozostali będą mieli dość rozumu, by podchwycić jego grę. Wiedział, że to była najprawdopodobniej próżna nadzieja, ale postanowił spróbować tak, czy inaczej. Nieznajomy zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Hans, Hans Muller – ale możecie nazywać mnie boskim.

– A cóż tu robisz, o Boski? – rzekł miękko Felix. – Jesteś daleko od ludzi.

– Zgubiłem się.

– Skręciłeś w złą stronę w Kislevie, co? – rzekł ironicznie Gotrek. Felix widział, że topór Zabójcy jest gotowy do uderzenia. Wzdłuż ostrza lśniły lekko runy. To zwykle był zły znak.

– Nie, krótkonogi. Jestem magikiem. Eksperymentowałem z pewnymi zaklęciami translokacji i coś poszło nie tak. Wylądowałem tutaj.

– Krótkonogi? – spytał Gotrek z groźbą w głosie.

– Translokacji? – rzucił szybko Felix. Fakt, że mężczyzna był czarownikiem niczego nie ułatwiał. Felix nigdy nie dbał o czarodziejów, po kilku przykrych doświadczeniach z nimi.

– To metoda poruszania się między dwoma punktami bez przemierzania ziemi znajdującej się między nimi. Przynajmniej moje teorie były częściowo słuszne. Przeniosłem się. Na nieszczęście przeniosłem się za daleko i skończyłem tu, gdzie tubylcy uważają mnie za boga.

– Powiedz nam, o Boski, co wiesz o Karag Dum? – spytał Felix.

– Wrócił tam wielki demon – odpowiedział natychmiast Muller.

Felix zadrżał na wzmiankę o demonach. Na Pustkowiach Chaosu takie złowrogie istoty mogły być jak najbardziej obecne.

– Demon?

– Demon, o którym mówiła Przepowiednia. Wielki Niszczyciel. Czeka na nadejście Noszącego Topór, by wypełnić swoje proroctwo i przeznaczenie!

– Powiedz nam więcej – powiedział drżący Felix.

Widząc reakcję Felixa w oczach maga pojawiło się dziwne, ukradkowe spojrzenie. Obliznął usta końcem cienkiego, różowawego języka. Wyglądał na wrednego i przebiegłego i nagle Felix całkiem przestał mu ufać.

– Moje bestie muszą zostać nakarmione – rzekł mag, a potem wykonał dziwny gest. Jego dłoń poruszyła się w powietrzu jakby zbierając dziwnie lśniące energie. Nagle rękę otoczyła migocząca sfera światła. W chwili, gdy miał ją rzucić błysnął topór Gotreka i odrąbał dłoń u nadgarstka. Nastąpiła eksplozja. Felix poczuł podmuch ciepłego powietrza. Jego skóra mrowiła i zakręciło mu się w głowie.

Po chwili odzyskał zmysły, a błysk przed oczami zbladł. Z radością zobaczył stojących obok Gotreka i Snorriego, chociaż czarownik zniknął.

– To nie było bardzo niszczycielskie zaklęcie – rzekł Felix. – Zdaje się, że nie spotkaliśmy szczególnie potężnego czarownika.

– Nie jestem tego tak pewien, człeczyno – rzekł Gotrek.

– Co masz na myśli?

– Rozejrzyj się.

Felix uczynił to. Najpierw zauważył zniknięcie statku powietrznego. Potem zobaczył sufit, ściany i osobliwe wzory ułożone na kamiennej podłodze.

– Następnym razem, gdy spotkamy czarownika, człeczyno – powiedział Gotrek – najpierw go zabijmy, a potem zadawajmy pytania.

Stali w dziwnie ukształtowanej komnacie, pośrodku wielkiego pentagramu. W każdym wierzchołku pentagramu znajdowały się ludzkie czaszki, wewnątrz których coś lśniło. Zielonkawe światło wylewało się z oczodołów czaszek. Nad głową znajdowało się masywne, kamienne sklepienie. Ściany komnaty zostały wycięte z tej samej skały, co reszta miasta. Dziwnie wyglądający mech wyrastał w pęknięciach między blokami kamienia.

– Gdzie my jesteśmy? – wyszeptał Felix. W atmosferze tego miejsca było coś, co kazało mu zachowywać się możliwie najciszej. Było to aura gotowości, wrażenie, że coś starego i złego czeka na ich ruch. Jego słowa odbiły się echem. W cieniach sufitu coś się poruszało i szeleściło, a Felix miał szczerą nadzieję, że to tylko nietoperze.

– Snorri nie ma pojęcia – powiedział głośno Snorri. – Może gdzieś pod ziemią.

– Ruszajmy zatem i dowiedzmy się – rzekł Gotrek idąc w stronę krawędzi pentagramu. Jednocześnie narysowane kredą na podłodze linie zaczęły jasno lśnić. Włosy na karku Felixa stanęły dęba.

– Nie! Czekaj! – krzyknął.

Gotrek szedł radośnie naprzód. Gdy jego stopa dotknęła brzegu pentagramu, w górę sypnęły iskry i krasnoluda otoczył jasny błysk. Powietrze wypełnił smród ozonu. Zabójca został natychmiast odrzucony z powrotem na środek pentagramu. To go nawet nie spowolniło. Jeszcze raz rzucił się na barierę i ponownie został odrzucony.

Kiedy to się działo, Felix przyglądał się uważnie otoczeniu. Za każdym razem, gdy zaklęcie zadziało, oczy czaszek rozjaśniały się. Po odrzuceniu Gotreka światło blakło.

– Spróbuj rozbić jedną z tych głów – zasugerował Felix. Gotrek nie odpowiedział, tylko podszedł do jednego z wierzchołków pentagramu. Jego topór błysnął w dół z płonącymi runami na ostrzu. Czaszka rozbiła się na tysiące fragmentów. Ponad nią wzniósł się obłok ektoplazmatycznych oparów. Nastąpiło długie, wrzaskliwe zawodzenie, jakby uwolniona została dusza po stuleciach uwięzienia. Gdy wycie minęło pozostałe czaszki pociemniały. Gotrek tym razem z łatwością wyszedł z pentagramu.

Szybkie sprawdzenie otoczenia pokazało, że z komnaty prowadziło tylko jedno wyjście. Wiodło w dół długiej rampy ku labiryntowi ponurych korytarzy. Cała okolica była rozjaśniona przez lśniące klejnoty osadzone w suficie. Felix widział już podobne pod Karakiem Osiem Szczytów.

– To rzeczywiście wygląda na robotę krasnoludów – rzekł, gdy maszerowali przez ciemne korytarze.

– Aye, człeczyno, to prawda. Może lud z Karag Dum handlował z tym miastem.

– Albo Karag Dum zostało splądrowane przez ludzi stąd.

– To straszna myśl, ale jest to możliwe.

Jeszcze raz zapadli w milczenie. Gotrek prowadził ich śmiało przez labirynt, zawsze poruszając się z pewnością siebie. Nigdy nie wracał po własnych śladach. Felix był zdumiony opanowaniem okazywaną przez krasnoluda, ponieważ wiedział, że na jego miejscu zgubiły się beznadziejnie.

Bezruch pełen napięcia znowu opanował labirynt. Felix czuł mrowienie skóry. Co pewien czas zatrzymywał się, by spojrzeć przez ramię i upewnić się, że nic nie skrada się za nimi. Miał wrażenie, jakby w każdej chwili ktoś mógł wbić mu nóż w plecy.

Po drodze Felix zastanawiał się, gdzie są pozostałe krasnoludy. Miał nadzieję, że nie odlecieli bez nich. W tej chwili sytuacja nie wyglądała dobrze. We trzech zostali uwięzieni w wielkim labiryncie, bez jedzenia i wody oraz nie wiedząc dokładnie, gdzie są. Gdyby udało im się wydostać na powierzchnię i okazałoby się, że nadal są w zrujnowanym mieście, mogliby zwrócić uwagę statku powietrznego. Ale jeśli ten już odleciał, wówczas ich przyszłość była nieciekawa. Felix nie spieszył się do długiej wędrówki przez Pustkowie Chaosu w próbie powrotu do domu. Sądząc po tym, czego był świadkiem podczas dotychczasowej podróży, mało było prawdopodobne, by udało im się to przeżyć.

Odsunął ponure myśli na bok i zmusił się do koncentracji na otoczeniu. Korytarz otwierał się na długą salę. Światło sączyło się z wysoka nad głowami. Błyszczące cząstki kurzu migotały w jego promieniach. Sama sala miała wiele pięter wysokości. Na każdym poziomie znajdowała się galeria. Wielki ozdobny staw wypełniony mętną wodą zajmował większość podłogi komnaty. Pośrodku stawu stała fontanna, z której od dawna nie płynęła woda. Była to statua wyrzeźbiona na kształt wojownika w pancerzu. Wojownik wyglądał na człowieka, pomijając fakt, że miał dodatkowe ramię, w którym trzymał jakąś laskę.

Felix podszedł do brzegu stawu i zajrzał do środka. Woda była ciemna nie licząc małych plamek zielonego światła, które lśniły pod powierzchnią niczym uwięzione gwiazdy. Widział już wcześniej tę substancję i wiedział, że to był spaczień.

– Nie będziemy pili tej wody – mruknął, a ta myśl natychmiast sprawiła, że poczuł się spragniony. Myśląc o tym zauważył zniekształcone odbicie w wodzie. Zobaczył wielki skrzydlaty kształt, który rósł coraz bardziej za nim.

– Uwaga! – krzyknął i rzucił się do tyłu odskakując od stawu. Ostre jak brzytwa szpony przecięły powietrze w miejscu, gdzie stał kilka chwil temu. Felix dostrzegł rozmazany szybkością obraz obrzydliwego skrzydlatego humanoida, podobnego do tych, które widział wcześniej nad polem bitwy. Potem nastąpił głośny plusk, gdy stwór wpadł do wody w stawie.

Felix miał tylko chwilę na ochłonięcie i spojrzenie w górę. Horda skrzydlatych stworów pojawiała się na galeriach osadzonych w ścianach wysoko nad nimi i skakała w powietrze. Słyszał uderzenia ich skrzydeł, gdy podrywały się do lotu. Te stwory nie latały w ciszy. Stworzenie, które go zaatakowało musiało szybować z bardzo wysoka.

– Harpie! – krzyknął Snorri. – Dobrze!

Gotrek wyglądał złowrogo unosząc swój topór. Snorri szczerzył się jak maniak i podskakiwał na miejscu w oczekiwaniu na nieuniknioną walkę. Felix spojrzał w tył, w wodę, gdzie znikło skrzydlate stworzenie. Nastąpił głośny plusk i woda zmoczyła jego twarz, gdy stwór wyrwał się na powierzchnię i wyprostował mokre skrzydła. W chwili, gdy istota próbowała wzbić się w powietrze, wydała nieziemski wrzask, a wielka macka, gruba jak lina i pokryta przyssawkami, owinęła zmutowanego stwora i ściągnęła go z powrotem pod wodę. Felix nagle ucieszył się, że nie wzburzył wody, a potem nie miał już czasu na myślenie.

Piekielne stado opadło na nich. Felix został otoczony przez trzepoczące kończyny. Łopot skrzydeł

przynosił ohydny smród krypty. Uchylił się przed cięciem szponu, kontruderzeniem odciął łapę napastnika i zauważył nikczemnie wykrzywioną, wrzeszczącą twarz. Gwałtownie siekł wokół siebie, oczyszczając obszar, w którym mógł walczyć. W jego uszach rozlegały się okrzyki bojowe krasnoludów razem z piekielnym rechotem harpii.

Stworzenia miały niesamowite przyspieszenie. Felix spojrzał na dół i szybko przyjrzał się walce poniżej. Snorri i Gotrek stali w oku cyklonu skrzydeł. Wszędzie wokół leżały rozsiekane ciała martwych harpii, ale przybywało wiele następnych. Gotrek złapał jedną z nich za nogę, ściągnął na dół i rozbił łeb ostrzem swojego topora. Obok niego Snorri roztrzaskał łopatkę innego stwora młotem. Gdy okaleczona bestia upadła na podłogę, Zabójca ściał jej głowę toporem.

Woda w stawie bulgotała i wirowała, jakby coś naprawdę dużego unosiło się ku powierzchni. Szamotanie schwyconej harpii zamierało, gdy otaczało ją coraz więcej macek, które wydarły z niej życie. Na powierzchni pojawił się ogromny łeb. Widok okrągłej paszczy przypominającej pijawkę z ostrymi jak igły zębami oderwał Felixa od walki. Miał właśnie pchnąć z góry harpię wierząc, że woda poniżej osłabi jego upadek – ale teraz wydawało się, że to byłoby skoczenie z deszczu pod rynnę.

Snorri, widząc, co się dzieje z Felixem, rzucił swój młot prosto w harpię. Felix uchylił się przed nadlatującą bronią. Nastąpił okropny trzask, gdy młot trafił ofiarę i nagle Felix zaczął staczać się ku stawowi.

– Nie! Ty idioto! – krzyknął widząc rosnący pod nim staw wzburzonej wody, gdy powietrze świstało koło jego uszu. Stwór w stawie spojrzał w górę wielkimi, niemal ludzkimi oczami. Przez chwilę Felixowi wydawało się, że stworzenie mogło być kiedyś człowiekiem, który uległ okropnej mutagennej mocy Chaosu. Potem zobaczył jak łeb odchyła się w górę i rozwiera paszczę pijawki. W tej krótkiej chwili zdał sobie sprawę, że zaraz zginie. Jeśli nie zabije go upadek, to zostanie pochwycony przez te ohydne, oślizgłe macki i wciągnięty do ogromnych ust.

Poczuł krótki przeblysł desperacji, a potem erupcję czegoś podobnego do furii berserkera. Skoro miał umrzeć, to zabierze ze sobą potwora! Obrócił ciało, by stopy znalazły się pod nim i gdy zderzył się z potworem wbił miecz w gumowate ciało stwora. Cały impet długiego upadku, cała waga jego ciała i cała siła ramion pchnęła zaklęty miecz Templariusza. Ostrze przebiło się przez mięso i wtargnęło prosto do mózgu kreatury. Macki natychmiast opadły bezwładnie.

Impet wyrwał powietrze z płuc Felixa, ale nie czuł, by coś sobie złamał. Gumowata masa bestii i jej ogromne, miękkie cielsko spowolniły jego upadek. Szybko poderwał się na nogi i zeskoczył z łba stwora na brzeg stawu, uważając, by nie dotknąć wody. Dokonując tego zauważył, że Gotrek i Snorri rozgromili harpie. Większość ocalałego stada wzbijała się w powietrze i szybko łopocząc skrzydłami oddalała się poza zasięg Zabójców. Rzut oka potwierdził Felixowi, że stwór w stawie już ześlizgiwał się z powrotem pod powierzchnię cuchnącej wody.

Snorri schylił się i podniósł swój młot. Spojrzał na Felixa i wyszczerzył się w uśmiechu.

– Niezły rzut, *co?* – powiedział.

Felix powstrzymał się przed uderzeniem krasnoluda mieczem.

– Ruszajmy się – rzekł Gotrek. – Nie możemy zmarnować całego dnia.

Felix zatrzymał się i potarł ramię. Siniak był bolesny, a ta część ciała wrażliwa. Na szczęście dla niego szpony harpii nie przebiły się przez skórę, chociaż rozerwały kilka ogniw kolczugi i wgniotły się w znajdującą się pod spodem skórzaną kamizelkę i jego ramię. To były raczej otarcia niż prawdziwe rany. Normalnie zatrzymałby się, by je przemyć i opatrzyć, ale pośród tych nawiedzonych przez Chaos ruin nie chciał się zatrzymywać na dłużej – a jeszcze mniejszą ochotę miał na

zdejmnowanie kolczugi. Prawdę mówiąc, nie widział także żadnej wody godnej zaufania.

Gdy Felix stanął, Gotrek i Snorri wdrapywali się na niekończące się schody. Popędził, by ich dogonić, nie chcąc zostać pozostawiony samemu sobie. Niesamowity bezruch tego miejsca stał się jeszcze bardziej namacalny od czasu ataku harpii i Felix zastanawiał się, jaką nikczemną istotę napotkają następnym razem.

Bolały go nogi od ciągłego wspinania się po stromych schodach. Pokonali jakieś dziesięć poziomów. Poniżej nadal widoczny był staw. Felix potknął się nagle. Spod jego stopy wypadła skrecona czaszka humanoida z rogami kozła. Została odarta z całego mięsa. Felix zatrzymał się i podniósł ją. Była lekka, zimna i sucha. Spoglądając do środka zauważył nacięcia biegnące wzdłuż zwińczenia czaszki. W jego umyśle pojawił się obraz i zobaczył jedną z harpii sięgającą do środka oderwanego łba, by wyjąć mózg i pożreć go. Szybko odrzucił czaszkę. Ta upadła i potoczyła się wśród kości rozrzuconych po całej galerii.

Najwyraźniej dotarli do obszaru, gdzie gniazdowały harpie, ponieważ wszędzie były kości połamane w poszukiwaniu szpiku i odarte z mięsa. Szkielety zwierząt, mutantów i ludzi mieszały się ze sobą. Wiele z nich pokrytych było wstrętnymi brązowymi ekskrementami, a smród był okropny. Felix mdliło pomimo szalika owiniętego wokół ust. Zastanawiał się, jak daleko sięgają te galerie i czy wytrzyma przejście po jeszcze jednej bez wymiotowania..

Ciekaw był, czemu Muller założył tutaj swoje leże? I jak przeżył wśród tych wszystkich zajadłych potworów? Czy jego magia uchroniła go przed atakiem? A może miał jakiś układ ze stworzeniami? Felix musiał pogodzić się z faktem, że nigdy się tego nie dowie i po prawdzie wcale nie był pewien, czy chce się dowiedzieć. Pakty i sojusze konieczne, by przetrwać w takim miejscu nie mieściły się w głowie – nie mówiąc o kwestii jedzenia i picia.

Może Muller był jeszcze zdrowy na umyśle, gdy tu przybył, ale ogarnęło go szaleństwo na skutek diety, która musiała składać się ze splugawionego mięsa i wody skażonej spaczeniem. Felix nie chciał myśleć, że to może być jedyna szansa przeżycia dla niego i towarzyszy, jeśli wkrótce nie znajdą drogi wyjścia. W tej chwili śmierć wydawała się być lepsza, niż podobna egzystencja, ale kto wie? Może łatwiej to zniesie, gdy jego mózg ulegnie degeneracji, a umysł pochłonie szaleństwo wzbudzone przez spaczeń. Może nawet zacznie się z tego cieszyć. Jeszcze raz odsunął od siebie tę myśl i w tej chwili zobaczył, że schody nareszcie się skończyły.

Gotrek stał przed masywnym ściennym łukiem. Nadproże pokryte było masą wyrzeźbionych łbów demonów. Uśmiechały się szyderczo obnażając monstrialne kły i wysuwając języki. Wyraz ich twarzy pokazywał szaleństwo, zepsucie i pełnię bezmyślności, a Felix zastanawiał się nad umysłami stworzeń, które wyrzeźbiły takie rzeczy. Sam luk zapieczętowany był przez potężny głaz pokryty wizerunkami pokręconych postaci, które według Felix'a przedstawiały wyznawców Chaosu. Stawało się jasne, że przynajmniej ta część miasta od dawna była domem sług Ciemności.

Gotrek wyciągnął ręce i pchnął kamień, ale nic się nie wydarzyło. Głaz nie chciał się ruszyć. Powoli Zabójca zwiększył nacisk, aż wielkie mięśnie nadęły się i zmarszczyły wzdłuż jego pleców i ramion. Pot skropił mu czoło i krasnolud oddychał urwanymi stęknieniami. Snorri przyłączył się do niego, ale nawet ich połączone siły nie przyniosły żadnych efektów. Felix nie próbował nawet im pomagać. Nie było miejsca, by mógł się wcisnąć między nich, a zresztą wątpił, by jego wysiłki miałyby jakieś znaczenie przy sile dwóch krasnoludów.

Wreszcie Gotrek poddał się, wyprostował i podrapał po głowie wielką dłonią. Podniósł topór i wyglądało na to, że rozważa rąbnienie nim w drzwi, ale chwilę potem po prostu wyszczerzył się i sięgnął, by dotknąć jednego ze śmiejących się łbów demonów wyrzeźbionych w nadprożu. Nacisnął jego język. Ten ustąpił i wejście rozwarło się nagle, a ciągle napierający Snorri wyleciał przez nie i

wylądował twarzą na zakurzonych kamiennych płytach po drugiej stronie.

– Nic się nie stało. Upadł na głowę – mruknął Gotrek i przeszedł pod łukiem. Felix prędko ruszył za nim rzucając ostatnie spojrzenie na galerię za sobą.

Wyszli na szeroką płaską przestrzeń pod otwartym niebem. Przed nimi znajdowała się ściana przypominająca blanki. Za nimi znajdował się masywny mur. Felix podszedł do bariery i spojrzał w dół. Natychmiast zdał sobie sprawę, że znajdowali się na przedostatnim poziomie, prawie na samym szczycie, ciężkiego zikkuratu. Pod nimi były wszystkie niższe stopnie. W pobliżu dostrzegł ogromne schody prowadzące na sam dół. Schody te wiodły także na szczyt piramidy i Felix szybko wspiął się po nich. Na górze była duża otwarta platforma. Wyglądała na starą i popękaną i wystawała szeroko nad powietrzną pustką. Felix ostrożnie podszedł do krawędzi i spojrzał w dół.

Daleko poniżej znajdował się staw, w którym mieszkała potworna istota i wszystkie galerie, na których gnieździły się harpie Chaosu. Wzdłuż ścian występu widniały łańcuchy i kajdany. Felix powoli domyślił się przeznaczenia platformy. To było miejsce, gdzie składano ofiary. Niegdyś sprowadzano tu żywe ofiary, a potem spychano wrzeszczących nieszczęśników z występu, by wpadli do stawu poniżej, gdzie pożerał ich mieszkaniec mętnej wody. To musiał być okropny los i Felix rozmyślał nad umysłami, które to zaplanowały.

Czy cały zikkurat został wybudowany tylko do tego celu? Czy może niegdyś służył do czegoś innego, a potem został ogarnięty zepsuciem, gdy nikczemne moce Chaosu pochłonęły te starożytne ziemie? Czy możliwe było, co sugerował wcześniej Gotrek, że ta cała budowla została stworzona wolą jednego z Mrocznych Bogów, albo ich demonicznych sług?

Felix stwierdził, że jego rozmyślania nie prowadzą do odnalezienia odpowiedzi. Znajdowali się na otwartej przestrzeni, ale nie mieli pojęcia, gdzie znajdował się statek powietrzny, ani jak mogą go zlokalizować. A jeśli to im się nie uda, będą skończeni.

Felix odwrócił się od zawrotnej przepaści i omiół wzrokiem horyzont. Pomyślał, że ze gdyby okręt latający znajdował się ciągle nad miastem, byłby widoczny. Spostrzegł dziwne światelko przebijające się przez chmury i starał się skoncentrować, żałując, że nie ma teleskopu, który zostawił na statku. Widział tylko stado harpii krążących wysoko nad nimi.

A potem, ku swojemu zdumieniu, daleko w oddali zobaczył ciemną plamkę, która zdawała się poruszać w ich stronę. Modlił się żarliwie do Sigmara, by to był Duch Grungniego. Potem popędził do zewnętrznej krawędzi najwyższego poziomu zikkuratu i krzyknął na krasnoludy, by przyszyły do niego. Kiedy wołał, dostrzegł ogromną horde zwierzoludzi, która pojawiła się wśród pobliskich budynków daleko poniżej i biegła wzdłuż ulic ku zikkuratowi. Nad ich głowami fruwały dwie harpie krzyczące w swym nikczemnym języku.

Bez wątplenia te właśnie stwory przyciągnęły uwagę zwierzoludzi. Zanim Felix zdążył położyć się płasko na podłodze, zauważył go jeden ze zwierzęcych wyznawców Chaosu, uniósł w powietrze swą włócznię i wskazał wyciągniętym ramieniem w kierunku Felixa. Cała obrzydliwa horda wydała z siebie wycie triumfu i zaczęła pędzić ku nim po długich schodach. Felix przeklął swój los, a potem przyłączył się do Snorriego i Gotreka.

Obaj zabójcy wydawali się być całkowicie obojętni wobec faktu, że biegnie ku nim kilka tysięcy zwierzoludzi, zbyt wielu, by pokonali ich nawet dwaj tak groźni wojownicy, jak oni.

– Schody to dobre miejsce do obrony – zauważył Gotrek. – Wąskie. Niewielu z nich dostanie się do nas na raz. Dobre zabijanie.

– To bardzo niesprawiedliwe – rzekł Snorri. – Będą zmęczeni zanim do nas dotrą. To całe bieganie, a potem wszystkie schody. Może powinniśmy zejść na dół i spotkać ich w połowie drogi.

– To pomiot Chaosu. Nie zrobię nic, by im cokolwiek ułatwić.

– Dobrze zatem. Snorri to rozumie.

Felix potrząsnął głową w rozpacz. Zaraz umrze i miał zginąć w towarzystwie dwóch maniaków. Tego było zbyt wiele. Przeżył nikczemną magię, ataki macek potwora i stada zmutowanych harpii tylko po to, by zabiła go gromada nędznych, pokrzywionych stworów – bestii o kształtach człowieka.

Zwrócił głowę ku niebiosom i prosił błogosławionego Sigmara, by po prostu go zabił i skończył z nim szybko. W tym momencie zauważył, że kropka w oddali przyjęła wyraźne kształty statku powietrznego. Kierował się prosto w ich stronę. Felix spojrzał ponownie na zikkurat. Zwierzoludzie byli już prawie w połowie jego wysokości. Popatrzył ponownie na statek. Znajdował się znacznie dalej niż zwierzoludzie, ale poruszał się o wiele szybciej. Felix miał niewielką nadzieję, że dotrze do nich na czas.

Zwierzoludzie byli już prawie na szczycie schodów i wyglądali jak pędząca fala zmutowanych ciał, wyciągających włócznie i wyjących okrzyki bojowe. Felix wyraźnie słyszał stukot kopyt na kamiennych schodach. Jego serce łomotało. Czuł suchość w ustach. To było gorsze, niż pewna śmierć. Teraz istniała blada nadzieja, że może uda im się uciec.

Statek powietrzny przeleciał nisko nad zwierzoludźmi. Felix zauważył, że zewnętrzna część została oczyszczona, a wszystkie silniki działały. Naprawiono wyrwy w torbie gazowej. Nigdy by nie uwierzył, że możliwe było wykonanie tak wielkiej pracy w równie krótkim czasie. Krasnoludy z pewnością były bardzo zajęte. Widział, że drzwi z boku statku były otwarte, podobnie jak właz na dole. Ktoś otworzył! także iluminatory i na nacierającą hordę spadał deszcz czarnych kul. Jedna z nich wybuchła w powietrzu posyłając wszędzie szrapnele. Zwierzoludzie zawyli w agonii. Felix zrozumiał, że krasnoludy na statku zrzucają bomby!

Coraz więcej z nich wydierało wielkie dziury w szeregach zwierzoludzi. Nikczemne istoty Chaosu zatrzymały się, wyły i potrząsały bronią ku niebu. Jeden lub dwóch rzuciło swe włócznie, ale te wleciały niewysoko i upadły wśród ściśniętej masy mutantów przebijając ich kamratów. Przez chwilę Felix ośmielił się mieć nadzieję, że zostaną rozproszeni przez strach i przerażający kształt nad swoimi łbami. Potem większy przywódca pojawił się przed kotłującym się tłumem i krzyknął na resztę, by kontynuowali pochód, zwierzoludzie uczynili to natychmiast. A jednak cenne momenty zamieszania dały statkowi czas, by podlecieć niemal nad głowy towarzyszy. Felix dostrzegł Vareka we włazie nad nim, rozwijającego ukochaną drabinkę linową pojazdu. Wydał z siebie długie westchnienie ulgi wiedząc, że jest bezpieczny.

A potem okręt minął go, zabierając ze sobą drabinkę. Felix nie był pewien, co się dzieje i zaryzykował rzut okiem na zbliżające się szeregi zwierzoludzi. Nie było czasu na głupie żarty! Potem zrozumiał, co się stało. Statek latający nadal nie wytracił rozpędu, by ich ocalić. Wycie silników nad nim uświadomiło mu, że Makaiisson włączył bieg wsteczny i wprawdzie wytracał prędkość swojego pojazdu.

Duch Grungniego zawis! wreszcie dokładnie nad środkiem zikkuratu. Felix odwrócił się i zawołał:

– Chodźcie! Musimy odnaleźć Karag Dum! To wasze przeznaczenie!

Zabójcy spojrzeli na niego, jakby oszalał. Zrozumiał, że oni naprawdę chcieli oddać swe życie w bezsensownej walce z przeważającym liczebnie wrogiem. Wpadła mu do głowy pewna myśl.

– W Karag Dum jest demon! Plugawi świętą ziemię krasnoludów. Waszym obowiązkiem jest go zabić!

Cóż, pomyślał, to wszystko, co da się teraz zrobić, by Zabójcy nabrali rozumu. To był jedyny moment na ucieczkę. Nie patrząc za siebie popędził w górę schodów na rampę, z której zrzucano

ofiary. Drabinka zwisała dokładnie nad wielką centralną studnią – o wiele za daleko, by mógł skoczyć i jej dosięgnąć. Za sobą słyszał ryk zwierzoludzi. Zdawali się być tuż za nim. Zaryzykował spojrzenie przez ramię i zobaczył Snorriego i Gotreka unoszących groźnie swoją broń. Wiedział, że za kilka chwil horda będzie przy nim.

Odwrócił się i zobaczył, że drabinka sznurowa powraca w jego kierunku. Natychmiast podjął decyzję. Wsunął do pochwy miecz, wyskoczył w powietrze i wyciągnął ręce ku drabinie. Przez chwilę zakręciło mu się w głowie od ogromnej przepaści pod nim, a potem jego palce zacisnęły się na linie. Impet omal nie wyrwał mu ręki ze stawu, a potem posłał falę strasznego bólu prze ramię, gdzie uderzyła go wcześniej harpia. Udało mu się jednak to wytrzymać. Złapał kołyszącą się drabinę drugą ręką i zaczął się podciągać.

Spojrzał w dół i zobaczył, że zbliżali się do krawędzi rampy.

– Snorri! Gotrek! – krzyknął, by ich zachęcić.

Tuż przed i pod sobą widział pojawiających się pierwszych rozpedzonych zwierzoludzi. Zabójcy spojrzeli w górę i prawie jednocześnie sięgnęli ku drabinie. Obu udało się ją uchwycić, zostali porwani w powietrze i wzlecieli nad zikkurat. Felix zobaczył wielką masę zwierzęcych pysków gapiącą się na nich, gdy przelatywali ponad nimi. Ze statku spadał teraz deszcz obiektów. Felix zorientował się, że Makaïsson wyrzucał balast, by mogli szybko nabrać wysokości. Na wyznawców Chaosu posypały się piach i kamyki. Ci odpowiedzieli rzucając swoimi włóczniami. Felix odruchowo zamknął oczy, gdy pociski zaświstały koło jego uszu, zwierzoludzie zostali daleko poniżej na ofiarnym zikkuracie, a statek powietrzny szybko nabierał wysokości.

Felix odwrócił się i popatrzył na miejsce, gdzie się przed chwilą znajdowali. Stało się coś strasznego. Zanim przywódcy nacierających zwierzoludzi zauważyli niebezpieczeństwo, zbiegli prosto z rampy i zaczęli spadać w otchłań. Kilku z biegnących za nimi zdążyło zorientować się, co się dzieje, wydało z siebie ryk przerażenia i trwogi. Jednakże popychani przez nacisk ciał spychani byli z rampy w przepaść poniżej.

Felix ofiarował dziękczynną modlitwę Sigmarowi za jego wybawienie i zaczął podciągać się na drabinie szczebel po szczeblu ku Duchowi Crungniego. Kiedy był już bezpieczny, w środku odwrócił się i pomógł wciągnąć do statku powietrznego parę Zabójców.

– Straciliśmy tam dobrą walkę – powiedział Snorri. – Szkoda, że nas zabrali.

Felix rzucił Snorriemu badawcze spojrzenie. Zastanawiał się, czy było naprawdę możliwe, że ten idiota robił sobie żarty. W oddali nadal słyszał krzyki spadających zwierzoludzi.

– Jak nas znaleźliście? – Felix spytał Vareka, gdy zrujnowane miasto pogrążyło się w mroku za nimi.

– Po tym jak zniknęliśmy ukończyliśmy naprawy i cała wolna załoga obsadziła teleskopy – rzekł Varek. – Mieliliśmy szczęście. Dostrzegliśmy wielkie stado tych skrzydlatych stworów, unoszące się nad zikkuratem w centrum miasta i domyśliliśmy się, że coś przyciągnęło ich uwagę. Pomyśleliśmy, że warto będzie spróbować, nawet jeśli mamy odnaleźć tylko wasze ciała.

Felix zrozumiał, jak wiele mieli szczęścia. To samo, co przyciągnęło uwagę hordy zwierzoludzi zostało zauważone także przez załogę statku powietrznego. Zadrzał na myśl, co mogłoby się stać, gdyby walczyli z tymi stworzeniami w nocy. Nigdy nie zostaliby znalezieni.

Hordy Chaosu

Lurk czuł się dziwnie. Skóra mu mrowiła, a futro świerbiło. Przez cały czas był głodny. Od czasu, gdy wystawił się na działanie spaczenia podczas burzy, wstrząsały nim konwulsje dziwnej choroby. Wykradał coraz więcej zapasów krasnoludów i pożerał je w wielkich orgiach obżarstwa, podczas których po prostu nie mógł się powstrzymać przed zjedzeniem całego pożywienia. Cieszył się, że ktoś otworzył w końcu włącz do wnętrza okrętu zanim zjadł swój ogon.

Efekty tej konsumpcji zaczęły być widoczne. Jego mięśnie nabrzmiały, ogon zrobił się grubszy, a Lurk większy. Bardzo bolał go łeb i z trudnością przychodziło mu myślenie. Modlił się do Rogatego Szczura, by nie okazało się, że jest chory na jakąś zarazę. Pamiętał strach, gdy zachorował w Nuln i prawie zakończył życie. Jeśli plaga powróciła, nie miał żadnych ziołowych leków, których użył Vilebroth Nuli, by go ocalić przed śmiercią.

Powoli wspinał się po drabinie na gniazdo bocianie, by skontaktować się, jak co dzień, z tym wrednym Thanquolem. Miał serdecznie dosyć tego gderającego w jego łbie głosu, bełkoczącego głupie rozkazy i nakazującego mu, co ma robić. Część umysłu mówiła mu, że nie powinien myśleć w ten sposób, że to jest nader niemądre, ale nie mógł się przed tym powstrzymać. Bolało go całe ciało. Jego wzrok był mętny, a jutro zaczęło odpadać w miejscach, gdzie pojawiły się ogromne wrzody. Postanowił nie przejmować się nawiązywaniem kontaktu z Szarym Prorokiem. Wróci do swojej kryjówki i prześpi się. Najpierw jednak musi coś zjeść. Zaczął nabierać coraz większej ochoty na pulchne krasnoludzkie mięso.

Felix zapukał do drzwi kabiny Boreka. Metal odbił echo jego pukania.

– Proszę wejść – powiedział krasnolud.

Felix otworzył drzwi i wszedł do środka. Kajuta Boreka była większa niż jego. Wzdłuż ścian stały oszklone gabloty zawierające wiele ksiąg. Pośrodku znajdował się stół przymocowany do podłogi, a na nim leżała starodawna mapa utrzymywana na miejscu przez dziwnie wyglądające przyciski do papieru, wykonane z czarnego metalu.

Widząc zainteresowanie Felixa, Borek powiedział.

– Magnesy.

– Co takiego?

– Te przyciski do papieru to magnesy. Przywierają do żelaza i stali. To dziwna zasada filozoficzna, podobna do tej, która sprawia, że igła kompasu wskazuje północ. Spróbuj podnieść jeden z nich.

Felix zrobił to i poczuł opór, jakiego się nie spodziewał. Puścił kawałek metalu, a ten jakby wyskoczył z jego ręki i przywarł ze stuknięciem do stołu. Pomyślał, że to było typowe krasnoludzkie przywiązywanie całej uwagi do detali. Udało im się znaleźć sposób na utrzymanie map na miejscu, na tak niestabilnej platformie, jaką był ten statek powietrzny. Powiedział o swoich spostrzeżeniach.

– To moc znana od dawien dawna. Korzystają z niej nasi nawigatorzy na okrętach parowych z Barak Varr – uśmiechnął się. – Ale domyślam się, że nie jesteś tu, by dyskutować o ciekawych elementach wystroju tej kajuty.

Felix potwierdził, że tak nie jest i zaczął mówić Borekowi o tym co stało się z czarownikiem i o jego wzmiance o demonie. Spotkanie z Mullerem zmusiło go do myślenia. Po raz pierwszy zaczął poważnie traktować możliwość, że taka istota może znajdować się w Karag Dum. Stary krasnolud słuchał, od czasu do czasu kiwając głową. Kiedy Felix skończył, nastąpiła chwila ciszy, podczas której, Borek nabijał fajkę.

– Jakże to może być? – spytał Felix. – Dlaczego demony mogą istnieć tutaj, a nie poza Pustkowiami?

Borek rzucił mu długie i twarde spojrzenie.

– Mogą i faktycznie istnieją poza Pustkowiami. Według naszych zapisków, wiele z nich walczyło przeciw armiom krasnoludów.

– A zatem, gdzie są teraz?

– Zniknęły. Kto wie, czemu? Któż potrafi naprawdę wytłumaczyć, jak działa Chaos?

– Ale z pewnością masz jakąś teorię?

– Jest wiele teorii, Herr Jaeger. O ile wiem, surowe energie magiczne przepływają ze znacznie większą siłą przez Pustkowię. Możliwe jest, że demony żywią się tą energią i potrzebują jej, by istnieć. Poza Pustkowiami mogą pojawiać się tylko na krótko zanim znikną. Tam magia jest słabsza. Tu, w Krainie Chaosu, mogą manifestować swoją obecność przez znacznie dłuższe okresy, ponieważ tu znajdują więcej mocy, z której czerpią siłę.

– Czemu tak jest?

– Schreiber uważa, że na samym środku Pustkowi znajduje się pewnego rodzaju zaburzenie, które jest źródłem całej magii. Zgodnie z jego teorią wypacza ono w jakiś sposób także czas i odległości. Wielu uczonych twierdzi, że czas przepływa w różnym tempie w zależności od części Pustkowi. A im dalej jesteś na Pustkowiach, tym wyraźniejszy staje się ten efekt.

– Dlaczego zatem te czarty nas jeszcze nie dopadły?

– Może dlatego, że nie dotarliśmy dość daleko. Wątpię, by demon był w stanie istnieć długo tu, na krańcu Pustkowi, ale nie wiem na pewno, czy tak jest w istocie. Nie wiem jeszcze wielu rzeczy i nie potrafię wszystkiego wyjaśnić w tej sprawie.

– Ale myślisz, że demon nadal zamieszkuje w Karag Dum? Borek zaśmiał się ponuro.

– To bardzo możliwe. Jeszcze, gdy wyruszałem z twierdzy krążyły pogłoski, że została przywołana jakaś straszna istota, a Król Thangrim Ognistobrody i jego Mistrzowie Runów ruszyli jej na spotkanie. Możliwe, że została tam uwięziona, albo nigdy nie odeszła. Nie wiem. Ja i moi bracia uciekliśmy z miasta przed ową ostateczną bitwą.

– Nie jest to szczególnie pocieszające.

– Nie, ale wkrótce znajdziemy odpowiedź na dręczące nas pytania. Powinniśmy dotrzeć do Karag Dum w ciągu następnego dnia, albo nieco później.

– A co potem?

– Potem zobaczymy.

– Szybciej! Żwawo-żwawo! – zapiszczał Szary Prorok Thanquol. Był zmęczony od ciągłego przebywania wewnątrz swojej lektyki. Takie uwięzienie sprzeciwiało się jego wszystkim skaweńskim instynktom, które nakazywały mu wstać i wymknąć się na zewnątrz. Nie miał jednak innego wyjścia. W ciągu kilku ostatnich dni nie zrobił nic, poza użyciem zaklęć komunikacyjnych i popędzaniem zmian tragarzy biegnących podziemnymi drogami Pod-Imperium. Zatrzymywał się tylko na posiłek, by zmienić tragarzy i lektyki. Potem ruszał dalej. Miał pęcherze na zadzie od tak długiego siedzenia i zdawało mu się, że jego plecy zostaną na zawsze skrzywione.

Tragarze zaczęli skamleć skargi i Thanquol miał zamiar zabić jednego lub dwóch, by dać im przykład, ale wiedział, że to byłoby na nic. Tylko spowolni swoje przybycie do następnej stacji przydrożnej, w której mógłby zdobyć nowych niewolników. A jednak obiecał sobie, że gdy tam dotrą, ci jęczący lokaje będą cierpieć!

To jest, o ile znajdzie w sobie dość sił. Szary Prorok czuł się wyczerpany wysiłkiem ponoszonym

przy wytwarzaniu wielkiej ilości mocy, potrzebnej do komunikowania się z Lurkiem na tak znaczną odległość. A teraz ten bufon nawet nie odpowiadał na jego wezwania. To było frustrujące! Nie miał pojęcia, co się stało. Czy Lurk zginął? Czy okręt powietrzny rozbił się w jakimś strasznym wypadku? Czy ta długa pogoń była na nic? Z pewnością, nie było to możliwe, bowiem od czasu, gdy Thanquol zobaczył Jaegera, stale odczuwał niepokój. Jeśli chodzi o jego podłego towarzysza krasnoluda, Thanquol zawsze spodziewał się najgorszego. Obaj najraźniej urodzili się po to, by krzyżować jego plany.

Przeklinał inżynierów klanu Skryre. Czemu nie wykorzystają swojej przeklętej wynalazczości, by udoskonalić środki transportu przez tunele Pod-Imperium? Z pewnością potrafią wymyślić coś bardziej efektywnego, niż zwykle sztafety niewolniczych śmieci! Czy zawsze muszą spędzać całe dni opracowując coraz większe i lepsze rodzaje broni? Czemu nie napędzane spaceniem rydwany lub ciągniki? – zastanawiał się Thanquol. Albo wersję koła zagłady dalekiego zasięgu. Z pewnością takie rzeczy są w ich zasięgu. Postanowił wspomnieć o swoich pomysłach przed Radą Trzynastu, podczas swojego następnego raportu, jeśli będzie o tym pamiętał.

– Szybciej! Żwawo! Dalej-dalej! – popędzał ochrypłym głosem. Wiedział, że musi znaleźć się wkrótce na północnych ziemiach i sprawdzić, co stało się z tym cudownym statkiem latającym. Gdy tylko położy na nim swoje łapy, nigdy nie będzie potrzebował innych środków szybkiego transportu.

Przysiągł sobie, że kiedy tam dotrze, ktoś zapłaci za niewygodę, które teraz cierpi.

Felix leżał na łóżku w swojej kabynie, gapiąc się na metalowy sufit. W głowie kręciło mu się od wszystkich rzeczy, których dowiedział się dzisiaj. To dotyczyło Krain Chaosu. Świat był o wiele bardziej skomplikowany, niż się to wydawało. Uświadomił sobie, że jego własny lud musi się jeszcze wiele nauczyć od Starszych Ras.

Zamknął oczy, ale sen nie nadchodził. Czuł się zmęczony, ale nie mógł zasnąć. Nadal bolało go ramię, mimo maści kojących, które zastosował Varek. Wiedział, że przez pewien czas ta część ciała będzie szczególnie wrażliwa. Jego kolczuga została naprawiona przez jednego z czeladników Makaissona i wyglądała lepiej, niż nowa.

Przeklinając swój los wstał z łóżka i nałożył buty. Wyszedł z pokoju i ruszył na rufę statku powietrznego w stronę wieżyczki obserwacyjnej. Znajdująca się na samym ogonie pojazdu bańka wieżyczki była mała i mieściła działo organowe, zamocowane na obrotowej platformie. Felix opadł na siedzenie i wcisnął pedały, które obróciły go najpierw w lewo, a potem w prawo. Ten ruch dziwnie go odprężył. Przypominał huśtanie się w hamaku lub na fotelu bujanym jego dziadka.

Wyciągnął rękę i zacisnął ją na uchwycie działła organowego. To był kolejny z niezwykłych projektów Makaissona. Broń miała rękojeść jak przy pistolecie i strzelała po pociągnięciu za spust. Cały mechanizm działła był wyważony na specjalnych zawieszaniach i można nim było obracać w górę i w dół, w prawo i w lewo, prawie bez wysiłku. Felix nie wiedział, czego spodziewały się krasnoludy chroniąc statek przed atakiem z góry, ale najwyraźniej chciały się na wszelki wypadek zabezpieczyć i nie podejmować najmniejszego ryzyka.

Spojrzał na ziemię, nad którą przelatywali. Niebo pociemniało jakby zapadła noc. Tuż przed nimi chmury były ciemniejsze i nie było widać śladów słońca. Felix zastanawiał się nad tym. Dotarli nad obszar, gdzie bez względu na to, jak wysoko się wspięli, niebo było zawsze zasnute. Stwierdził, że to mogła być jakaś forma potężnej magii, albo może gdzieś w oddali, w powietrze wzbily się wielkie masy pyłu spaczenia i zostały porwane w górę przez potężne wichry. Jedyne oświetlenie stanowiły wielkie paleniska osadzone w surowym terenie poniżej. Były to kratery przypominające wrzące paszcze wulkanów, a wokół ich lśniących otworów kręciły się zmutowane postacie.

Gdy statek powietrzny przelatywał nad paleniskami, trząsał się lekko porywany prądami wznoszącymi ciepłego powietrza. To już nie przerażało tak bardzo Felixa. Teraz delikatne turbulencje zaczęły go nawet uspokajać. To było dziwne. Im dłużej leciał, tym bardziej zaczął uważać niebo za coś podobnego do morza. Wiatry były prądami, chmury były czymś w rodzaju fal. Zastanawiał się, czy prądy w morzach także różnią się w zależności od głębokości, tak jak wiatry zdawały się poruszać z różną siłą na różnych wysokościach. Pomyślał ziewając, że jest tu sporo materiału do badań dla filozofa i gładko osunął się w sen.

Lurk szedł powoli i cicho korytarzami okrętu. Głód w jego żołądku był niczym żywe stworzenie drące pazurami, próbujące wyrwać się na wolność. Sprawiał mu rzeczywisty, fizyczny ból. Przed sobą wyczuł żer. Nie niósł zapachu krasnoluda, lecz człowieka. Lurk nie dbał o to. Chciał po prostu poczuć gorącą, czerwoną krew chlupoczącą w ustach i jeść kawałki surowego, ciepłego mięsa. Człowiek nada się do tego równie dobrze, co krasnolud.

Wszedł do tylnego pomieszczenia i usłyszał przed sobą chrapanie. Dobrze! Jego głupia ofiara była niczego nieświadoma, pogrążona w świńskiej drzemce, na którą nie pozwoliłby sobie żaden skaven, nawet gdyby nie istniało oczywiste zagrożenie. Ludzka głowa pokryta jasnym futrem była odrzucona w tył obnażając szyję, jakby zapraszając kły Lurka. Skaven podszedł na palcach i pochylił się nad śpiącym. Ślina kapiała z jego ust w oczekiwaniu na smak świeżego mięsa. Wystarczy tylko jedno ukąszenie w arterię! Zaciśnię szczęki na szyi człowieka, by zdusić jego wołanie. Jeszcze kilka kroków i znajdzie się na dogodnej pozycji do zadania uderzenia.

Nagle Lurk usłyszał kroki na drabinie prowadzącej z pokładu powyżej. Ktoś nadchodził! Przeklął cicho, wiedząc, że jeśli zaatakuje teraz, zostanie odkryty zanim zdoła pożreć ofiarę i podniesie się alarm. Jakaś instynktowna iskra pogrzebana głęboko w jego umyśle powiedziała mu, że nie jest to dobry pomysł, zatem szybko odszedł w głąb korytarza, wracając tam, skąd przybył.

Felix obudził się nagle słysząc ciężkie kroki na drabinie. Ucieszył się z pobudki. Śnił mu się koszmar, w którym wielka szczirowata istota skradała się do niego ciemnym tunelem, spowitym mgłą. Bez wątplenia był to zły sen, wywołany przez wspomnienie zwierzoludzi, których widział tego dnia. Sigmar wie, że były one na tyle potworne, by wywoływać koszmary do końca życia.

Zobaczył Vareka schodzącego na pokład obserwacyjny. Krasnolud niósł w jednej ręce swoją księgę, a w drugiej pióro i wyglądał na nieco rozczarowanego, że ktoś inny jest tu obecny, tak jakby chciał zostać tu sam.

– Dobry wieczór, Felixie – powiedział, zdobywając się na uśmiech.

– Czy to już wieczór?

– Któż to może powiedzieć? – krasnolud wrzucił ramionami. – To określenie dobrze pasuje do tego nikczemnego miejsca. Niebo jest ciemniejsze, a ziemia zasłonięta, a zatem sądzę, że równie dobrze może być wieczór.

– W takim razie dobry wieczór Varek – rzekł Felix. – Co tu robisz?

– Przyszedłem tu, by spisać swoje notatki. Trudno *to* robić, gdy dzielisz kabinę z Gotrekiem i Snorrim.

– Wyobrażam sobie – Felix nagle ucieszył się, że jego wzrost oraz fakt, iż był człowiekiem zapewniły mu własną kajutę. Była to jedna z trzech jednoosobowych kajut na całym statku powietrznym, a Borek i Makaïsson zajmowali pozostałe. – Co takiego wyczyniali?

– Gotrek twierdził, że Snorri pokonał go nieuczciwie podczas ich ostatnich zawodów w stukaniu się głowami. Rozpętali niezłą kłótnię. Snorri natychmiast chciał przeprowadzić następne zawody, by

ostatecznie ustalić zwycięzcę, ale wyperswadowałem im to.

– Jak? – Felix nie mógł sobie wyobrazić tego uprzejmego krasnoluda, który przekonuje parę Zabójców Trolli, by czegoś nie zrobili.

– Przypomniałem im, że przegrany w pojedynku na stukanie się głowami zwykle wraca do siebie przez trzy dni i to zakładając, że nie złamał nic poważnego – a jeśli tak się stanie, jeden z nich przegapi nasze przybycie do Karag Dum. Oczywiście, zakładając, że przylecimy na czas. To chyba podziałało. Gdy ich opuszczałem, zorganizowali sobie zamiast tego zawody w picciu wódki. Mam nadzieję, że zanim wrócę będą już nieprzytomni.

– Nie stawiałbym na to – stwierdził Felix.

Varek uśmiechnął się smutno.

– Ani ja.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – rzekł Felix. – Chciałem sobie tylko uciąć drzemkę.

Rozsiadł się ponownie.

– Zanim usniesz, czy mógłbym cię prosić, byś streścił szczegóły dzisiejszych wydarzeń. Chcę się upewnić, że zapiszę wszystko, co trzeba.

– Oczywiście – powiedział Felix i zaczął jeszcze raz opowiadać całą historię, tylko nieznacznie przesadzając.

Felix obudził się nieco później, nadal na fotelu działa organowego. Zobaczył, że jeden z inżynierów zamiatał pokład wokół niego. Ziewając i wyciągając się, wstał i postanowił zjeść śniadanie. Podnosząc się zauważył dokładnie pod nimi niewielką bandę konnych wojowników, jadących najwyraźniej w kierunku, w którym leciał statek powietrzny.

– Czy oni nas śledzą? – spytał, wiedząc, że to głupie pytanie. Gdy patrzył w dół, odziani w czarne zbroje jeźdźcy pozostali daleko w tyle za szybko poruszającym się okrętem.

– Nie – odpowiedział krasnolud – ale z pewnością coś się dzieje. Przez cały ranek przelatywaliśmy nad watahami zdążającymi w tę samą stronę. Jakby wiedzieli dokąd zmierzamy i chcieli nas przechwycić.

– To jest niemożliwe – powiedział Felix, ale w głębi serca nie był tego pewien. W końcu, któż wiedział, do czego naprawdę zdolne są siły Chaosu?

– Robi się coraz gorzej – rzekł Varek nadal wyglądając przez teleskop za okno sterówki. – Są setki nowych. Teraz wydaje się, że więcej z nich jest przed nami niż z tyłu.

Felix musiał się z tym zgodzić. Było to oczywiste nawet dla patrzącego gołym okiem. Przez cały dzień mijali gromady zwierzolidzi, wojowników Chaosu i innych niekzemnych stworów. Im dalej lecieli, tym częstsze stawały się takie widoki. A wszyscy wyznawcy Ciemności brnęli w tym samym kierunku, w którym podążał statek powietrzny. Wyglądało to tak, jakby dano tajemny znak i zbierała się armia.

– To mi się wcale nie podoba – rzekł Felix. – Czy oni naprawdę wiedzą, co robią? Czy na nas czekają?

– Nie sądzę, by było to prawdopodobne – powiedział Borek z pewnym rozdrażnieniem. Zasiadł w jednym z wyściełanych skórą foteli na mostku kapitańskim i siedział tam, szarpiąc z namysłem palcami sękatej dłoni swoją brodę. – W żaden sposób nie mogli dowiedzieć się o naszym przybyciu. Na pokładzie tego statku nie ma zdrajców. Nikt nie dowiedział się o naszych planach zanim nie wyruszyliśmy, a nawet jeśli, z pewnością wieści nie biegną szybciej, niż my lecimy.

Głos starego krasnoluda brzmiał tak, jakby starał się on przekonać samego siebie. Felix bez trudu znajdował luki w jego argumentacji. Schreiber wiedział o ich celu, podobnie jak Straghov i każdy z

jego podwładnych. Czarodziejstwo jest w stanie przesłać wiadomość nawet szybciej, niż leci statek. Jeszcze prościej było założyć, że wyznawcy Chaosu mieli wizjonerów, którzy potrafili przewidzieć przyszłość. Czasami Felixa dziwiło, jak szybko i łatwo potrafił znajdować gorszą stronę sytuacji.

– Zakładamy, że to jest związane z nami – mówił dalej Borek. – Nie ma na to jednak dowodu.

Może mają swoje powody, by gromadzić się wzdłuż naszej trasy.

– A jakież to mogą być powody?

– Nie wiem, ale jestem pewien, że jeśli tak jest w istocie, to wkrótce je poznamy.

Gdy statek powietrzny leciał dalej, watahy stawały się coraz liczniejsze, jakby wiele mniejszych grup wyznawców Chaosu spotkało się i skupiło tworząc większe jednostki. W niektórych bandach widać było nawet tuzin sztandarów łopoczących na wietrze.

Coraz częstszym widokiem wśród stworów poniżej, stawały się groteskowe istoty. Felix widział dziwnych wojowników, częściowo mężczyzn, częściowo kobiety z ogromnymi szczypcami, jak u kraba. Jechali na podskakujących dwunożnych stworzeniach z długimi wywieszonymi jęzorami. Gdy spoglądał przez teleskop wysoko nad nimi, oddziały tej demonicznej kawalerii zaczęły ścigać rozproszoną bandę mutantów. Ich paskudne wierzchowce wyrzucały naprzód swoje długie, lepkie języki, łapały ofiary i rzucały je na szczypce swoich panów, lub pań, w sposób, w jaki niektóre jaszczurki z dżungli łapią muchy.

Dziwne, jaskrawo kolorowe stwory, których ohydnie przesadne twarze zdawały się wychodzić bezpośrednio ze środka korpusów, szły przez jasne piaski pustyni. Machały na przelatujący statek, jakby pozdrawiając zagubionego pobratymca, a potem łapały się za boki wijąc w szalonej, demonicznej radości.

Jeden z potężnych, odzianych w czarne zbroje jeźdźców prowadził między skałami gromadę zdeformowanych ogarów. Jego zwierzęta miały ogromne gadzie grzebienie, a ich skóra lśniła jasną, metaliczną czerwienią. Felixowi czasami wydawało się, jakby spoglądał na sceny wyciągnięte z koszmaru szaleńca, ale jednocześnie nie mógł powstrzymać się od patrzenia.

Przed nimi z pustyni wyrosły wysokie wzgórza. Gdy się do nich zbliżali, Felix zauważył, że poprzedzały one znacznie większy łańcuch ogromnych gór, wysokich jak szczyty Gór Krańca Świata. Wzniesienia te migotały nienaturalnymi kolorami. A Felix po raz pierwszy dostrzegł na Pustkowiach coś, co przypominało roślinność.

Na zboczach wzgórz kwitł las monstrualnych oślizgłych grzybów. Każdy z nich miał rozmiary wysokiego drzewa, a ich kapelusze były na tyle duże, że mogły przykryć małą wioskę. Każdy posiadał nieco inny, chory odcień: zjadliwej żółci, kościanej bieli, spleśniałej zieleni i każdy wznosił się ku niebu, jakby walczył z innymi o każdy promyk światła i każdy cal przestrzeni. Niektóre z grzybów miały wiele kapeluszy wyrastających z jednej nogi. Grzybowate drzewa pokryte były paskudnym śluzem, który kapał jak trucizna na ziemię poniżej. To wszystko wydawało się być nienaturalne i złe, będąc oznaką życia, które nie powinno istnieć w normalnym świecie.

Tu i tam niektóre z potężnych grzybów upadły, albo zostały celowo przewrócone, a zwierzoludzie i mutanty pełzały po nich, niczym mrówki na gnijącym pniaku. Pożerali zgniły mięsz upadłego olbrzyma i spijali jego śluz. Po jedzeniu krzyczeli, walczyli i pogrążali się w orgie, jakby substancje martwej rośliny zawierały dziwne, toksyczne narkotyki.

W miarę jak wzgórza rosły przed oczami Felixa, stawały się coraz bardziej puste i pozbawione nienaturalnej wegetacji. Zamiast tego pojawiało się coraz więcej ruin. Felix zauważył małe forty, zbudowane tylko z nagromadzonych kamieni. Widział zawile rzeźbione zamki o ścianach wykutych w stali i mosiądzu. Pałace wycięte w skałach wzgórz. Nie było w tym żadnej regularności, ani logiki.

W pobliżu każdej budowli leżały szkielety i nie pogrzebane ciała albo szubienice, z których zwisali martwi zwierzoludzie. Ze wzgórz wznosił się smród spalenizny i śmierci. Był to obszar, który najwyraźniej widział wiele walk, ale teraz został opuszczony, a gdy lecieli dalej, oczywiste stało się, dlaczego.

Nad wzgórzami poruszały się masy wojowników, płynące niczym gwałtowny strumień wpadający na ścieżki, przecinający doliny i łączący się z nurtem wyznawców Chaosu, podróżujących zakurzonymi drogami. Jechali, kuśtykali, maszerowali, pełzali, podskakiwali, wili się obscenicznie, ale wszyscy się poruszali i wszyscy kierowali się w jedną stronę. Nie było wątpliwości, że wyznawcy Chaosu zmierzali w tym samym kierunku, co statek – ku odległym góróm.

Mijały godziny. Sterowiec przeleciał nad płaską równiną pogrążoną w cieniach wzgórz, a pod nimi nadal płynął nieprzerwany strumień. Pośrodku równiny Felix dostrzegł cztery ogromne głazy, wyrzeźbione w potworne karykatury ludzkich postaci. W pierwszej chwili myślał, że to tylko złudzenie świetlne, miraż wywołany przez dziwne kształty skał i jego zmęczone oczy, ale po chwili zdał sobie sprawę, że to nie była prawda. Każdy z potężnych kamieni rzeczywiście został wyrzeźbiony w podobizny, które brał za Mrocznych Bogów Chaosu.

Gdy zbliżyli się, zaczął mieć pewne pojęcie o skali tych monumentalnych posągów. Każdy był wyższy niż maszt cumowniczy pod Samotną Wieżą. Felix słyszał, że niektóre ze szczytów na elfich Wyspach Ulthuanu zostały wyrzeźbione w ogromne statuy, ale to dzieło musiało je przewyższać. Użyto jakiejś niesamowitej magii, by ukształtować kości ziemi w te szydercze wizerunki, a w chwili zdumienia i przerażenia Felix zrozumiał prawdziwą potęgę Mocy Chaosu.

Jedna z postaci przedstawiała wielką, przykucniętą istotę. Jej boki pokryte były wrzodami i rakowatymi naroślami. Ta łypiąca z ukosa postać symbolizowała milion lat zarazy i śmierci. Gdzieś w środku umysłu Felixa odezwał się głos szepczący imię Nurgła, Demonicznego Boga Zarazy.

Inna postać przypominała stworzenie o ptasiej głowie, z ogromnymi skrzydłami zakrywającymi całe ciało. Wokół głowy wirowało dziwaczne i nienaturalne światło, korona mistycznej energii, która przesyłała myśl, iż był to obiekt poświęcony Tzeentchowi, Architektowi Losu, Zmieniającego Drogi.

Trzecia statua wyrzeźbiona została w kształcie stwora mającego cechy zarówno mężczyzny, jak i kobiety, przybierającego pozę jednocześnie pożądlivą i szyderczą. Wielkie jaskinie tworzyły puste oczodoły. Felix zadrzał, wiedział bowiem, że to przedstawia jeden z wielu aspektów Slaanasha, Pana Niewypowiedzianych Rozkoszy. Felix w przeszłości wielokrotnie natykał się na wyznawców tego Boga-Demona.

Ostatnia skała przybrała kształt masywnego wojownika o skrzydłach nietoperza, uzbrojonego w miecz i bat. Twarz maskował całkowicie hełm. W postawie istoty było coś, co wskazywało, że stworzenie było przysadziste i przypominające małpę, ale posiadało ogromną siłę fizyczną. To musiał być Khorne, Bóg Krwi, Pan na Tronie Czaszek. Felix zadrzał. Khorne było imieniem, które wzbudzało przerażenie od zaranja czasu.

Wokół stóp tych tytanicznych wizerunków krążyło kilku wyznawców, którzy rzucali ofiary, ale większość po prostu salutowała i szła dalej. Felix zaprzestał prób policzenia wyznawców Chaosu. Teraz były ich tysiące. Wyglądali jak maszerująca armia mrówek, a motywy tej hordy zdawały się równie niezrozumiałe, jak przerażające. Cieszył się, że maszerowali z dala od krain ludzi, głęboko na Pustkowiach, chociaż zdał sobie sprawę, że jeśli pojawi się wystarczająco potężny przywódca, wystarczy tylko jeden rozkaz, by ta wielka armia zawróciła i ruszyła na południe.

Na mostku kapitańskim za Felixem panowała cisza, buczały tylko silniki. Mimo to czuło się, że wszystkie obecne krasnoludy myślą o tym samym. Wszyscy byli przejęci straszliwym majestatem

zbierającej się poniżej armii.

Pozostawili wzgórze, a przed statkiem powietrznym zamajaczyły w oddali prawdziwe góry. Ziemia pod nimi wyglądała prawie normalnie. Były tam strumienie i drzewa oraz coś, co mogło być kozicami skaczącymi nad urwiskami. Czy było możliwe, że część Pustkowi nie została dotknięta przez wypaczające wpływy Chaosu? Czy nadal istniała jakaś przeciwna siła? A może był to trick Mrocznych Mocy, zasłona spowijająca tajne rzeczy, jeszcze mroczniejsze i bardziej przerażające niż wszystko, czego byli dotąd świadkami?

Makaïsson dmuchnął przeciągle w gwizdek i pociągnął za dźwignie. Potem obrócił wielkim kołem sterowym kierując statek latający ku długiej dolinie, która rozdzielała szerokie czarne szczyty. Musiał stale dokonywać małych poprawek przy sterach, walcząc z bocznymi powiewami i turbulencjami, starając się znajdować drogę naci krętą doliną.

Statek obrócił się o niemal dziewięćdziesiąt stopni w prawo i przed nimi pojawiła się długa dolina wypełniona wyznawcami Chaosu. Z ognisk unosiły się kłęby dymu tworzące ciemną chmurę, która zasłaniała im prawie cały widok. Spoglądały na nich ciekawie dziesiątki tysięcy zwierzoluździ. Tysiące wojowników Chaosu kłębiły się w labiryncie skał. Statek leciał przez dolinę ku pogłębiającej się ciemności na jej końcu.

Potężne rydwany ciągnięte przez ohydne, zmutowane bestie, większe od słoni pojawiły się wśród tłumu. Tu i tam niektóre przewracały się, niektóre rozplywały, inne po prostu zostawały zmiażdżone jakby przez ogromną siłę. Pośród szeregów namiotów i chat postawiono wielkie krzyże w kształcie litery T, a na każdej wisiała ukrzyżowana postać. Niektóre były świeże, inne zostały zredukowane do szkieletów obgryzionych przez padlinożerne ptactwo.

Przed nimi majaczyła pojedyncza ogromną górą. Jej wielka masa blokowała koniec doliny. Zbocza pokrywały rzędy zgruchotanych fortyfikacji. Ziemia na niższych stokach pokryta była białą równiną kości. Fortyfikacje wznosiły się ku cytadeli na samym szczycie góry i oczywiste było, że stoczono tu bitwę – niedawno, bowiem dym nadal wznosił się nad płonącymi budynkami, a wojownicy w czarnych pancerzach poruszali się między ciepłymi ciałami poległych.

Na mostku Ducha Grungniego zapadła cisza. Wszystkie krasnoludy wstrzymały oddech w zdumieniu i przerażeniu. Wreszcie przemówił Borek, a jego głos był chrapliwy.

– Oto szczyt Karag Dum – rzekł.

Karag Dum

– Uwaga! – krzyknął Felix.

Pod nimi, jeden z wyznawców Chaosu – wysoka, szczupła postać odziana w czerń, nosząca amulety i srebrny hełm ze skrzyconymi rogami kozła – wzniosła ozdobną laskę wskazując w ich kierunku. Wokół końca laski zaskwierczała magiczna energia i czerwony jak krew piorun przeskoczył z ziemi na statek powietrzny. Coraz więcej czarnoksiężników Chaosu dodawało swoją moc do ataku, a furia napaści zwiększała się, aż blask ranił oczy, a ryk grzmotów był ogłuszający.

Błysnął piorun i trzasnął w Ducha Grungniego. Powietrze wypełnił smród ozonu. Zdawało się, jakby byli uwięzieni w środku malej burzy. Pojazd chybotał się i trząsał. Klejnoty oczu figury na dziobie lśniły, a Felix czuł narastające ciepło amuletu na swojej piersi. Makaïsson mocował się z kołem sterowym i pociągnął za dźwignię wysokości. Ruszyli w górę przelatując nad niskimi, zawiesistymi chmurami.

Sterowiec drżał i podskakiwał jak przerażony koń, a Felix obawiał się, że ich magiczna ochrona zniknie, a potem atak ustał tak nagle, jak się zaczął. Felix był przekonany, że statek nie wytrzymałby ani chwili dłużej.

Spojrzał w dół na obozującą armię Chaosu. Najwyraźniej przekroczyli jakąś granicę i znaleźli się zbyt blisko wojowników, dlatego zostali zaatakowani. Równie jasne zdawało się, że będą mogli bez przeszkód przelecieć nad armią, o ile zachowają znaczną odległość od niej. Felix pomyślał, że może wyznawcy Chaosu obawiali się ataku z góry, albo, co było równie możliwe, byli szaleni.

Pomieszczenie sterówki wypełniła cisza pełna strachu. Wstrząśnięte krasnoludy wymieniały spojrzenia. Felix kucnął przy oknie i obserwował zgromadzonych. Wreszcie Borek odezwał się niskim, zachrypłym głosem.

– Nie tego się spodziewałem – rzekł, a wieloletnie doświadczenie pojawiło się w jego głosie. Potrząsnął głową. – To nie jest możliwe.

Gotrek był blady. Felix nie mógł stwierdzić, czy z powodu furii, czy też innej, skrywanej emocji.

– Czy Cytadela nadal stoi? Czy tam jest nasz lud?

Borek spojrzał na niego mętным wzrokiem i potrząsnął głową.

– Nic nie powstrzyma sił Chaosu przez dwa wieki. Na dole nikt nie mógł pozostać przy życiu.

Kłyckie Gotreka zbieleły od uścisku na toporze.

– A zatem, czemu tam siedzi ta wielka armia? Dlaczego oblegają Twierdzę Krasnoludów? Z kim walczą, jeśli nie z naszymi pobratymcami?

– Nie wiem – rzekł Borek. – Widziałeś tę armię. Widziałeś zniszczenia w dolinie. Krasnoludzka twierdza nie mogła wytrzymać tak długo podobnego ataku.

– A jeśli tak się stało? A jeśli tam nadal żyją krasnoludy? To by oznaczało, że porzuciliśmy naszych braci na łaskę Chaosu przez dobre dwa stulecia. To oznacza, że porzuciliśmy nasze stare układy przemierza zawarte z nimi. To znaczy, że nasz ród nie dotrzymał przysięgi.

Borek uniósł laskę i uderzył jej końcem o stalową podłogę. To był jedyny słyszalny dźwięk, poza buczeniem silników. Felix rozmyślał nad ich argumentami. Musiał zgodzić się z Borekiem. Zdawało się mało prawdopodobne, by jakakolwiek Cytadela była w stanie wytrzymać przez prawie dwieście lat oblężenie sił Chaosu. Nawet, gdyby obrońcami były zacięte krasnoludy. Przyszło mu do głowy inne wyjaśnienie.

– Czyż nie jest możliwe, że Karag Dum przepadł dla sił Chaosu i jakiś władca Mrocznych Mocy

przejął twierdzę i używa jej jako swojej cytadeli? Może wyznawcy Chaosu walczą między sobą o to miejsce.

Zobaczył, że patrzyły na niego wszystkie oczy. Na niektórych obliczach wypisane było zrozumienie, na innych rozczarowanie. Zdał sobie sprawę, że niektóre z krasnoludów miały pewną nadzieję, na znalezienie tam swoich zaginionych pobratymców. Dotyczyło to także Gotreka.

– To wydaje się być najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem – rzeki Borek. – A jeśli to prawda, wówczas niewiele tu dla nas roboty. Równie dobrze możemy zawrócić statek powietrzny i polecieć do domu.

Felix znowu wyczuł rozczarowanie w całej sterówce. Tym razem większe, niż poprzednio. Te krasnoludy przebyły daleką drogę i dokonały wielkich poświęceń, aby się tu dostać, a teraz ich lider mówi im, że to wszystko mogło być na próżno. Mimo to, krasnoludy skinęły głowami na zgodę. Za wyjątkiem Gotreka.

– Ale to nie jest jedyne wyjaśnienie. Nie wiemy na pewno, czy tak jest w istocie.

– To prawda, Gotrek, ale cóż mamy uczynić?

– Wylądować gdzieś w Cytadeli, przeprowadzić wyprawę w głąb. Sprawdzić, czy nie żyją tam jeszcze nasi bracia.

– Rozumiem, że pragniesz to zrobić?

– Tak jest. Możemy poczekać do zapadnięcia zmroku, a potem opuścić się na szczyt. Jeśli dobrze pamiętam twoje mapy, na zboczu urwiska znajduje się tajemne wejście. Mogę wejść przez nie i dotrzeć do Pod-Sal.

– Snorri też pójdzie – powiedział Snorri. – Nie może pozwolić, by Gotrek przejął całą chwałę. To dobra okazja, by rozwalić paru wojowników Chaosu.

– Ja pójdę, Wuju – rzekł Varek. – Chciałbym spojrzeć na dom moich przodków.

– Sądzę, że lepiej będzie, jeśli ja też pójdę. Będzie wam potrzebny ktoś, kto zachował odrobinę rozsądku – odezwał się inny głos. Felix w szoku rozpoznał go jako swój własny.

– Zanim zrobimy cokolwiek, przyjrzyjmy się, co się dzieje poniżej – zaproponował Borek. – Może wówczas będziemy mieli lepsze pojęcie, co oni tam robią.

Sprowadzili statek powietrzny tuż poniżej poziomu chmur i krążyli po spirali wokół góry. Wkrótce stało się jasne, że była otoczona nie tylko przez jeden, lecz cztery ogromne obozy wojenne.

Każdy obóz oddany był jednej w wielkich Mocy Chaosu. Ponad jednym łopotwały czerwono-krwawe proporce Khorne'a. Nad innym wisiały świecące sztandary Tzeentcha. Nad trzecim pulsowały i zmieniały nasycenie wielokolorowe flagi Slaanasha. Ociekające śluzem chorągwie Nurgle'a wystawały nad chorą hordę czwartego obozu.

W miarę, jak się temu przyglądali stało się jasne, że wyznawcy czterech potęg wojowali między sobą. Każdy obóz otoczony był rowem, nie tylko od strony góry, ale dookoła, jakby armie obawiały się ataku innych obozów. Tu i tam, wzdłuż granic Felixowi udawało się zauważyć potyczki prowadzone między Wojownikami Chaosu.

Zrozumiał także, że obozy te, były ostatecznym celem wszystkich wyznawców Chaosu, których widział na pustyniach. Przybywali ze wszystkich stron świata i odnajdywali drogę, do jednego z nich. Felix był pewien, że szukali obozu swojego bóstwa, aby zasilić jego szeregi.

Sądził, że była w tym pewna logika. Jeśli cztery potęgi rywalizowały ze sobą, to walczyły również ze sobą, podobnie jak z każdym obcym. Zakładając, że musi istnieć napięcie między ich wyznawcami, rozsądne było oddzielenie ich od siebie, dla zminimalizowania wzajemnej zaciekłości.

Nawet w chwili, gdy się przyglądał, zobaczył armię Khorne'a gromadzącą się wzdłuż swych granic z armią Slaanasha. Po wydaniu okrzyku bojowego obie strony rzuciły się do walki. Felix

rozumiał, że te armie były tu po to, by rywalizować ze sobą i prowadzić oblężenie Karag Dum.

– Będziemy na was czekali tak długo, aż starczy nam jedzenia, a potem odlecimy – rzekł Borek. – Będziemy unosili się wysoko i wyglądali przez teleskopy. Jeśli odkryjecie cokolwiek, wróćcie i wystrzelcie jedną z zielonych rac Makaissona. Nadlecimy i zabierzemy was najszybciej, jak to będzie możliwe.

Felix skinął głową i sprawdził race, zatknięte za pasem. Były tam nadal, obok innego wyposażenia, składającego się z kompasu, wiecznie płonącej latarni korzystającej z jednego ze świecących kryształów, kilku butelek wody i flaszki wódki. Przez ramię przewiesił małą torbę zapasów. Jeszcze raz założył kolczugę i był z tego rad.

Ponownie pytał sam siebie, czemu to robi i jeszcze raz odkrył, że nie jest w stanie sformułować żadnego powodu. Znacznie bardziej sensowne było pozostanie na statku latającym, gdyż przynajmniej w ten sposób mógłby dotrzeć do domu, nawet jeśli Gotrek i inni zawiodą. A jednak odezwało się coś więcej, niż zdrowy rozsądek. On i Gotrek zmierzyli się razem z niepoliczalnymi niebezpieczeństwami i pomimo misji Zabójcy poszukującego śmierci, zawsze udawało im się przeżyć. Felix sądził, że w grę wchodziło coś więcej, niż szczęście. To było ich przeznaczenie. Może będzie miał większe szanse na wyrwanie się żywcem z Pustkowi Chaosu w towarzystwie Zabójcy, niż na własną rękę. Przynajmniej próbował się przekonywać, że tak jest w istocie.

Wreszcie, pozostawała jego przysięga. Przysiągł iść za Zabójcą i opisać jego śmierć. Sądził, że poznał kulturę krasnoludów w wystarczającym stopniu, by traktować tę przysięgę bardzo poważnie. Wyrztał przez okno. Poniżej widział ogniska obozu Chaosu i cienie zniekształconych postaci, które poruszały się wokół nich. Od czasu do czasu słyszał dźwięki zderzającej się ze sobą broni, gdy wybuchały bijatyki.

Była noc, albo raczej ta pora doby, która za nią uchodziła na Pustkowiach. Czekali wiele godzin, aż niebo pociemnieje i wreszcie ich cierpliwość została nagrodzona. Statek latający także był ciemny, zgaszono wszystkie światła, aby nie zdradzać swej pozycji. Silniki pracowały z minimalną mocą, by wytwarzać możliwie jak najmniej hałasu. Przed nimi majaczyła pogrążona w cieniu sylwetka szczytu górskiego. Felix miał nadzieję, że Makaisson wiedział, co robi i nie rozbiją się o zbocze góry. Zdawał sobie sprawę, że krasnoludy widzą w ciemnościach znacznie lepiej niż ludzie, ale istniała różnica między posiadaniem tej świadomości, a ufaniem jej całym sercem, szczególnie w takiej chwili, jak ta, gdy stawką było jego życie.

– Jeśli znajdziecie żywych i będziecie chcieli, abyśmy wrócili, wystrzelcie czerwoną racę. Rozumiesz?

– Rozumiem – rzekł Felix. Trudno, by było inaczej. Borek wyjaśnił to im tuzin razy podczas długiego oczekiwania. Race były kolejnym wynalazkiem Makaissona. Były wariantem zwykłych rakiet i pozostawiały za sobą jasny ślad.

Statek powietrzny zatrzęsł się i zatrzymał. Felix wiedział, że to był sygnał do wyjścia. Gotrek prowadził, wyskakując przez właz i łapiąc się drabinki. Snorri ruszył za nim radośnie mrużąc do siebie. Następny był Varek. Zatrzymał się u wyjścia i posłał Felixowi nerwowy grymas uśmiechu, a potem on także zniknął we włazie. Na piersi niósł torbę bomb, a na jego ramieniu wisiała dziwna broń Makaissona. Felix żałował, że nie ma takiej broni i nie wie, jak jej używać, ale teraz było za późno na naukę. Wziął głęboki oddech, potem wydech i zawisł na drabince.

Uderzył w niego nocny wiatr. Było zimno, czego nie spodziewał się na środku pustyni. Nakazał sobie myśleć rozsądnie. Znajdowali się gdzieś na północ od Kislewa. Powinno być zimno. Drabinka chwiała się nieco pod ciężarem schodzących i żołądek Felixa skurczył się.

Co ja tu robię? – pytał sam siebie. Jak to się stało, że skończył zwisając z latającej maszyny, zaprojektowanej przez maniaka, unosząc się nad zboczem góry, pod którą obozowała armia wojowników Chaosu. Cóż – powiedział sobie – to będzie przynajmniej interesująca śmierć. Potem zebrał się na odwagę i zaczął schodzić niżej.

Stali na półce skalnej pod samym szczytem, w cieniu muru obronnego. Felix spojrzał w górę i zobaczył drabinkę wciągana na pokład okrętu, a pojazd uniósł się jeszcze raz ku niebu, wychodząc poza zasięg hord czarowników Chaosu. Wysilał słuch, by uchwycić ewentualne odgłosy alarmu wartowników. Słyszał teraz tylko mruczenie Snorriego.

– Proszę, przestań – szepnął.

– Dobra – powiedział głośno Snorri. Felix powstrzymał się przed walnięciem go mieczem.

– Ta ścieżka powinna doprowadzić nas do Wrót Orłów – mruknął Varek.

– A zatem ruszajmy – rzucił Gotrek. – Nie mamy całej nocy.

Zatrzymali się pod ogromnym posągami orła, wykutym w skale. Gotrek sięgnął między szpony prawej łapy i wcisnął ukryty przycisk. Otworzyło się małe przejście, ledwo wystarczające, by wślizgnąć się przez nie krasnolud. Weszli pospiesznie do środka i Felix usłyszał kolejne trzaśnięcie, po czym światło za nimi zniknęło.

Czuł Vareka ciągnącego go za rękaw. Zgodzili się, że nie będą zapalać żadnych świateł, dopóki to nie będzie bezpieczne. W ten sposób nic nie zdradzi ich obecności w ciemnościach. Felix zrozumiał, że to było dobre dla krasnoludów, bowiem potrafili widzieć w ciemności, ale on był ślepy i całkowicie polegał na ich przewodnictwie. Może to nie był jednak tak doskonały plan. Felix wyciągnął rękę, by poczuć zimny kamień ściany, a potem ruszył za prowadzącym go Varekiem.

– Istnieje wiele takich tajnych dróg ucieczki – szepnął Varek. Były używane jako ścieżki wypadowe podczas oblężeń.

– A jeśli zdrajcy użyli ich, by wedrzeć się do miasta? – spytał Felix.

– Żaden krasnolud nie zrobiłby czegoś takiego – mruknął Varek. Felix słyszał prawdziwe zaskoczenie w głosie młodego krasnoluda, który nie mógł uwierzyć, że można było zasugerować coś podobnego.

– Ciszej tam – rzekł Gotrek. – Chcecie przyciągnąć uwagę każdego zwierozczłeka i wojownika Chaosu na tej górze?

– To nie jest zły pomysł – powiedział Snorri. Nastąpił odgłos, który brzmiał podejrzenie, trochę tak jakby pięść Gotreka walnęła w głowę Snorriego. Potem nastąpiła cisza.

Lurk szczyrzył kły. Ból minął. Skończyły się długie dni pocenia się i skręcania w kryjówce. Nie czuł już pulsującego bólu w czaszce i straszliwej męki, każdej kości, w jego rozciągającym się ciele. Został oczyszczony przez ból, przekształcony przez agonię. Został wybrany przez Rogatego Szczura, pobłogosławiony przez Czającego się w Nieznanych Ciemnościach, przez Szemrającego Władcę Otchłani.

Widział, że się zmienił i te znaki były dowodem łaski jego pana. Pył spaczenia był tylko katalizatorem, czynnikiem zmiany noszącym błogosławieństwo boga. Lurk był teraz większy. Zbyt wielki, by zmieścić się w swojej skrzyni, tak duży, że musiał się schylać, by precyzyjnie się w korytarzu.

Był też silny. Ramiona stały się tak szerokie, jak u szczuro-ogra. Pierś stała się węzłem mięśni. Ramiona były teraz grubsze niż niegdyś nogi, a one z kolei stały się kolumnami pulsującej mocy. Czuł, że mógłby zginać stalowe pręty gołymi łapami i przeorywać się kłami przez granit.

Zęby były znacznie dłuższe i ostrzejsze. Dolne siekacze wystawały niczym kły i utrudniały dokładne zamknięcie ust. Z kąta paszczy stale kapła ślina.

Czaszka zrobiła się cięższa i zdawało się, że przez policzki przebiły się kości tworzące maskę twardego pancerza. Na czole pojawiły się wielkie baranie rogi. Wcześniej wywoływały straszliwy ból głowy, ale teraz wiedział, że była to oznaka łaski Rogatego Szczura, znak, że naprawdę został wybrańcem. To błogosławieństwo, czyniło go innym, specjalnym, najlepszym. Przez całe życie wiedział, że był lepszy od innych skavenów, ale teraz istniał tego dowód.

Oto jego ogon, tak długi, tak silny, tak giętki i zakończony czterema kolcami, tworzącymi prawdziwą kościaną maczugę. Oto jego pazury, znacznie silniejsze, bardziej ostre, każdy o rozmiarach sztyletu. Stał się żywą machiną zniszczenia, napędzaną nienawiścią i głodem płonącym w jego sercu. Nie lękał się już takich zer, jak Thanquol. Gdy powróci do Skavenblight, będzie triumfátorem. Sama Rada Trzynastu padnie do jego stóp. Poprowadzi zebrane armie ludu skaveńskiego i zmiażdży wszystko na swojej drodze. Świat zadrży i zostanie podbity przez niepokonanego, wszechmocnego Lurka.

Ale teraz był głodny i nadszedł czas na polowanie. Słyszał kroki zbliżającego się krasnoluda. Nasłuchując przez chwilę zrozumiał, że było ich więcej. Głęboko zakorzeniony instynkt powiedział mu, że przewaga liczebna była dobra tylko wtedy, gdy należała do niego. Nie było rozsądne atakowanie grupy przeciwników. Postanowił poczekać nieco dłużej, aż będzie tylko jedna ofiara, a potem... potem ujawni swoją niesamowitą moc.

Felix usłyszał dudnienie, gdy Gotrek nacisnął kolejny, przycisk. Jego twarz owiał poryw zastanego powietrza i domyślił się, że krasnolud otworzył kolejne tajne drzwi. Ruszyli ostrożnie naprzód i Felix usłyszał, jak drzwi za nimi wracają na swoje miejsce. Nie był pewien, jak to się stało. Nie słyszał wciśnięcia drugiego przycisku. Może mechanizm działał sam, po pewnym czasie. Może pod nimi była płyta reagująca na ciężar. Postanowił o to zapytać innym razem. Być może będzie musiał sam znaleźć drogę powrotną, jeśli zostanie oddzielony od krasnoludów.

Przed nimi widać było światło. Felix dostrzegał odległe, niewyraźne lśnienie. Od czasu do czasu przygasało, by za chwilę rozjaśnić się raz jeszcze. To nie wyglądało na światło pochodni, raczej na blask klejnotu świecącego lub zaklęcia. W tym słabym blasku widział zarysy idących przed nim krasnoludów. Gotrek podniósł rękę, wskazując, że powinni się zatrzymać, a potem ruszył naprzód cicho ze zwinnością, o jaką go Felix nie podejrzewał.

Cieszył się, że Zabójca traktuje tę misję tak poważnie. Najwyraźniej pragnienie, by dowiedzieć się o losie mieszkańców Karag Dum było silniejsze, niż jego żądza heroicznej śmierci. I czemu by nie? – Felix zadawał sobie pytanie. Jedno nie wykluczało drugiego. Jeśli Gotrek pragnął zostać zapamiętany w historii krasnoludów, z pewnością nie było na to lepszego sposobu, niż zostać uznanym za wybawcę tych zaginionych pobratymców. A może istniały jakieś inne motywy osobiste? Felix wiedział, że nigdy nie ośmielił się o to zapytać.

Wziął jeszcze jeden głęboki oddech, by się uspokoić. Powietrze było stęchłe i czuło się w nim zgniliznę oraz jeszcze coś. To był ten sam smród, który panował w legowisku harpii w zikkuracie, odór bestii Chaosu. Felix usłyszał węszącego Snorriego i wiedział, że Zabójca z młotem także to zauważył.

Gotrek dotarł do skrzyżowania przed nimi i machnął na nich. Ruszyli cicho naprzód, aż dotarli do rozstajów i weszli w kolejny, długi korytarz. Z sufitu płynęło migotliwe światło świecących klejnotów. Niektóre zostały zmiażdżone. Inne usunięte. Pozostałe były popękane i działały tylko z przerwami, odpędzając w mrok skaczące cienie.

Robota kamieniarska przypominała Felixowi dzieło krasnoludów w Karag Osiem Szczytów. Ściany podierały wyrąbane bloki bazaltu. Masywne łuki wzmacniały sufit. Każdy był dziełem sztuki. Najbliższy wyrzeźbiono na kształt dwóch klęczących krasnoludów, które patrzyły na siebie ponad korytarzem, podtrzymując na swoich plecach sufit.

To musiała być piękna statua, ale została uszkodzona. Twarze odrąbano, a fragmenty kamieni pocięto mieczami. Felixa rozżłościło, że ktoś zniszczył dzieło, w które artysta włożył tak wiele pracy. Mijając korytarz zobaczył, że to nie był odosobniony incydent wandalizmu. Uszkodzono każdy łuk. Niektóre były poczerniałe od ognia lub przypalone zaklęciami. Inne wyglądały, jakby zostały przeżarte przez kwas.

Powoli w umyśle Felixa zaświtała myśl, że nie spogląda na swawolny wandalizm, ale na ślady bitwy. W tych korytarzach toczono zacieklą walkę z użyciem broni wszelkiego rodzaju, naturalnych i ponadnaturalnych. Co pewien czas znajdowali szkielety, nadal odziane w pancerze, zaciskające broń w kościanych palcach. Niektóre należały do krasnoludów, inne do ohydnie zmutowanych zwierzolutzi.

- Cóż, wiemy, że wyznawcy Chaosu dostali się do środka mruknął Varek.
- Aye, a potem napotkali zimną stal krasnoludów o dzielnych sercach – rzekł Gotrek.
- Ale, jak wielu z nich jeszcze żyje – mruknął Felix.

Korytarze prowadziły coraz głębiej. Niektóre nachylały się w dół. Inne kończyły się stromymi schodami. Wszędzie widniały ślady starych bitew. Wokół wały się zmumifikowane ciała. Wszystko spowijała aura zła. Gdzieś w głębinach czaiła się straszliwa obecność. Felix z trudem kontrolował przejmujący strach, pewność, że za następnym zakrętem, albo po kolejnych schodach spotkają coś złowieszczonego, nadnaturalnego i straszego.

Gotrek zatrzymał się w długiej sali otoczonej przez olbrzymie posągi. Wszędzie wały się ciała, ale żadne z nich nie należało do krasnoludów. Wszystkie były zwłokami zwierzolutzi lub wojowników Chaosu. Jedna para ciał leżała z mieczami przebijającymi ich żebra. Zabili się nawzajem uderzając jednocześnie.

Gotrek przyjrzał się im z namysłem.

- Tu nastąpił upust krwi między nikczemnymi. Może zaczęli się bić nad podziałem łupów.
- A zatem gdzie jest skarb, Felixie? – spytał Varek.
- Został zabrany przez zwycięzców – odpowiedział Felix. Przypatrzył się bliżej ciałom i zauważył, że miały różne insygnia.
- Może wyznawali różne moce lub służyli rywalizującym wodzom. Może wśród zwycięzców wywiązała się sprzeczka.
- Możliwe – rzekł Gotrek.
- Czemu tu jest tak cicho? – spytał Felix. – Na zewnątrz jest cała armia, a od czasu wejścia do środka, nie widzieliśmy śladu żywej duszy.

Gotrek zaśmiał się.

– To jedna ze starożytnych twierdz krasnoludów, człeczyno. Rozciąga się na milę pod ziemią. Ma setki poziomów. Całkowita długość korytarzy i sal musi osiągać tysiące mil. Mógłbyś zgubić armię o rozmiarach tej na zewnątrz w małym zakątku tego miasta.

- A zatem, w jaki sposób znajdziemy ocalałych, którzy mogli tu pozostać?
- Jeśli mieszkają tu jakieś krasnoludy, są pewne miejsca, gdzie z pewnością będą i tam zmierzamy – rzekł Varek.

Ruszyli w głąb ciemności.

W wielu miejscach było widać, że toczyły się w nich walki, jednak nie między krasnoludami i wyznawcami Chaosu, lecz między samymi wyznawcami Mrocznych Potęg. Tylko od czasu do czasu napotykali ślady, wskazujące na udział krasnoludów w tych zmaganiach. Coraz bardziej oczywiste było, że znajdowane ciała wskazywały na bitwę między siłami Chaosu. Znajdowali tam ślady zmagania wojowników Slaanesh'a z berserkami Khorne'a. Były tam dowody na to, że wyznawcy Tzeentcha rywalizowali z zarażonymi sługami Nurgle'a. W jednej z wielkich sal zobaczyli pozostałości walki, która wybuchła między wyznawcami wszystkich czterech potęg, którzy pozaryzykali się nawzajem.

Felix był przytłoczony ciemnością. Wędrówka przez te niekończące się korytarze dawnych bitew, była przygnębiająca. Ciągłe znajdowali resztki dawno minionej walki. Pomyślał o wielkiej armii obozującej na zewnątrz. Kogo reprezentowali? Na co czekali? To wydawało się być bez sensu. Felix wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Czemu znowu się dziwi? Wyznawcy Chaosu nie mieli zdrowego rozsądku. Może walczyli dla rozrywki ich mrocznych bogów. Może kierowała nimi jakaś wola złowieszczej istoty, która tu mieszkała. Zastanawiał się, czy inni także odczuwali to niepokojące wrażenie czyjejś obecności. Nie umiał zebrać się na odwagę, by o to zapytać.

Gdy mijali jedną galerię po drugiej, w których odbijało się echo, a potem kolejne komory o wysokich sufitach, oczywiste stało się, że Gotrek miał rację. Rzeczywiście było tu dość przestrzeni, by pomieścić tuzin armii, nawet gdyby miały takie rozmiary, jak te na zewnątrz. Ciekawiło go, jak musiało wyglądać mieszkanie w tym podziemnym mieście, za czasów jego świetności. Musiało tu być pustawo, jeszcze przed nadejściem wyznawców Chaosu, bowiem wiedział, że krasnoludy od tysiącleci były rasą wymierającą. Mimo to, ulice musiały być kiedyś pełne handlujących krasnoludów, śmiejących się i płaczących, kochających, żyjących i załatwiających swoje codzienne sprawy. Teraz miasto przypominało grobowiec, a martwe ciała intruzów leżące wszędzie były jak świętokradztwo.

Gotrek ukląkł kolo martwego ciała. Nie przypominało innych, jakie widzieli. Było nadal ciepłe. Mięso nadal wisało na kościach. Zakrzepła krew tworzyła pod nim kałużę. W pobliżu leżał inny zwierzoczek, także martwy.

Felix schylił się, by lepiej się przyjrzeć. Za życia zwierzoczek nie był piękny, a śmierć nie poprawiła jego wyglądu. Miał łeb kozła i ciało człowieka. Pokryte futrem nogi zakończone były kopytami. Na czole widniało znamię Khorne'a. Dziwne szkliste ślepie patrzyły martwo. Gapiły się na sufit wysoko ponad nimi. Z piersi zwłok wystawał bełt. Inny sterczał z brzucha. Stwór zaciskał rękę na pocisku, który go zabił. Pięknie ukształtowana dłoń, przywodziła raczej na myśl mnicha, niż potwora. Felix pomyślał jak osobliwie musiało to wyglądać w tej zwierzęcej formie. Bestia śmierdziała mokrym futrem, ekskrementami i uryną, które wydalila umierając.

Gotrek wyszarpnął bełt z kuszy. Pocisk uwolnił się z obrzydliwym odgłosem zassania, a potem pociekł strumień czarnej krwi. Gotrek obrócił bełt przyglądając mu się z każdej strony, badając uważnie swoim zdrowym okiem. Felix nie mógł zrozumieć, co w tym było fascynującego. Bełt nie różnił się zbyt od dowolnego pocisku z kuszy, jakie widział.

– To broń krasnoludów – powiedział wreszcie Gotrek, a w jego głosie było coś triumfalnego.

– Skąd wiesz? – spytał Felix.

– Spójrz na tę robotę, człeczyno. Żaden człowiek nigdy nie wykonał tak dobrze dopasowanego grotu, ani nie opatrzył bełta lotkami w tak doskonały sposób. Na końcu widnieje także krasnoludzki run.

– A zatem twierdzisz, że ci zwierzoludzie zostali zabici przez krasnoludy?

Gotrek wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

– Może.

– Możliwe, że zwierzoludzie znaleźli jeden z arsenałów – zasugerował nieśmiało Varek. Najwyraźniej nie chciał zaprzeczać Gotrekowi i Felix dostrzegł, że młody krasnolud miał nadzieję na to, że nie ma racji. Chciał, by nadal żyły tu krasnoludy, które ciągle walczą.

– Czy kiedykolwiek widziałeś zwierzoczęka uzbrojonego w kuszę? – spytał Gotrek.

– To mógł być wojownik Chaosu.

– Wobec tego, czy widziałeś podobnie uzbrojonego wojownika Chaosu?

To była słuszna uwaga. Felix podczas swoich licznych spotkań z wyznawcami Mrocznych Potęg, nigdy nie spotkał żadnego uzbrojonego w tak wymyślną broń. Oczywiście, to nie znaczyło, że nie mógł to być pierwszy raz. Postanowił zatrzymać tę myśl dla siebie. Zamiast tego zapytał.

– Jak zatem odnajdziemy krasnoludy?

– Może Snorri powinien zapytać tamtych zwierzoludzi – zasugerował Snorri.

Serce Felixa zadudniło, gdy usłyszał słowa Snorriego. Odwrócił się, by spojrzeć w kierunku wskazywanym przez Snorriego. Rzeczywiście stała tam banda licząca co najmniej dwudziestu zwierzoludzi. Przez chwilę wyglądali na równie zaskoczonych, co Felix, ale potem otrząsnęli się z szoku i unieśli włócznie do ataku.

– A może po prostu je zabijemy – rzekł Gotrek schylając głowę i nacierając.

– Nie! Nie rób tego! – krzyknął Felix, ale było już za późno. Varek zaczął obracać korbę swojego dziwnie wyglądającego działka. Grad pocisków wrył się w zwierzoludzi zabijając dwóch z nich i powalając dwóch kolejnych. Felix wiedział, że teraz może tylko walczyć i najprawdopodobniej zginie w próżnej potyczce z wyznawcami Chaosu. Snorri najwyraźniej postanowił *to samo*, bowiem podniósł swoje obie bronie i ruszył naprzód. Varek zaczął przesuwając się na inną pozycję, ponieważ obaj Zabójcy zasłaniaли jego pole widzenia. Miał nadzieję zająć zwierzoludzi z flanki i otworzyć ogień z boku ich formacji.

Felix dobył miecza i popędził naprzód, by wspomóc Gotreka i Snorriego. Zanim zdążył wejść do akcji, zanim dwie strony zbliżyły się na odległość dwudziestu kroków od siebie, z ciemności poleciał grad bełtów z kusz, który przeorał zwierzoludzi. Pociski spadały niczym ciemny deszcz. Felix dostrzegł zwierzoczęka padającego z bełtem w oku i łzami krwi, spływającymi po pysku. Pierś stwora najeżona była pociskami. Inny chwycił się za serce i padł, by zostać zdeptanym kopytami swoich kamratów. Natarcie zwierzoludzi osłabło, gdyż padało coraz więcej z nich. Ocalali zatrzymali się i rozglądali wokoło, rozpaczliwie próbując dostrzec, skąd nadchodzi atak.

Gotrek, Snorri i Felix wpadli na nich i przebili się przez szereg jak topór przecinający gnijące drewno. Felix poczuł wstrząs uderzenia w swoim ramieniu, a potem coś ciepłego i lepkiego spłynęło po jego dłoniach. Uwolnił miecz, przewrócił zwierzoczęka kopnięciem i przebił kolejnego. Jego miecz trafił zaskoczonego przeciwnika w ramię, uniósł się i odciął mu ucho. Nie czekając na cofnięcie broni, rąbnął gałką miecza w pysk i poczuł zęby łamiące się w paszczy stwora. Zwierzoczęk zawył z bólu, a potem Felix rąbnął go ciosem w dół i przebił się przez jego serce.

Walka skończyła się równie szybko, jak się zaczęła. Przytłoczeni furją swoich przeciwników, zwierzoludzie odwrócili się i uciekli. Felix zobaczył, że Gotrek zarznął czterech z nich. U jego stóp leżały posiekane szczątki. Snorri podskakiwał na martwym ciele, szczęśliwy jak dziecko, bawiące się w piaskownicy. Strzały z działka Vareka wbiły się w ocalałych zwierzoludzi, którzy rzucili się do ucieczki.

Felix rozejrzał się, dysząc raczej z powodu nagłej, krótkiej walki, niż z wysiłku. Chciał zobaczyć, kto im pomógł i podziękować.

– Nie próbujcie się ruszać! – odezwał się głęboki, gardłowy głos. – Jesteście o cal od śmierci.

Ostatnie krasnoludy

Felix zamarł na miejscu. Nie próbował nawet mrugać oczami. Nie wątpił, że kryjący się w ciemnościach, mówi poważnie. Nie chciał, by jego ciało zostało najeżone bełtami z kusz.

– Czy jesteście krasnoludami? – spytał Varek. W jego głosie Felix słyszał raczej ciekawość, niż zdrowy rozsądek.

– Aye, właśnie nimi jesteśmy. Pytanie jest: kim wy jesteście?

W ich polu widzenia pojawił się ciężki krasnolud o szerokich ramionach. Odziany był w skórzany pancerz. Górną część korpusu ochraniały mu wielkie metalowe naramienniki. Twarz skrywał skrzydlaty hełm z osłonami na policzki. Na ramieniu trzymał przewieszoną kuszę. Ciężki młot bojowy zwisał na pętli u pasa. Zdjął hełm, by się im przyjrzeć i Felix dostrzegł, że jego twarz była harda, a oczy gorączkowo jasne. Jego oblicze było nienaturalnie szczupłe. Felix nigdy nie widział takiej twarzy u krasnoluda. Broda nieznanego była długa i czarna, przetykana srebrnymi włosami.

Podszedł powolnym krokiem do czterech towarzyszy i przyjrzał się im w sposób niemal obraźliwy. Felix widział, że Gotrek i Snorri ledwo zachowują nad sobą kontrolę i jeśli zaraz coś się nie wydarzy, nastąpi mordercza przemoc.

– Dwaj z was wyglądają jak Zabójcy – odezwał się przybysz – Jeden z was przypomina lud Grungniego. Ostatni, człowiek, musi umrzeć.

Zanim Felix zdążył zrozumieć, co powiedział krasnolud, nieznanemu odczepił kuszę i wycelował prosto w niego. Felix spoglądał prosto na błyszczący grot bełta. Jakby w zwolnionym ruchu widział palec nieznanego, zaciskający się na spuście. Wiedział, że nie zdąży uskoczyć na bok, ale mięśnie napięły się, by tego spróbować.

– Czekaj – rzekł cicho Gotrek, a w jego głosie była tak władczą nuta, że przybysz zamarł. – Jeśli skrzywdzisz człeczynę, z pewnością umrzesz.

Nieznanomy krasnolud zaśmiał się.

– To odważne słowa jak na kogoś, kto nie jest w stanie ich potwierdzić. Powiedz mi, czemu miałbym go oszczędzić?

– Ponieważ jest on Przyjacielem Krasnoludów i spamiętywaczem, a jeśli go zabijesz, twoje imię będzie na długo okryte niesławą i zostanie zapisane w Księdze Uraz, jako imię głupca i tchórza.

– Kimże jesteś, by mówić o Wielkiej Księdze?

– Jestem Gotrek, syn Gurniego, a jeśli sprzeciwisz mi się w tej kwestii, znajdziesz swoją śmierć.

W głosie Zabójcy była tak zimna pewność, że wymuszała posłuszeństwo. Gotrek dodał coś po krasnoludzku, co sprawiło, że na twarzy nieznanego pojawił się rumieniec, a jego oczy rozszerzył się.

– A zatem przemawiasz Starym Językiem – rzekł nieznanomy. Felix usłyszał gorączkowe szemranie wokół sali i nagle zdał sobie sprawę, jak wielu innych krasnoludów ich obserwuje. Zdawało się niepojęte, jak tak liczny oddział mógł poruszać się tunelami w takiej ciszy. Rozejrzał się i zobaczył kilkudziesięciu szczupłych, wyglądających na wychudzonych krasnoludów, którzy wychynęli z mroku. Wszyscy trzymali wycelowaną w nich broń i najwyraźniej byli gotowi, by jej użyć. Felix widział, że ich pancerze wyglądały, jakby były wiele razy naprawiane i wykorzystywane ponownie.

Nastąpiła krótka ożywiona rozmowa po krasnoludzku między Gotrekiem i przybyszami. Felix

spojrzał na Vareka.

– O czym tu się mówi?

– Te krasnoludy myślą, że jesteśmy agentami Chaosu. Chcą nas zabić. Gotrek powiedział im, że przybywamy z zewnątrz i możemy im pomóc. Niektórzy z nich nie wierzą w to i powiadają, że to podstęp. Ich przywódca twierdzi, że nie może zaryzykować zabicia nas i mówi, że o tym powinien postanowić jego ojciec, sam Król.

Felixowi wydawało się to bardzo skróconym streszczeniem debaty, najwyraźniej pełnej pasji. Głosy były podniesione. Padały przysięgi składane surowym, gardłowym tonem. Zarówno Gotrek, jak i przywódca krasnoludów splunęli sobie nawzajem na ziemię przez stopami. To było dziwne wrażenie, wiedzieć, że życie wisi na włosku i zależy od podejmowanych tam decyzji. Przypominało mu to przebywanie na statku powietrznym, podczas wielkiej burzy spaczenia. Mógł teraz tylko wmawiać sobie, że skoro przetrwali tamto, to mogą przeżyć także i to.

Varek mruczał dalej.

– Tylko fakt, że mówimy Starym Językiem powstrzymuje ich od zabicia nas na miejscu. Nie mogą uwierzyć, by jakikolwiek wyznawca Chaosu byłby w stanie się go nauczyć. Z pewnością, nie nauczyłyby go żaden z krasnoludów – Dobrze to wiedzieć – powiedział Felix.

Spór zakończył się i przywódca krasnoludów odwrócił się, by przemówić w Reikspielu do Felixa.

– Nie wiem, czy ta opowieść o latającym statku i innych cudach jest prawdą. Wiem tylko, że to zbyt poważna decyzja, bym ją ją podjął. Twój los, leży w rękach króla, który wyda na ciebie wyrok.

– Nadal powiadam, że to podstęp, Hargrimie – rzekł jeden z pozostałych krasnoludów, stary i żałośnie wyglądający wojownik o głęboko osadzonych oczach i brodzie w kolorze czystej szarości. – Wiemy, że światem na zewnątrz włada Chaos. Nie pozostały żadne inne twierdze krasnoludów. Powinniśmy zabić tych intruzów, a nie prowadzić ich w głąb naszego królestwa.

– Powiedziałaś swoje, Torvaldzie, a moja decyzja pozostaje w mocy, dopóki sam Król jej nie zmieni. Jeśli świat nie został opanowany przez siły Chaosu, to zaiste doniosłe wieści. Możliwe, że nie jesteśmy ostatnimi krasnoludami.

– Aye, Hargrimie, możliwe też, że jesteśmy głupcami i ofiarami oszustwa Mrocznych Potęg. Ale jak powiadasz, jesteś naszym kapitanem i niech to spadnie na twoją głowę. Będziemy mieli dość czasu, by zabić tych obcych później, gdyby okazali się fałszywcami.

– Król będzie to wiedział – rzekł Hargrim. – Dalej! Ruszajmy. Zmarnowaliśmy dość czasu i nie chcę, by nas dorwali w tych salach, jeśli nadejdzie Groza. Zwiążcie ich i zabierzcie im broń.

Grupa krasnoludów wyszła naprzód i zbliżyła się do nich. Widząc to, Gotrek przesunął się o krok naprzód z groźną miną.

– Zabierzcie ten topór z moich zimnych, martwych rąk – powiedział cicho i z taką groźbą w głosie, że krasnoludy stanęły w miejscu.

– To się da załatwić, nieznajomy – rzekł Hargrim równie cicho. Gotrek wznosił topór, a runy na ostrzu zaśniły w półmroku. Najbliższy z krasnoludów stęknął.

– On niesie broń mocy – powiedział Torvald, a w jego głosie kryły się strach i zdumienie. – To Proroctwo. To są Wielkie Runy. Groza powróciła, a Topór naszych przodków znowu jest z nami. Nadeszły nasze ostatnie dni.

Spojrzenie pełne zaskoczenia jeszcze raz pojawiło się na twarzy Hargrima, który zbliżył się do Gotreka, z oczami utkwionymi w ostrzu topora. Gdy je czytał, zdumienie rosło w jego oczach.

– Skąd wzięłaś tę broń? – spytał kapitan krasnoludów i dodał coś po krasnoludzki.

– Znalazłem ją w jaskini na Pustkowiach Chaosu, wiele lat temu – odpowiedział powoli Gotrek

w Reikspielu. Najwyraźniej zastanawiał się, czy powiedzieć coś więcej, ale zrezygnował.

– Jeśli jesteś rzeczywiście krasnoludem, wówczas spoczywa na tobie łaska Bogów-Przodków – powiedział Hargrim. – Albowiem jest to potężna broń.

Gotrek wyszczerzył paskudnie zęby i podrapał się znacząco w jeden z tatuaży na swojej ogolonej głowie.

– Jeśli Bogowie mnie nagradzają, nie okazują tego zbyt rzekł sucho.

Tak, czy inaczej, podobna broń nie znajduje przypadkiem drogi do dowolnych rąk. Możesz na razie zatrzymać swój oręż, do czasu, gdy Król nie postanowi inaczej.

Hargrim rzucił Gotrekowi długie spojrzenie, a na jego ustach pojawił się nikły uśmiech.

– Może jest tak, jak mówi Torvald, Gotreku Gurnissonie. Może twoje przybycie zostało przepowiedziane. Król i jego kapłani będą to wiedzieli.

Odwróci! się do swoich wojowników.

– Ruszajmy, mamy daleką drogę zanim odpoczniemy i nie powinniśmy zostać pochwyceni, gdy Groza skrada się po Pod-Salach. Spojrzał na nich przez ramię.

– Chodźcie z nami – rzekł.

Czterej towarzysze ustawili się za nim i pomaszerowali w mrok.

– Tutaj odpoczniemy – rzekł Hargrim, podnosząc dłoń, na znak, że powinni się zatrzymać.

W pierwszej chwili Felix nie miał pojęcia, dlaczego kapitan krasnoludów wybrał to miejsce. Zdawało się być kolejną zrujnowaną salą, jak wiele innych, przez które przechodzili. Wreszcie zauważył, że w każdym kącie wyryty był run, a ze ściany tryskał strumień wody do wielkiej cysterny. To było przynajmniej miejsce, gdzie mogli się napić.

Hargrim rzucił rozkaz jednemu ze swoich wojowników i krasnolud ruszył naprzód. Wyciągnął ze skórzanej torby kamień i zanurzył go w wodzie. Przez kilka chwil przygląda! się kamiennemu kubkowi, a potem skinął głową.

– Woda jest czysta, kapitanie – rzekł.

Hargrim zauważył zaciekawione spojrzenie Felixa.

– Czasami intruzi zatrują studnie. Czasami woda zawiera pył Chaosu, który powoduje szaleństwo i mutacje. Kamień runiczny Mikala nosi stare zaklęcia, które ostrzegają o takich rzeczach.

– To przydatna rzecz – stwierdził Felix.

– Nie. To niezbędna rzecz. Bez niej, wcześniej, czy później wszyscy byśmy pomarli.

– Cóż to za Proroctwo, o którym mówiłeś? – spytał Felix zdeterminowany, by przynajmniej spróbować uzyskać odpowiedź.

– To nie dotyczy ciebie – powiedział Hargrim. – Prawdę oceni Król. Lepiej odpocznij trochę, póki jeszcze możesz.

Zmęczone krasnoludy położyły się na spoczynek. Wartownicy zajęli swoje miejsca. Felix zauważył z uznaniem, że z tej komory prowadziły cztery wyjścia, zatem jeśli będzie im groziło z którejś strony niebezpieczeństwo, zawsze będą mieli drogę ucieczki. Podeszedł do Gotreka, Snorriego i Vareka, po czym usiadł koło nich.

Wszystkie trzy krasnoludy wydawały się dziwnie podniecone. Felix stwierdził, że to rozumie – znalazły swoich zaginionych braci. W Pod-Salach Karag Dum nadal żyły krasnoludy. Żyły na przekór wszelkiemu prawdopodobieństwu, nawet po dwustu latach izolacji na Pustkowiach Chaosu.

Położył się na plecach i gapił w sufit myśląc o podróży, która zabrała ich w to odludne miejsce. To nie było łatwe. Brnęli coraz dalej w głąb tuneli pod Karag Dum. Podczas wędrówki Felix policzył otaczające go krasnoludy i stwierdził, że było ich pięćdziesięciu. Wszyscy nosili skórzane

pancerze i byli lekko uzbrojeni, co zupełnie nie przypominało tradycyjnych krasnoludzkich wojowników, których znał. Zdawało się, że poruszali się cicho i szybko przez sale dawnego miasta. Polegali raczej na zwycięstwie zdobytym przez zaskoczenie, niż na sile swych ramion. Wojownicy tunelowi – tak nazwał ich Varek.

Idąc dalej Felix zaczął rozumieć, dlaczego byli tak lekko opancerzeni. Mijali obszary, gdzie oczywista była obecność Chaosu, a wszędzie widoczne były znaki otwartej walki między potęgami. Wyglądało to na szalone i zajadłe zmaganie w ruinach krasnoludzkiego miasta. Spytał o to Hargrima, ale krasnolud nie odpowiedział. Jasne było, że to pozostanie tajemnicą. Felix chciał tylko znaleźć kogoś, kto mógłby mu to wyjaśnić.

Cóż, nie było sensu przejmować się tym teraz. Położył się i patrzył w sufit, zastanawiając, co teraz robi Ulrika. Po paru chwilach zasnął. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał było skrobanie pióra, gdy Varek zapisywał w swojej księdze wydarzenia dnia.

Felixa wyrwało ze snu dziwaczne wycie. Odbijało się echem wśród wielkich sal i wtargnęło do jego snów. W tym odgłosie było coś nienaturalnego, coś, co wywoływało pierwotny strach. Sam dźwięk powodował dreszcz przerażenia, biegnący po kręgosłupie. Jego nogi zadrżały.

Wokół niego budziły się krasnoludy. Słyszał szczęk metalu, gdy sięgały po broń. Rozejrzał się i zobaczył strach widoczny na wszystkich obliczach poza Gotrekiem i Snorrim.

– Co to jest? – spytał – Groza?

– Nie – rzekł Hargrim – to ogary.

– Cóż to takiego? – spytał Varek.

– Wkrótce zobaczysz – odpowiedział Hargrim. Odwrócił się i przemówił do swoich podwładnych.

– Potrzebuję dziesięciu ochotników, którzy zatrzymają ogary, podczas gdy reszta z nas spróbuje uciec.

Sądząc po wyrazie ich twarzy było jasne, że krasnoludy wiedziały, że ich wódz prosi o ochotników do misji samobójczej. A jednak wystąpiło naprzód ponad dwudziestu.

– Ja zostanę – rzekł Gotrek.

– Snorri też – rzucił Snorri.

– Nie możecie. Muszę was zabrać. Król musi usłyszeć waszą opowieść.

– Na to może być już za późno – powiedział Felix patrząc przez ramię na północne wrota. Przez wejście wpadła ogromna bestia. Oderwała ramię wartownika jednym kłapnięciem szczęk i powaliła drugiego na ziemię, po czym rozdarła go pazurami. Bestia poruszała się tak szybko, że Felix ledwo nadążał za jej ruchami. Stwór ruszał się z nienaturalną zwinnością.

W drzwiach pojawiło się kilka następnych wielkich bestii. Przypominały monstrualne psy z dziwnymi gadzimi kołnierzami wokół łbów. Na karkach miały ogromne, żelazne obroże. Ich ciała błyszczały kolorem krwi. Każde było większe od człowieka. Jedna z nich otworzyła paszczę i zaczęła ujadać. Gdy to uczyniła, jej szczeka rozwarła się jak u węża. Wyglądało na to, że może jednym kłapnięciem odgryźć człowiekowi głowę. Stwór był naprawdę demoniczny. Coś w jego wyglądzie kazało Felixowi odwrócić się i uciekać z wrzaskiem o pomoc. Zamiast tego stanął pewnie w miejscu. Wiedział, że jeśli zacznie biec, bestia po prostu go dopadnie i rozedrze tak, jak wartowników.

– Posokowce Khorne’a – usłyszał mruknięcie Vareka. – Myślałem, że to tylko legenda.

– Strzelać bez rozkazu – nakazał Hargrim. Grad pocisków z kusz poleciał ku żarłocznym bestiom.

Stwory otworzyły paszcze i zawyły kpiąco. Większość beltów po prostu odbiła się rykoszetem od ich ciał i upadła na podłogę. Felix dostrzegł tylko jeden belt, który dotarł do celu. Várek strzelał, ale jego pociski nie wywierały większego efektu, niż kusze. Ogary rzuciły się naprzód, skacząc z niesamowitą łatwością, prędzej niż byłby w stanie biec koń.

– Cofnąć się – rzucił Gotrek i ruszył im na spotkanie. Żaden z krasnoludów nie sprzeciwił się. Felix widział, że byli pod równie wielkim wpływem nadnaturalnej aury stworów. Tylko Gotrek nie okazywał konsternacji. Felix zauważył, że runy na jego ostrzu lśnią jaśniej, niż kiedykolwiek. Mimo to Felix zastanawiał się, czy Zabójcy uda się przeżyć. Stworzenia były tak szybkie i silne. Opadły go zanim zdążył się zorientować. Ich wielkie szczęki rozszerzyły się. Zalśniły metaliczne zęby. Triumfalne ujadanie osiągnęło taki hałas, że mógłby obudzić umarłego.

Topór Gotreka błysnął niczym uderzenie pioruna. Pancerna skóra ogara zadymiała i przypaliła się w miejscu zetknięcia z ostrzem. Pierwszy ogar niemal eksplodował, gdy topór przeciął go na pół, posyłając wnętrzności we wszystkie strony na podłogę. Następne uderzenie Zabójcy trafiło w obrożę ogara. Posypały się iskry, gdy metal napotkał metal. Nastąpił straszny zgrzyt, runy na toporze Gotreka zalśniły tak jasno, jak gorące do czerwoności węgle i obroża ustąpiła. Łeb posokowca odpadł od karku. Korpus zwiotczał na podłodze, a topniejąca krew wylała się na podłogę. Kolejne uderzenie rozerwało stwora na pół, obnażając szkielet, kręgosłup i rozerwane organy.

Zaskoczeni furją ataku Zabójcy, pozostali członkowie stada cofnęli się, warcząc jak wilki, a potem, jakby kierowani dziwaczną inteligencją, wrócili do walki. Dwa posokowce zaatakowały jednocześnie Zabójcę, każdy z jednej strony. Gotrek wyłukł mózg jednego z nich toporem i złapał drugiego za gardło, gdy stwór skoczył. Krasnolud prawie bez wysiłku uniósł stwora w ręce, a potem machnął nim tak, że jego skórzaste kończyny przebierały w powietrzu szukając oparcia. Rzucił nim. Zanim bestia dotknęła podłogi, przebił jej żebra toporem.

Ostatnia bestia ominęła Zabójcę i szykowała się do skoku od tyłu.

– Uważaj! – krzyknął Felix.

Snorri rzucił swoim toporem. Ten odbił się od ramienia stwora, ale siła uderzenia zatrzymała posokowca. Podwinął pod siebie nogi do skoku, ale gdy tylko znalazł się w powietrzu Gotrek z półobrotu posłał błyszczący topór łukiem, który wbił się w żebra stwora i zakończył cios w brzuchu. Siła uderzenia rozpląszczyła potwora na podłożu. Gotrek nastąpił na jego kark. Rozległ się ohydny dźwięk pękających kręgów, a potem topór opadł ponownie, kończąc nienaturalne życie pomiotu Chaosu.

Ciała posokowców zaczęły bulgotać tam, gdzie padły. Przez chwilę ciała i kości topiły się i płynęły wyparowując, jak gotująca się woda. Gdy Felix przyglądał się temu, zwłoki zmieniły się w kłęby paskudnie wyglądających oparów, które wzniosły się pod sufit i zniknęły.

Przez chwilę panowała cisza, a potem rozległy się wiwaty i okrzyki krasnoludów. Po kilku chwilach przypomnieli sobie chyba, kogo oklaskują i zamilkli.

– Jeśli kiedykolwiek wątpiłem, że to jest Topór Valeka, tak już nie jest. To była walka godna samego Króla Thangrima – rzekł Hargrit.

– To było łatwe – powiedział Gotrek i splunął na podłogę.

– Lepiej się ruszajmy – rzucił Hargrim. – Jeśli posokowce są tutaj, ich pan jest w pobliżu, a jakkolwiek jesteś mocarny Gotreku Gurnissonie, jego nie pokonasz.

– Dawaj go tutaj i przekonajmy się – rzekł Gotrek szczerząc się paskudnie.

– Nie. Teraz bardziej, niż kiedykolwiek muszę zabrać cię do Króla. On musi wysłuchać twojej opowieści.

Po walce z posokowcami Felix zauważył zmianę w podejściu krasnoludów. Najwyraźniej zaakceptowały już trochę czterech towarzyszy. Stały się też mniej podejrzliwe. Nawet stary Torvald ograniczył się tylko do dziwnych, podejrzliwych spojrzeń w ich kierunku. Maszerowali przez bezkresne ciche korytarze i nawet Felix domyślał się, że schodzą coraz niżej. Zastanawiał się, jak długo to potrwa. Czasami zdawało mu się, że będą szli, aż dotrą do ognistego serca świata, ale tak się nie stało.

Zatrzymali się pośrodku długiego i pozornie zwyczajnego korytarza. Podczas gdy wojownicy zasłaniaли go, Hargrim poruszył ukrytym przełącznikiem, który otworzył ukryte przejście. W ścianie pojawił się otwór tam, gdzie niczego wcześniej nie było widać. Wskazał na towarzyszy, by weszli do środka.

– Stąpajcie teraz ostrożnie. Jesteście na świętej ziemi i zabijemy was przy pierwszych oznakach zdrady.

Ognistobrody

Felix ostrożnie przeszedł przez przejście. Korytarz nie różnił się od reszty, pomijając fakt, że działały wszystkie świecące klejnoty, a powietrze wydawało się nieco świeższe. Reszta oddziału prędko podążyła za nimi i drzwi zamknęły się. Felix zauważył, że krasnoludy z Karag Dum wyraźnie się odprężyły, podczas gdy Gotrek, Snorri i Varek wydawali się jeszcze bardziej podekscytowani. Felix nie wiedział, dlaczego. Może wiedzieli, że zbliżają się coraz bardziej do ostatecznego celu. Nie odczuwał tego samego. Długa wędrówka przez podziemne miasto sprawiła, że stał się spięty, nerwowy i chciał tylko znaleźć miejsce, w którym mógłby się położyć i odpocząć.

Ten korytarz prowadził przez labirynt przejść. Co pewien czas Hargrim zatrzymywał się i wciskał panel na ścianie. Nie tłumaczył, dlaczego to robi. Po prostu czynił to i ruszał dalej. Felix spojrzał na Vareka, by sprawdzić, czy młody krasnolud może mu powiedzieć, co się dzieje.

– Zapadnie. Wilcze doły. Najprawdopodobniej jakieś zabezpieczenia – powiedział cicho krasnolud i został uciszony złymi spojrzeniami ich strażników.

Minęli wiele wart, które patrzyły ze zdumieniem na nieznanym z zewnętrznego świata. Wreszcie weszli do potężnej, długiej sali, która wyglądała na zamieszkaną. To było wielkie pomieszczenie z wieloma wyjściami. Po drugiej stronie komnaty wykopano głęboką studnię w ziemi. Sufit był niski i nie przypominał tych wspaniałych hal, które mijali po drodze. Sklepienie podpierał las ogromnych, przysadzistych kolumn. Na każdej kolumnie wyryto dziwny symbol, który ranił oczy Felixa, próbującego je odczytać.

– Runy Ukrycia – wystękał Varek. – Nic dziwnego, że to miejsce przetrwało tak długo.

– Co to takiego? – spytał Felix.

– Te runy chronią Sale przed magicznym przeszukiwaniem, podobnie jak ukryte wejścia chronią je przed normalnym wzrokiem. Ktoś, kto nie jest krasnoludem, bez pomocy nie byłby w stanie tego znaleźć.

Felix widział zakapturzone i okryte płaszczami krasnalki zajmujące się codziennymi zajęciami. Kilku kapłanów przechadzało się wśród nich, wypowiadając słowa pociechy i pocieszenia, głaszcząc po głowach i rozdając błogosławieństwa. Było tam wielu wojowników, z których sporo wyglądało na okaleczonych. Jedni mieli haki zamiast kończyn, inni szli podpierając się drewnianymi kulami, oczy jeszcze innych okrywały bandaże wskazujące na to, że są ślepi. Felix nigdy nie widział tyle kalekich istot zebranych w jednym miejscu, nawet na pełnych żebraków ulicach Altdorfu. Wyglądało, jakby ci mieszkańcy przegrali właśnie wojnę. Nigdzie nie było widać żadnych dzieci.

– Tak niewielu – mruknął Varek. – To było niegdyś wielkie miasto.

– Witajcie w Sali Studni. Poczekajcie tutaj – rzekł Hargrim. Przyniosę Królowi wieść o waszym przybyciu.

Kapitan przeszedł pod wielkim łukiem i zniknął gdzieś w zakamarkach miasta. Wielu z pracujących przerwało zajęcia i patrzyło się na nich z ciekawością. Podeszło do nich kilku kalekich żebraków. Jeden z nich wyciągnął rękę i dotknął Felixa z niedowierzaniem.

– Jesteś pierwszym człowiekiem, który postawił stopę w tej Cytadeli – rzekł nieznajomy.

– Jestem zaszczycony.

– Niedługo możesz być martwy – powiedział kaleki wojownik i odwrócił się. Reszta tłumu zbliżyła się. Jedna z kobiet zadała pytanie po krasnoludzku. Varek odpowiedział. Tłum wydał z siebie wspólne westchnienie. Jakaś kobieta wybuchła płaczem.

– Pytali, skąd przybywamy – powiedział Varek odpowiadając na niewypowiedziane pytanie Felixa. – Powiedziałem im, że przebyliśmy Pustkowie i przybywamy z Królestwa Krasnoludów.

– Nie wierzę wam – rzekł inny szarobrody, odwrócił się i odszedł. W jego oczach pojawiły się łzy. Czekali, a tłum nie rozchodził się. Otaczał ich i gapił na nich, aż do powrotu Hargrima w towarzystwie grupy opancerzonych wojowników, z których każdy niósł broń pokrytą runami. Niesamowite symbole płonęły tajemniczym światłem. Felix znał na tyle krasnoludy, by stwierdzić, że to był potężny, magiczny oręż. Ci długobrodzi byli najlepiej wyposażonymi krasnoludami, jakich widział od czasu wejścia do Karag Dum. Maszerowali z precyzją, która zawstydziałaby Imperialną Gwardię Altdorfu. Ich zbroje błyszczały, gdy poruszali się z dumą i dyscypliną.

– Król chce was zobaczyć – rzekł Hargrim. – Teraz zostaniecie osądzeni.

– A zatem spotkamy wreszcie legendarnego Thangrima Ognistobrodego – powiedział Varek. – Kto by o tym pomyślał?

Gotrek zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Nigdy nie widziałem tak wielu broni runicznych – mruknął Varek do Felixa. – Każdy z tych wojowników niesie jedną z nich.

– Zabraliśmy je od poległych – rzekł Hargrim. – Tutaj zginęło wielu herosów Sala Thangrima była ogromna. Wielkie posągi krasnoludzkich królów stały niczym strażnicy pod każdą ze ścian. Jeszcze więcej ciężko opancerzonych krasnoludzkich wojowników tkwiło bez ruchu między posągami. Czterej towarzysze otoczeni byli eskortą gwardii królewskiej. Nie ryzykowano próby zamachu. Ich broń była wyciągnięta i wyglądało na to, że potrafią jej użyć.

Nad przeciwległym końcem komnaty górowało podwyższenie. Na nim stał tron. Na tronie siedziała potężna i majestatyczna postać nosząca długie szaty na ciężkim pancerzu. Po obu stronach Króla stali kapłani. Jednym z nich okazała się być kapłanka Valayii. Felix potrafił ją rozpoznać dzięki temu, że trzymała świętą księgę. Drugi kapłan był uzbrojony i trzymał topór, a gdyby Felix musiał zgadywać, powiedziałby, że ten krasnolud był kapłanem Grimmira, boga wojowników.

Gdy się zbliżyli do podwyższenia Felix przyjrzał się dokładniej Królowi Krasnoludów. Był stary, równie stary, co Borek, ale nie okazywał żadnej słabości. Wyglądał jak wiekowy dąb, sękaty, lecz nadal silny. Ciało wychudło na jego ramionach, ale wciąż widniały tam masywne węzły mięśni, a barki były szersze nawet niż u Snorriego. Miał długie, czerwone włosy przetykane bielą. Jego broda sięgała prawie do podłogi i także miejscami była biała. W głębokich oczodołach osadzone były lśniące, przeszywające oczy. Felix wiedział, że ten krasnolud może być stary, ale jego umysł jest bystry.

Uwagę Felixa przyciągnęła broń, spoczywająca na kolanach króla. Był to masywny młot o krótkim trzonku. W jego głowicy wyryto runy i coś nie pozwalało wzrokowi oderwać się od nich. Felix domyślił się natychmiast, że to broń o niesamowitej mocy, legendarny Młot Losu. Przebyli całą tę drogę, aby go odnaleźć.

Gwardziści rozstąpili się przed nimi, dając wolną drogę. Czterej towarzysze zbliżyli się. Varek ukląkł na jedno kolano, wykonując zawile i wymyślne gesty swoją prawą dłonią. Gotrek i Snorri stali za nim, nie próbując się nawet uklonić. Felix postanowił być ostrożny, skłonił się nisko, po czym ukląkł obok Vareka.

– Z pewnością jesteście na tyle impertynency, by być Zabójcami – odezwał się Król. Jego głos był bogaty i głęboki oraz zaskakująco młody, jak na wydobywający się z tak wiekowego gardła. Zaśmiał się i jego radość wypełniła komnatę.

– Prawie mogę uwierzyć w te duby smalone, które opowiedzieliście Hargrimowi.

– Nikt, kto nazywa mnie kłamcą nie przeżył – rzekł Gotrek. Nieskrywana groźba w jego głosie sprawiła, że gwardziści unieśli broń w gotowości.

Król uniósł kpiąco swoją brew.

– I zaiste, niewielu grozi mi w mojej własnej sali tronowej i żyje. Niemniej, proszę o twe przebaczenie, Zabójco, jeśli nim właśnie jesteś. Jesteśmy otoczeni przez sługi Mrocznych Potęg. Podejrzliwość jest jedyną mądrą cechą, w takich okolicznościach. A musisz przyznać, że mamy powody do podejrzliwości.

– To prawda, że macie.

– Przybyliście do nas twierdząc, że pochodzicie ze świata za naszymi murami. Chciałbym usłyszeć tę opowieść na własne uszy, zanim wydam osąd. Powiedzcie mi o tym.

– Ja twierdzę więcej, niż to – odezwał się Varek. – Twierdzę, że jestem rodakiem ludu Karag Dum. Moim ojcem był Varig. Moim wujem jest Borek, którego posłałeś w świat, by szukał pomocy. Król uśmiechnął się cynicznie.

– Jeśli prawdą jest to, co powiadasz, to wiele czasu zajęło Borekowi wysłanie pomocy, a wy nie reprezentujecie sobą wielkiej armii. Mów jednak dalej.

Król słuchał uważnie, gdy Varek mówił, przerywając od czasu do czasu, by szukać potwierdzenia u Gotreka. Opowiedział wszystko prostymi słowami, a Felix był zdumiony jego pamięcią. Zauważył także, że gdy krasnoludy przemawiały oczy kapłanki Valayii nie spuszczały z nich wzroku. Przypomnił sobie, że kapłanki miały ponoć dar rozpoznawania prawdy. Po skończeniu opowieści Król odwrócił się do kapłanki.

– I co? – spytał.

– Mówią prawdę – odpowiedziała.

Słysząc było sapanie wojowników w komnacie. Król uniósł dłoń i podrapał się po policzku przez swoją piękną, długą brodę. Namyślał się przez chwilę, po czym uśmiechnął się ponuro.

– Teraz opowiedz mi, Zabójco, jak znalazłeś Topór Valeka rzekł Król. Uśmiech Gotrek był równie ponury, co Thangrima.

– Jego właścicielowi nie był potrzebny, ponieważ był martwy, zatem wziąłem go. Czy należy do ciebie?

– Osoba, od której zabrałeś tę broń była moim synem, Morekaiem. Pragnął przebyć Pustkowie, by sprawdzić, czy ktoś tam jeszcze żyje.

– A zatem jest martwy, Thangrimie Ognistobrody. Jego ciało leżało w jaskini na brzegu Pustkowi. Otoczone było ciałami dwudziestu usieczonych zwierzoludzi.

– Nikogo z nim nie było? Wyszedł stąd wraz z dwudziestoma przysięgłymi kompanami.

– Był tam tylko jeden krasnolud. Pochowałem go zgodnie ze starożytnym rytuałem i potrzebując wówczas broni, zabrałem ten topór. Jeśli należy do ciebie, oddam go.

Stary Król opuścił wzrok, a w jego oczach pojawił się smutek. Potem przemówił ponownie, a jego głos brzmiał tak staro, jak na to wyglądał krasnolud.

– A więc umarł w końcu samotnie.

– Umarł śmiercią bohatera – rzekł Gotrek. – Wybrukował swoją drogę do Żelaznych Sal kośćmi wrogów.

Król podniósł ponownie wzrok, a jego uśmiech wyrażał wdzięczność.

– Zatrzymaj topór, Zabójco. Takiej broni się nie posiada. Ma ona swoje przeznaczenie i kształtuje los właściciela. Skoro jest teraz w twoich rękach, istnieje ku temu powód.

– Skoro tak mówisz – zgodził się Gotrek.

– Dałeś mi wiele do rozmyślań – rzekł Król zmęczonym głosem. – Wybacz, że w was wątpiłem.

Odejdźcie teraz. Odpocznijcie. Później znowu porozmawiamy.

– Przygotujcie apartamenty dla naszych gości – zawołał. – I nakarmcie ich najlepiej, jak potrafimy.

Felix nie mógł nie zauważyć, że w głosie Króla była nuta gorzkiej ironii.

Felix przyglądał się rybie z podejrzliwością. Była duża. Wyglądała na dobrze ugotowaną, a jednak było w niej coś dziwnego. Po chwili zastanowienia zauważył, że nie miała oczu. Pachniała dobrze i wszyscy ją jedli, a jednak Felix myślał o istotach, które widział na Pustkowiach, o mutantach i zwierzoludziach oraz o wszystkich opowieściach na temat pyłu spaczenia. Nie mógł się zmusić do jedzenia zmutowanej ryby i wiedział, że ma ku temu powód.

Było jak najbardziej możliwe, że mutacja przenosiła się poprzez jedzenie zmutowanego pożywienia. Powiadano, że najgorsi mutanci zawsze byli kanibalami i żywili się innymi mutantami. Felix nie miał ochoty sprawdzać teorii o przenoszeniu się mutacji.

– To śleporzyb, człeczyno – powiedział Gotrek. Felix zdał sobie sprawę, że Zabójca musiał dostrzec jego minę i zrozumiał, co się dzieje w jego umyśle. – On naturalnie wygląda w ten sposób. Krasnoludy żywiły się tymi rybami przed Nadejściem Chaosu. Możesz to jeść.

– To prawdziwy smakołyk – rzekł Varek. – Hodujemy je w twierdzach krasnoludzkich. Żyją w głębokich cysternach. Żywimy je grzybami i owadami.

Ta wiedza nie spowodowała, żeby ryba stała się choć trochę bardziej apetyczna. Varek nieświadomy efektu, jaki wywiera mówił dalej.

– Żyją w ciemnościach. Niektórzy Mędracy uważają, że właśnie dlatego nie mają oczu. Nie potrzebują ich. Spróbuj trochę.

Felix podniósł trochę mięsa na nożu i unióś go, by się przyjrzeć. Było białe i wyglądało na delikatne, a gdy je spróbował, okazało się pyszne. Powiedział o tym.

– Może stać się monotonne – rzekł Hargrim. – Żywimy się grzybami, robakami i śleporzybami. Czasami żałuję, że nie mamy nic innego. Felix pogrzebał w swojej sakwie i wyciągnął pasek suszonej wołowiny. Hargrim spojrzał na to z podejrzliwością, równą tej, z jaką Felix badał rybę.

– Spróbuj trochę – zachęcił Felix.

Hargrim ukroił sobie kawałek i zaczął przeżuwać. Wreszcie udało mu się przełknąć.

– Interesujące – powiedział. Snorri zaśmiał się.

– Teraz śleporzyb nie smakuje tak źle, co nie? Spróbuj trochę tego, by to spłukać.

Snorri wręczył flaszkę kislevickiej wódki. Hargrim pociągnął z niej. Przez chwilę wyglądało na to, że się zakrztusi, ale potem wziął się w garść, mlasnął ustami i pociągnął jeszcze trochę.

– To jest lepsze – stwierdził.

Felix opróżnił na stół swój tobołek. Był tam razowiec, ser i jeszcze trochę mięsa. Dodał to do grzybów usmażonych w oleju śleporzyba, samej ryby i kubków wody.

– Częstuj się – rzekł.

Hargrim zrobił to. Zapasy zniknęły z taką szybkością, że Felix cieszył się, iż Hargrim był jedynym z lokalnych krasnoludów, którzy przyłączyli się do ich stołu. Inaczej nie zostałyby zbyt wiele jedzenia.

Felix rozejrzał się po pokoju. Był bogato zdobiony grubymi, choć wytartymi kobiercami i zasłonami. Były tam piękne rzeźby i kosztowności w srebrze i złocie. To był jeden z apartamentów królewskich. Każdy z towarzyszy dostał podobny. Felix pomyślał, że to jest jedyna dobra rzecz związana z ofiarami, jakie poniosły krasnoludy. Było mnóstwo miejsca. Odrzucił tę myśl, jako niegodną i zdał sobie sprawę, że się upija.

– Nie mogę uwierzyć, że mamy tu gości – powiedział Hargrim. Widząc rumieniec na jego twarzy, Felix wiedział, że kapitan także zaczyna być wstawiony.

– To zdumiewające. Przez tak długi czas myśleliśmy, że jesteśmy ostatnimi krasnoludami na świecie. Sądziliśmy, że Chaos opanował wszystko inne. Posyłaliśmy kurierów i zwiadowców na pustkowia, ale nigdy nie wracali. To wydawało się być bezsensowne, a teraz przybywacie i mówicie, że za Pustkowiemi istnieje cały świat, że Chaos został odparty, a Imperium, Bretonia i wszystkie te inne miejsca z legend nadal istnieją. Wydawało się nieprawdopodobne, by inni przeżyli ostatnie dwadzieścia lat, a my o tym nie wiedzieliśmy!

– Dwadzieścia lat – zdziwili się jednocześnie Felix i Varek. – Aye! Czemu patrzycie na mnie w ten sposób?

– Minęło dwieście lat od czasów ostatniej inwazji Chaosu – rzekł Felix. Hargrim spojrzał na niego zdumiony.

– To nie może być!

– Czas płynie dziwnie na Pustkowiach Chaosu – rzekł Varek. – Rzeczywiście dziwnie – potwierdził Felix, przypominając sobie, co Borek mówił mu o tajemniczych mocach tego miejsca. Felix zastanawiał się, czy Mroczne Potęgi mogły wypaczać nawet upływ czasu, a może była to dziwna właściwość, którą posiadały same Pustkowia.

– Uwierz mi – rzekł Varek do Hargrima – tu, w Karag Dum mogło minąć tylko dwadzieścia lat, ale poza Pustkowiemi minęły wieki, a Chaos został odepchnięty.

– Jak to się stało?

– Magnus Pobożny zebrał dla tej sprawy ludzi i krasnoludy i przełamał hordy Chaosu podczas oblężenia Kisleva. Wreszcie wyznawcy Mrocznych, zostali zepchnięci za Przełęcz Czarnej Krwi.

– A jednak nikt nie przybył, by nas uwolnić – rzekł zgorzkniały Hargrim.

Felix nie wiedział, co powiedzieć.

– Wszyscy myśleli, że Karag Dum upadło. Ostatnie raporty mówiły o tym, że miasto zostało opanowane przez hordy Chaosu. Gotrek zaskoczył go mówiąc.

– Nikt nie wiedział, co się stało. Pustkowia Chaosu cofnęły się, ale i tak rozszerzyły się bardziej niż kiedyś. Zawsze tak się dzieje. Karag Dum zostało odcięte. Nikt nie mógł się przedostać. Próbowano tego, wierzaj mi. Borek długo i pilnie szukał, aż znalazł sposób, by wrócić.

– Wierzę ci, Gotreku, synu Gurniego, bowiem widziałem Pustkowiec wyglądając z najwyższej z naszych wież. Wiem, że ciągną się po kres horyzontu. Walczyłem z wojownikami Chaosu i wiem, że są równie nieprzeliczalni, co płatki śniegu podczas śnieżycy. Mamy tak wielu wojowników, że zaprzestaliśmy wysyłania kurierów. Wielu zostało pochwyconych i straszliwie torturowanych.

– Jak udało wam się przetrwać? – spytał Varek, nieco nietaktownie, jak uznał Felix. A jednak cieszył się, że młody krasnolud zadał to pytanie. Felix sam chciał poznać odpowiedź. Hargrim potrząsnął głową.

– Z wielkimi trudnościami – powiedział wreszcie i uśmiechnął się blado. – Ale to nie jest uczciwa odpowiedź, moi przyjaciele. Prawda jest taka, że nasi wrogowie są podzieleni, a my ukrywamy się i walczymy z nimi tak, jak potrafimy.

– Co masz na myśli? – zapytał Gotrek.

– Powiedz Snorriemu o walce – poprosił Snorri.

– Po ostatnim wielkim oblężeniu, gdy Siły Ciemności użyły potwornego czarodziejstwa, by przebić się przez nasze mury, wycofaliśmy się głębiej w kopalnię, zdeterminowani, by drogo sprzedać nasze życie i kazać im zapłacić krwią za każdy cal krasnoludzkiego terytorium. Nasz lud podzielił się na klany i oddziały, po czym udaliśmy się do tajnych umocnień, które przygotowaliśmy

na taki przypadek.

– Tak jak to pomieszczenie – domyślił się Felix.

– Właśnie. Wycofaliśmy się pod ziemię, do miejsc chronionych przez runy mocy i wychodziliśmy z przemyślnie ukrytych sal, by przeprowadzać wypadki i walczyć. A potem odkryliśmy dziwną rzecz...

– Jakąż to? – spytał Gotrek.

– Okazało się, że siły Chaosu walczą ze sobą nawzajem. Nie wiedzieliśmy tego wtedy, ale wyciągnęliśmy ze złapanych jeńców, że ich największy wódz, Skathlok Żelazny Szpon ruszył do bitwy na południe, a jego porucznicy, z których każdy wyznawał inną potęgę, zaczęli kłócić się nad podziałem łupów.

– Kiedy to było? – spytał Varek.

Hargrim podał datę po krasnoludzką, co nic nie znaczyło dla Felixa. – To był 2302 Rok Imperium – powiedział Varek. – Za czasów Oblężenia Kisleva.

– Jeśli tak było, to czemu nie wypędziliście ich z miasta? – spytał Gotrek.

Hargrim zaśmiał się, ale w jego śmiechu nie było wesołości.

– Ponieważ pozostało nas zbyt niewiele, synu Gurniego. Po Wielkim Oblężeniu liczyliśmy mniej, niż pięć tysięcy wojowników, a ci rozdzieleni byli pomiędzy pięć ukrytych cytadel. Nawet, gdy większość wrogów odeszła, nasi przeciwnicy byli dziesięciokrotnie bardziej liczebni i chociaż podzieleni, zjednoczyliby się przeciwko nam, gdybyśmy objawili się w całej naszej sile. A zatem, przez całe lata, uczyliśmy się dokonywać wypadów małymi grupkami i szarpać naszych wrogów. Jak się później okazało, to nie była dobra strategia.

– Dlaczego nie? – spytał Felix.

– Ponieważ, w miejsce każdego z ich powalonych wojowników pojawiał się inny. Za każdą zniszczoną bandę z pustkowi przybywały dwie inne. A kiedy my traciliśmy wojownika, nie mogliśmy go zastąpić. Mogliśmy zabić dwudziestu wrogów za każdego krasnoluda o dzielnym sercu, którego straciliśmy, ale w końcu nie mogliśmy uzupełnić naszych strat, tak jak robili to oni.

– Rozumiem to – rzekł Felix. – Na Pustkowiach jest wielu wojowników, a to jest cenna cytadela, która zapewniłaby im schronienie.

Hargrim potrząsnął smutno głową.

– Zupełnie nie rozumiesz wyznawców Chaosu, jeśli tak myślisz, Felixie Jaegerze. Przybywali tu, ponieważ tu jest skarb – złoto oraz wykonana przez krasnoludów broń, a przede wszystkim cała czarna stal, której pożądamy, by tworzyć swoje pancerze i wykuwać broń. Przybywają tu, ponieważ wiedzą, że znajdą innych w swoim rodzaju, z którymi będą mogli się bić, zdobywając w ten sposób chwałę w oczach swoich szalonych bogów. To miejsce stało się polem ćwiczebnym dla wojowników Chaosu, gdzie mogą znaleźć innych, którym urządzają rzeź.

Słowa Hargrima miały sens dla Felixa. Czasami zastanawiał się, skąd wojownicy Chaosu zdobywają swoją broń. Nie widział żadnych kuźni ani faktorii, lub manufaktur dowolnego rodzaju od czasu, gdy znaleźli się na Pustkowiach, a jednak wyznawcy Mrocznych Mocy musieli zdobywać gdzieś swój oręż. Zakładał po prostu, że to był produkt czarodziejstwa lub broń pochodziła z wymiany ze zdradzieckimi ludzkimi kowalami, ale teraz dostrzegał inną odpowiedź. Tu, w Karag Dum znajdowała się ruda i całe wyposażenie produkowane przez przemysł krasnoludów. Jeśli niektóre rzeczy, które słyszał były prawdą, ta jedna warownia mogła wyprodukować więcej stali, niż całe Imperium. Natychmiast wyraził swoje podejrzenia.

– Masz rację Felixie Jaegerze. Próbowaliśmy zniszczyć wszystkie kuźnie, piece i kowadła, których nie mogliśmy zabrać do ukrytych miejsc, ale nie mieliśmy dość czasu, by pozbyć się ich

wszystkich. Niektóre zostały przechwycone przez wyznawców Potęg. Inne naprawiono dzięki czarnej, niepojętej magii. Teraz w kopalniach pracują hordy zwierzoludzi, zmutowanych niewolników i magów-kapłanów, którzy nadzorują produkcję broni i pancerzy.

– Gdyby udało się odbić to miejsce, to byłby potężny cios dla mocy Chaosu. Z jakiego bowiem innego miejsca zdobywaliby swoją broń? – powiedział Felix w pijanym podnieceniu.

– Może. A może nie – rzekł Hargrim. – Wyznawcy Chaosu muszą mieć teraz inne kopalnie i kuźnie, a Karag Dum, choć może wydawać się puste, jest dobrze chronione.

– Co masz na myśli?

– Nie jest już tak, jak za dawnych dni. Przybyło tu wielu wojowników Chaosu, którzy zajęli swoje własne małe lenna. W Pod-Salach istnieją całe miasteczka, poświęcone czci jednej z czterech Potęg Ciemności. Każde z nich ma swojego wodza i armię. Wymieniają się rudą, bronią i pancerzami z tymi z zewnątrz. Wymieniają się mieczami za niewolników, grotami do włóczni i strzał za paskudne jedzenie, pancerzami za urządzenia magiczne.

– Powiedziałeś, że w Karag Dum były inne krasnoludzkie kryjówki – rzekł Varek.

– Przepadły już – powiedział Hargrim. – W ciągu lat zostały wymordowane. Ci z mieszkańców, którzy przeżyli, dotarli tutaj. Większości to się nie udało. Wielu podczas ucieczki zostało porwanych przez Ogary Khorne'a. Inni nie mogli tu przyjść, by nie doprowadzić za sobą wyznawców Grozy do naszego ostatniego schronienia.

– Groza – rzekł Felix.

– O tym lepiej nie mówić – powiedział Hargrim. – Bowiem to jest nasza zagłada. Kiedy po raz pierwszy przyszedł, zabrał ze sobą życie setek dzielnych wojowników. Nasi mistrzowie runów oddali swe życie, by go odpędzić. Teraz wróci! i wątpię, by cokolwiek go powstrzymało. Chociaż twój topór wzbudza we mnie nieco nadziei, Gotreku Gurnissonie.

Serce Felixa zamarło, gdy zauważył spojrzenia, które wymienili ze sobą Gotrek i Snorri. Wiedział, że Hargrim wzbudził w nich zawodowe zainteresowanie Zabójców. Hargrim także to dostrzegł i potrząsnął głową.

– Powiedz mi, o czym według ciebie myśli Król Thangrim – spytał Felix, tylko po to, by zmienić temat. – Czy uważasz, że chce posłać kurierów do zewnętrznego świata?

– Nie wiem, Felixie Jaegerze. Myślę, że możliwe jest, iż wszyscy tu zginiemy.

Po tej odpowiedzi nastąpiła przez chwilę cisza, a potem odezwał się Gotrek.

– Chciałbym dowiedzieć się więcej o tym stworzeniu, znanym jako Groza.

– To mnie nie zaskakuje – rzekł Hargrim podnosząc wzrok i przyglądając się tatuażom krasnoluda. – Chcesz na niego zapolować?

– Chcę.

– To nie byłoby mądre.

– To nie jest kwestia mądrości. To kwestia mojej zagłady. – I Snorriego – rzekł Snorri.

– Powiedziane, jak na prawdziwych Zabójców przystało – rzekł Hargrim. – Bardzo dobrze. Powiem wam, co wiem o tej upadłej kreaturze. To demon Chaosu, potężny i zabójczy. Został przywołany przez Skathloka, podczas ostatnich dni oblężenia. Traktował go nie jak mistrz traktuje sługę, lecz jak wojownik odnosi się do swego króla. Demon przyszedł do nas przez południowo-wschodnie wrota, które rozbił i nikt z nas nie mógł go powstrzymać. Zabił tuzin bohaterów, uzbrojonych w potężną broń runiczną. Omal nie zabił samego Króla, gdy znalazł go w Sali Cieni. Wymienili przez chwilę ciosy, ale bestia miała przewagę. Nie mogłem uwierzyć w jej siłę.

Gotrek złapał topór. W jego oku pojawił się błysk.

– Musi być istotnie silny, skoro zdzierzył Młot Losu.

– Silniejszy, niż wszystko, co istnieje, Gotreku Gurnissonie. Większy niż trzech Hersztów Orków pod Czerwonym Kłębem. Jest bardziej niebezpieczny niż trzech Magów Ogrów na Wrzosowiskach Ventragh. Bardziej zabójczy niż Smok Glaugir ze swoim trującym wyziewem. Przemawiam bez przesady mówiąc, że stałem obok mego pana, gdy ten mierzył się z potężnymi wrogami. Ten jednak był najpotężniejszy. Wątpię, czy w pełni dumy swojej młodości nawet tak wielki wojownik, jak Thangrim Ognistobrody mógłby go pokonać.

– W jaki zatem sposób go pobito? – zapytał Felix, nerwowo oblizując usta. – Jak udało ci się przeżyć, by o tym opowiedzieć?

– Nie został pobity, tylko przepędzony, gdy jeden z naszych wysokich Kowali Runów – Valek uderzył go swoim świętym toporem, który nosisz, a potem przywołał Run Odwiązania. Była to taka rana, że powinna zabić wszelkie stworzenie nawet tak wielkie jak to. Ta istota tylko wycofała się, w największe głębie pod górami tej góry, w pobliżu jej ognistego serca. Musiała tam siedzieć przez wiele lat, odzyskując siły, bowiem teraz powróciła. Tak, jak to przepowiedziano.

– Przepowiedziano?

– Gdy zniknął, powiedział nam, że powróci, by przynieść naszą zagładę. Powiedział Królowi, że pewnego dnia wróci, wyrwie jego serce pazurami i pożre na jego ciągle żywych oczach. Powiedział Thangrimowi, że taka będzie jego śmierć. A wszyscy z nas, którzy to słyszeli uwierzyli, bowiem taka była moc prawdy w jego głosie.

– To był demon – powiedział cicho Felix. – Znane są demony, które kłamały.

– Aye, ale ten pysznił się mówiąc to i wiedzieliśmy, że istotnie sprowadzi na nas zagładę, w swoim czasie i na swój sposób. Niektórzy z wojowników podejrzewali nawet, że dlatego właśnie pozwolił nam przetrwać tak długo. A nasz Kowal Runów Valek, także wypowiedział proroctwo zanim umarł. Rzekł, byśmy się nie lękali, bowiem jego topór także wróci do nas, gdy nadejdą ostatnie dni. Wielu z nas dziwiło się temu proroctwu, jakże bowiem topór mógł do nas wrócić według swego przeznaczenia, skoro pozostawał ukryty w naszych fortecach. Wówczas syn Króla zabrał topór i myśleliśmy, że zaginął. A teraz przyniosłeś go z powrotem, chociaż minęło kilkadziesiąt dni od powrotu Grozy.

Spojrzał znacząco na topór Gotreka.

– Widzisz teraz, dlaczego twoje przybycie tak wzburzyło Króla.

– W jaki sposób Valek przywołał ten run Odwiązania? – zapytał Gotrek.

– Nie wiem. Był Kowalem Runów i znał wiele sekretów. Wiem tylko, że wezwał swoją moc i to go zabiło. Gdy uderzał w demona, zaklęcie pochłonęło jego życie. Topór, który nosisz jest stary i potężny. Od starożytnych czasów przechodził od jednego Kowala Runów do drugiego. Jego historia była przekazywana tylko następnemu właścicielowi, a wraz ze śmiercią Valeka opowieść przepadła. Jego syn i czeladnik poległ wraz z nim podczas tej ostatniej bitwy. Syn Króla wziął topór z tłących się zwłok Kowala Runów i zabrał go ze sobą, gdy próbował przedrzeć się przez Pustkowie.

– A zatem, bez Runu Odwiązania nie da się pokonać tego stwora? – spytał Felix.

– Któż może to powiedzieć. Ta broń jest zaiste potężna, nawet bez Runu Odwiązania. Może w rękach wystarczająco silnego wojownika...

– Opisz mi demona – rzeki Gotrek.

Podpity Hargrim pochylił się i oparł policzek na pięści. Przez chwilę uśmiechał się bez radości, a potem zatonął w rozmyślaniach i gapił się w dal, jakby jeszcze raz przywołując widok, którego wolałby nie zobaczyć.

– Wielki był – powiedział wreszcie. – Większy, niż dwakroć wzrost wysokiego człowieka. Wielkie były jego skrzydła. Wielkie i przypominały nietoperzowe, a kiedy je rozkładał, rozlegał się

grzmot niczym pioruna. W jednej ręce trzymał straszliwy bicz. W drugiej topór pokryty złymi i niesamowitymi runami, które raniły wzrok, gdy się na nie patrzyło. Jego oczy płonęły wewnętrznym ogniem. Zwierzęcy łeb wieńczyły rogi. Na czole niósł zamię Boga Krwi.

Gdy Hargrim mówił, w komnacie zapadła cisza i zrobiło się jakby chłodniej. Felix zaczął nabierać strasznego podejrzenia, że wie, co opisywał krasnolud. Było to stworzenie, o którym wspomiano w starych księgach o czasie Chaosu, które udało mu się przeczytać. To było istotnie stworzenie godne miana Grozy.

– Blutdrengrik – powiedział cicho Gotrek.

– Jad Grunga – wymamrotał Varek, szarpiąc się nerwowo za brodę.

– Krwio pijec Khorne’a – wyszeptał Felix i poczuł zimno dotykające jego kręgosłupa. Wymienił właśnie imię najbardziej zabójczej, najgwałtowniejszej i nieubłaganej istoty, która pojawiła się z najgłębszych otchłani Piekła. Demon ustępował tylko Mrocznemu Bogowi, w swojej mocy siania zniszczenia. Było to stworzenie, którego lękali się nawet najpotężniejsi wojownicy.

– Ruszajmy i zabijmy go – powiedział Snorri.

– Wcześniej napijmy się jeszcze – zaproponował Felix, mając nadzieję na odsunięcie tej głupiej misji Zabójców tak długo, jak się da.

Felix obudził się z tym uczuciem dezorientacji, które stało się dość znajome w ciągu lat. Był w obcym miejscu, spoglądał na obcy sufit i nieco go mdliło. Kilka chwil zajęło mu uspokojenie zbuntowanego żołądka i odzyskanie kontroli nad umysłem, zanim przypomniał sobie, gdzie jest. Gdy to mu się udało, pożałował tego natychmiast.

Znajdował się pod ziemią, w komnacie zrujnowanej krasnoludzkiej cytadeli, gdzieś głęboko pod Pustkowiami Chaosu i miał kaca. Powiadał sobie, że z pewnością istniały gorsze przypadłości, które mogły spaść na śmiertelnika. Podniósł się ze wspaniałego, ale cuchnącego stęchlizną i zbyt krótkiego łóża, naciągnął buty i wyszedł na korytarz w poszukiwaniu czegoś, co uspokoi jego żołądek. Natychmiast został powitany przez jednego z opancerzonych gwardzistów Króla, który poinformował go, że oczekuje się na niego w sali tronowej.

Felix zrozumiał, że rzeczywiście istniały gorsze przypadłości. Nie tylko utkwiał w tym okropnym miejscu, ale musiał stawić się o pustym żołądku przed tym starym i skorym do gniewu krasnoludzkim tyranem. Tłumiąc jęk ruszył za gwardzistą.

– Nie możemy opuścić tego miejsca – rzekł Thangrim Ognistobrody. – Jest nas zbyt dużo. Zgodnie z tym, co mi powiedzieliście, na waszym okręcie starczy miejsca najwyżej dla tuzina dodatkowych pasażerów. Tutaj jest kilkuset moich poddanych. Nie byłoby uczciwie wybierać tych, którzy odlecą i tych, którzy zostaną.

Felix musiał przyznać, że stary krasnolud miał rację. Przybył do komnaty władcy tylko po to, by dowiedzieć się, że inni zostali już przesłuchani przez starego despotę. Najwyraźniej Varek zaproponował, by lud Karag Dum opuścił ziemię swych przodków. Thangrim miał kilka przekonujących kontrargumentów.

– To byłby tylko tymczasowy środek, wasza wysokość – powiedział Varek. – Gdy odwieziemy te krasnoludy z powrotem do Samotnej Wieży, możemy wrócić z podstawową załogą i zabrać więcej z nich. Będziemy kontynuowali przeloty, aż zabierzemy wszystkich. To jest możliwe.

– Być może. Ale powiedziałaś mi, że nawet przelot nad Pustkowiami Chaosu był niebezpieczny. Wasz okręt może się rozbić.

– Z pewnością bardziej niebezpieczne jest przebywanie tutaj, gdy siły Chaosu pukają do drzwi. To tylko kwestia czasu, zanim zostaniecie wybici i zniszczeni – Vareka ogarniała pasja i

podniecenie. Jego oczy za soczewkami okularów były szerokie i okrągłe.

– Nie rozumiesz, młodzieńcze. Mamy nasze żony i rannych. Nie możemy po prostu ich zostawić lub wysłać z małą eskortą. Wiesz, jak niebezpieczne są Sale. Widziałeś je. Potrzebnych jest wielu wojowników, by ich strzec, a na waszym okręcie nie ma miejsca dla nich i dla eskorty.

– Eskorta może powrócić do twoich sal – rzekł Varek. – Są wojownikami. Robili to już wcześniej.

– To słuszna uwaga, ale w końcu będziemy musieli przenieść nasze starożytne skarby. Nie są małe. To nie jedna mała sztuka złota, czy też błyskotka, a nie zostawię ich dla świętokradców.

Felix odezwał się po raz pierwszy.

– Ależ z pewnością złoto nie znaczy nic, gdy rzecz tyczy się twojego ludu, wasza wysokość.

Każdy z obecnych krasnoludów spojrział na niego, jakby oszalał, albo był niesamowicie głupi. Nikomu nie chciało się nawet odpowiadać. Felix pragnął, by podłoga otworzyła się pod nim i połknęła go. Powinien zastanowić się bardziej, zanim wysunął przy krasnoludach równie irracjonalny argument mówiąc o złocie.

– Czy nie moglibyśmy zabrać skarbu naszych ojców na waszym małym statku? – spytał Thangrim.

– Z tego co słyszałem o twoim skarbie, niechaj rośnie i rozkwita, wątpię w to.

– A zatem, jakże spodziewacie się, byśmy opuścili to miejsce, dopóki krew płynie w naszych żyłach?

– Może moglibyśmy powrócić z więcej, niż jednym statkiem powietrznym, wielki królu – powiedział Varek. – Może moglibyśmy powrócić z wystarczającą ilością pojazdów, by zabrać cały twój lud i skarb.

– Jeśli to by się wam udało, zostalibyście odpowiednio nagrodzeni. Niechaj pomyślę nad tym, co mi powiedzieliście. Możecie odejść.

Varek ruszył do wyjścia, a Felix przyłączył się do niego. Czul pewną ulgę opuszczając Króla i mając przed sobą wizję jedzenia.

– Thangrimie Ognistobrody – odezwał się Gotrek – jest coś, czego pożądam.

– Powiedz mi, cóż to takiego, Gotreku Gurnissonie.

– Pragnę znaleźć stworzenie, które nazywacie Grozą i zabić je, lub odnaleźć własną śmierć.

Król uśmiechnął się do Gotreka i najwyraźniej rozważał jego prośbę. Po chwili w oddali rozległ się zew rogu, a kilka uderzeń serca później, do komnaty tronowej wpadł przez wejście krasnolud, który natychmiast zbliżył się do Króla. Ten skinął na kuriera, by podszedł, a potem słuchał jego szeptanych słów. Gdy nowoprzybyły skończył mówić, twarz Króla przybrała ponury wygląd.

– Zdaje się, że nie będziesz musiał szukać potwora, Gotreku Gurnissonie. W tej chwili zmierza ku nam i sprowadza ze sobą armię.

Cudownie – pomyślał Felix – a ja nawet nie miałem sposobności, by spożyć swój ostatni posiłek.

Krwiopijec

– Nadchodzą siły *Chaosu* – powiedział Król Thangrim. – *Dmijcie* w rogi bojowe. Zbieramy się na bitwę.

Król podniósł się z tronu i uniósł wysoko młot. W tym momencie Felix dostrzegł błyszczącą aurę, przypominającą błyskawicę pląsającą wokół głowicy broni. Powietrze wypełnił zapach ozonu. Gwardia Królewska wiwatowała, ale Felix wyczuwał głęboki niepokój, ukryty za tą demonstracją odwagi.

– To dobrze – rzekł Gotrek.

To bardzo źle – pomyślał Felix, rozmyślając o zbliżających się hordach *Chaosu* wiedzionych przez demona o niewypowiedzianej mocy. Zastanawiał się, czy budząc się tego ranka, mógł się domyśleć, jak źle potoczą się sprawy. Przejmował się tylko swoim kaczem. Teraz miał znacznie większe zmartwienia.

Król zszedł po schodach w towarzystwie kapłanów i ruszył ku sali. Gwardziści postępowali za nim. Na zewnątrz Sali Studni zbierał się pospiesznie lud krasnoludów. Wojownicy wybiegali z każdych drzwi. Niektórzy wynosili tarcze i broń. Inni przypinali napierśniki i szybko zaciągali sprzączki. Felix zobaczył, jak jeden ze starych wojowników nabił hełm na głowę, splunął na podłogę i wykonał kilka próbnych wymachów toporem. Widząc przyglądającego mu się Felixa, uniósł kciuk.

Felix kątem oka dostrzegł Hargrima, zbierającego wojowników. Oni także zakładali ciężkie krasnoludzkie pancerze. Wyglądało na to, że czas skradania się minął i teraz chcieli zapewnić sobie najlepszą ochronę, jaką dysponowali. Felix nie winił ich za to. Jego kolczuga nagle wydała mu się żalosna, gdy przypomniał sobie wielkie masy wojowników, które widział podczas podejścia do Karag Dum, a także, gdy myślał o legendarnej mocy Krwiopijca.

A jednak, niczego już nie mógł zrobić. Wyciągnął z pochwy zaklęty miecz i podbiegł do Hargrima.

– Jak nas znaleźli? – krzyknął, by usłyszano go ponad hałasem krasnoludów, szykujących się do bitwy.

– Nie wiem. Może znaleźli miejsce, gdzie zabiliśmy ogary. Może inne ogary wykryły nasz zapach. Co za różnica? To prorocstwo. Dzień zagłady nadszedł.

– Nie bądź taki wesoły – odpowiedział Felix i rozejrzył się, by znaleźć Gotreka, Snorriego i Vareka. Widział Zabójców stojących obok Króla. Nigdzie nie dostrzegł Vareka. Felix zastanawiał się, dokąd on poszedł. Zdał sobie sprawę, że cokolwiek stanie się podczas tej bitwy, jego miejsce jest przy nim. Wiedział, że nikt inny nie pomoże mu znaleźć drogi ucieczki. Wszyscy z pozostałych znaleźliby ją pewnie z zawiązanymi oczami. Z drugiej strony był zbyt optymistycznie nastawiony, wyobrażając sobie, że będzie w ogóle jakaś szansa ucieczki. Snorri i Gotrek nie odejdą, dopóki obecny będzie Krwiopijec, a Felix wątpił, by nawet dwóch tak strasznych wojowników pokonało równie potężnego demona.

– Powodzenia! – krzyknął do Hargrima i popędził do Zabójców. – Niechaj Grungni, Grimmir i Valaya cię strzegą, Felixie Jaegerze – rzekł Hargrim i znowu zaczął wykrzykiwać rozkazy swoim żołnierzom.

Z oddali dochodziły odgłosy bitwy. Wzdłuż korytarzy niosło się echo rogów, uderzania broni o broń i wycie czegoś okropnego. Krasnoludy skończyły swoje przygotowania i szereg gotowy do walki ustawił się w Sali Studni. Z pewnością było tu więcej krasnoludów, niż broniących Samotnej

Wieży, ale to nie była uspokajająca myśl. W porównaniu z ilością atakujących, którzy mogli się pojawić, było ich żałośnie mało.

Felix spojrział na Króla, unoszonego na tarczy przez czterech wojowników.

– Przebili się przez zewnętrzną bramę – rzeki Król. – Nasze warty zatrzymają ich przez chwilę.

Patrząc na Thangrima Felix dostrzegł, że kobiety oraz starcy i okaleczeni znikali za wejściem, którego wcześniej nie widział. Gdy ostatni z nich zniknął za drzwiami, zostały one zapieczętowane tak przemyślnie, że nie było widać śladu, by kiedykolwiek tam istniały.

– Ruszą do Krypt, aby przeczekać ostatnią bitwę – rzeki Thangrim. – Jeśli zwyciężymy, zostaną uwolnieni. Jeśli nie, wówczas zginą...

– Jak to?

– Krypty można otworzyć tylko z zewnątrz – powiedział Gotrek. Felix nagle ucieszył się, że nie próbował uciec przez te drzwi. Nie mógł wyobrazić sobie czegoś gorszego, od oczekiwania w ponurych kryptach na śmierć od uduszenia lub z głodu, podczas gdy na zewnątrz toczyła się bitwa. Będąc tutaj, przynajmniej decydował o swoim losie, a gdy nadejdzie śmierć, będzie szybka. Miał taką nadzieję.

Zobaczył wracającego Vareka. Miody krasnolud trzymał przewieszzone przez ramię działko Makaissona i torbę bomb. Podszedł z pewnością siebie, której Felix jeszcze u niego nie widział i stanął obok niego.

– Potrzymaj to przez chwilę – powiedział do Felixa i oddał mu działko.

Felix schował miecz i podniósł broń, zaskoczony jej ciężarem i łatwością, z jaką Varek ją unosił. Prawie upuścił działko, odbierając je od krasnoluda. Varek wyciągnął księgę i pióro, po czym zaczął zapisywać kilka uwag na stronicach. Widząc zdziwione spojrzenie Felixa powiedział.

– Kilka słów wyjaśnienia. Na wypadek, gdyby ktoś znalazł to później. Cóż, możemy mieć taką nadzieję, he?

Felix zmusił się do niepewnego uśmiechu.

– Sądzę, że tak.

W oddali hałas sięgnął zenitu i rozległ się potworny ryk triumfu. Felix domyślał się, że sprawy nie mają się dobrze dla krasnoludów. Thangrim zaczął przemawiać po krasnoludzku. Felix nie mógł zrozumieć ani słowa z tego pokrzykiwania, ale krasnoludom to się wyraźnie podobało. Wiwatowali głośno, nawet Gotrek i Snorri. Tylko Varek nie przyłączał swego głosu do dudniącego chóru, był bowiem zbyt zajęty pisaniem.

Felix trzymał wzrok przyklejony do wejścia, przez które nadejdą ich przeciwnicy. Wiedział, że to samo czyni kilkuset uzbrojonych w kusze krasnoludów. Ale to nadal go nie uspokajało. Czuł przytłaczające wrażenie zbliżającej się zagłady. Strach ścisnął jego serce. Ciężko padł na duszę. Wiedział, że zbliża się coś strasznego.

– Snorri założy się, że zabije więcej zwierzoluti, niż ty, Gotrek – rzucił Snorri. Gotrek parsknął szyderczo.

– Człeczyna zabije więcej zwierzoluti niż ty – odpowiedział.

– Chcesz się o to założyć, Felix? – spytał Snorri. Felix potrząsnął głową. Jego usta były zbyt suche, by mógł zdobyć się na odpowiedź. W jego umyśle zaczęło zagnieżdżać się przerażenie. Był to paralizujący strach, wstrząsający podstawami zdrowego rozsądku i sprawiał, że Felix pragnął znaleźć ciemny zakątek, ukryć się i pisać ze strachu. Część jego świadomości mówiła mu, że to jest nienaturalne, że nie powinien odczuwać takiego strachu, ale zbyt trudno było z tym walczyć. W tym okropnym ryku było coś tak strasznego, że zamieniało krew w wodę.

– Pamiętaj tylko Snorri – powiedział Gotrek. – Demon należy do mnie.

– Zależy, czy Snorri nie dorwie go pierwszy – odpowiedział Snorri.

Felix stwierdził, że nie jest już w stanie patrzeć w stronę wejścia, więc spojrzął na Gotreka i Srorriego. Widział, że nawet Zabójcy byli spięci. Kłykcie Gotreka były białe od zaciskania na trzonku topora. Ręka Snorriego trzęsa się lekko, gdy ścisnął oręż. Widząc, że Felix mu się przygląda, wyszczerzył się i wysilił, aż drzenie ustało.

– Snorri się nie boi – powiedział Snorri. – Nie za bardzo.

Felix odpowiedział uśmiechem, wiedząc jak nienaturalnie musi wyglądać. Miał wrażenie, jakby skóra na jego twarzy była zbyt napięta, a włosy stały dęba jak na piersi Zabójcy Trolli. Pomyślał, że jest blady jak śmierć.

Nagle, przez chwilę, nastąpiła cisza. W dziwnym bezruchu Felix słyszał tylko skrzypienie pióra Vareka, ale nawet ono ustało. Poczł pociągnięcie za rękaw. Varek prosił o swoją broń. Felix oddał mu ją i jeszcze raz wyciągnął miecz.

Ryk był tak głośny i przeraźliwy, że Felix prawie wypuścił ostrze. Spojrzął w górę i z trudem powstrzymał się przed zmoczeniem w spodnie. Do sali weszło stworzenie najbardziej przerażające ze wszystkich jakie, co kiedykolwiek widział. Za nim dostrzegał łypiące ślepiami łby zwierzoludzi.

Spoglądając na ogromną kreaturę, zdumiony i przerażony Felix myślał: oto wcielony koszmar, który nawiedzał mój lud od początków czasu.

Wiedział, że ze strachem, jaki wzbudzał stwór związana była jakaś magia. To była nienaturalna aura czegoś, co wypełzło z najgłębszych otchłani i żaden śmiertelnik nie mógł przed tym uciec. Oczy bolały od samego patrzenia na Krwiopijca. Jego wygląd wskazywał, że potwór nie jest zbudowany z naturalnych substancji. Smród trupiarni był gorszy niż wszystko, co można było sobie wyobrazić. Cuchnął gnijącym mięsem, zakrzepłą krwią i innymi mniej nadającymi się do opisu, wstrętniejszymi rzeczami.

Bestia wyglądała tak, jak ją opisał Hargrim. Była znacznie wyższa i cięższa niż Felix. Na jej ramionach prężyły się nietoperzowe skrzydła. Była muskularna jak minotaur. W jednej ręce trzymała bicz, w drugiej przerażający topór większy od człowieka. Jej skóra była rdzawo czerwona, a oblicze dzikie i zwierzęce. A jednak ze wszystkich cech Krwiopijca, najgorsze były ślepie. Felix wiedział, że nigdy ich nie zapomni.

Były jak jeziora nieskończonej ciemności, w których lśniła groźba i przedwieczna inteligencja. Gdzieś w tych głębiach migotały czerwone ognie dzikiej nienawiści, szalona zajadłość, która pragnęła wywrócenia porządku Wszechświata, gdyby tylko potwór mógł w ten sposób nasycić żądzę krwi, której nigdy nie uda się zaspokoić. To było stworzenie, które spoglądało na narodziny i śmierć światów i mogło przyglądać się śmierci Wszechświata. W porównaniu z jego życiem, żywot Felixa był krótszy niż trwanie jętki. W porównaniu z jego siłą, przebiegłością i dzikością, Felix był mniej warty niż nic.

A jednak, gdy patrzył dłużej, strach zaczął odpływać. W końcu, chociaż była to wcielona groza, nie wyglądała tak strasznie, jak to sobie wyobrażał. Stwór nie mógł być bardziej przerażający, niż koszmarna istota, która nawiedzała jego mózg kilka uderzeń serca wcześniej. Z pewnością bestia wzbudzała przerażenie. Była mistyczna i potężna. Felix poczuł, że gdy już ją zobaczył, mógł z nią walczyć. Patrząc na innych dostrzegał, że myśleli podobnie. W pewien sposób, nie żałował, że zobaczył tę istotę, nawet jeśli sprowadzi na niego śmierć. Wiedział, że zobaczył coś, co ujrzy niewielu ludzi i czuł w związku z tym pewną satysfakcję. Wiedział także, że może zmierzyć się z tą niesamowicie przerażającą istotą i w końcu nie ulegnie bez walki.

Potem stwór odezwał się i strach wrócił, ze zdwojoną siłą.

– Przybyłem, by wyrównać mój rachunek krwi, Królu Thangrimie, tak jak obiecałem.

Jego głos brzmiał jak mosiężny róg, a jednak było w nim coś, co przypominało pustkę i było tak zimne, że przeszywało do szpiku kości. Słowa dźwięczały niczym grzmot niosąc ze sobą drobiazgowo obliczony ładunek nienawiści, tak jak pragnął tego demon. To był głos wściekłego i mściwego boga. Felix był pewien, że demon nie przemawiał w Reikspielu, ale jednak doskonale rozumiał to, co wypowiadał i ani przez chwilę nie wątpił, że to samo dotyczyło krasnoludów.

– Przybyłeś, byśmy znowu odesłali cię w otchłań – rzekł Król Thangrim.

Jego głos był czysty, głęboki i dudniący, ale w porównaniu z Krwiopijcem, brzmiał jak zbuntowane dziecko piskliwie wyzywające dorosłego.

– Wydrę twoje serce i zjem je na twoich ciągle żywych oczach, tak jak obiecałem. I nie ocali cię żaden z twoich małych wojowników. Bowiem przez każdą chwilę, każdej godziny, każdego dnia, każdego roku mojego oczekiwania pragnąłem nadejścia tego. I tak się stało.

Gdy demon przemawiał, coraz więcej zwierzolidzi i wojowników Chaosu przedostawało się do komnaty za nim, a jednak żaden z krasnoludów nie wystrzelił, ani nie uniósł broni. Stwór roztaczał wokół siebie hipnotyczny urok. Było coś nieprawdopodobnie fascynującego w tej konfrontacji z wiekowym Królem Krasnoludów. Felix chciał wykrzyknąć ostrzeżenie, by zachęcić krasnoludy do ataku, ale jednak nie uczynił tego. Był oczarowany tym samym zaklęciem, które ich trzymało, podczas gdy pojawiało się coraz więcej wyznawców Chaosu. Thangrim wyglądał tak, jakby chciał odpowiedzieć, ale nie mógł. Wyglądał na starego, zmęczonego i pokonanego już na samym początku.

– Nie straciłeś nic ze swojej arogancji, maluchu, ale jesteś teraz stary i słaby, a ja... ja jestem silniejszy, niż kiedykolwiek.

– Z pewnością dlatego tak strasznie śmierdzisz – ryknął Gotrek. Płonące spojrzenie demona skierowało się ku Zabójcy i Felix przeraził się, gdy ślepia stwora przez chwilę spoczęły na nim. Czuł się tak, jakby sama śmierć popatrzyła na niego z tych kościstych oczodołów. Felix był zdumiony, że Zabójcy udało się wytrzymać spojrzenie demona, ale tak właśnie się stało. Po chwili udało mu się nawet dziko wyszczerzyć i unieść topór. Runy wzdłuż ostrza lśniły jaśniej, niż kiedykolwiek widział to Felix. Gotrek przesunął kciukiem wzdłuż ostrza. Pojawiła się kropla krwi, a Zabójca Trolli pogardliwie strząsnął ją w kierunku demona.

– Spragniony? – spytał. – Spróbuj tego. To wszystko, co dzisiaj dostaniesz.

– Wypiję każdą kroplę twojej krwi i zmiążdżę czaszkę, a potem pochłonę mały mózdzek, a wraz z nim pożrę duszę. Poznasz prawdziwe znaczenie grozy.

– Poznaję prawdziwe znaczenie nudy – rzekł Gotrek i zaśmiał się ochryple. – Masz zamiar zanudzić mnie na śmierć swoimi przemowami, czy chcesz podejść tu i zginać?

Felix był zdumiony, że Zabójca był w stanie powiedzieć cokolwiek, pod tym palącym duszę spojrzeniem, ale Gotrekowi udało się jakoś mówić i w ten sposób umacniał serca całej armii krasnoludów. Felix wyczuwał, że krasnoludy otrząsnęły się z wpływu obecności demona i szykowały broń do walki. Thangrim wyprostował się i uniósł nad głową młot, wokół którego znowu pojawiły się błyskawice.

Ku zdumieniu Felixa demon uśmiechnął się obnażając długie kły i paszczę, która wyglądała tak, jakby mogła połknąć konia.

– To wyzwanie zapewni ci wieczność udręki. Będziesz miał wieki, by zastanawiać się nad swoją głupotą. A zanim umrzesz, rozważ to. To ty sprowadziłeś mnie do tego tajnego miejsca.

Widząc, że Gotrek nie zamierza odpowiedzieć na zaczepkę, demon kontynuował.

– Topór i ja jesteśmy połączeni. Od czasu, gdy mnie zranił zawsze bytem w stanie wyczuć jego obecność, bez względu na to, jak dobrze był ukryty. Podążałem za jego śladem, aż do tego miejsca. Dziękuję za przysługę, którą mi wyświadczyłeś, niewolniku.

Felix spoglądał na Gotreka chcąc się przekonać, jak ten to zniósł. Na twarzy Zabójcy nie pojawiły się żadne emocje poza nieubłaganą nienawiścią. Jego własny umysł wirował. Zdawało się, że ta cała długa misja, cała przemyślność, z jaką Borek zaplanował to wszystko, wszystkie niebezpieczeństwa, które pokonali służyły tylko do wypełniania ostatecznego celu demona. To była myśl sprowadzająca szaleństwo. Czyż wszystkie ich wysiłki nie doprowadziły do tego, czyż nie zostali złapani w misterną sieć prorocत्व i zagłady, o których nic nie wiedzieli. Czy byli tylko pionkami w toczącej się od prawieków grze rozgrywanej przez Potęgę?

Spoglądając na wąską przerwę, która oddzielała dwie armie, Felix odczuwał nieuchronną pewność klęski. Za demonem ustawily się niezliczone szeregi zwierzoludzi o krętych rogach. Stali tam wojownicy Chaosu w czarnych zbrojach z gotowym do ataku potężnym, mistycznym orężem. Stada tych straszliwych ogarów ujadały z głodu, jakby domagając się żeru na duszach.

Stojący naprzeciw nich oddział krasnoludów wydawał się żałośnie słaby. Wokół trzepoczącego sztandaru Króla skupiła się jego gwardia. Wszyscy wojownicy stali zdobni w najlepsze pancerze, posiadający najpotężniejszą broń. Między Thangrimem i demonem tkwił rząd silnych wojowników. Wszyscy uzbrojeni byli w lśniące runami ostrza. Za Królem stała niewidoczna prawa flank, ale Felix wiedział, że składała się z oddziałów kuszników i młotodzierźców. Po prawej stronie czekały rzędy długobrodych weteranów, uzbrojonych w topory i młoty. Pośród nich stali Gotrek, Snorri, Varek i sam Felix, który ofiarował modlitwę Sigmarowi od Młota. Jeśli Bóg usłyszał, to nie dał żadnego znaku.

Nagle demon uniósł broń i dał sygnał do ataku. W kakofonii bębnów i ryczenia, zaczęły się zbliżać rogate Hordy Chaosu. Smukłe ogary wyskoczyły przed oddziały, gotowe, by rozdzierać i rozrywać. Demon patrzył na to z wyrazem paskudnej satysfakcji. Gdy zwierzoludzie podeszli bliżej, krasnoludy otworzyły ogień ze swych kusz wycinając krwawą ścieżkę wśród nieludzkich przeciwników.

Felix niemal ogłuchł, gdy Varek otworzył ogień z działa. Płomień obracających się luf podświetlał oblicze młodego krasnoluda, który posyłał strumienie gorącego ołowiu prosto w tłum zbliżających się bestii. W tym blasku skrzywiona twarz Vareka nie wyglądała ani trochę mniej demonicznie i nienawistnie, niż pyski stworów, przed którymi stali.

Thangrim wznosił młot, wokół którego zatańczyły wyładowania, a rozległe cienie umknęły w kąty komnaty. Zakręcił bronią nad głową i zdawało się, że młot gromadzi przy tym moc i światło. Runy lśniły oślepiająco. Sypały się z niego niebieskie iskry Zapach ozonu przebijał się nawet nad smrodem demonicznych zastępów.

Thangrim wypuścił Młot Losu. Ten poleciał w stronę Krwiopijca niczym kometa, sypiąc iskrami i strumieniami błyskawic. Tam gdzie upadały, padali także zwierzoludzie z poczerniałą skórą i futrem stojącym dęba. Młot leciał prosto i pewnie, po czym uderzył w demona z odgłosem przypominającym grzmot pioruna. Krwiopijec zawył z bólu i potknął się. Zastępy krasnoludów głośno ryknęły. Ku zdumieniu Felixa Młot przeleciał z powrotem przez komnatę zmuszając zwierzoludzi do uskakiwania przed nim. Król wyciągnął rękę i broń wróciła do niej, niczym jastrząb powracający po krótkim locie do ręki sokolnika.

Felix przez chwilę miał nadzieję, że przerażająco potężna broń krasnoluda pokona Krwiopijca, ale gdy uniósł wzrok, jego nadzieja rozwiała się. Krople lśniącej posoki kapały z rany w boku demona i znikwały w kłębach trującego dymu tam, gdzie zetknęły się z podłogą, ale bestia stała nadal, niesamowicie silna, patrząca na krasnoludy straszonym, kpiącym wzrokiem. Jej ogniste spojrzenie natychmiast uciszyło ich wiwaty.

– Jeśli to nie podejdzie do nas, my podejdziemy do tego – rzekł Gotrek i ruszył naprzód, by

spotkać się z pędzącą hordą Chaosu. – Snorri myśli, że to dobry pomysł – rzucił Snorri, pędząc za pierwszym Zabójcą.

– Czekajcie na mnie – krzyknął Felix i przeklinając pobiegł za nimi. Dzięki dłuższym nogom z łatwością dogonił biegnące krasnoludy i nadal miał dość czasu, by rozejrzeć się i ocenić sytuację. Widział, że cała armia krasnoludów naciera w stronę zbliżającego się wroga.

Felix zrozumiał, że to był błąd taktyczny. Krasnoludy powinny zachować dystans i aż do ostatniej chwili osłabiać przeciwnika strzałami z kuszy. Teraz zdawali się być porwani przez ogólne szaleństwo wywołane obecnością demona, opanowani przez żądzę zwarcia się z wrogiem, oko w oko, pierś w pierś, by drzeć, ciąć i zabijać w bezpośrednim starciu. Felix nie winił ich za to. Po tak wielu latach prześladowań w ich własnym domu, byli przepełnieni płonąca nienawiścią. Aby uśmierzyć tę nienawiść, porzucali swoją jedyną przewagę taktyczną.

A może to nie miało znaczenia. Tak, czy inaczej mieli zginąć. Lepiej było skończyć z tym szybko. Felix zacisnął miecz w obu dłoniach, gdy wpadła na niego pierwsza fala zwierzoludzi, a potem nie było czasu na myślenie, tylko rozpoczęło się zabijanie.

Wstrząs szarpnął ramieniem Felixa, gdy jego miecz wbił się w pierś zwierzoczęka. Nozdrza wypełnił smród mokrego od krwi futra, upadającego pod nim stwora. Felix kopnął go odrzucając na bok i rąbnął w kolejne z nikczemnych stworzeń, rozrywając arterię gardła. Gdy zwierzoczek wyciągnął łapę próbując zatamować upływ krwi, Felix wbił miecz pod żebra i dotarł nim do serca stwora.

Wokół niego Gotrek i Snorri siekli, rąbali i cięli. Za każdym razem, gdy Gotrek uderzał toporem, padał rozcięty przeciwnik, łapiący się za krwawą miazgę na piersi, kikut amputowanej kończyny lub usiłujący zatamować upływ krwi, którego po prostu nie dało się powstrzymać. Kątem oka Felix zauważył Snorriego, wykonującego jednoczesne uderzenie toporem i młotem, które złapały między siebie łeb zwierzoczęka. Górna część łba stworzenia odpadła odarta przez topór, a potem chlupnęła szara miazga gąbczastego mózgu, wydarta siłą uderzenia młota.

Ogłuszający huk, po którym nastąpiło zwierzące wycie agonii, powiedziało Felixowi, że Varek rzucił jedną ze swych bomb. Chwilę później jego wzrok zasłonił obłok żrącego dymu który wycisnął łzy z oczu. Felix zakasłał, a odgłos kaszlu przyciągnął uwagę zwierzoczęka. Monstrualny topór spadł na niego poprzez dym i Felix ledwo zdążył unieść miecz, by sparować uderzenie. Wstrząs spowodował dreszcze bólu w ramieniu. Chwilę później z mroku wychyliła się wielka łapa, która złapała go za gardło. Ostre pazury pchane palcami o ścięgnach jak z żelaza, wbiły się w kark. Krople krwi pociekły po szyi.

Gdy dym opadł, Felix stwierdził, że złapał go niesamowicie umięśniony zwierzoczek. Kątem oka widział jednego z braci zwierzoczęka, podbiegającego z opuszczoną włócznią. Wszystko zdawało się następować w zwolnionym tempie. Wiedział, że zaraz zginie. Rozpaczliwie próbował się wyrwać, ale zwierzoczek był zbyt silny i już brał zamach toporem, by zadać ostateczny cios. Koniec włóczni jego kamrata błyszczał coraz bliżej. Z powodu tych okropnych palców zaciśniętych wokół swojego karku, Felix nie mógł nawet wezwać pomocy Gotreka, ani Snorriego.

W każdej chwili spodziewał się, że włócznia przebije się przez jego żebra, a topór opadnie z siłą miażdżącą czaszkę. Wiedząc, że pozostały mu tylko chwile życia, Felix znalazł w sobie rozpaczliwą siłę i dziką przebiegłość. Zamiast próbować się wyrwać, nagle odprężył się i wykonał krok naprzód. Jego niespodziewany ruch wytrącił napastnika z równowagi. Wykorzystując to, Felix obrócił się w miejscu i napał całym ciężarem, obracając zwierzoczęka na drugą stronę. Wyznawca Chaosu stęknął, gdy włócznia wycelowana w Felixa przebiła się przez jego plecy. Mięśniami stwora wstrząsnął straszliwy ból, a palce na karku Felixa zwiotczały. Ten cofnął się, wymierzył dokładnie i

jednym cięciem ściał łeb zwierzoczłka.

Bezwładna głowa potoczyła się po ziemi. Czarna krew tryskała w stronę sufitu z kikuta na karku, wznosząc się silnymi strumieniami, które słabły, gdy ciało padało na podłogę. Drugi zwierzoczłek stał trzymając wyrwaną włócznię, mrugając zdumiony, jakby nie mógł uwierzyć, że właśnie zabił swojego towarzysza. Felix wykorzystał tę chwilową konsternację, by rąbnąć go w pachwinę, a potem pchnął ostrze tnąc w górę, przecinając brzuch i posyłając lepkie wnętrzności wijącymi się pętlami na podłogę.

Przez chwilę stał w oku cyklonu, otoczony wirem niewiarygodnej przemocy. Krasnoludy walczyły ze zwierzoludźmi. Topory uderzały we włócznie i maczugi. Z prawej strony widział Gotreka związanego walką z dwoma wojownikami Chaosu. Odziane w czarne zbroje olbrzymy pędziły naprzód, mając nadzieję zająć Zabójcę z obu stron, tak by jeden mógł go uderzyć, podczas gdy drugi odwróci uwagę. Gotrek popędził w ich stronę, uderzając jako pierwszy i rozcinając napierśnik wojownika cięciem o zdumiewającej sile. Pancerz nie poddał się całkiem, ale krew wypływająca spod pach i połączeń przy nadgarstkach wskazywała śmiertelną ranę. Zabójca nie zatrzymał się, tylko ruszył dalej, gdy drugi wojownik uderzył w miejsce, gdzie przed chwilą znajdował się krasnolud. W tym czasie Zabójca rąbnął cięciem z dołu swojego przeciwnika, trafiając go w nogę i przecinając ścięgna kolanowe. Gdy wojownik upadł, Gotrek rozbił jego głowę i rozejrzał się w poszukiwaniu kolejnych ofiar.

Zabójca pokryty był krwią i wyglądał tak, jakby pracował w jakiejś piekielnej rzeźni. Felix zdał sobie sprawę, że sam nie wyglądał lepiej. Ręce były czerwone, a jego buty pokrywał śluz. Potrząsnął głową i zauważył, że Zabójca macha ostrzegawczo w jego stronę. W ostatniej chwili odwrócił się i uchylił się przed ciosem potężnej postaci w czarnej zbroi. Miecz wojownika Chaosu był wielki, a wzdłuż całej jego długości lśniły dziwaczne runy. Felix uderzył naprzód mieczem, ale ten odbił się od pancerza przeciwnika. Spod hełmu zasłaniającego twarz wydobył się oszalały śmiech. Zdawało się, jakby Felix tylko go połaskotał. Wojownik zaatakował ponownie, a Felix uskoczył w tył przed ostrzem. Widząc przerwę w obronie, uderzył mijający go miecz zwiększając jego impet, co obróciło przeciwnika. Felix skoczył naprzód i rąbnął ramieniem, przewracając zdeorientowanego napastnika na podłogę. Zanim wojownik zdążył się podnieść, Felix odchylił głowę ukrytą pod hełmem i przesunął mieczem po gardle przecinając arterię, zostawiając Wojownika Chaosu, który tłuł się na ziemi niczym ryba wyciągnięta na suchy ląd.

Nie miał czasu, by cieszyć się swoim triumfem. Bardziej wyczuł, niż zobaczył, cios opadający na jego odsłoniętą czaszkę i spróbował uskoczyć w bok. Poślizgnął się na zakrwawionym kamieniu i unik udał się tylko częściowo. Masywna pałka dotknęła jego głowy i powaliła go na ziemię. Przed oczami zatańczyły mu gwiazdy. Nawet to nie całkiem trafione uderzenie prawie pozbawiło go świadomości. Próbował podnieść się na nogi, ale nagle stracił kontrolę nad kończynami. Trzepotały bezwładnie zamiast być mu posłuszne. Felix miał niejasną świadomość nachylającej się nad nim pokrzywionej postaci i wielkiej pałki, która unosiła się, by wytłuc jego mózg.

Ogarnęło go nagłe ośpienie. Wokół niego wygasły wszystkie dźwięki. Był zbyt zmęczony, by się tym przejmować i nie bał się śmierci. Nie mógł nic zrobić. Pałka opadnie i jego życie dobiegnie końca. Nie było sensu się szamotać. Najlepiej po prostu położyć się i poddać nieuniknionemu.

Przez chwilę czuł się całkowicie bezbronny, a potem zebrał całą swoją siłę woli, by wykonać ostatnią próbę poruszenia się. Wiedział, że to niemożliwie, że w swoim osłabionym stanie nigdy nie zdąży. Jego ramiona naprężyły się i w każdej chwili spodziewał się poczuć straszliwy ból, gdy fatalne uderzenie wytłucze z niego życie.

Cios jednak nie nadszedł. Zamiast tego, jego przeciwnik przewrócił się na bok, tryskając krwią z

pleców. Nad Felixem nachylił się Gotrek, który złapał go za koleczugi i podniósł na nogi.

– Wstawaj, człeczyno. Mamy jeszcze wiele zabijania!

Zabójca machnął toporem i jednym ciosem powalił zwierozczłeka.

– Nie możesz umrzeć zanim nie zobaczysz, jak zabijam demona! Gdzie on jest? – spytał ciągle oszołomiony Felix.

– Tam – rzekł Gotrek i wskazał zakrwawionym paluchem. Felix spojrział we wskazanym kierunku i przez wyrwę w tłumie walczących, zobaczył scenę niesamowitego zmagania. Snorri natarł na demona z pochyloną głową i rąbnął go swoim toporem i młotem. Demon spojrział w dół i zaśmiał się kpiąco, gdy atak Snorriego odbił się od jego skóry.

– Snorri, ty idioto! – ryknął Gotrek. – Tylko broń runiczna może zranić tę przeklętą istotę!

Jeśli Snorri to usłyszał, to nie dał żadnego znaku. Nadal bez efektu uderzał potężnego potwora, wyprowadzając prawdziwy wir ciosów, które mogłyby zabić wołu, a jednak demon wydawał się być nietknięty. W końcu, jakby znudzony przyglądaniem się błazeństwu żartownisia, Krwiopijec rąbnął toporem. Snorri próbował zablokować cios krzyżując przed sobą obie bronie, ale nie miał szans. Trzonki topora i młota trzasnęły rozszczepione siłą uderzenia demona, które rzuciło nim przez komnatę jak kamieniem wystrzelonym z katapulty. Krasnolud obrócił się kilka razy w powietrzu i wylądował u stóp Króla Thangrima ochlapując krwią brodę starego Króla.

Krwiopijec przebijał się przez wojowników Gwardii Króla Thangrima. Jego broń błyskała za szybko, by mogło ją śledzić oko, a za każdym ciosem padał krasnoludzki wojownik. Wyglądało na to, że żadna zbroja nie może oprzeć się tej broni wykutej w piekle. Po kilku chwilach odważni wojownicy zostali zredukowani do kwilącego, umierającego stosu poszarpanych ciał. Dumne pancerze leżały odrzucone na bok. Gdy Felix przyglądał się tej scenie, Krwiopijec ciął przez szereg krasnoludów toporem, pozostawiając za sobą tylko okaleczone zwłoki. A jednak nie wszystko szło po myśli wielkiego demona. Runiczna broń krasnoludów wyrwała w kilku miejscach kawałki jego ciała. Idący demon zostawiał za sobą dymiące krople posoki, kapiącej na podłogę.

W oczach Thangrima zabłysła wściekłość. Jego broda zjeżyła się. Ponownie wznosił topór jakby w odpowiedzi na wyzwanie demona i rzucił go celując w pierś potwora. Starożytna broń jeszcze raz dosięgła celu. Po raz kolejny bluznęła krew. Demon znowu zatrzymał się, a potem wyszczerzył kły i ruszył naprzód ze zdwojoną furją.

Nic nie mogło stanąć mu na drodze. Przeorywał się przez Gwardię Krasnoludzkiego Króla, niczym taran przebijający przegniłe drzwi. Felix zauważył, że jednemu z wojowników udało się wbić runiczny miecz w plecy demona, zanim ten go zauważył. Ostrze utknęło w ciele, wystając między łopatkami Krwiopijca. Potwór obrócił się i sieknął swoim biczem. Felix nie miał pojęcia, z czego był wykonany ten piekielny bat, ale z łatwością przeciął kutą zbroję krasnoluda i odarł nieszczęśnika ze skóry. Felix widział odpadające powłoki i mięśnie, jakby odcięte skalpelem. Pojawiły się białe kości i żółte chrząstki. Bicz uderzył ponownie, obracając wrzeszczącą ofiarę niczym bąk, wydzierając jeszcze więcej mięsa ze zwłok. Inny krasnolud ruszył naprzód i uderzył demona runicznym toporem. Uderzenie sprawiło demonowi pewien ból, ale machnięciem ostrza odrąbał łeb napastnikowi. Przez cały czas biczował swoją ofiarę. Po kilku uderzeniach serca u jego stóp leżało skrwawione, odarte ze skóry ścierwo, w którym nie dało się rozpoznać krasnoluda.

– Jak długo jeszcze będziesz się chował za swoimi wojownikami, mały Królu? – zapytał demon, a w jego głosie była tak straszna magia, że Felix usłyszał go mimo łoskotu bitwy.

Król rzucił jeszcze raz młotem, ale rym razem demon upuścił bicz i złapał lecący młot wyciągniętą łapą. Runy zabłysły wokół główicy młota, łapa demona poczerniała wokół miejsca, gdzie zetknęła się z trzymaną bronią, a potem rzucił ją z powrotem w stronę Króla.

Nastąpił grzmot i młot poleciał szybciej, niż nadażało oko. Uderzył krasnoludzkiego króla i powalił go na ziemię. Armia krasnoludów wydała z siebie jęk widząc leżącego władcę. Demon zawył triumfalnie. Nad kłębowiskiem walki rozległ się szalony śmiech, który odbił się echem po sali. Zastępy Chaosu zaczęły walczyć ze zdwojoną furją i wszędzie zdawały się zdobywać przewagę nad krasnoludami.

Krwio pijec kroczył przez oszołomioną czeredę, tnąc po drodze na lewo i na prawo. Kapłan Grimmira ruszył mu na spotkanie i został wypatroszony uderzeniem łapy, w chwili gdy jego młot bojowy wbił się w ciało demona. Stara Kapłanka Valayii zastąpiła mu drogę. Wzniosła swoją księgę, jakby była tarczą. Ze stronic wyskoczyła światłość i demon zatrzymał się na chwilę. Potem zaśmiał się jeszcze raz i opuścił topór przecinając zarówno księgę, jak i kapłankę. Jej rozdwojone zwłoki upadły w dwóch kawałkach na podłogę, a demon podszedł triumfalnie i stanął nad umierającym Królem.

– Chodź, człeczyno. Nadeszła godzina mojej zagłady – rzekł Gotrek i ruszył ku demonowi.

Nic nie mogło stanąć na drodze Zabójcy. Wszystko, co próbowało tak uczynić, natychmiast ginęło. Stał się teraz machiną zniszczenia, podobną do samego demona. Zbliżając się do swego celu siekł na lewo i na prawo, a wszędzie padali zwierzoludzie i wojownicy Chaosu powaleni mocą topora i ramienia, które go dzierżyło.

Felix ze wzruszeniem ramion ruszył za nim, poddany swojemu losowi. W jego głowie nadal szumiało od ciosu pałką, a otaczające go sceny koszmarnej rzezi przybrały nierealny wygląd. Misja Zabójcy przestała wydawać się nieprawdopodobną. Rzeczywiście nieuniknione było, że Gotrek stoczy walkę z demonem i zginie swoją heroiczną śmiercią, a Felix będzie tego świadkiem, po czym sam umrze. Nie mógł zrobić już nic innego. Rozglądając się po sali rozumiał, że krasnoludy zostały pokonane. Przeciwnicy mieli przewagę, a upadek Króla kompletnie zniszczył morale. Nie było ani śladu Snorriego, czy Vareka. Felix wiedział, że żywy nie opuści tej bitwy. Równie dobrze może zrobić to, czego życzył sobie krasnolud. Znowu zawdzięczał mu życie, a w ten sposób mógł spłacić swój dług.

Krwio pijec stał nad leżącym Królem Krasnoludów Wbił topór prosto w płyty kamienne podłogi, tak że broń utkwiała tam drżąc. Potem sięgnął w dół i podniósł Thangrima obiema łapami tak delikatnie, jak człowiek podnoszący małe dziecko.

Felix schylił się pod cięciem topora zwierzoczęłka, odciął łapę napastnika przy nadgarstku i biegł dalej, zostawiając okaleczonego stwora na kolanach, próbującego zatamować krwawiący kikut. Między Gotrekiem a demonem stanęło trzech wojowników Chaosu. Jego topór przebił się przez kark jednego, otworzył brzuch drugiego i wbił się w pachwinę trzeciego. Powrotne cięcie powaliło ich na ziemię i Felix mógł wyraźnie dostrzec, co działo się między Królem, a jego ciemiężcą.

Krwio pijec odarł z Króla pancerz, niczym człowiek zdzierający skórę z pomarańczy. Thangrim podniósł głowę i splunął w twarz prześladowcy. Ślina zmieszała się z posoką, która spływała po czole demona i wyparowała z sykiem. Szczęrcząc się szeroko Krwio pijec wcisnął swe pazury w odsłonięte ciało króla i zaczął je rozdzierać. Klatka piersiowa Króla pękła i otworzyła się jak muszla ostrygi, pokazując wyjęte wnętrzności. Krew bluzgnęła, gdy Krwio pijec kontynuował swoje nikczemne dzieło.

Podniósł Króla na wysokość ślepi, podtrzymując go z łatwością jedną łapą. Wyciągnął drugą i wydarł z piersi Króla jeszcze bijące serce, podnosząc je tak, że rozszerzone oczy krasnoluda mogły zobaczyć, co robi. Demon ścisnął serce. Mięso zostało zgniecione ze słyszalnym chlupotem. Trysnęła krew i ochlapała pysk potwora. Potem, niczym bretoński smakosz połykający mięso otwartej ostrygi, demon odchylił łeb i pozwolił sercu wślizgnąć się do otwartego pyska. Król patrzył na to wszystko z

szeroko otwartymi, przerażonymi oczami.

Gardło demona poruszyło się, gdy połknął serce, a potem otworzył pysk i wydał z siebie donośne beknienie zadowolenia. Rzucił na podłogę pozbawione serca ciało, które kiedyś było dumnym Królem Karag Dum i odwrócił się, by ryknąć triumfalnie do swych zebranych wyznawców. Felix widział to wszystko doskonale, zanim razem z Gotrekiem dotarli do Krwiopijca.

– Mam nadzieję, że smakował ci twój ostatni posiłek, demonie – rzekł Gotrek. – Teraz umrzesz.

Demon spojrzał na niego i uśmiechnął się.

– Twój mózg będzie moim deserem – rzucił z przerażającą pewnością siebie.

Przez chwilę Zabójca i demon stali naprzeciwko siebie bez ruchu. Zabójca uniósł do uderzenia płonący topór. Wyraz szału bojowego wykrzywił jego twarz sprawiając, że stała się niemal równie przerażająca, co pysk demona. Krwiopijec poruszył skrzydłami ze słyszalnym szelestem i skinął kpiąco przywołując do siebie Gotreka. Felix przeniósł wzrok z Gotreka na demona, a potem na zwłoki Thangrima. Słyszał kiedyś, że można żyć przez kilka chwil po tym, jak serce przestanie bić. Wiedział, że w przypadku Thangrima to było prawdą, bowiem wolą demona było wypełnienie jego nikczemnej przysięgi. Nagle Felix poczuł straszną wściekłość na bezsensowne okrucieństwo demona i szaloną złośliwość Chaosu. Chciał wziąć miecz i zatopić go w piersi potwora.

Długa chwila bezruchu skończyła się. Gotrek ryknął okrzyk bojowy i natarł. Jego topór błysnął naprzód i w dół, po czym wbił się w pierś demona. Bluzgnęła płonąca posoka ochlapując krasnoluda i odrzucając go w tył. Krasnolud szybko zebrał się w sobie i wyprowadził następne cięcie. Krwiopijec uniósł łapę, by je zablokować i na jego ramieniu pojawiła się kolejna wielka rana. Przez chwilę Felix był pewien, że furia Gotreka przeważy, ale Krwiopijec cofnął się o krok poza zasięg Zabójcy i wykonał gest, jakby coś łapał.

Jego wielki topór wyskoczył z podłogi i poleciał prosto do łapy demona. Stwór stał przez chwilę w miejscu. Felix zauważył, że potwór odniósł liczne rany. Miecz krasnoluda gwardzisty nadal tkwił w jego plecach, przygważdżając jedno ze skrzydeł. Młot Thangrima wyrwał głębokie płaty ciała, z których wystawały połamane kości. Topór Gotreka także pozostawił ziejące rany, z których kapąca na ziemię tłąca się posoka. Z całego cielska stwora unosiły się wstrętne opary, przypominające dym. Czasami jego kontury zdawały się rozmywać i tracić ostrość, jakby nie całkiem naprawdę znajdował się w tym miejscu. Potem znowu powrócił do swojej solidnej, namacalnej obecności i rzucił się na Zabójcę.

Nastąpiła burza ciosów zbyt szybka, by śledziło ją oko śmiertelnika. Felix nie miał pojęcia, jak Zabójcy udało się to przetrwać, ale tak się stało. Krasnolud zachwiał się w tył. Wielka rana biegła przez jego czoło, a na piersi widniały ślady pazurów. Na ramieniu demona pojawiła się kolejna rana, ale i tak wydawał się być mniej osłabiony, niż Zabójca.

– Widzę, że masz dość – stęknął Gotrek.

Demon zaśmiał się i przygotował do kolejnego skoku. Felix zebrał się na odwagę, wiedząc, że to co robi jest samobójstwem i zaraz zginie. Felix zrozumiał, że to nie miało znaczenia, bowiem jeśli Zabójca padnie, demon w kilka chwil go zabije. Postanowił zatem uderzyć, póki jeszcze mógł. Skoczył naprzód i pchnął w demona z całej siły. Zaklęty miecz Templariusza Albrechta wbił się głęboko w ciało potwora. Felix wyszarpnął ostrze i spróbował wykonać następne uderzenie. Demon w ostatniej chwili odwrócił się do niego i odtrącił w tył machnięciem łapy, które niemal pozbawiło Felixa życia.

W chwili, gdy łapa dosięgła celu, coś wybuchło na piersi Felixa posyłając falę bólu, który przeniknął całe ciało. Miecz Templariusza wyleciał wirując z jego ręki. Felix upadł na coś twardego i ciężkiego, a z jego płuc wyrwało się całe powietrze. Usłyszał coś, co mogło być rykiem

nieziemskiej agonii dobywającym się z gardła Krwiopijca.

Gotrek wykorzystał ten moment, by zaatakować i Felixowi przez chwilę wydawało się, że krasnolud powali Krwiopijca. Jego topór błysnął w dzikim łuku i niemal dotarł do celu, ale rany Zabójcy spowalniały go i demon uskoczył na bok unikając cięcia, które pozbawiłoby go łba. Potem nastąpiła kolejna burza ciosów zbyt szybkich dla oka. Na końcu topór Zabójcy wypadł z jego ręki. Gdy Gotrek stał chwiejąc się i ledwo trzymając na nogach, Krwiopijec rąbnął potężną pięścią, powalając Zabójcę na ziemię. Gotrek legł u stóp demona. Cała nadzieja odpłynęła z serca Felixa.

Felix sięgnął w dół i próbował się podnieść. Pochylając głowę dostrzegął tłące się pozostałości amuletu Schreiberera na swojej piersi. Pięść demona musiała trafić w to miejsce w chwili uderzenia. Amulet eksplodował przeładowany mocą demona. Felix pomyślał, że być może to jednak uratowało mu życie. Coś pochłonęło większość siły uderzenia Krwiopijca. Felix był pewien, że ten cios powinien go zabić, a jednak tak się nie stało.

Nie mógł odnaleźć miecza, ale palce zacisnęły się na czymś twardym i ciężkim. Zdał sobie sprawę, że to był Młot Losu. Próbował go unieść, ale broń nawet nie drgnęła. To nie była kwestia jej ciężaru, lecz jakaś siła trzymała ją na podłodze, tak jak magnes utrzymywał na miejscu mapy na statku powietrznym.

Felix przeklął. Byli już tak blisko. Demon poruszał się teraz powoli, ciężko oddychając, a z wielkich ran na jego ciele kapąca posoka. Potwór z trudem był w stanie zachować swoją formę. Jeszcze jeden cios zakończyłby wszystko, to było pewne. Felix zmagął się napinając mięśnie, tak że prawie nie pękły, ale przeklęty młot ani drgnął. To był magiczny artefakt przeznaczony tylko dla rąk krasnoludzkich bohaterów i siła śmiertelnego człowieka była zbyt mała, by pokonać tę magię.

Krwiopijec nachylił się nad Gotrekiem tak, jak to zrobił w przypadku Thangrima. Sięgnął w dół i zamknął jego głowę w potężnej łapie. Powoli uniósł Zabójcę. Felix wiedział, co zaraz nastąpi. Demon zgniecie głowę krasnoluda, aż czaszka pęknie jak arbuz, a potem pożre mózg i nieśmiertelną duszę. Za triumfującym demonem dostrzegął zwierzoludzi, którzy miażdżyli ostatni opór krasnoludów. Varek stał przy jednej z kolumn. Uczony uzbroił się we wzięty skądś młot, a Zabójca stracił topór. Zbliżała się fala oszalałych zwierzoludzi.

– Pomóż mi, Sigmarze od Młota – modlił się Felix z żarliwością, której nie wzbudził w sobie od czasów, gdy był przerażonym dzieckiem. – Pomóż mi, Grungni! Pomóż mi, Grimmirze! Pomóż mi, Valayio! Pomóżcie mi! A niech was!

Na wspomnienie imion bogów runy na młocie zabłyśły i wróciły do życia. Felix czuł, że broń przestała przywierać do podłogi. Na początku była ciężka, ale w miarę, jak ją podnosił stawała się coraz lżejsza, jakby jakaś moc używała mu siły, by mógł pokonać jej ciężar. Płonący ból przeszył dłoń Felixa trzymającego Młot. Poczul iskry przypalające rękaw. Walczył, by utrzymać broń, podczas gdy końcówki każdego nerwu jego dłoni promieniowały bólem. Udało mu się to wytrzymać.

Felix wiedział, że ma tylko jedną szansę i podniósł młot do rzutu. Demon wyczuł gromadzącą się za nim energię i odwrócił się w jego stronę, niedbale trzymając w dłoni Zabójcę, w taki sposób, w jaki człowiek trzyma popsutą lalkę. Straszliwe ślepiea spoczęły na Felixie i przez chwilę poczuł falę znanego przerażenia. Wiedział, że demon, jeśli nie zdąży go powstrzymać, zaraz rozedrze go kończyzna po kończyźnie. Stłumił strach i postanowił spróbować, tak czy inaczej.

Krwiopijec upuścił Gotreka i skoczył naprzód z rozprostowanymi łapami, otwartą paszczą i obnażonymi kłami. Ślepiea, z których wyglądało piekło spojrzały prosto na Felixa. Jego nozdrza wypełnił obrzydliwy odór. Ciepło ciała stwora promieniowało przez zamykającą się między nimi odległość. Felix podniósł młot i wypuścił go. Broń poleciała naprzód jak spadający meteor, pozostawiając za sobą ogon płonących wyładowań. Młot rąbnął prosto w łeb demona, wydając

odgłos uderzenia pioruna. Siła uderzenia powstrzymała pęd demona i na chwilę odepchnęła go. Młot odbił się i poleciał w stronę leżącego Zabójcy.

Demon powoli podnosił się. Felix wiedział, że teraz już nic nie powstrzyma potwora. Jego zwycięstwo było nieuniknione. Felix zrobił wszystko, co mógł, lecz to nie wystarczyło. Ledwo miał siłę, by stać, nie mówiąc o ucieczce przed stworem. Jego pierś była przypalona. Miał wrażenie, jakby ciało ręki odpadało do kości.

Krwio pijec ruszył chwiejnie naprzód, szczerząc się niktownie. Spojrzenie starożytnych ślepi utwierdziło Felixa w przekonaniu, że demon zna jego myśli i kpi sobie z desperacji człowieka. Padł na niego ogromny cień. Stwór rozprostował skrzydła, wrywając miecz z pleców i odrzucając go na drugą stronę komnaty. Cofnął łapę do ostatecznego uderzenia.

– Ej! Ty! Jeszcze z tobą nie skończyłem – ryknął Gotrek. Potężna głowica topora nagle przebiła się przez pierś Krwio pijca. W tej chwili demon zaczął się rozpadać w deszczu czerwonych i złotych iskier, które zmieniały się w śmierdzące opary i znikwały. Felix przez mgłę widział posiniaczoną i obitą postać Zabójcy, ledwo mogącego ustać. Powoli Krwio pijec zniknął z pola widzenia.

Ale Felix nadal widział płonące ślepie demona, a jego ostatnie słowa nadal odbijały się echem w jego głowie.

– Zapamiętam was, śmiertelnicy, a mam całą wieczność na przygotowanie mojej zemsty.

Cudownie, pomyślał Felix, właśnie tego mu było potrzeba. Nienawiści Większego Demona. A jednak jego serce wypełniła radość, demon zniknął, a okropny strach, który wywołała jego obecność ulotnił się jak poranna mgła, w świetle wschodzącego słońca. Felix czuł, jak z jego ramion spada niesamowity ciężar i ogarnęło go uczucie wielkiej ulgi.

Gotrek zatoczył się do miejsca, gdzie leżał Młot Losu i podniósł go. Tym razem broń uniosła się bez oporu i stała się dziwna rzecz. Iskry wyładowań zatańczyły między Młotem i Toporem tworząc jaskrawy luk elektryczny. Jednocześnie Zabójcę zdawała się wypełniać przemożna siła. Jego grzebień włosów stanął dęba. Zjeżyła mu się broda. Oczy zalśniły dziwnym błękitnym światłem.

– Bogowie szydą ze mnie, człeczyno! – ryknął głosem mocnym jak grzmot.

Jego twarz była zgorzkniała.

– Przybyłem tu w poszukiwaniu śmierci, a zamiast tego sprowadziłem zagładę na to miejsce. Teraz, ktoś za to zapłaci.

Odwrócił się i ruszył w stronę walki. Młot za każdym ciosem pozostawiał rozmazany ogon światła. Topór przebił wojownika Chaosu i wyrwał wielki kawał kamienia z jednej z kolumn podtrzymujących sufit. Teraz krasnoluda ogarniała aura przerażenia, podobna do tej, która spowijała demona, a wyznawcy Chaosu zaczęli się cofać. Zabójca wydal z siebie potężny okrzyk bojowy i skoczył naprzód. Rozpoczęła się straszliwa rzeź. Zabójca przepelniony boską mocą trzymanyh broni był niepokonany. Jego topór rozdzierał bez wysiłku zbroje i ciała. Żadna broń nie mogła go powstrzymać. Młot wysyłał kolejne pioruny straszliwej mocy, które smagały wojowników Chaosu niczym bicz demona.

Felix patrzył przerażony na rzeź urządzaną przez Zabójcę, aż dostrzegł na ziemi miecz, zmusił się, by go podnieść i popędził do walki. Po chwili było po wszystkim. Horda Chaosu po upadku swojego wodza nie mogąc powstrzymać niepokonanej mocy wściekłego *Zabójcy*, odwróciła się i uciekła.

Dogrywka.

Felix rozejrzał się zmęczonym wzrokiem po Komnacie Studni. Wszędzie wałały się ciała, ślady walki prowadzonej z szaloną zajadłością, po jednej stronie i nieustępliwą determinacją krasnoludów po drugiej. Podłogę pokrywała zaschła krew. Jego nozdrza wypełniał odór śmierci.

Spojrzał na Gotreka, który leżał blady i bez ruchu, oparty o jedną z kolumn wspierających sufit. Cała pierś owinięta była bandażami, a jedna z rąk zwisała nieruchomo na temblaku. Głowę Zabójcy pokrywały siniaki, widoczne nawet pod tatuażami. Uchwyt demona nie był delikatny. Walka z Krwiopijcem niemal pozbawiła Zabójcę życia, a walka, która nastąpiła później niczego nie poprawiła. Pierś Zabójcy ledwo się poruszała. Jego organizm znajdował się na granicy między śmiercią, a życiem. Nawet Varek nie był w stanie powiedzieć, czy Zabójca przeżyje, czy umrze.

Młody krasnolud podniósł niepewny wzrok.

– Zrobiłem dla niego, co mogłem. Reszta spoczywa w rękach bogów. To cud, że on w ogóle żyje. Spodziewam się, że tylko moc Młota trzymała go przy życiu, dopóki walczył.

Felix zastanawiał się, czy nadeszła wreszcie chwila, w której zobaczy śmierć Zabójcy. To była z pewnością epicka bitwa, taka w której Gotrek mógł oczekiwać swojej zagłady. Krasnoludy zebrały się widząc klęskę demona, a wyznawcy Chaosu stracili serce do walki, gdy rozwścieczony Zabójca wdarł się między nich, uzbrojony w niepokonany oręż, gwałtowny i zabójczy, jak jakieś starożytne bóstwo wojny. Gotrek urządził taką rzeź, że wyznawcom Chaosu musiało się wydawać, iż ich bóg obrócił się przeciwko nim. W końcu, zdemoralizowani i spanikowani odwrócili się i uciekli pozostawiając triumfujące krasnoludy. Dopiero wówczas Gotrek upadł.

Zwycięstwo osiągnięto za przerażającą cenę. Felix wątpił, czy przeżyło więcej niż dwudziestu krasnoludów, a większość z nich ukryta została w Krypcie przed rozpoczęciem walki. Gdyby nie moc Młota i zręczność Gotreka w posługiwaniu się toporem, wątpliwe było, by przeżył ktokolwiek z nich. Wydawało się, że Zabójca zapłaci jednak najwyższą cenę za zwycięstwo.

Snorri szedł między zabitymi kulejąc, utrzymując ciężar ciała na prawej nodze. Nie wyglądał lepiej od Gotreka. Pierś miał przewiązaną rzemieniem. Tylko dzięki swojej niesamowitej krasnoludzkiej wytrzymałości nadal był przy życiu. Żaden człowiek nie przetrwałby ciosu Krwiopijca, ani późniejszego upływu krwi. Turban bandaży otaczający głowę nadawał mu wyglądu niskiego, szerokiego i głupiego mieszkańca Arabii. Krasnolud gwizdał do siebie radośnie, przyglądając się krwawej ruinie wokół siebie. Stracił wiele ze swojej wesołości, gdy spojrzał na bezwładną postać Gotreka.

– Dobra walka – powiedział cicho właściwie nie wiadomo do kogo. Felix miał zamiar się sprzeciwić. Chciał powiedzieć, że jego zdaniem nie istniało coś takiego jak dobra walka. Można tylko wygrać, albo przegrać. Walczenie było brudne, brzydkie, bolesne, niebezpieczne i wołał tego unikać.

Jednak nawet, gdy o tym myślał, zrozumiał, że się oszukuje. W przetrwaniu walki kryło się dziwne uniesienie, a niesamowita radość w zwycięstwie. Felix odczuwał to wszystko. Po rozważeniu alternatyw zwycięstwa musiał się zgodzić ze Snorrim.

– Tak, to była dobra walka – rzekł, chociaż zastanawiał się, czy któryś z martwych, leżących na zimnej kamiennej podłodze również przyznałby mu rację, gdyby mógł mówić. Wysiłek wypowiedzenia tych słów wywołał ból. Przyjrzał się swojej ręce. Była odrętwiała i przypalona w miejscu, gdzie zetknęła się z Młotem Losu w chwili, gdy oręż wypuścił błyskawice. Nawet maści

lecnicze, zastosowane przez Vareka nie pomagały. Felix nie był pewien, jaka magia chroniła przed tym Thangrima, ale najwyraźniej nie działała na ludzi. Jednak młot wykonał swoje zadanie i Felix nie powinien skarżyć się na niezręczny sposób, w jaki bogowie odpowiedzieli na jego modlitwy.

Patrząc na bandażę okrywającą dłoń zastanawiał się, jak w ogóle udało mu się walczyć, ale znalazł odpowiedź. W gorączce bitwy człowiek był w stanie znieść ból, który w normalnych okolicznościach pozbawiłby go zmysłów. Felix widział raz człowieka, który walczył przez kilka minut po otrzymaniu śmiertelnej rany. Spoglądając na swoją rękę zastanawiał się, czy będzie kiedyś w stanie utrzymać miecz, albo chociaż pióro potrzebne, by opisać śmierć Zabójcy.

Varek zapewnił go, że tak się stanie, ale teraz Felix nie był tego pewien. Miał nadzieję, że zawsze może nauczyć się walczyć lewą ręką. Spróbował wyciągnąć miecz z pochwy używając lewej dłoni, ale wszystko zdawało się być nie takie, jak trzeba. Miał jednak wiele czasu na naukę.

Całe ciało bolało go i chciał po prostu położyć się i spać, ale nadal było wiele do zrobienia. Hargrim i inne krasnoludy skończyły dyskusję i podeszły do niego. Hargrim trzymał w prawej dłoni Młot Losu. Felix zauważył z pewną zazdrością, że broń nie parzyła krasnoluda.

– Jesteśmy ci winni dług, którego nigdy nie spłacimy, Felixie Jaegerze – powiedział Hargrim. – Ocaliłeś honor naszego ludu i ochroniłeś święty Młot przodków przed wpadnięciem w łapy wrogów.

Felix uśmiechnął się do krasnoluda.

– Niczego nie jesteście mi winni, Hargrimie. Młot ocalił mi życie. Nie ma tu żadnego długu.

– Szlachetnie powiedziane. Tym niemniej, to co nasze, jest twoje.

– Dziękuję wam, ale chcę tylko wrócić do domu – rzekł Felix.

– Wrócimy razem – powiedział Hargrim.

Felix uniósł brew.

– Jest nas teraz zbyt mało, by bronić tego miejsca, a Mroczni znają nasze położenie. To tylko kwestia czasu zanim powrócą. Czas zabrać Księgę i Młot oraz wszystko, co się da z naszego skarbu, a potem odejść.

– Ufam, że na statku powietrznym jest dość miejsca, Felixie rzekł Varek. Spojrzał na Felixa oczami szeroko otwartymi z podziwu, jakby szukał jego potwierdzenia dla tej decyzji. Najwyraźniej przez uniesienie Młota Losu Felix zyskał pewien status wśród krasnoludów. – Teraz w Karag Dum pozostało tylko dwadzieścia krasnoludów, a jeśli oczyścimy ładownię i podwoimy obsadzenie kabin, będzie dość miejsca.

– Jestem pewien, że masz rację – rzekł Felix.

– Najważniejsze jest wyniesienie stąd świętego Młota i jak największej ilości krasnoludzkich skarbów.

– Oczywiście, że tak – zgodził się Felix patrząc na skrzynie wynoszone przez krasnoludy z tajemnego skarbcza. – Ale zastanawiam się z niepokojem, w jaki sposób wyniesiemy *to* wszystko. Musimy przebić się przez wyznawców Chaosu. Jesteśmy zbyt osłabieni i jest nas za mało.

Hargrim wyszczerzył się w uśmiechu – Nie martw się o to, Felixie Jaegerze. Nadal istnieje wiele tajnych dróg wyjścia z Karag Dum znanych tylko krasnoludom.

Felix spojrzał na leżącego Gotreka, który był blady i zbyt słaby, by się ruszać.

– A co z Gotrekiem i innymi rannymi? – spytał. Może powinni poczekać, aż Zabójca umrze i pochować go w krypcie razem z innymi bohaterami bitwy.

Jedno oko Gotreka otworzyło się powoli. Z wysiłkiem podniósł się na nogi.

– Kiedy będę zbyt słaby, by chodzić, człeczyno, wtedy będę zbyt słaby, by żyć.

– A zatem, na bogów, ruszajmy – rzeki Felix.

Zabójca rozejrzał się po poboju.

- Zdaje się, że moja zagłada znowu mnie ominęła – powiedział zgorzkniałe.
- Nie martw się – rzekł Felix. – Jestem pewien, że czeka na ciebie jakaś inna śmierć!

Thanquol rozsunał zasłony lektyki i zamrugał, gdy światło padło na jego nieprzyzwyczajone do tego ślepie. Właśnie wydostał się z Pod-dróg podczas pełni dnia. Jasne północne kislevickie słońce gapiło się na niego, niczym czujne oko bezlitosnego boga.

Spoglądał na potężny krater Piekielnej Otchłani. Poniżej widział ogromną fortecę Klanu Moulder. Wypełniło go uczucie satysfakcji. Popędzał wykończonych tragarzy przez całe dni, zanim osiągnęli cel.

– Ruszać się żwawo! – rozkazał dyszącym niewolnikom. – Mamy jeszcze trochę drogi do przebycia!

Powoli tragarze zaczęli schodzić w dół stoku.

Nienaturalne odgłosy echa rozległy się, wśród dziwnie ukształtowanych wież. Zaryczały wielkie bestie. Smród potworów i spaczenia podrażnił nozdrza Thanquola.

Wiedział, że tu znajdzie sprzymierzeńców potrzebnych do schwytania statku powietrznego i wywarcia swej nieuniknionej zemsty na Gurnissonie i Jaegerze. Już teraz widział skaveńskich wojowników w towarzystwie zniekształconych, suwających nogami bestii, którzy zbliżali się, by go powitać.

Teraz, jeśli tylko uda mu się ponownie nawiązać kontakt z jego pomocnikiem Lurkiem Snichtongue, sprawy potoczą się lepiej. Zastanawiał się, co Lurk teraz robi...

Lurk nie był pewien, co zamierzają te głupie krasnoludy, ale wiedział, że wkrótce nadejdzie czas na atak. Czuł się silny i był pewien, że Rogaty Szczur był z nim. Teraz czekał tylko na odpowiednią chwilę, by uderzyć. Jeśli nadejdzie taka okazja, wówczas wyskoczy i pokona swoich przeciwników Zakładając, że nie będzie ich zbyt wielu.